

Peter Abrahams

Korepetytor

Przekład:

VIOLETTA DOBOSZ

MONIKA TIETZE

Tytuł oryginału: THE TUTOR

Copyright © 2002 by Pas de Deux

Copyright © for the Polish edition by „C&T”, Toruń 2006

Dla moich dzieci: Seta, Bena, Lily i Rosie.

A artyzm we krwi może przejawiać się w przeróżnych, nieraz bardzo dziwnych formach.

Arthur Conan Doyle, „Grecki tłumacz”, tłum. Jerzy Regawski

Linda Marx Gardner obudziła się ze snu i poczuła na swym biodrze erekcję męża. Nie prowokując jej, nie starając się o nią; po prostu tam była. Wcześniej w ich małżeństwie, dokładnie na samym jego początku, w te przedranne chwile, tak jak dziś, w przyciemnionej i osnutej szarościami sypialni, Linda zajęłaby się Scottem i coś zaczęła. Takie wczesne „coś”, gdy ich ciała wciąż były ociążałe od snu, zwykle okazywało się całkiem miłe, czasami nawet bardziej niż miłe.

Linda wstała z łóżka. We śnie szaleńczo wymazywała słowa z kartek różowego papieru, słowa, które teraz już uległy zapomnieniu. Gdy szła w stronę łazienki, Scott westchnął cicho. Było to jedno z tych delikatnych mruknięć, wyrażających zgodę. Przez głowę przemknęła jej dziwna myśl, zupełnie nie w jej stylu: czy on także coś właśnie wymazywał?

Po chwili była już pod prysznicem, w myślach otwierając notes ze spotkaniami, rubryki z godzinami gęsto wypełnione jej starannym pismem. Przekroczą budżet sprawy Skyway, głównie przez te felerne zdjęcia, lecz nie był to jedyny powód. Linda starała się dociec innych przyczyn, zapominając o wszystkim poza pracą do tego stopnia, że podskoczyła, widząc nagle przez zaparowaną szybę tył nagich pleców Scotta, który stał przed toaletą.

* Mógłbyś obudzić Brandona? * zawołała do niego.

Scott odpowiedział coś, czego nie zrozumiała z powodu hałasu, jaki panował pod prysznicem, niemalże ryku wody * kiedy remontowali dom, zamiast przeprowadzić się z West Mili do Old Mili, niczego sobie nie żalowali, czego dowodem był między innymi dziesięciodyszowy panel prysznicowy z kolekcji Body Spa firmy Kohler * a gdy ponownie spojrzała w tamtą stronę, już go nie było. Uderzenia gorącej wody sprawiały, że czuła się tak dobrze, iż mogłaby stać tutaj cały dzień. Szybko jednak zakręciła kurek.

Wyszła z kabiny, jedną ręką sięgając po ręcznik, drugą spuszczać wodę w toalecie. Scott zawsze o tym zapominał lub po prostu nie zaprzętał sobie tym głowy, czy coś w tym rodzaju. Wskazówki zegarka leżącego na granitowej umywalce * czarny granit z ciemnoniebieskimi plamkami, najładniejsza rzecz w

całym domu * poinformowały ją o dwu lub trzyminutowym spóźnieniu, nic, czym należałoby się martwić. Wzięła głęboki oddech.

Bran? Bran? Bran? Bran?

I tak bez końca. To słowo wdzierało się do snów Brandona, zniekształcając je i w końcu go budząc.

* Brandon? Obudziłeś się, stary? Jest późno.

Brandon obudził się na tyle, aby poczuć, że ma pościel naciągniętą na głowę, jest mu okropnie gorąco, czuje się totalnie zakręcony, maksymalnie niezdolny do tego, by wstać, a może nawet by się poruszyć. Otworzył jedno oko, tylko troszkę, wystarczająco, by zerknąć na ojca przez posklejane rzęsy. Ojciec stał z ręcznikiem owiniętym wokół pasa, kremem do golenia na twarzy i kapiącą maszynką w dłoni.

* Nie chce mi się...

* Nawet o tym nie myśl, Brandon. Idziesz do szkoły.

* Kijowo się czuję.

* Idziesz do szkoły. I uważaj, co mówisz. Brandon nic nie odpowiedział.

* Pokaż, że żyjesz. Usiądź albo coś. Nie zmuszaj mnie, żebym tu wrócił.

* Dobra, dobra * mruknął Brandon, lecz jedyną rzeczą, jaka się poruszyła, była ta jedna powieka, która opadła z powrotem.

* Nie panujesz już chyba nad bałaganem w tym pokoju.

Brandon, pogrążając się we śnie, ledwo dosłyszał ostatnie zdanie. Totalne zakręcenie szybko powracało, zaszywając maleńką dziurkę, przez którą zajrzał ojciec, i zniknęło na dobre.

Kryształowy pryzmat wisiał w oknie pokoju po przeciwnej stronie korytarza, w oknie, gdzie zawsze pojawiały się pierwsze promienie słońca. Gdy Brandon znów zapadł w głęboki sen, słońce mrugnęło przez nagie pnie drzew na tyłach domu, posyłając przez pryzmat swój promyk. Maleńka tęcza natychmiast pojawiła się na kalendarzu wiszącym na przeciwległej ścianie, a dokładnie na wyjątkowym kwadraciku, w którym narysowano tort urodzinowy z jedenastoma płonącymi świeczkami. Ta tęcza, drżąca lekko na jej nadchodzących urodzinach, była pierwszą rzeczą, jaką Ruby zobaczyła po przebudzeniu.

Wstrzymała oddech. To dowód na istnienie Boga. Taka była jej pierwsza myśl. Już miała zastanowić się nad nią i nad jej znaczeniowym ciężarem * tak to już z niektórymi myślami było: dźwigały ciężary * że sam Bóg zainteresował się nią, Arubą Nicole Marx Gardner, gdy jej umysł zaczął analizować fakty: słońce, wschodnie okno, pryzmat, tęcza, która musiała gdzieś się pojawić, zbieg okoliczności. W ten sposób spojrzalby na to Sherlock Holmes, a ona nikogo nie szanowała bardziej na całym świecie niż Sherlocka Holmesa. Nie kochała go * to doktor Watson nadawał się do kochania * lecz go szanowała.

A jednak taki zbieg okoliczności to podchwytliwa sprawa. Weźmy na przykład ten dzień, kiedy jadła kanapkę z szynką i czytała bajkę o żabie, miała chyba wtedy cztery lata, gdy nagle zwymiotowała na wszystko dookoła, łącznie z Brandonem, który siedział obok niej na tylnym siedzeniu w samochodzie, tak iż żaba i kanapka z szynką w pewien sposób się ze sobą skojarzyły. Tak to wtedy zobaczyła i od tamtej pory nie tknęła kanapki z szynką. Ale mogła sobie wyobrazić Sherlocka Holmesa, który mówi: „Długa podróż samochodem i droga pełna zakrętów? Skutek byłby taki sam, gdyby kanapka była z masłem orzechowym, a bajka o pingwinie”. Elementarna rzecz, droga Ruby...

Tęcza poruszyła się, ześlizgując z jej urodzin, z kalendarza, wałęsając się po ścianie, ocierając o róg otwartej szafy i znikając w jej ciemnościach. Tęcza w szafie była sprawką obracającej się ziemi. Ta myśl niosła ze sobą wielki ciężar znaczeniowy, lecz Ruby nie zajęła się analizą. Na końcu korytarza powstało zamieszanie, lecz przez drzwi docierały tylko ostre dźwięki, podobnie jak wtedy, gdy przestanie działać jedna słuchawka.

* Scott? Czy nie prosiłam cię, żebyś obudził Brandona? Stłumiony głos.

* Ale nie wstał, jak zwykle. Jest pięć po siódmej. Brandon, wstawaj. Stłumiony głos. Dalej słyhać było, jak coś się porusza, i Bran wrzasnął: * Kurwa. Nie rób tego do cholery! * tym swoim nowym głosem, głębokim i ostrym, wprawiającym w drżenie ściany. Ruby domyśliła się, że mama zerwała z niego pościel, co zawsze działało. Dalsze dźwięki * Bran wstający z łóżka, miotający się po pokoju, przecinający korytarz w drodze do wspólnej łazienki, odkręcający wodę pod prysznicem *

przestały do niej docierać w momencie, gdy wzięła do rąk tom pod tytułem Sherlock Holmes: opowieści zebrane, leżący na nocnym stoliku, i odszukała kolejną po zakładce: „Cętkowana wstęga”. Już sam tytuł gwarantował, że opowiadanie się jej spodoba.

9

Cętkowana. Nigdy wcześniej nie wymówiła tego słowa. Powiedziała je teraz na głos pierwszy raz w życiu. * Cętkowana. Cętkowana.

Maskotki obserwowały ją w ciszy, siedząc na swoich półkach jak na grzędach. Ciekawe słowo, miało moc, jeśli tak można powiedzieć, choć może nie do końca była to moc pozytywna. Nakrapiana to ładne słowo, piegowata już trochę mniej; cętkowana w pewien sposób różniło się od pozostałych, lecz nie potrafiła tego wyjaśnić. Pod jej pokojem otworzyła się brama garażu i wytoczył się przez nią stary triumph taty, lecz dźwięki dochodziły do Ruby z bardzo, bardzo daleka.

Nie zaznałem w życiu większej przyjemności niż towarzyszenie Holmesowi w jego ze znanstwem prowadzonych śledztwach oraz podziwianie błyskotliwych dedukcji, tak ulotnych jak przecucia, a jednak zawsze popartych logiką, dzięki której rozwiązywał zleczone mu sprawy.

Tak, to było to, dlatego właśnie był tak wyjątkowy. Podczas gdy Ruby czytała, jej pokojem zaważadnęła absolutna cisza, zaczął nawet tracić fizyczne właściwości i stał się odrobinę mniej namacalny. Kawalerskie lokum na Baker Street 221b wręcz przeciwnie. Ruby wydawało się, że słyszy trzaski w kominku, w którym to pani Hudson nad wyraz roztropnie rozpałiła ogień, a nawet...

* Ruby! Ruby! Ruby, na miłość boską!

* Co?

* Wołam cię już szósty raz. * To mama, prawdopodobnie ubrana do pracy, prawdopodobnie stojąca na szczycie schodów z tym niecierpliwym wyrazem twarzy, gdy między jej brwiami pojawia się pionowa bruzda. * Wstałaś już?

* No.

* Nie zapomnij o tenisie po szkole, kochanie. * Po tonie jej głosu Ruby poznała, że pionowa bruzda już się wygładziła. * Do zobaczenia po południu. * Głos mamy cichł, w miarę jak schodziła po schodach.

* Cześć, mamó.

Być może nie powiedziała tego wystarczająco głośno, bo nie usłyszała odpowiedzi. Następnie rozległ się warkot wyjeżdżającego z garażu, jak zwykle w lekkim pośpiechu, samochodu mamy i pisk opon na cementowej posadzce. Brama garażu zamknęła się * z długim piskiem zakończonym głuchym stuknięciem * a warkot jeepa grand cherokee, cichszy niż triumphy i o wiele mniej interesujący, oddalał się, aby w końcu zaniknąć. Sherlock Holmes wydedukował z siedmiu plam błota, że przerażona młoda dama ma w jego salonie ciężką podróż konną bryczką. Na ulicy rozległ się klakson samochodu * bryczka po Brandona. Przerażona młoda dama odchodziła od zmysłów ze strachu.

Linda dyktowała notatkę dotyczącą Skyway do elektronicznego notesu, gdy zadzwoniła jej komórka. Deborah * jej szwagierka, żona brata Scotta, Toma. Linda zawsze wstrzymywała oddech, kiedy dzwoniła Deborah. Była czymś podekscytowana, Linda wyczuła to już w momencie, gdy powiedziała:

* Cześć.

* Cześć.

* Jesteś już w pracy?

* Tkwię w korku.

* Ja też. * Cisza, lecz tylko przez chwilę. * Znasz już wyniki Brandona?

* Jakie wyniki?

* SAT.*

* Myślałam, że będą dopiero w przyszłym tygodniu.

* Tak, jeśli chcesz czekać na pocztę * odparła Deborah. * Ale jest numer, pod który można dzwonić od siódmej dzisiaj rano. Potrzebujesz tylko karty kredytowej i trochę cierpliwości * zajęło mi dwadzieścia minut, zanim się dodzwoniłam.

Linda odczytała godzinę z zegarka na desce rozdzielczej, 7:32.

* Więc znasz już wyniki Sama? * zapytała. Sam, kuzyn Brandona, był w tym samym wieku.

* Tysiąc pięćset czterdzieści. * Deborah tak podniosła głos, że zabrzmiało to prawie jak wybuch, niczym spięcie spowodowane burzą w eterze. Linda aż odsunęła słuchawkę od ucha.

* To dobrze?

* Zapomniałaś już? Na tysiąc sześćset, Linda. To dziewięćdziesiąty dziewiąty centyl. Dziwne, ale zapomniała. Teraz wszystko do niej dotarło. * To wspaniale * pogratulowała Linda, zatrzymując się na stopie przy zjeździe z autostrady.

Bezdomny, działający akurat na tym odcinku drogi, wpatrywał się w nią przez okno, potrząsając pudełkiem po paczkach. Teraz wszystko do niej dotarło, łącznie z jej własnym wynikiem, i dodała: * O, rany.

* SAT * Scholastic Aptitude Test * studia (wszystkie przypisy tłumaczek).

* egzamin, którego wyniki decydują o przyjęciu na

* Dzięki * powiedziała Deborah. * Oczekiwaliśmy czegoś takiego już po teście próbnym * są dosyć miarodajne * ale mimo wszystko. Niektóre dzieciaki osiągają tysiąc sześćset, oczywiście, ale chyba nie zdecydujemy się na powtórny egzamin. Jest przecież jeszcze tenis i wolonta... * Urwała w pół słowa. * W każdym razie prześlę ci zaraz ten numer. Powodzenia.

Linda wybrała numer. Był zajęty i taki pozostał aż do momentu, gdy zbliżyła się do wjazdu na podziemny parking, na którym komórki traciły zasięg. Wtedy to uzyskała połączenie. Linda zjechała więc na pobocze, ze stopą na hamulcu i samochodem na biegu. Ktoś zatrafił. Linda postępowała zgodnie z zaleceniami po drugiej stronie słuchawki, czując, jak mocno zaczyna bić jej serce. Potrzebowała numeru ubezpieczenia Brandona, który miała w notesie, i numeru karty Visa lub Master Card wraz z datą ich wygaśnięcia, które miała w pamięci. Kosztowało ją to trzynaście dolarów. Nastąpiła cisza, dość długa, podczas której zauważyła, że dosłownie się spociła, a następnie elektroniczny głos podał jej wyniki Brandona:

* Słownictwo * pięćset dziesięć. Matematyka * pięćset osiemdziesiąt.

Linda rozłączyła się i jak tylko to zrobiła, zwątpiła, czy dobrze zrozumiała. Pięćset

dziesięć? Pięćset osiemdziesiąt? To oznaczałoby * ile to * 1090 na SAT?

Niemożliwe. Brandon był dobrym uczniem, prawie zawsze dostawał czwórki i piątki. Te elektroniczne głosy czasami ciężko było zrozumieć * nie akcentowały sylab tak jak ludzie. Może to było 610 i 680? To oznaczałoby 1290, identyczny wynik, jaki sama osiągnęła lata temu. Nie uważała się za bardziej inteligentną od Brandona. To musiało być 1290.

Linda spróbowała ponownie połączyć się z numerem. Zajęty. Na zegarku widniała ósma. Spóźni się. Nikt tam na górze nie przejmował się pięcioma czy dziesięcioma minutami spóźnienia, ale Linda w ciągu swoich trzech lat pracy nigdy wcześniej się nie spóźniła. Zwolniła hamulec, powoli włączyła się do ruchu, wcisnęła przycisk ponownego wybierania. I połączyła się. Gdy wjeżdżała na parking, ponownie przeszła przez procedurę podawania numeru ubezpieczenia i karty kredytowej, płacąc kolejne trzynaście dolarów, a następnie czekała na długą przerwę. Podczas gdy? Podczas gdy jakiś komputer dopasowywał numer ubezpieczenia do numeru karty kredytowej i aktywował program z głosem. Jak długo mogło to potrwać? Włożyła kartę parkingową w otwór, a właściwie ją tam wepchnęła, a następnie przejechała pod uniesionym szlabanem, gdy elektroniczny głos rozpoczął:

* Słownictwo...

I połączenie się urwało. Była poza zasięgiem sieci.

W windzie Linda spróbowała raz jeszcze. Budynek miał siedem pięter, a jej biuro znajdowało się na szóstym. Linda połączyła się z numerem SAT, gdy mijała trzecie piętro, powtórzyła numery ubezpieczenia i karty kredytowej, a wysiadając, ponownie zapłaciła trzynaście dolarów i przez długą chwilę wsłuchiwała się w ciszę, idąc korytarzem. Otworzyła drzwi biura i ku swemu zdziwieniu odkryła, że wszyscy zgromadzili się wokół stołu konferencyjnego na naradzie. Wszystkie oczy były zwrócone na nią. Elektroniczny głos powtórzył raz jeszcze:

* Pięćset dziesięć. Pięćset osiemdziesiąt. * Tym razem usłyszała również centyl: * Siedemdziesiąty piąty.

Brandon wszedł do samochodu Deweya. * Hej.

* Jak leci?

* Do dupy.

* Wiem coś o tym.

Dewey, pierwszy z kolegów Brandona, który zrobił prawo jazdy, trzymał w ręku zapalonego skręta, co czasami zdarzało się w drodze powrotnej, ale nigdy rankiem. Podał go Brandonowi. Brandon nie chciał iść do szkoły upalony, w ogóle nie miał ochoty tam iść, ale pieprzyć to. Nie zastanawiając się dłużej, po prostu zaciągnął się skrętem i oddał go Deweyowi.

* Przydałaby się jakaś forsa na paliwo * zauważył Dewey. Brandon podał mu trzy dolary.

* Czy ja według ciebie jeżdżę kosiarką do trawy?

Brandon podał mu jeszcze dwa, zauważając, że według wskaźnika samochód jest zatankowany do pełna. No i co z tego? Dewey ruszył spod krawężnika z lekkim piskiem opon. Włączył CD, jakiś rap o tym, że „Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym”. Brandon nigdy wcześniej tego nie słyszał. Całkiem niezłe.

* Szkoła jest do dupy * stwierdził Dewey.

* No.

* Myślę, żeby to wszystko olać.

* Przed ostatnią klasą?

* Od razu i z głowy.

* A co z baseballlem? * Dewey był kapitanem drużyny pierwszoklasistów i zagrał w kilku meczach reprezentacji zeszłej wiosny.

* I tak już odpadam * mruknął Dewey. * Nie zaliczyłem dwóch przedmiotów.

* Masz jeszcze czas, żeby nadrobić.

Dewey mocno zaciągnął się skrętem i wolno wypuścił dym. * Jasne * powiedział. Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym. Całkiem niezłe? świetne.

* Kto to?

* Nie wiesz? To Unka Death.

W tym momencie Brandon przypomniał sobie o teście z angielskiego na trzeciej

lekcji wartym 20 procent semestralnej oceny. Makbet. Nie uczył się, zasnął po kilku pierwszych wersach, jakieś dziwaczne gównno o wiedźmach, niby symboliczne czy ironiczne, czy jak to tam inaczej określić * będzie musiał te słowa zdefiniować pewnie po to tylko, żeby odjęli mu punkty, choć doskonale wiedział, co jedno i drugie znaczy.

* Mam pomysł * odezwał się Dewey. * Zrywamy się do miasta.

* Do jakiego miasta?

* Do Nowego Jorku, do kurwy nędzy. Znam tam taki bar w Village, gdzie nie sprawdzają dokumentów.

Prawie dwie godziny drogi. Brandon był w Nowym Jorku może z tuzin razy, ale zawsze z rodziną.

* Mam przy sobie tylko jakieś dziesięć dolców.

* Spoko. Ja mam kartę kredytową.

* Kartę kredytową?

* No, matki. W razie konieczności.

I Dewey zaczął się śmiać. Po chwili śmiał się również Brandon. Konieczność: dopiero teraz zrozumiał. Przejechali obok szkoły. Podjeżdżały tam akurat autobusy, z których wysiadali uczniowie. Brandon ujrzał kolegów. Dewey włączył klakson. „Ja cię kręcę”, pomyślał Brandon, gdy mijali szkołę. Dewey podał mu skręta.

* Jest twój * oznajmił, włączając Unka Deatha na cały regulator.

W domu panowała cisza. Ruby uwielbiała mieć go tylko dla siebie. Przerazona dama zwróciła się do Holmesa: Niech mi pan poradzi, jak przebrnąć wśród wszystkich tych zagrożeń, które mnie osaczają. Ruby spojrzała na zegarek, po czym włożyła do książki zakładkę, tę z Szefem Dilberta z komiksu * nagle do niej dotarło, że sterczące włosy Szefa mają kojarzyć się z diabłem, czasami była taka ciemna * i wstała. Za oknem dostrzegła kardynała przy karmniku, jak wkładał do środka swoją czerwoną głowę. Nagie spojrział w jej kierunku, wyprostował się i wystrzelił w powietrze, kierując się do miejskiego lasu tuż za domem.

Ruby poszła umyć zęby, szorując je szczoteczką Sonicare tak długo, aż poczuła szczypanie w ustach, po czym uśmiechnęła się do lustra. Nie prawdziwym

uśmiechem, przy którym śmieją się również oczy. Był to tylko sprawdzian dla zębów. Doktor Gottlieb twierdzi, że będzie musiała nosić aparat. A właściwie to jak bardzo krzywe były jej zęby? Oglądała je pod różnym kątem. Czasami wydawały się całkiem proste. Dziś wyglądały jak zupełna płatanina.

Brandon nie splukał toalety, nie był też zbyt celny. Uważając na to, gdzie stawia stopy, Ruby splukała toaletę i weszła pod prysznic.

Wybrała wyjątkowo delikatny australijski szampon z kangurem na etykietce, ponieważ podobało jej się to połączenie szamponu z kangurem, odżywkę Helene Curtis Salon Selectives, ponieważ widniał na niej napis całkowicie splukiwalna, cokolwiek to oznaczało, oraz żel pod prysznic Fa, ponieważ pachniał kiwi. Czysta, sucha, pięknie pachnąca, owinęła włosy ręcznikiem i ubrała się * bawełniane spodnie firmy Gap, koszulka z długimi rękawami z naszytą srebrną gwiazdą, czarne klapki na grubej podeszwie, by być wyższą * i zeszła do kuchni. Zippy od razu się obudził, wyskoczył spod stołu i podbiegł do niej, merdając ogonem.

* Spokój, Zippy.

Zippy oczywiście nie posłuchał, tylko wspiał się na tylne łapy, przednie kładąc Ruby na ramiona.

* Na dół, Zippy.

Dotknął pyskiem jej twarzy i mocno przejechał językiem po nosie.

* Do góry, Zippy * spróbowała, w ramach eksperymentu. Zippy opadł na cztery łapy, jednocześnie zahaczając o jej koszulkę, w wyniku czego dwa dzióbki srebrnej gwiazdy zwisały teraz luźno.

* Zippy. Niegrzeczny pies. Pomachał ogonem.

Jego miska na wodę była pusta. Ruby ją napełniła. Nie spojrzał nawet w tę stronę, ale gdy tylko odwróciła się do niego plecami, usłyszała łapczywe siorbanie.

Ruby przygotowała dla siebie śniadanie * jajecznicę, tosta i sok pomarańczowy.

Żadnego mleka. Piła mleko jedynie, gdy była do tego zmuszona. Zaraz po jej własnym pokoju kuchnia była ulubionym miejscem Ruby, z tymi cynowymi dzbanami na ścianie, miską na owoce, teraz pustą, lecz czasami pełną różnego rodzaju smakołyków, drewnianymi łyżkami, półką na przyprawy, olbrzymią lodówką

mruczącą w rogu * potrzebowała obu rąk, aby ją otworzyć * ścianami w ślicznym jasnożółtym kolorze, idealnie pasującym do jajecznicy.

Miejsce Ruby przy stole znajdowało się w wykuszu, z oknami po trzech stronach. Zjadła swoje żółte jajka w blasku żółtego, słonecznego światła, kartkując Przewodnik po uplataniu włosów dla amerykańskich dziewcząt i starając się wpaść na to, jak właściwie nazywają się te dzióbki gwiazdy, wyraźnie zadowolona.

Może jej zęby nie były doskonałe, ale włosy to zupełnie inna bajka. Grube, lśniące, brązowe, z mnóstwem odcieni * miały własną osobowość. Ruby wybrała splot Thumbelina, ponieważ przypominał jej włosy Szefa Dilberta. Zrobiła dwa wysokie ogonki, podzieliła każdy na trzy pasemka, uplotła z nich warkoczyki, zawinęła w koczki i podpięła spinkami.

* Jak wyglądam, Zippy?

Położył głowę na blacie i ściągnął ostatni kawałek jej tosta, ten, na którym idealnie rozpułynęło się masło.

* Zippy!

Zawarczał na nią. Spojrzała więc na niego groźnie. A Zippy skulił się i czmychnął jak tchórz, którym niewątpliwie był.

Ruby założyła niebieską kurtkę z żółtymi lamówkami i zabrała psa na spacer do miejskiego lasu, idąc drogą na skróty w kierunku stawu. Brzeg stawu był błotnisty. Spuściła Zippy'ego ze smyczy.

* No, pobiegaj, Zippy. Pochlap trochę błotem. Podniósł tylko nogę i obsikał drzewo. Czy plamy błota zrobione przez psa różniły się jakoś od tych, które robił ciągnący bryczkę koń? Po czym tak naprawdę Holmes poznał, że młoda dama przyjechała bryczką, a nie powozem * czy po tym, że powóz ma budę i łatwiej uniknąć w nim plam?

* Biegnij, Zippy.

Nie chciał biegać. Rzuciła mu kij, na który tylko popatrzył. Rzuciła kolejny, tym razem do stawu. Zniknął i nawet nie chlupnął, co było dość dziwne.

* Biegnij i przynieś, Zippy.

Ale on nie chciał. Nie miała mu tego za złe. Woda, tak bladoniebieska, że prawie

biała, wyglądała na zimną. Zabrała psa do domu. Podnosił nogę chyba z tuzin razy.

* Zrób kupkę, Zippy, kupkę.

W końcu zrobił i lekko w nią wdepnął.

W domu Ruby włożyła naczynia do zmywarki, własne i te, które były już w zlewie, założyła plecak i wyszła frontowymi drzwiami, sprawdzając, czy dobrze je za sobą zamknęła. Podjechał szkolny autobus. Wsiadła do niego.

* Cześć, ślicznotko * zagadnął ją kierowca.

* Dzień dobry, panie V.

Było tylko jedno wolne miejsce, obok Winstona. A ten akurat dłużył w nosie.

* Tylko tego nie jedz, Winston * powiedziała. Ale i tak to zrobił.

Autobus ruszył. Nagle, zupełnie bez powodu, Ruby przypomniała sobie książkę z biblijnymi opowieściami, którą dostała od babci pragnącej podratować jej religijną edukację, jako że mama i tata nie chodzili do kościoła. Ścisłe rzecz biorąc, przypomniała jej się opowieść o żonie Lota, której nie wolno było się obejrzeć.

Ogarnęło ją silne przeczucie, że teraz to ona nie powinna się za siebie oglądać. Ale nie mogła się powstrzymać. Ta potrzeba rosła i rosła, powodując napięcie mięśni szyi. Ruby odwróciła się.

Oczywiście nic się nie wydarzyło. Nie zamieniła się w słup soli, a dom nie stanął w płomieniach. Pozostał dokładnie taki, jaki był, nie największy i nie najładniejszy w okolicy, lecz przysadzisty i mocny, biały z czarnymi okiennicami, z czerwonym kominem z cegły, może zbyt... jak to się nazywa? Ostentacyjny. Zbyt ostentacyjnym w porównaniu z resztą domu. Słyszała, jak dwa lata temu podczas Święta Dziękczynienia mówiła tak o nim ciocia Deborah.

Winston przełamał na pół snickersa.

* Chcesz? * zapytał.

Ruby popatrzyła uważnie, zastanawiając się, czy to nie żart. Lecz nie, Winston wydawał się nie kojarzyć dłużenia w nosie z brudnym palcami ściskającymi teraz batonik. Po prostu chciał się podzielić.

* Może Amanda będzie chciała * zasugerowała Ruby.

Amanda nachyliła się, pokazując te cholerne przekłute uszy * Ruby musiała

poczekać jeszcze rok.

* Co będę chciała? * zapytała.

A to co? Czy ona ma na ustach szminkę? * Snickersa * odparła Ruby, czując nagle moc tych swoich diabelskich rogów na głowie. * Przecież lubisz snickersy, prawda?

* Jasne, najbardziej na świecie * przyznała Amanda.

Winston podał jej połówkę. Ruby obserwowała, jak baton znika w jej ustach.

* Mmmm * zamruczała z zadowoleniem Amanda.

2

Narada trwała do dziewiątej trzydzieści. Minutę później Linda była już w swoim biurze * właściwie w boksie, wszyscy pracowali w boksach, co miało być zgodne z koncepcją pracy w drużynie * i dzwoniła do Scotta.

* Mam złe wieści * zaczęła.

* Chodzi o Skyway?

O to też. * Znam już wyniki SAT Brandona.

* Ja też.

* Tom powiedział ci o tym numerze na kartę kredytową?

* Ale cyrk * stwierdził Scott. Zaśmiał się. * Więc zapłaciliśmy podwójnie.

Linda nie poinformowała go, że za te informacje zapłacili już poczwórnice.

* Chyba obu dobrze poszło * dodał Scott. * Więc co to za złe wieści?

* Nie rozumiem... * zdziwiła się Linda. Może nastąpiła jakaś komputerowa pomyłka i Scott usłyszał prawdziwy wynik, o wiele wyższy?

* Brandonowi i Samowi * kontynuował Scott. * Tom powiedział, że Samowi dobrze poszło, a nasz Brandon mieści się w siedemdziesiątym piątym centylu, tak? To chyba nieźle.

Od czego zacząć. Linda poczuła, jak ze złości zaciska dłoń na słuchawce. Przez głowę przeszła jej myśl, kilka myśli, niezbyt miłych: Czy Scott kiedykolwiek mówił o swoich wynikach SAT? Czy kiedykolwiek go o to pytała? Jeśli nie, to czemu?

* Po pierwsze * zaczęła * mam rozumieć, że Tom nie wspomniał ci o wyniku Sama?

* Powiedział tylko, że dobrze mu poszło.

* Sam dostał tysiąc pięćset czterdzieści punktów. Prawie maksimum, Scott. Jest w dziewięćdziesiątym dziewiątym centylu.

Cisza.

* Tysiąc dziewięćdziesiąt to fatalny wynik * kontynuowała Linda. * Najgorsze, co możemy teraz zrobić, to się w tej sprawie oszukiwać.

* Nie rozumiem * zmartwił się Scott. * Brandon zawsze był dobrym uczniem. Jaka ma średnią?

* Miał cztery i pół, ale spadł do cztery dwa * dokładnie cztery dziewiętnaście, w zeszłym półroczu.

* Cztery dwa to całkiem nieźle * piątki i czwórki, prawda? Linda spróbowała rozluźnić dłoń zaciśniętą na słuchawce.

* Piątki i czwórki w liceum West Mili to nie to samo, co piątki i czwórki w Andover.

* Co to niby ma znaczyć? Sam chodził do Andover.

* To ma znaczyć, że uczelnie znają różnicę, tysiąc dziewięćdziesiąt punktów na SAT i średnia cztery dwa w liceum West Mili to dla Ligi Bluszczowej * znak, że nie ma się nim w ogóle interesować. Na pewno mają tak zaprogramowane komputery.

* Zawsze zostaje jeszcze Amherst i podobne * zaproponował Scott.

* Amherst? Chyba śnisz! Zapomnij o Amherst. Zapomnij nawet o Trinity, na miłość boską.

* O Trinity?

* Zapomnij o Uniwersytecie Nowojorskim, o Boston College czy Uniwersytecie Bostońskim. Jeszcze nie rozumiesz? Wyniki SAT szeregują każdego dzieciaka w kraju. Siedemdziesiąty piąty centyl oznacza, że przed nim są setki tysięcy, może miliony uczniów. Dobre szkoły zapewnią sobie komplet studentów, nawet nie zbliżając się do wyników, jakie ma Brandon. Spieprzyliśmy sprawę.

* Jak?

* Tak jak zwykle * nie widząc, co się święci.

* A co mogliśmy zrobić?

* Na początek zmusić go, żeby jeszcze raz podszedł do próbnego SAT.

* Do próbnego SAT?

Przestań, Scott. * Nie pamiętasz? Źle się poczuł, przynajmniej tak twierdził, i wyszedł po pięciu minutach.

* Nie rozumiem...

* Więc nigdy nie poznaliśmy wyników, a próbny SAT prognozuje wyniki SAT. Straciliśmy cały rok.

* Czego?

* Przygotowań * mówiła Linda. * Najlepiej w szkole z internatem.

* Przecież już o tym rozmawialiśmy. Nie chcieliśmy, żeby wyjeżdżał.

i on też nie chciał wyjechać. A poza tym nie wierzymy już w państwową edukację?

* Liga Bluszczowa (Ivy League) * grupa najstarszych i najbardziej szacownych uniwersytetów w Stanach Zjednoczonych, takich jak Harvard, Columbia, Princeton czy Yale.

* A wierzymy jeszcze w Brandona? Odrzuciłeś ten pomysł, bo nie było cię na to stać. Milczenie.

* No więc co zrobimy? * spytał Scott.

* Nie wiem. Od razu trzeba go zapisać na kurs przygotowawczy do SAT, to po pierwsze.

* Może miał tylko zły dzień.

* W Bogu nadzieja, że chodzi tylko o to, ale nie możemy podjąć takiego ryzyka. Chyba powinniśmy sprawdzić jego IQ, żeby się dowiedzieć, czego mamy prawo oczekiwać.

Nastąpiła długa cisza. Linda czuła jego opór, nie rozmyślny, raczej tkwiący głęboko w charakterze, genetyczny. Tom miał inne DNA. Ta myśl sama się wyrwała, nic nie mogła na to poradzić.

* Mówimy o przyszłości Brandona * powiedziała. * O tym, jak będzie wyglądało jego życie, kiedy będzie już na swoim, w naszym wieku...

Jeszcze dłuższa cisza. A potem głos Scotta: * Więc Sam łapie się w dziewięćdziesiątym dziewiątym centylu?

* Otóż to. Harvard, Brown, Williams * te uczelnie będą się o niego bić.

W tym momencie do biura Scotta wszedł Tom, podniósł brwi i wskazał na zegarek.

* Muszę kończyć * rzucił Scott.

Istniało wiele rzeczy związanych ze szkołą, których Ruby nie lubiła, ale Szalona Minuta należała do najgorszych.

* No, kochani ** rzekła pani Freleng, witając ich po przerwie. * Czas na Szaloną Minutę.

Jakby to była nagroda, wyście do cyrku lub na plażę. Pani Freleng rozdała kartki, podając każdemu arkusz pokryty zadaniami z mnożenia.

* Czekajcie * zawołała Freleng, wyjmując swój głupi stoper. * Trzy, dwa, jeden... start!

Ruby spojrzała na kartkę. Pierwsze zadanie: trzydzieści siedem razy dziewięćdziesiąt dwa. Jeżu drogi. Siedem razy dwa to * lubiła to sformułowanie * Jeżu drogi * chociaż tak naprawdę nie rozumiała jego sensu * czternaście, napisać cztery i jeden w pamięci. Siedem razy dziewięć to... pięćdziesiąt sześć? Na tym się zawsze łąpała. Sześćdziesiąt trzy! Już wiem. Plus jeden to będzie cztery. Teraz dalej. Trzy razy dwa to... Było jeszcze „kurza twarz”. To też się jej podobało. Zdała sobie sprawę, że jej dłoń porusza się po rzędach cyferek, samodzielnie atakując zadania.

Osiem razy siedem. Masz to swoje pięćdziesiąt sześć. Piszemy sześć, a w pamięci...

Jeżu pewnie miało tak naprawdę znaczyć Jeżu. Jedną z rzeczy, których Ruby nie lubiła, był moment, kiedy kartkując albumy o sztuce, jakie znajdowały się w salonie, natykała się na scenę ukrzyżowania. Tak, mogła się założyć, że to Jeżu miało znaczyć po prostu Jeżu. No i korona cierniowa * jeż bardzo blisko się z nią kojarzył. Zaraz poczuła klucie wokół głowy.

Jej dłoń brnęła dalej. Sześć razy dziewięć to pięćdziesiąt...

* Kończymy. Proszę odłożyć ołówki. Sześć. Piszemy sześć, pięć w pamięci.

* Wszyscy w tej chwili odkładają ołówki.

Me sześć. Cztery. Pięćdziesiąt cztery. Dlaczego, do cholery...

* Wszyscy, łącznie z Ruby.

Ruby odłożyła ołówek i policzyła zadania, które rozwiązała. Osiem.

* Wymieńcie się w parach kartkami.

Ruby wymieniła się Szaloną Minutą z Amandą i spostrzegła, że Amanda wykonała wszystkie zadania. Amanda uśmiechnęła się przyjacielsko. Miała duże, białe zęby, oczywiście, kurde, idealne.

* Wynik działania pierwszego to...

A ten facet, który założył koronę cierniową Chrystusowi na głowę * jak to możliwe, że ciernie nie wbiły mu się w ręce? Jeśli ciernie były podobne do kolców dzikiej róży w miejskim lesie... Czy miał na dłoniach rękawiczki? To chyba nie był klimat, w którym nosi się rękawiczki * byli na pustyni, tak? * ale czy niektórzy gladiatorzy nie nosili... Ruby podniosła głowę i spostrzegła, że pani Freleng z jakiegoś powodu bacznie się jej przygląda.

* Czy każdy z nas, powtarzam, każdy, jest gotowy na drugie działanie?

Ruby zerknęła na wynik pierwszego działania u Amandy * trzydzieści siedem razy dziewięćdziesiąt dwa. Co przed chwilą powiedziała pani Freleng? Ruby nie mogła przypomnieć sobie właściwej liczby, lecz odpowiedź Amandy wydawała się jej błędna, bo niepodobna do jej własnego wyniku. Postawiła X tuż obok pierwszego działania i czekała na wynik drugiego, zamieniając się w słuch.

Co podać, panowie?

W barze było około pięćdziesięciu gatunków piw. Było to najbardziej odjazdowe miejsce, w jakim Brandon kiedykolwiek był. Długi blat * wykonany z matowego metalu * był odjazdowy, muzyka była odjazdowa, ludzie siedzący dookoła i grający w bilard byli odjazdowi, barmanka była odjazdowa, tatuaż barmanki * jej idealna podobizna dokładnie na policzku * też był odjazdowy. Brandon wskazał najbliższy kurek, na którym widniał rysunek niedźwiedzia. Barmanka naląła mu szklanę. Miała muskularne, nagie ramiona, najbardziej odjazdowe ramiona, jakie kiedykolwiek widział u kobiety. Piwo było ciemnobrązowe, nigdy podobnego nie widział. Napił się. Miało okropny smak.

* Smakuje ci ten gówniany porter? * zainteresował się Dewey. Barmanka nalewała mu coś bardziej przypominającego piwo.

* Jest całkiem niezły * odpowiedział Brandon, przełykając kolejny haust. Smak się nie poprawił.

* Pięć doków * rzuciła barmanka.

* Zapłacę za tę kolejkę * zaproponował Brandon, podając jej dziesięciodolarowy banknot.

* Razem będzie dziewięć pięćdziesiąt.

Barmanka wydała resztę, kładąc dwie ćwierćdolarówki na matowym metalowym barze.

Brandon wykonał gest, który widział na filmach, dając jej do zrozumienia, że może zatrzymać resztę.

* Dzięki * rzuciła.

Brandon nie zmienił zamówienia przy nowej kolejce * gdy Dewey wyjął kartę kredytową matki, tę „w razie konieczności”, a barmanka odkręciła kurek * tylko po to, żeby pokazać, jak bardzo lubi portera, ale potem wziął już to co Dewey. Przecież to akurat nie była żadna wielka konieczność. Zatrzymał ten żart dla siebie, jeśli w ogóle był to żart, nie mając pewności, jak zabrzmi.

Dewey rozglądał się dookoła. Uśmiechnął się do wysokiej dziewczyny z burzą blond włosów, a ta odwzajemniła uśmiech. Kiedy Dewey nie patrzył, Brandon również spróbował. I posłała mu uśmiech, być może nawet bardziej przyjacielski.

* Chyba się tu przeprowadzę * rzekł Dewey. * Będę pracował jako kurier na rowerze. Zarabiają trzy stówy dziennie.

* Serio?

* Co najmniej. * Dewey zamówił następną kolejkę, plus cygara. Palili i pili. Po ulicy na zewnątrz chodzili interesująco wyglądający ludzie, nie tacy, jakich widuje się w West Mili ani nawet w Hartford. Na przykład ten kierowca ciężarówki do holowania * z czerwoną bandaną na głowie i opaską na oku wyglądał jak pirat.

Brandon wstał, żeby udać się toalety. Co jest! W tej samej chwili poczuł uderzenie portera i lekko zachwiał się na nogach. Nic zauważalnego, nic, czego musiałby się wstydić, i zaraz wrócił do siebie, choć może niezupełnie, bo chyba wszedł do złej toalety. W środku stała ta duża blondyna. Co dziwne jednak, sikała do pisuaru, w podkasanej skórzanej spódnicy...

Brandon cofnął się, poczekał w korytarzu przy płatnym telefonie. Po ulicy przeszła

kobieta z dużym bębniem na głowie, a z przeciwnej strony nadjechał kierowca ciężarówki do holowania, ciągnąc za sobą samochód. Brandon obserwował kobietę, dopóki miał ją w zasięgu wzroku, żeby upewnić się, że to naprawdę kobieta. Prawie nie zauważył samochodu.

Siedzieli w gabinecie Toma, gabinecie, który kiedyś należał do ojca. Tom siedział za biurkiem, Scott na kanapie, której nie było tu za czasów starego.

* A więc Brandonowi też dobrze poszło? * zapytał Tom.

* Całkiem nieźle.

* Cieszę się. To taki zabawny dzieciak.

* Zabawny?

* Ten jego szelmowski uśmiech. Czy nie byłoby fajnie, gdyby wylądowali w tym samym college'u? Tak jak my.

* Jak my?

* W UConn.

To fakt, że obaj poszli do UConn, lecz przybycie Scotta jako studenta pierwszego roku zbiegło się z przenosinami Toma do Yale na dwa ostatnie lata.

* Pomyśl o piknikach z bufetem w samochodzie. A wyobrażasz sobie reakcję naszej mamy na to, że obaj są, powiedzmy, w Princeton albo gdzieś w tym stylu?

Scott nie odpowiedział. Może Tom myślał, że wyobraża sobie reakcję mamy.

* Jest sprawa * rzekł Scott.

Tom posłał mu spojrzenie, spojrzenie, które Scott znał od dawna i które bardzo wiele mówiło, choć nie potrafił go nazwać.

* Chodzi o pieniądze?

* Można to tak nazwać. Znasz Mickeya Gudukasa?

* To ten łyśy mańkut, który wciąż popełnia błędy stóp? Ten łajza?

* Jest dobrze poinformowany.

* Poinformowany o czym?

* O giełdzie.

* Jest teraz maklerem? Myślałem, że zajmuje się odszkodowaniami czy czymś w tym rodzaju.

* Zajmował się. Potem został maklerem. W Denman, Howe. Teraz też jest maklerem, tylko już nie u nich.

* Wywalili go z Denman, Howe? To jakim cudem jeszcze wierzysz jego informacjom?

* To od niego dostałem cynk o Stentechu. Chyba dobrze na tym wyszedłeś, o ile pamiętam?

Tom skinął głową. * Ale bardzo dokładnie wszystko sprawdziłem przed kupnem. Jedyna inwestycja Toma na giełdzie, nie licząc wtopionych tam funduszy firmy.

* Jasne. Rzecz w tym, że wpadłem na niego, odbierając Ruby z tenisa jakiś czas temu, i dał mi kolejny cynk. Podobna sprawa * spółka biotechnologiczna, która właśnie kończy testować nowy produkt. Nazywa się Symptomatica.

* Jak jej idzie?

* Komu?

Tom potrafił czasami zbić z tropu.

* Ruby. Jak jej idzie gra w tenisa?

* Chyba dobrze.

* I podoba jej się?

* Tenis? Oczywiście.

A nie? Od dawna brała lekcje. Ruby była dość szybka, lecz trochę za niska, trudno powiedzieć, czy będzie z niej prawdziwy gracz. To, co się liczyło, to pokazanie, że uprawia się sport od dawna, a najlepiej dwa sporty, nawet gdy szansę na sportowe stypendium były zerowe * rodzice na korcie rozmawiali wczoraj na ten temat. Być może Brandon skoczy w tym roku trochę wyżej, niekoniecznie do poziomu Sama * Sam już teraz był graczem numer trzy w Andover * lecz chociażby do miejsca, gdzie jakiś trener III ligi szepnie o nim słówko w dziekanacie uczelni. Pieprzony dziewięćdziesiąty dziewiąty centyl...

* Słodki dzieciak * zauważył Tom.

* Kto?

* Ruby.

* O, tak. Widzisz, chodzi o to, że Symptomatica to zupełnie inna sprawa niż ta w

zeszłym roku. Jej nowy gorący produkt to niewypał. Więc najlepiej będzie blankować.

* Sprzedać bez pokrycia? Zajmujesz się takimi szwindlami?

* No coś ty * odparł Scott i było to do pewnego stopnia zgodne z prawdą. * Ale w tym przypadku nie ma żadnego ryzyka. Tak, jakbyś miał czarodziejską kulę i znał przyszłość.

Tom zerknął na wiszący na ścianie portret ojca, namalowany rok czy dwa po tym, jak zachorował. Dla każdej innej osoby na tej planecie to spojrzenie mogło niczego nie oznaczać, lecz Scott zrozumiał przesłanie. Czarodziejska kula: czy w ten sposób mówi facet od ubezpieczeń? Fundamentem ich firmy była nieprzewidywalność przyszłości.

* Skąd wiesz, że ten ich produkt czy co tam to niewypał? * zapytał Tom.

* Gudukas spotkał jednego z naukowców podczas jakiegoś rejsu wycieczkowego. Facet wykladał teraz na polibudzie Massachusetts. Wypisał się z interesu, jak tylko zdał sobie sprawę, że to kłapa. Wciąż jeszcze wszystkimi siłami próbują się ratować, ale nie ma szans. Już na samym początku popełnili jakiś straszny błąd.

* Jaki niby błąd?

* Coś z DNA. Gudukas rozrysował mi wszystko na serwetce i wtedy rozumiałem, ale za dużo tam techniki, a poza tym i tak to nie jest teraz ważne. Najważniejsze, że w dniu, kiedy wyniki badań wyjdą na jaw, akcje pójną na dno.

* Po ile teraz chodzą?

* Wczoraj na zamknięciu były po dwanaście z groszami. Spadną do zera, Tom.

Myślałem o dwudziestu tysiącach akcji, po dziesięć dla każdego. Zgarniemy prawie ćwierć miliona.

* Jaki zysk będzie z tego miał Gudukas?

* Pełną prowizję, jeśli można to w ogóle nazwać zyskiem.

Tom kołysał się na krześle, tak jak robił to ojciec. Scott zdał sobie sprawę z dziwnego trójkąta, jaki zaistniał w pokoju * portret, Tom i on sam. Prawda była taka, że żaden z nich nie przypominał starego. Byli bardziej podobni do matki, a jeszcze bardziej do siebie nawzajem, choć Scott był odrobinę wyższy, Tom odrobinę ciemniejszy, a rysy

jego twarzy odrobinę bardziej wydatne. Mieli prawie identycznie brzmiące głosy * każdy tak twierdził.

* Na mnie nie licz * rzekł Tom.

* Tak po prostu rezygnujesz z ćwiartki miliona?

* Przecież cię nie powstrzymuję.

Scott wziął głęboki oddech. * Jako makler Gudukas potrzebuje zabezpieczenia przy tego typu interesie.

* No to przenieś do nich swoje konto.

* To nie wystarczy.

* A co z akcjami Stentechu?

* Poszły na remont domu.

* Wydałeś osiemdziesiąt kawałków na remont?

* Był tego warty * wytłumaczył Scott. Nie wspomniał, że część z osiemdziesięciu kawałków poszła na inne akcje, na których stracił. Nie powiedział też ani słowa o tym, że jego dom jest tak samo ładny jak Toma, a może nawet ładniejszy. Gdyby go przenieść na tę samą ulicę w Old Mili, mógłby być wart... no, powiedzmy tylko, że o wiele więcej niż dom Toma.

* Masz świetny dom * tłumaczył się Tom. * Nie miałem zamiaru tego negocjować. * Jakby usłyszał myśli Scotta.

Scott wzruszył ramionami. * Nie mogę też tknąć funduszy emerytalnych * są tam jakieś obwarowania Komisji Papierów Wartościowych i Giełd. A zastawienie domu wymagałoby zgody Lindy.

* To Linda nic o tym nie wie?

* Wiesz, jaka ona jest.

Tom nie odpowiedział, tylko przestał się kołysać na krześle.

* Zostaje firma * rzekł Scott.

* Firma?

* Mój udział. Jako zabezpieczenie.

Tom znów się kołysał. Towarzystwo Ubezpieczeniowe H.W. Gardner: Tom * 35%, Scott * 25%, pakiet większościowy będący w rękach ich mamy, mieszkającej teraz w

Arizonie * 40%.

* Sam nie wiem, czy to jest możliwe * zaczął Tom. * Przypuszczalnie będzie potrzebny mój podpis i mamy na jakimś dokumencie, nawet nie wiem, na jakim.

* Pokryję wszelkie opłaty notarialne, masz na to moje słowo * zadeklarował Scott.

* A nie możesz sobie tym razem odpuścić? * zapytał Tom. Wpatrywali się w siebie nawzajem. Scott zawsze miał z tym problemy

* to było jak patrzenie w lustro na samego siebie, lecz dziwnego siebie, zboląłego i niezbyt chętnego do współpracy. Nie miało to nic wspólnego z podziałem na trzydzieści pięć i dwadzieścia pięć procent. Podział był sprawiedliwy: Tom zaczął pracować z ojcem zaraz po college'u, podczas gdy Scott obijał się przez dobre dziesięć lat, najpierw w Bostonie, potem w Hartford, wspinając się po korporacyjnej drabinie w Prudential, Travelers i w końcu w Allstate.

* Nie marzyłeś nigdy o niezależności, Tom? Tom zamrugał. * O niezależności?

* O finansowej niezależności. O byciu wolnym, żeby móc... sam nie wiem co.

* Przecież dobrze nam idzie, Scott, nam obu. Naszym żonom, dzieciom i w ogóle... Tobie idzie dobrze, pomyślał Scott. Tylko tobie. Lecz nie powiedział tego głośno.

* A mama? * zapytał Tom.

* Zgodzi się na wszystko, o co ją poprosisz, sam wiesz.

Tom odwrócił głowę. * Przemyślę to * rzekł. * To najlepsze, co mogę zrobić.

Tylko się pośpiesz z tym myśleniem, pomyślał Scott. Czas ucieka. Miał na myśli wyłącznie sprawę Symptomatiki, choć w tej chwili dotarło do niego, że chodzi o coś znacznie większego: dlaczego Tom nie słyszał tego cholernego tykania zegara, który odmierzał czas?

s

Kyla Gudukas posłała decydującą piłkę, serwując na bekhend Ruby. Każda lekcja kończyła się turniejem w systemie każda z każdą, gdzie finalistki rozgrywały czterogemowego seta, a zwyciężczynie, prawie zawsze Kyla, dostawał nagrodę w postaci taśmy na uchwyt rakiety, butelki Gatorade lub puszki z piłkami od Ericha, trenera w klubie tenisowym.

Ruby ustawiła rakieta, podeszła do piłki, nisko na wysokie, nisko na wysokie, co

nieustannie powtarzał Erich, tak że miała ochotę krzyknąć, i z bekhendu posłała eleganckiego krosa. Kyła odpowiedziała jednym z tych głębokich, typowych dla niej uderzeń, które przeważnie okazywały się lobami * niezbyt mocno, po prostu oddała piłkę. Ruby wykonała kolejny bekhend, może nawet lepszy od poprzedniego. Kyła odpowiedziała lobem. Ruby spróbowała odbić na forhend Kyli. Kyła odpowiedziała lobem. Ruby atakowała forhend Kyli kilka następnych razy. Lob, lob. Potem bekhend. Lob. Jeszcze trzy razy. Lob, lob, lob. Po trzykroć * czy jest takie słowo? Ładnie brzmi, nawet bardzo ładnie. Ruby miała listę słów, na której klasyfikowała wszystkie...

Kolejnym uderzeniem trafiła w siatkę. Musiało tak być, bo usłyszała po swojej stronie charakterystyczny dźwięk podskakującej piłki. Gem, set, mecz. Podeszły do siatki, by uścisnąć sobie dłonie.

* Dziękuję za grę.

* Dziękuję za grę.

Pojawił się Erich z Gatorade, niebieskim, takim, jakie Ruby lubiła najbardziej.

* Proszę, dla najlepszej * powiedział, wręczając ją Kyli, lecz jego szwajcarski czy jakiś tam inny akcent sprawił, że najlepszej zabrzmiało trochę jak ja pieprzę, i Ruby od razu poprawił się humor. * Do zobaczenia, wszyscy, w przyszły poniedziałek * pożegnał się Erich.

* I fsyscy na pewno tu będą * mruknęła Ruby cicho.

* Słucham, Ruby?

Chyba nie wystarczająco cicho. Posłała mu ujmujący uśmiech. * Dziękuję za lekcję.

* Och, proszę bardzo.

Profę, barrrdzo profę. Ruby schowała raketę do pokrowca. Czterej mężczyźni z opaskami na kolanach, opaskami na nadgarstkach, z włochatymi ramionami i hałaśliwymi głosami weszli na kort.

* Rozgrzałyście dla nas kort, dziewczyny? * zapytał jeden z nich.

* Tylko nie sparcie sobie stóp * odpowiedziała Ruby.

Kyła parsknęła ze śmiechu. Ruby bardzo lubiła te jej krótkie i zabawne parsknięcia. Weszły do holu. Ruby napiła się z fontanny, prawie nie stając na palcach. Ktoś

zostawił tam gumę do żucia.

* Dzwoniła twoja mama, Ruby * odezwała się kobieta za kontuarem. * Trochę się spóźni.

Ruby usiadła na ławce obok automatu ze słodyczami i sprawdziła zawartość plecaka. Czy pamiętała o Sherlocku Holmesie: opowieściach zebranych! Nie. Czy zostały jej jakieś pieniądze z lunchu, chociażby sześćdziesiąt pięć centów na M&Msy? Nie. Spojrzała na rząd M&Msów za szklaną szybą automatu i zauważyła, że pierwsza paczka w połowie zwisa z krawędzi. Następnie, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, podniosła się i stanęła przed maszyną. Być może wystarczy małe trącenie, zupełnie przypadkowe, tak by...

* Ruby?

Odwróciła się gwałtownie. Kyla stała przy drzwiach wejściowych.

* Mój tata mówi, że możemy cię podwieźć do domu.

Ruby usłyszała za sobą bardzo delikatny odgłos upadającej paczki.

Pan Gudukas miał bardzo ładny samochód, tylna kanapa, na której siedziały Ruby i Kyla, była obita miękką skórą. On sam, siedząc z przodu, zerknął na Ruby w lusterku.

* Gdzie dokładnie mieszkasz? * zapytał. Ruby podała mu adres.

* Jesteś córką Scotta Gardnera, prawda?

* Tak.

* Znamy się z tatą od lat.

Ruby wybrała czerwonego i zielonego M&Msa, po czym podała paczkę Kyli.

* Dawniej nieźle grywał w tenisa. Był w reprezentacji w UConn, zgadza się?

* Tak * odparła Ruby. Trzymała zielonego po prawej stronie ust, a czerwonego po lewej, jak statki w doku. Były takie pyszne... Melduję się na pokładzie M&Msów, kapitanie.

* Czy to twoja ulica?

* Tak.

* Ładna.

Skoro nie był pewien, czy tata chodził do UConn, to ich znajomość zaczęła się

później niż na studiach, doktorze Watsonie.

* Uważaj, żeby nie pojechał za daleko.

* Następny dom * wyjaśniła Ruby.

Pan Gudukas zaparkował na ulicy. Pusta puszka po budweiserze wytoczyła się spod siedzenia pod nogi Ruby.

* Bardzo ładny * zauważył pan Gudukas, spoglądając na dom. Odwrócił się i uśmiechnął do niej, lecz jedyne, co tak naprawdę zobaczyła, to jego dziwaczne wąsy. Wąsy coś mówiły. Cokolwiek to było, Ruby, nie chciała tego usłyszeć.

* Jak długo tu mieszkacie? * zainteresował się.

* Mieszkaliśmy tu, jeszcze zanim się urodziłam * odrzekła Ruby, otwierając drzwi.

* Tam na tyłach to las chroniony?

* Tak * powiedziała Ruby, wychodząc. Było zimno.

* Ile macie sypialni?

* Cztery * odparła Ruby. Rodziców, Brandona, jej i pusta sypialnia na końcu korytarza, do której wchodziło się po małych schodkach. Nie lubiła, gdy jej ktoś o niej przypominał. * Dziękuję za podwiezienie.

* Nie ma za co, kotku * rzekł pan Gudukas.

Niebo miało już ten sinogranatowy odcień, którego Ruby nie lubiła, kolor z dna głębokiego i zimnego morza. Dom także był pogrążony w ciemności. Żałowała, że nie zostawiła rano kilku świateł, a gdy otwierała drzwi, za

bawna myśl przeszła jej przez głowę: Pani Lot wraca do domu. To całkiem niezły tytuł dla jednego z tych zabawnych gazetowych komiksów, chociaż jaki tu obrazek mógłby...

Zippy wystrzelił z domu, jak tylko otworzyła drzwi, minął ją i jak burza pomknął do domu Strombolich, stojącego po drugiej stronie ulicy. Łapy psa na podjeździe, sam jego ruch czy coś innego spowodowało zapalenie na domu sąsiadów wszystkich zewnętrznych świateł, które zabłysnęły niczym w Boże Narodzenie. Zippy nie mógł być już bardziej widoczny, zmierzając do ich frontowych drzwi * wielkich i błyszczących, tak wielkich, że pasowałyby do zamku, i tak błyszczących, że lśniły na całej ulicy * dopadł do nich w końcu, podniósł łapę i obsikał je na całej szerokości.

Ruby widziała żółtą smugę powoli spływającą w dół, tak dobre mieli światła. Zippy nie mógł zrobić nic gorszego. Stromboli nienawidzili go, nienawidzili z jego powodu całej rodziny. Światła zaczęły się zapalać w całym ich cholernym domu.

Ruby czytała o osobach nie będących w stanie się poruszyć w wyniku szoku, sparaliżowanych strachem. Nie wierzyła w to aż do dziś, do teraz, gdy stała się jedną z nich, nie mogąc wykonać choćby jednego kroku do domu, żeby zatrzaskać za sobą drzwi, odzyskując bezpieczeństwo. Aż nadbiegł Zippy, pędząc z powrotem przez ulicę, ze wszystkimi czterema łapami naraz w powietrzu i każdym uchem w inną stronę. W momencie gdy dotarł na trawnik przed domem, olbrzymie, błyszczące drzwi Strombolich zaczęły się otwierać. Ruby wciąż nie mogła się ruszyć. Zippy z szeroko otwartymi oczami bęczał w nią, przewracając prosto na korytarz. Ruby zamknęła za sobą drzwi kopnięciem, plecak i rakietki tenisowe poleciały w powietrze, a M&Msy rozsypały się po wyłożonej płytkami podłodze.

Ruby leżała teraz w ciemnościach, a obok niej ziajał Zippy. Ona również ziajała. Pomyślała, że powinna mu powiedzieć, jakim jest niegrzecznym psem, tylko po co? Był beznadziejny, lecz przecież mógł być jeszcze gorszy.

* Jak pies Baskervillów * powiedziała do niego. * To byłoby o wiele gorsze.

Lecz Zippy jej nie słuchał, goniąc już za M&Msami. Słyszała, jak mu uciekają, tocząc się po podłodze. Ruby wstała i zaczęła zapalać światła. Jak chmurki z myślami w komiksie; i w chwili, kiedy to pomyślała, przyszło jej do głowy coś jeszcze, że tenis i matematyka są bardzo do siebie podobne, a Szalona Minuta i te głupie czterogemowe sety na koniec można traktować na równi. Zaś dodatkowy ciężar znaczeniowy tej myśli był taki...

Rozległ się dźwięk telefonu. Podskoczyła, a nawet krzyknęła cicho, chociaż to drugie mogło się jej tylko wydawać. Czy Stromboli byli nienormalni? Naprawdę wierzyli, że odbierze?

Automatyczna sekretarka odebrała połączenie. A Ruby usłyszała gniewny oddech Stromboliego, potem dźwięk odkładanej słuchawki. Dwie sekundy później telefon zadzwonił ponownie.

* Dajcie spokój, Stromboli * odezwała się Ruby. Automatyczna sekretarka znów

zarejestrowała połączenie. Tym razem nie było słycać gniewnego sapania.

* Jest ktoś w domu? * zabrzmiał głos Brandona.

Ruby podniosła słuchawkę. * Hej * zaczęła. A może było to Hej! Ucieszyła się na dźwięk jego głosu.

* Kto jest w domu?

* Ja.

* Kto jeszcze?

* Zippy. Wiesz, co on...

* Daj spokój z pieprzonym Zippym.

Ten wybuch zaskoczył Ruby. Nic nie dopowiedziała.

* Ruby? * Głos w słuchawce nabrał łagodności. * Jesteś tam jeszcze?

* No.

* Powiedz mamie i tacie, że trochę się spóźnię.

* Jak bardzo?

* Jezu...

* Będą pytać.

* Dobra, dobra, nie za bardzo. Jestem u Deweya. * Ruby słyszała w tle dźwięki rapu.

Brzmiał jak Unka Death, ten kawałek: Pierdol się jak nowonarodzony. * Piszemy wypracowanie * dodał Brandon.

* O czym?

* A co cię to obchodzi? * Rozłączył się bez pożegnania.

Pytała z ciekawości, to wszystko. Gówniany starszy brat: szkoda gadać, lecz mimo to Ruby natychmiast spojrzała w wiadome miejsce, na oprawione kolorowe zdjęcie wiszące nad stolikiem w korytarzu. Cała rodzina na plaży na Jamajce kilka lat wcześniej. Brandon niewiele starszy niż Ruby teraz. Każdy uśmiechnięty z wyjątkiem Ruby, która śmiała się do łez. Brandon stał za nią z ręką na jej ramieniu. Ruby weszła do kuchni. Przez wykuszowe okno dostrzegła rogal księżycy tuż nad czarną gęstwiną lasu. Powietrze było czyste albo jej wzrok dziś bystry jak nigdy, bo dwa dzióbki rogała wydawały się wyjątkowo ostre. Włączyła światło i widok za oknem zniknął.

Ramiona * tak nazywają się dzióbki gwiazdy! Czasami była taka tępa. Miska na wodę Zippy'ego znów była pusta. Napelniła ją.

* A co powiesz na hot dogi? * zaproponowała.

Hot dogi to dobry pomysł. Wyjęła paczkę z zamrażarki. Hot dogi smakowały lepiej zrobione na grillu, a Ruby wiedziała, jak go uruchomić, włączając gaz, następnie naciskając przycisk, który powodował powstanie iskry, ale nie miała ochoty wychodzić na taras. Oczywiście nie z powodu ciemności, nic w tym rodzaju, nawet przez myśl jej to nie przeszło. Po prostu było zbyt zimno na grillowanie, to wszystko. Ruby ugotowała dwie parówki, odkrywając, że skończyły im się bułki, więc włożyła kiełbaski pomiędzy kromki chleba i usiadła przy stole ze wszystkim, czego potrzebowała: musztardą, przyprawami, sprite'em i opowiadaniem o Sherlocku Holmesie. Salon przy Baker Street 22 lb na początku kwietnia 1883 roku zaczął się materializować i stawać coraz bardziej realny.

„Potrafię być groźny, kiedy ktoś ze mną zadrze!” * krzyknął doktor Roylott, ojczym przerażonej kobiety. Następnie złapał pogrzebacz z kominka Holmesa i zgiął go w pałąk swymi ogromnymi, brązowymi dłońmi.

Były brązowe z powodu wielu lat spędzonych w Indiach; z tego samego powodu po jego podupadłej posiadłości biegały gepard i pawiany * o rany! W Indiach nie ma gepardów ani pawianów: są w Afryce, mój drogi Watsonie, Ruby wiedziała o tym z kanału Discovery. Czyżby była to jakaś wskazówka? Jeszcze do tego wróci. To, co nie dawało jej spokoju * Co? No, co?, myślała, łapczywie wkładając do ust olbrzymi kawałek hot doga * łączyło się raczej z... pogrzebaczem. Doktor Roylott zgiął pogrzebacz, by pokazać, jaki potrafi być groźny. Ale * Ruby wróciła wzrokiem na początek strony * o, tutaj, zaledwie kilka akapitów wyżej, doktor Roylott zrobił krok naprzód, potrząsając szpicrutą. Nie ma wzmianki o tym, jak odkłada szpicrutę lub wkładają sobie między zęby, czy prosi doktora Watsona, by mu ją chwilę potrzymał. Czy wobec tego ma rozumieć, że zgiął pogrzebacz swymi ogromnymi, brązowymi dłońmi, jednocześnie trzymając w nich szpicrutę? Czy... czy może była to pomyłka, pomyłka człowieka dość bystrego, by wymyślić Sherlocka Holmesa, najbystrzejszego detektywa na świecie? Czy też...

* Ruby?

Ruby podniosła wzrok. W kuchni stała mama. * Nie słyszałaś, jak weszłam?

Mama wciąż miała na sobie płaszcz, ten piękny szary płaszcz z czarnym futrzanym kołnierzem, lecz boczne drzwi do garażu były już zamknięte.

* Cześć, mamó.

* Co zrobiłaś z włosami?

* Thumbelinę * wyjaśniła Ruby. * Podoba ci się?

* Wyglądasz inaczej * odparła mama. Włosy mamy były tak czarne jak kołnierz jej płaszcza i równie lśniące. Mama miała boskie włosy, bez dwóch zdań. * Ojciec Kyli cię podwiózł?

* No.

* Pamiętałaś, żeby mu podziękować?

* No.

* Jak ci minął dzień?

* Dobrze.

* Masz dużo zadane?

* Troszkę * rzekła Ruby, chociaż bardziej było to jej pobożne życzenie niż fakt.

* Przyniosłam coś do jedzenia * powiedziała mama, podnosząc z jękiem torbę z Niebieskiego Smoka, jakby była nie wiadomo jaka ciężka, i kładąc ją na blacie.

Ruby wyczuła sos ostrygowy, co oznaczało tę potrawę z kaczki, której nikt nigdy nie jadł. Mama miała worki pod oczami, które kształtem skojarzyły się Ruby z księżycem, tylko że były ciemne.

* A może już jadłaś?

* Coś przekąsiłam * odparła Ruby, choć była już prawie najedzona. Mama zerknęła na zegarek * 19:55 * i zajęła się wypakowywaniem kartoników, talerzy, widelców i łyżek.

* Dlaczego nie zdejmiesz najpierw płaszcza, mamó?

Mama spojrzała na nią w dziwny sposób. Przez chwilę Ruby wydawało się, że podejdzie i ją przytuli, co byłoby miłe; nie żeby Ruby nikt nie przytulał, ale po prostu w tym momencie byłoby to miłe. Zamiast tego mama zrobiła krok w stronę

przedsionka, gdzie znajdowały się wieszaki na płaszcze. Nagle odwróciła się i podeszła do Ruby * prawie z nieśmiałością, pomyślała Ruby, choć było to idiotyczne * i pocałowała ją w czubek głowy.

* Masz najpiękniejsze włosy na świecie * stwierdziła mama.

* Nie tak piękne jak twoje. Tysiąc razy piękniejsze.

Mama poszła do przedsionka. Ruby wiedziała, że włosy nie mogą niczego odczuwać, ale ten pocałunek zdawał się trwać w nich dość długo.

Mama wróciła bez płaszcza: * Brandona nie ma w domu?

Zauważyła, że na wieszaku nie ma szkolnej kurtki z napisem West Mili Tennis na plecach.

* Jest u Deweya * wyjaśniła Ruby. Na twarzy mamy pojawiła się pionowa bruzda. *

Piszą wypracowanie.

* U Deweya? Ruby skinęła głową.

* Powiedział, kiedy wróci?

* Niezbyt późno.

Ruby usłyszała, jak mama bierze głęboki oddech. Potem rozległ się jęk otwieranej bramy garażu i triumph taty wtoczył się do środka, a następnie w bocznych drzwiach pojawił się tata.

* Cześć wszystkim * zawołał. Podeszedł do blatu, złapał kulkę pomarańczowego kurczaka, wyjmując ją prosto z pudełka. * Gdzie jest Brandon?

* Podobno u Deweya * mruknęła mama. * Piszą wypracowanie. Tata spojrzał na nią z kolejną kulką pomarańczowego kurczaka w dłoni. * A do jakiego college'u wybiera się Dewey?

* Ciekawe pytanie * odparła mama.

Ruby przygotowała się na ciekawą odpowiedź, ale jej nie usłyszała.

* A to czemu? * zainteresował się tata.

Nagle oboje znaleźli się u progu kłótni na jakiś temat. O Deweya? Będą się kłócić o to, do jakiego college'u pójdzie Dewey? Ruby lubiła Deweya. Miał na zderzaku najśmieszniejszą naklejkę, jaką kiedykolwiek widziała, ale trzeba było podejść naprawdę blisko, żeby ją odczytać: Pieprz się Pieprzony Pierdolcu. I jeździł z nią cały

czas! Prawie parsknęła śmiechem przy stole.

* Bo powinniśmy baczniej przyglądać się kolegom Brandona i ich planom dotyczącym studiów * tłumaczyła mama.

Mama i tata wymienili spojrzenia, których Ruby nie zrozumiała. * Ado jakiego college'u wybiera się Bran? * zapytała, sięgając po ciasteczko z wróżbą.

* Oto i kolejne ciekawe pytanie * stwierdziła mama.

Mama i tata wciąż na siebie patrzyli, coś sobie komunikując. Cokolwiek to było, tata ocknął się pierwszy, spojrzał na Ruby i zapytał:

* Jak ci minął dzień, kochanie?

* Świetnie * odpowiedziała Ruby, odwijając szeleszczący papierek z ciastka z wróżbą.

* Widziałas się z tą dziewczynką, jak jej tam, córką Mickeya Gudukasa?

* Z Kyla. Grałyśmy seta na koniec.

* I dałaś jej w skórę?

* Nie.

Tata podszedł i usiadł przy stole. * Atak w ogóle, jak ci się podoba tenis? * spytał.

* Jak mi się podoba?

* Tak. Jako gra, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Miał bardzo dziwny wyraz twarzy, tak jakby jej opinia na ten temat dużo dla niego znaczyła. Był świetnym tatą. Dokładnie wiedziała, co miał na myśli, i odpowiedziała zgodnie z prawdą:

* Tenis jest jak matematyka.

Co to miało znaczyć? * zapytał Scott po tym, jak Ruby poszła na górę odrabiać lekcje.

* Nie mam pojęcia * przyznała Linda. * Ale nie radzi sobie najlepiej z matematyką. Nie jestem nawet pewna, czy zna tabliczkę mnożenia.

* Oj, dzieci, dzieci * westchnął Scott, rzucając banalną uwagę, która jednak i ją, i jego wprowadziła w zamyślenie: Linda dostrzegła to w jego spojrzeniu, tę zadumę połączoną ze zwilgotnieniem oczu, tak jakby coś mu do któregoś wpadło. Piąta klasa, do której teraz chodziła Ruby, była ostatnią klasą w edukacji Adama. Zaś Adam był

przewodniczącym kółka matematycznego i radził sobie świetnie dosłownie ze wszystkim.

* Nie jest jeszcze za późno, by jej pomóc * rzekła Linda. ** Wyobrażasz sobie, jaka będzie konkurencja, kiedy to ona będzie startować na studia?

Scott odpiął górny guzik spodni * czy musi to robić każdego wieczoru? * i dojadł krowiaka zaczętego przez Ruby. Potem wstał, podszedł do barku i nalał sobie szkockiej.

* Mam nadzieję, że poważnie do tego podchodzisz?

* Oczywiście, że tak. Napijesz się?

* Musimy teraz zjednoczyć siły.

* Właściwie to w czym?

* W tym, żeby zrobić z Brandona tak dobrego kandydata na studia, jak tylko zdołamy. I nie chodzi jedynie o naukę. * Linda zaczęła notować na papierowej serwetce z Niebieskiego Smoka. * Nauka sprowadza się do trzech rzeczy: średniej ocen, poziom trudności wybranych przedmiotów, wyników SAT. Do tego dochodzi wolontariat, którym Brandon nigdy się nie trudził, i sport. Dobrze gra w tenisa? Równie dobrze możemy to sobie powiedzieć teraz.

* Lepiej grał w piłkę nożną, jeśli mam być szczery.

* Więc dlaczego pozwoliłeś mu z niej zrezygnować?

* Ja mu pozwoliłem?

* To z tobą rozmawiał na ten temat.

* Masz na myśli tę scenę w samochodzie po meczu w Old Mili? Czego bym nie powiedział, i tak by to zrobił. Ten trener to był duppek * co do tego się z nim zgadzam.

* Każdy musi się kiedyś nauczyć radzić sobie z dupkami.

Scott wpatrywał się w szklanę. Czy zastanawiał się nad tym, co powiedziała?

Szklanka była pusta. Wstał, by nalać sobie kolejnego drinka.

Piłka nożna należała do przeszłości. * Wróćmy do tenisa * zaproponowała Linda. *

Czy jest na tyle dobry, żeby grać w trzeciej lidze?

* W czasach, gdy ja studiowałem? Tak. Teraz, nie wiem. Jest ciężiej.

* A kto będzie wiedział?

* Erich * odparł Scott. * Zapytam go. Erich trenował drużynę szkolną z West Mili.
* Dziękuję * odparła Linda, pisząc Erich na serwetce tuż pod ogonem smoka. Obok
zapisała: Talenty? Zero. Ruby miała chociaż swój saksofon. Pomyślała, że powinna
poprosić nauczyciela muzyki o ocenę jej postępów w grze. I wszystko to trzeba
będzie umieścić w komputerze. Linda zaczęła układać w głowie przyszłe pliki.
I wtedy Scott ją zaskoczył. Otworzył neseser, wyjął dwa tekturowe pudełka
rozmiarami i kształtem przypominające szufladki katalogowe w bibliotece. Na każdej
widniał napis: SOS przed SAT.

* Kupiłem to po drodze do domu * wyjaśnił, przesuwając pudełka po stole w jej
stronę.

Linda otworzyła. W środku znajdowały się ciasno ułożone karty z pytaniami do SAT,
w jednym pudełku dotyczące egzaminu ze słownictwa, w drugim z matematyki.

Linda otworzyła matematykę i na chybił trafił wybrała jedną z kart.

Prosta przecina się z osią współrzędnych x w punkcie $x = 3$, a z osią y w punkcie $y =$

*114. Znajdź współczynnik liczbowy prostej, a) *1112 b)

12

c) 12

d) *12

e) żadne z powyższych.

* Och, Scott * westchnęła Linda. * Wszystko będzie dobrze, prawda?

Pochyliła się i pocałowała go, celując w policzek, lecz zahaczając też o ucho.

Podchodził do całej sprawy poważnie. Będą się wspierać, pošlą Brandona do dobrego
college'u.

* Jasne * odparł. * Przestań się już martwić. Usłyszeli, jak otwierają się frontowe
drzwi.

4

Cześć * rzucił Brandon, wchodząc do kuchni.

* Cześć, Brandon * odparła Linda.

* Co słytać? * zagadnął Scott.

* Jakoś leci * odrzekł Brandon, otwierając pudełko z kaczką w ostrygowym sosie, lecz decydując się ostatecznie na pomarańczowego kurczaka

* Dobrze się czujesz? * zainteresowała się Linda. * Wyglądasz, jakbyś był rozpalony.

* Czuję się świetnie * rzekł Brandon, pijąc prosto z kartonu pomarańczowy sok wyjęty z lodówki.

* Weź szklanę, proszę * zgańła go Linda.

* Uhm * rzucił tylko Brandon i żłopał dalej.

* A co u Deweya? * zapytał Scott.

* Wszystko okej * odparł Brandon.

* Do którego college'u się wybiera? * zapytała Linda. Brandon wzruszył ramionami.

* Podchodził do egzaminu SAT? * zaciekała się Linda.

* Chyba tak.

* Nie wiesz, jak mu poszło?

* Nie.

* Nie rozmawiasz na ten temat z przyjaciółmi?

* Na jaki temat?

* Na temat SAT, studiów? * wyjaśnił Scott.

* Przyszłości * dodała Linda.

* To są moi przyjaciele * rzekł Brandon. * Dlaczego miałbym z nimi o tym rozmawiać?

* Więc o czym rozmawiacie? * kontynuowała Linda.

Brandon wiedział, że jego matka jest dość bystra, ale nigdy jeszcze nie słytał głupszego pytania.

* No, wiesz * rzucił. * O różnych rzeczach.

Zapadła cisza. Brandon wbił widelec w wołowinę po mongolsku. Była smaczna. Znowu ten pieprzony Niebieski Smok. Ale był tak głodny, że mógłby zjeść wszystko, co stało na stole. Z drugiej strony, mądrym posunięciem byłoby zaszyć się we własnym pokoju. Właśnie zamierzał postawić pierwszy krok w kierunku schodów, gdy usłytał, jak Linda pyta:

* A jak ci poszło z wypracowaniem?

* Z wypracowaniem?

Dom zakołysał się przez chwilę. Brandon dostrzegł swoje odbicie w oknie za krzesłem Ruby. Wyglądał na totalnie nawalonego. Dlaczego? Wypił tylko osiem czy dziesięć piw przez cały dzień. To pewnie przez te portery na samym początku. Czy później wypił jeszcze jednego?

* Tym, które pisałeś u Deweya.

* Och, na razie robiliśmy tylko notatki.

* O czym ma być? * zainteresowała się Linda. Scott zjadał ostatni kawałek kurczaka.

* O Makbecie * odpowiedział Brandon. To było bystre, a jak tylko zniknie w swoim pokoju, bystrzej będzie pouczyć się do testu z Makbeta, do poprawki, na którą musi się umówić z nauczycielem. Złapał do ręki krokieta i odwrócił się, by odejść.

* Uwielbiałam Makbeta * rzekła Linda.

* Naprawdę?

* Miałam wspaniałego nauczyciela. Znał całą sztukę na pamięć. Brandon pomyślał o panu Monsonie, grającym na zwłokę w oczekiwaniu na emeryturę, i o brykach z Makbeta sterczących z szuflady biurka.

* Super * powiedział, bo w pewnym sensie tak myślał. Choć nie był to jakiś niesamowity pamięciowy wyczyn: on sam w jeden dzień, to znaczy dzisiaj, nauczył się słów trzech czy czterech kawałków Unka Deatha na pamięć, nawet się nie wysilając.

* Jaki dokładnie jest temat? * kontynuowała Linda.

* Temat?

* No, tego wypracowania?

Przedmiotem kierunkowym mamy na studiach była literatura angielska, uwielbiała czytać książki przy basenie, zawsze kiedy byli na wakacjach, ale Chryste, dlaczego teraz?

* Czarownice * wypalił. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

* A dokładnie?

Miała identyczny wyraz twarzy jak ten, który pojawiał się, gdy przychodzili znajomi

i rozpoczynała się interesująca intelektualna dyskusja.

* Czy nie powinniśmy przejść do sedna sprawy? * zaczął Scott.

* Nie widzisz, że jest to jej część? * odparła Linda.

* Co się dzieje? * spytał Brandon.

* Po prostu powiedz mi, co z tymi czarownicami. Jestem ciekawa. Brandon zaryzykował. * Chodzi o to, jak pakowały wszystkich w kłopoty * rzucił.

* Czyli o podtekst przeznaczenia kierującego wydarzeniami? To brzmi bardzo obiecująco, Brandon.

* Dzięki. * Połknął ostatni kęs wołowiny. * Będę w...

* Usiądź na chwilę * przerwał mu Scott.

* He?

* Proszę * rzekła Linda. * To ważne.

Oboje byli bladzi. Brandona ogarnęło przerażenie: te blade twarze, pusta sypialnia...

* Czy ktoś jest chory?

* Nie o to chodzi * wyjaśniła Linda. * Usiądźmy wszyscy. Usiedli przy stole, Scott na jednym końcu, Linda na drugim, Brandon pomiędzy nimi, twarzą do wykusza.

* Otrzymaliśmy pewne niepokojące...

* Zatrważające * poprawiła Linda.

* Zatrważające wieści * dokończył Scott.

Jak to? Jak to się, do kurwy nędzy, stało? Zadzwonili ze szkoły, a te bzdety na temat wypracowania i Deweya miały go tylko bardziej pograżyć? Ale przecież ze szkoły nie dzwonili zaraz w pierwszym dniu nieobecności, na miłość boską... Chyba, że... czy to możliwe, że parkingowy dostrzegł, jak przejeżdżają obok szkoły, a potem sprawdził, czy są na lekcjach? Pieprzony Kranepool * największy dupek w szkole. Brandon przygotował się w duchu na awanturę.

* Znamy już wyniki z twojego egzaminu SAT * powiedziała Linda.

* Tylko o to chodzi?

* Tysiąc dziewięćdziesiąt.

Dzięki Bogu. Brandon z ulgą wypuścił powietrze.

Mama chyba jednak mylnie to odczytała, musiała to mylnie odczytać, nie znając prawdziwej historii * czyli był bezpieczny! * bo powiedziała:

* Nie martw się tak bardzo.

* Czym?

* Wynikiem SAT.

* Wcale się nie martwię * szczerze odparł Brandon. Nagle przypomniał sobie, jak słyszał, że wyniki będą znane dopiero w przyszłym tygodniu, a może nawet później.

* Podali wyniki wcześniej czy jak? * dodał, tylko po to, by podtrzymać rozmowę.

* Jest numer, pod którym można się wszystkiego dowiedzieć.

* Numer?

* Cos w rodzaju audio*tele * wyjaśnił Scott.

* Trzeba było zapłacić?

* Tylko trzynaście dolarów * odparł Scott.

Mama i tata wymienili się spojrzeniami. Kłamali na temat trzynastu dolarów? Na pewno chodzi o coś innego.

* Nie mogliście poczekać? * zdziwił się Brandon. Czasami potrafili zachować się dziwnie.

* To jest dość ważne * rzekł Scott.

* Tysiąc dziewięćdziesiąt punktów plasuje cię w siedemdziesiątym piątym centylnu * dodała Linda.

Brandon wzruszył ramionami. * Całkiem nieźle, nie?

Czy to był ten test, na którym przez przypadek ominął całą stronę pytań, zmęczony nocną imprezą przy piwie, w lasku po meczu w Old Mili, czy myli mu się z testem z geometrii? Zresztą to było parę miesięcy temu, albo tygodni, kto by pamiętał...

* Przede wszystkim, Brandon, musisz wiedzieć, że oboje z ojcem wiemy, iż jesteś bardzo inteligentny.

* Masz wielki umysł, stary * dodał Scott.

* Rzecz jednak w tym, że niektóre inteligentne młode osoby nie posiadały jeszcze umiejętności, które umożliwiłyby im zaprezentowanie swojej inteligencji na tego typu testach.

Pierdu*pierdu. Do czego to, kurde, miało prowadzić? I nagle, jak to po piwie czasem śmiesznie bywa, zachciało mu się sikać.

* Rozumiesz, jaki związek mają wyniki SAT z przyjęciem na studia? * zapytała Linda.

* Czy to jest podchwytliwe pytanie? * zapytał Brandon.

* Hej * zawołał Scott. * Rozmawiamy poważnie.

* Wiem, że uczelnie wymagają tego egzaminu * odparł Brandon.

* Zgadza się * rzekła Linda. * Ale chodziło mi o wyniki. Trochę dzisiaj poszperałam. Zgadnij, jaki był średni wynik z egzaminu SAT obecnego pierwszego roku na Yale.

* Trzy tysiące.

* Maksimum to tysiąc sześćset, Brandon.

* Tysiąc sześćset jeden.

* Przestań * warknął Scott. Ze złości na jego policzkach pojawiły się niewielkie różowe plamki, co zdarzało się rzadko.

* Tysiąc czterysta trzydzieści * ciągnęła Linda. Patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami, jakby chciała go zahipnotyzować.

* A kto się wybiera do Yale? * zapytał Brandon.

Linda wstała i poszła do garażu. Brandon słyszał, jak otwiera i zamyka drzwi samochodu. Scott rozsiadł się na krześle, jakby zrobił sobie jakąś przerwę. Linda wróciła ze stosem grubych książek. College, College, College, widniało na każdej z nich. Przekartkowała tę na samej górze.

* Dwanaście tysięcy czterdziestu sześciu kandydatów ubiegało się o przyjęcie do Yale w zeszłym roku. Przyjęto osiemnaście procent.

* No i dobrze * skwitował Brandon.

* Albo weźmy Brown w Providence * ciągnęła Linda. * Providence to ładne miasto, pamiętasz? * Znalazła stronę. * Czternaście tysięcy dziewięciuset złożyło podania, przyjęto osiemnaście procent. Średni wynik ze słownictwa * sześćset dziewięćdziesiąt punktów, średni wynik z matematyki * sześćset dziewięćdziesiąt punktów.

* A co jest takiego ładnego w Providence? * mruknął Brandon.

* Na przykład starówka zwana „Małą Italią”? Albo restauracja, do której poszliśmy po turnieju?

* Żarcie było do bani.

* Do cholery * zaklął Scott. Złapał jedną z książek, energicznie przekartkował, uderzając wskazującym palcem w nazwy poszczególnych szkół. * Amherst * sześćset dziewięćdziesiąt osiem słownictwo, siedemset matematyka. Haverford * przyjęto mniej więcej pięćdziesiąt procent kandydatów, słownictwo od sześciuset czterdziestu do siedmiuset dwudziestu, matematyka od sześciuset trzydziestu do siedmiuset trzydziestu. Dartmouth * siedemset jedenaście, siedemset cztery. Uniwersytet Bostoński, Bostoński, na miłość boską * sześćset czterdzieści, sześćset trzydzieści dwa. * Spojrzał na Brandona. Mama spoglądała z drugiej strony. Był pod ostrzałem. * A UConn? * zapytał.

* A co ma oznaczać to pytanie? * zdziwił się Scott.

* Oboje tam studiowaliście.

* Wtedy sprawy wyglądały inaczej * wytłumaczyła Linda.

* Jak to? Oboje skończyliście UConn i odnieśliście sukces.

* Nie rozumiesz, o co chodzi * rzekła Linda. * W dzisiejszych czasach najważniejszą rzeczą jest, by dostać się na jak najlepszą uczelnię. Zdajesz sobie sprawę, ile to znaczy, gdy masz w papierach Princeton albo Stanford? Cały czas się z tym spotykam. Na pewno wywnioskowałeś z tego krótkiego sondażu, że nawet miejsce takie jak Bostoński może być poza twoim zasięgiem, jeśli sprawy nie przybiorą innego obrotu.

* Dobra, dobra * rzucił zniecierpliwiony Brandon, wstając. * Następnym razem się poprawię.

* Świetnie, Brandon * rzekła Linda.

* Liczyliśmy, że tak powiesz * dodał Scott.

* Jasne, nie ma sprawy * rzucił pośpiesznie Brandon, rolując kawałek wieprzowiny moo shu, który miał zamiar zabrać ze sobą. I to już koniec? Czy to były te magiczne słowa? Następnym razem się poprawię. Kto by przypuszczał?

* Zapiszemy cię jutro na kurs przygotowawczy do SAT * powiedziała Linda. *

Kapłan czy Princeton Review? Wybór należy do ciebie.

* Wybór czego? * Brandon był już myślami gdzie indziej i czuł silną potrzebę skorzystania z toalety, więc nie dosłyszał, o czym mówiono.

* Kursu * wyjaśniła Linda. * Sprawdziłam w Internecie. Oba odbywają się dwa razy w tygodniu, raz wieczorem i raz w sobotę rano, co nie będzie kolidować z tenisem, no i oczywiście chcielibyśmy wdrożyć cię do wolontariatu, im wcześniej, tym lepiej, ale...

* Nie pójdę na żaden pieprzony kurs.

Różowe plamy na twarzy Scotta przybrały czerwony kolor. * Wiesz, co by się stało, gdybym się tak odezwał do własnego ojca?

Brandon przewrócił oczami, od czego zakreśliło mu się w głowie. Postanowił więcej tego nie robić. * Nie pójdę na żaden kurs.

* Brandon * odezwała się Linda. * Czy ty w ogóle nas słuchałeś?

* Nie ma mowy. * Odwrócił się, żeby odejść.

* Myślisz, że Sam by się tak zachował? * warknął Scott.

* Sam? A co ten dupek ma z tym wspólnego?

* Ten dupek * kontynuował Scott * prawdopodobnie pójdzie do Harvardu.

* I tak wciąż będzie dupkiem * skwitował Brandon, wychodząc z kuchni wprost na korytarz i myśląc o tym, by się wreszcie porządnie wysikać, znaleźć się w swoim pokoju, z dala od tego gówna. Podniósł głos, że by dobrze go zrozumieli. * A o żadnym cholernym kursie nie ma mowy. Nie możecie mnie zmusić i tyle.

Ktoś zadzwonił do frontowych drzwi. Brandon akurat był w pobliżu. Otworzył. To prawda: nie mogli go zmusić. Mogli zawozić go na Kapłan albo Princeton Review, czy jak im tam, a potem go odbierać, ale nie mogli go zmusić, by wysłuchał choć jednego słowa, zanotował choćby jedno zdanie, odpowiedział na jedno pytanie. Kurs nie wchodził w grę. Koniec pieśni.

W drzwiach stała mama Deweya.

* Rodzice są w domu? * zapytała. Albo coś w tym rodzaju. Nie dosłyszał, bo sparaliżowała go spojrzeniem.

Myśli Brandona fruwały jak błyskawice, ale żaden pomysł nie przyszedł mu do głowy. Wybrał to, co wydało mu się najlepsze:

* Wydaje mi się, że jedzą kolację. Czy mógłbym w czymś...

* Brandon? * zawołała z kuchni Linda. * Kto przyszedł?

* To... hm... pani Brickham.

* Pani Brickham?

* Mama Deweya.

I już na korytarzu pojawiła się Linda, i wszystko zaczęło dziać się tak szybko.

* Pani Brickham? Miło mi panią w końcu poznać. Jestem mamą Brandona. *

Brandon zauważył, że mama dostrzegła paraliżujące spojrzenie pani Brickham. * Czy coś się stało?

* Owszem * odparła pani Brickham, kierując swój bazyliszkowy wzrok na Brandona.

Na piętrze Ruby natknęła się na pewien problem w „Skandalu w Czechach”. Holmes nie stronił od kokainy, wiedziała o tym * prawdę mówiąc, zastanawiała się, czy nie poruszyć tego tematu podczas dyskusji na międzyszkolnej konferencji STOP

NARKOTYKOM * ale uczono ją, że kokaina pobudza, a tu doktor Watson rozprawia o senności, jaką wywołuje narkotyki, i o tym, jak Holmes musi otrząsać się ze swych narkotycznych snów, by skupić się na rozwiązywaniu kryminalnych zagadek. Czy był to kolejny błąd, taki jak ten ze szpicrutą i pogrzebaczem? Jeśli tak, to z

Sherlockiem Holmesem działo się coś złego, zaczynał tracić sens, sypał się, a Ruby tego nie chciała. Wstała i ruszyła korytarzem w kierunku schodów. W lustrze na końcu korytarza dostrzegła, że Thumbelina z prawej strony rozplatała się, w wyniku czego pozostał jej tylko jeden sterczący róg z lewej. Super.

Ruby zeszła na dół, a zeskakując z trzech ostatnich stopni * lądując obiema stopami na czarnym kwadracie * usłyszała głosy dochodzące z kuchni i wbiegła do środka.

* Czy kokaina pobudza, czy uspokaja?

Rozmowa ucichła i wszyscy spojrzeli na Ruby: mama, tata, Brandon i jakaś groźnie wyglądająca siwowłosa pani, której nie znała.

* To nasza córka, Ruby * przedstawiła ją mama.

Gniewne spojrzenie kobiety spoczęło na sterczącej Thumbelinie. Straszna kobieta:

podczas Halloween byłaby z niej idealna Zła Czarownica. Ruby zawsze przebierała się za księżną Dianę. Nosiła olbrzymią tiarę z rubinem w kształcie serca * rubin był oczywiście jej ulubionym klejnotem * i mówiła, „Cukierek albo psikus”, z iście królewskim akcentem.

* Może obejrzałybyś przez pół godzinki telewizję, kochanie? * zaproponowała mama.

* Jasne ** zgodziła się Ruby i wyszła z kuchni. Wyszła pełna najszczerzych chęci, by zejść po schodach do pokoju telewizyjnego, wyposażonego w olbrzymi odbiornik z przestrzennym dźwiękiem i DVD, lecz będąc jeszcze na korytarzu, usłyszała słowa taty:

* Samochód został odholowany?

* Na policyjny parking * wyjaśniła straszna kobieta. * Prosto spod ich pijanych nosów. To ich właśnie doprowadziło do zguby.

Doprowadziło do zguby * prosto z Sherlocka Holmesa! I czy ktoś tu mógł winić Ruby za pozostanie na korytarzu?

* Jak to się stało? * usłyszała pytanie taty.

* Kosztowało to ponad trzysta dolarów * ciągnęła kobieta * a na parkingu przyjmują wyłącznie gotówkę. Tak więc Dewey i państwa syn * słowa państwa syn zabrzmiały złowrogo w jej ustach * poszli do banku z kartą kredytową i próbowali wypłacić pieniądze. Bank poinformował MasterCard, a MasterCard mnie. Zgodziłam się na wypłatę, udając, że o niczym nie wiem, a oni w świetnym humorze wrócili samochodem Deweya * samochodem, który należał do Deweya, a teraz jest na sprzedaż * zmyślając coś o pracy do późna nad jakimś zadaniem z fizyki.

* Czy to prawda, Brandon? * zapytała mama. Brak odpowiedzi.

* Brandon? * zapytał tata. Chrząknięcie, bardziej na „tak” niż na „nie”.

Ruby była pod wrażeniem. To brzmiało jak w tym filmie, Wolny dzień Ferrisa Buellera, jednym z jej ulubionych, lecz działa się naprawdę. Jej własny brat Ferrisem Buellerem! Miała ochotę zadać milion pytań, a jednym z nich było: Czy zamierza pani zdjąć naklejkę ze zderzaka, zanim sprzeda pani samochód? Jeśli tak, to chętnie ją wezmę.

* ...zwrócić połowę kosztów * mówił tata.

* Przyjmę państwa pieniądze * zgodziła się mama Deweya * lecz nie po to przyszłam. Chciałam państwa poinformować o prawdziwym charakterze syna, jeśli sami jeszcze go nie poznaliście.

* Rozumiem, co pani czuje, pani Brickham * odezwała się mama * lecz chyba osądza go pani zbyt ostro.

* Jeśli wolicie usprawiedliwiać jego czyny, to wasz wybór * rzekła mama Deweya. Rozległ się odgłos odsuwanego krzesła, potem kolejnego.

* Proszę, oto czek * powiedziała tata. Tak! Był wspaniałym tatą.

Kroki zbliżyły się do korytarza. Ruby czmychnęła w stronę pokoju telewizyjnego.

Natknęła się tam na Zippy'ego, obgryzającego kij bilardowy, i kilka podejrzanie wyglądających kałuż.

Mama Deweya wyszła, Brandon wstał.

* A ty gdzie się wybierasz? * zapytał go ojciec.

* Idę się odlać, do cholery * odpowiedział, a raczej krzyknął Brandon.

W łazience przy korytarzu od frontu, tej z koronkowymi ręcznikami, które nie wchłaniały wody, Brandon nareszcie miał czas, by pomyśleć, lecz jedyne, co przychodziło mu do głowy, to: Jezu Chryste. Nie można już, kurde, zrobić najprostszej rzeczy. Jego rodzice to dupki, matka Deweya to jeszcze większy dupek, kierowca ciężarówki holowniczej był dupkiem, a te dupki na parkingu policyjnym też byli dupkami.

Brandon wyszedł z łazienki. Czekali po drugiej stronie drzwi.

* Nie można się już nawet wysikać.

* Zdajesz sobie sprawę, że dyskusja na temat kursu jest skończona * oznajmiła Linda.

* Weźmiesz w nim udział * dokończył Scott.

Brandonowi zrobiło się gorąco. Nie mógł wytrzymać we własnym ubraniu. Pryszcz na czubku nosa jakby miał zaraz wybuchnąć. Czuł, jak go rozpiera, niczym pieprzony wulkan.

* Róbcie, co chcecie * rzucił, mijając ich w zasadzie bez przepychania, i poszedł na

górze do własnego pokoju, gdzie trzasnął drzwiami i położył się na łóżku. W telefonie migąło światelko oznaczające wiadomość. Nacisnął przycisk.

Wiadomość była od Deweya:

To wszystko jest do dupy, stary. W tle słychać było Unka Deatha. Chyba czas pomyśleć o tej robocie kuriera.

Święte słowa. Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym.

Linda spojrzała na zegarek i zdała sobie sprawę, że sekretariaty szkół organizujących kursy przygotowawcze do egzaminu SAT nadal mogą być czynne ze względu na sesję wieczorową. Zadzwoiła do Kapłan, a następnie Princeton Review i dowiedziała się, że następny kurs w ich części Connecticut odbędzie się dopiero za dwa miesiące.

* Nie mogę w to uwierzyć * westchnęła.

Scott otworzył jedno z pudełek z pytaniami. * Może damy radę sami?

* Z czym?

* Z przygotowaniem Brandona. * Scott zerknął na kartę. * Co oznacza słowo ckliwy?

* Płaczliwy.

Odwrócił kartę i przeczytał definicję. * No, zgadza się. Wybrał kolejną kartę. *

Makiaweliczny.

* Zdradziecki.

Scott spojrział na drugą stronę karty. * Brawo, pani magister anglistyki.

Wyjął kolejną kartę. * Kanalia.

* Kanalia * powtórzyła Linda. * To jest trudniejsze. Może oszust? Scott odwrócił kartę i pokręcił głową. * Łajdak.

Magister anglistyki, pomyślała Linda, ale z UConn. Takie myśli nie miały sensu, dobrze o tym wiedziała, lecz była to jedna z tych myśli, które pojawiają się znikąd, niosąc ze sobą ziarno prawdy.

* To się nie uda * stwierdziła Linda. * Nic nie wyjdzie z tej naszej nauki. Nie będzie z nami współpracował. Poza tym nie jesteśmy nauczycielami.

* Więc co nam pozostaje?

* Musimy kogoś znaleźć, jakiegoś fachowca, dopóki nie zapiszemy Brandona na kurs.

Scott otworzył książkę telefoniczną. * Pod czym mam szukać?

* Korepetytor...

* Jest ich mnóstwo * zauważył po chwili Scott. * „Nauczanie prywatne w domu klienta, przystępne stawki godzinowe.”

* Musimy najpierw zrobić wywiad. Rano porozmawiam z ludźmi * postanowiła Linda. * Zadzwoń w parę miejsc.

* Ja też * powiedział Scott.

Spojrzała na niego, chcąc powiedzieć: Ja się tym zajmę * ale Scott na nią nie patrzył. Zamiast tego otwierał chińskie ciastko w poszukiwaniu wróżby. Podał jej karteczkę. Szczęście jest wokół nas.

Scott zjadł ciastko. Chrup, chrup i już go nie było.

Rozległ się dźwięk telefonu. Julian obserwował olbrzymie stado szpaków, tysiące ptaków nerwowo latających w tę i z powrotem pomiędzy dwiema kępami drzew o огоłoconych z liści konarach. W tym samym czasie czerpał przyjemność z pierwszego tego dnia zaciągnięcia się papierosem. Palenie było takie przyjemne, idealnie harmonizowało fizycznie, mentalnie, a nawet duchowo. Lecz Julian nie był głupi, zdawał sobie sprawę z zagrożenia dla zdrowia, jakie niesło ze sobą palenie. Kiedyś na ćwiczeniach z biologii przeprowadził nawet eksperyment z hodowaniem wywołanych nikotyną guzów na kręgosłupie białej myszki i w związku z tym ograniczał się do trzech dunhillów international dziennie: jednego po przebudzeniu, drugiego po obiedzie, a trzeciego, gdy tylko miał na niego ochotę, zwykle gdy był w doskonałym nastroju, choć czasami wręcz przeciwnie.

Julian zatrzymał nikotynową kulę na języku, pozwalając, by dym chłonał wilgoć, nie wypuszczał go, trzymał wciąż zamknięty w kuli, przesuwając teraz w stronę gardła, aż wreszcie mocno zaczerpnął powietrza i pozwolił, aby dym leniwie poszukał drogi ucieczki, kierując się przez usta i nos. Tantryczne palenie. Przez woal zabarwionego na niebiesko własnego tworu dostrzegł, jak szpaki wzbily się niczym jeden mąż z korony jednego z drzew należącego do najdalej położonej na zachód kępy. Ptaki

skierowały się na wschód, wszystkie skracając pod identycznym kątem około czterdziestu pięciu stopni. Było coś niezaprzeczalnie faszystowskiego w ich jednolitych ruchach i jednolitym, czarnym ubarwieniu. Ta myśl również była przyjemna, blisko kojarzyła się z dymem w sposób trudny do zdefiniowania, choć Julian miał pewność, że z czasem będzie w stanie precyzyjnie określić, na czym to skojarzenie polega. Już teraz wiedział, że miało coś wspólnego z zupełnym brakiem wulgarności w naturze.

Telefon wciąż dzwonił czy może dzwonił po raz kolejny. Julian podniósł słuchawkę. Kobięcy głos. Paulette, Pauline, Paula, coś w tym rodzaju.

* Zadzomowiłeś się już? * zapytała.

A, tak, kobieta z biura. Przypomniał sobie dwie poziome bruzdy, niezbyt głębokie * jak na razie niezbyt głębokie * u podstawy jej szyi i tanią błyskotkę na łańcuszku, pozłacaną głowę psa nieokreślonej rasy, nic poza tym.

Julian rozejrzał się po swojej spartańskiej kwaterze. * Tak, dziękuję. * Był niezwykle uprzejmy.

* Udało ci się zwiedzić miasto?

* Niestety, jeszcze nie * odparł Julian.

* Na pewno ci się spodoba * rzekła kobieta. * Tak, jak wszystkim. Ja osobiście pochodzę z Indianapolis.

Czy to była ta kobieta, której odbicie dostrzegł w szybie wejściowych drzwi, gdy wychodził, a która wpatrywała się w niego z zainteresowaniem, czy może była to ta druga, jej szefowa, która go zatrudniła? Julian nie wspomniał, skąd osobiście pochodził, tylko dalej obserwował szpaki w ich metronomicznym locie. W tym momencie słońce przebiło się przez niewielką szparę w chmurach, sprawiając, że stado załśniło niczym odziana w pancerze armia. Zaciągnął się papierosem po raz kolejny, głębiej niż poprzednio, i bezgłośnie wypuścił dym w słuchawkę.

* Cóż, powód, dla którego dzwonię * odezwała się Paulette, Pauline, Paula * chociaż wiem, że powiadamiam cię o tym dość późno, zwłaszcza że mamy dziś sobotę, jest taki, że jedna z naszych pracownic zachorowała i zastanawiam się, czy nie mógłbyś jej zastąpić, tylko dziś.

Nie miał tego w planach. Nie żeby miał jakieś plany: nie potrzebował ich. Zawsze był dobry w organizowaniu sobie czasu. Śniadanie, długi spacer, być może czytanie. Z drugiej strony, zawsze pojawiał się problem pieniędzy. Jego nastrój * pełen relaks i pozytywne nastawienie do świata * zaczął się odrobinę pogarszać.

* Margie powiedziała, że zrezygnujemy z prowizji, możesz zachować pełną stawkę.

* Co by to miało być?

* Kurs przygotowawczy do SAT, wstępna ocena. Powinieneś mieć wszystkie materiały. Są w zielonej, plastikowej...

* Z pewnością je mam.

* A więc zgoda?

Zgoda. Nagle poczuł niesamowicie silną pokusę, by naśladować jej głos. Jednak nad sobą zapanował.

* Czemu nie. Kiedyś przecież muszę zacząć.

* Jesteś skarbem, Julian. Od jedenastej do pierwszej, choć te oceny czasami trwają dłużej, w zależności od klienta. To jest w West Mili, Robin Road trzydzieści siedem. Zapisał nazwisko klienta i adres w notesie, który zawsze nosił ze sobą, używając pióra Mont Blanc z granatowym tuszem, prawie czarnym, pochodzącym ze sklepu na Regent Street. Następnie otworzył zieloną, plastikową teczkę, by sprawdzić, czy znajdzie coś niezwykłego w instrukcji na temat tego, jak dźwigać nieszczęśników na jakiś sensowny poziom wiedzy, a przynajmniej na to, co w dzisiejszych czasach za ten poziom uchodziło. Oczywiście niczego takiego nie znalazł.

Inez, grając w koszykówkę, wykonuje celnie 75 procent swoich rzutów wolnych. Jakie jest prawdopodobieństwo z dokładnością do jednej dziesiątej procenta, że Inez wykona celnie pierwsze trzy rzuty wolne, a nie wykona czwartego?

Odpowiedź, 10,5%, pojawiła się w umyśle Juliana, dosłownie wyskakując * białe cyfry na czarnym ekranie umysłu * natychmiast, zanim jeszcze spojrzął na odpowiedzi do wyboru. Potem je przeczytał: D * 10,5 %. A, B, i C * 100%, 75%, 25% * były po to, by wychwycić idiotów, E * 17,5%, by wychwycić pozostałych do odstrzału. Julian zapoznał się z instrukcją krok po kroku dotyczącą nauki rozwiązywania zadania z Inez, pomyślał o jednym lub dwóch wariantach * choć

zaden nie mógł się równać z podświadomą metodą, której sam używał * i przeszedł do sekcji ze słownictwem.

ozieźbły : zaniedbać ma się jak:

A) ostentacyjny : chlubić się

B) znamienity : odnieść sukces

C) niewzruszony : poddać się

D) zdradziecki: oszukać

E) nieustępliwy : ścisnąć

Zdecydowanie D. Wyraźnie, dosłownie jakby narysowano strzałkę wskazującą literę.

Wyobraził sobie, jak nudne będzie wyjaśnienie * zerknął do notesu szukając imienia

* Brandonowi, dlaczego A i E nie pasują, miał nadzieję, że nie będzie musiał

tłumaczyć tego samego w odniesieniu do B lub, nie daj Boże, również do C.

Julian zaciągnął się ostatni raz rozkosznym dymem papierosa, następnie go zgasił, choć została jeszcze prawie połowa. Wypalanie papierosa

do samego końca uważał za oznakę uzależnienia, typowego dla motłochu. W notesie zapisał wyjaśnienie:

ozieźbły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać

Gdzieś w tym kupiecie czaił się wiersz. Co będzie dalej? Siedział zgarbiony nad notesem, myśląc, myśląc... Nic nie przychodziło mu do głowy. Jego nastrój, tak lekki, gdy zaczął się dzień * wyrzwał przez okno, po szpakach nie było już śladu * popsuł się jeszcze bardziej. Wstał i udał się do maleńkiej łazienki.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Julian, niezupełnie wiedząc dlaczego, właściwie ulegając kaprysowi, było zgolenie brody. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo urosła.

Wyglądał niczym drwal, hipis albo rabin. Od razu poprawił mu się humor od tego trzysłownego żartu. Julian korzystał z brzytwy Eagle Brand marki ThiersIssard, idealnie zaostrzonej na kamieniu trzymanym wśród przyborów do golenia, goląc brodę, która opadała długimi pstrokatymi pasemkami spienionych włosów

zbierających się w umywalce. W lustrze zaczęła się ukazywać gładka twarz, kawałek po kawałku, jak układanka z puzzli, i była to twarz przystojnego mężczyzny. Gdy po brodzie nie zostało już ani śladu, nie licząc małej kępki pod dolną wargą, zatrzymał

się. Ta kępka miała swoją nazwę, stosunkowo prostacką jak na coś, co tak naprawdę było wyrazem czystej pretensjonalności, lecz Julian nie mógł się zdobyć na to, by ją zgolić. Podobała mu się. Zresztą czy na twarzy tak dostojnej jak jego mogłaby wyglądać prostacko? Była bardziej niczym znak diakrytyczny starożytnego języka, jak nazwisko składające się z jednej litery lub zaczynające na/f. Pozostawił ją, maleńki znak... wyjątkowości.

Julian przejrzał mapę Amerykańskiego Instytutu Geograficznego. Wierzył w dobre mapy. Pierwszą rzeczą, jaką zwykle robił po przyjeździe w nowe miejsce, był zakup mapy okolicy i planu miasta. Odnalazł ulicę, na której mieszkał klient * Robin Road * zmierzył odległość przy pomocy cyrkla: bardzo długi spacer, zbyt długi, biorąc pod uwagę godzinę, co oznaczało konieczność przejażdżki rowerem. Nie miał samochodu już od dłuższego czasu, ale nie stanowiło to dla niego problemu. Umiejętność przystosowania się, zaadaptowania była kluczem do uzyskania życiowej odporności, a ta z kolei była kluczem do posiadania siły.

Chmury ponownie zakryły słońce, gdy Julian się ubierał. Obserwował, jak nadsiadają i ciemnieją, cóż za przyjemny widok * Julian nie lubił zbyt jasnych barw * kiedy to wyczuł czyjąś obecność. Podeszedł do okna i wyjrzał przez nie. Na podwórku stała właścicielka, spoglądając w górę. Była kobietą w średnim wieku, z nadwagą, w roboczym ubraniu złożonym z flanelowej kurtki w czerwono*czarną kratkę, jeansów i kaloszy. Dostrzegła Juliana i pomachała do niego. Uśmiechnęła się również, zbyt szeroko. Miała piękne zęby i dobrze o tym wiedziała, nie było co do tego wątpliwości. Julian także do niej pomachał, zatrzymując własny uśmiech dla siebie. Wykonała ruch imitujący otwieranie okna, w górę, w górę. Julian podniósł haczyk, stary, mosiężny i zaśniedziały, po czym otworzył okno.

* Mam dla pana list, panie Sawyer.

List. Jak to możliwe? Julian szybko rozejrzał się dookoła, zobaczył jedynie budynek nazywany przez właścicielkę dużym domem, stojący po drugiej stronie długiej ścieżki, a w oddali dwie kępy drzew, opuszczone teraz przez szpaki. A więc nic niezwykłego. Wyszedł z niewielkiego pokoju, jedyne nadające się do zamieszkania w budynku nazywanym przez właścicielkę wozownią, i zszedł po

wydeptanych schodach, skrzyp, skrzyp. Poczul na twarzy zimne powietrze, jeszcze zanim otworzył zewnętrzne drzwi. Julian zarejestrował to w umyśle i nic poza tym * był nieczuły na warunki pogodowe.

Podeszła do niego. Zauważył, że czerwień pomadki na jej ustach jest w tym samym odcieniu, co czerwień kraterów na jej kurtce.

* Zadzwoń już pan, panie Sawyer?

Słyszał już tego ranka to pytanie, nic nie znaczące i wścibskie zarazem.

* Tak, dziękuję za troskę, pani Bender.

* Proszę mówić mi Gail * zaproponowała pani Bender. * A prawdziwą panią Bender, czyli żoną pana Bendera, to nie jestem od czasów Reagana.

* Wobec tego ja jestem Julian * odparł Julian.

Miała bardzo przyjemny głos, o wesołym, a nawet inteligentnym brzmieniu, lecz teraz chciał jedynie dostać list. Sięgnęła za guziki czerwono*czarnej kurtki, wyjęła go i podała mu kopertę, wciąż jeszcze ciepłą od kontaktu z jej ciałem. Julian wziął list do ręki bez cienia pośpiechu, beztrąsko, lecz jego oczy natychmiast wypatrzyły adres zwrotny: Centrum Prywatnego Nauczania „Szóstka z Plusem”, jego pracodawcy. Teraz naprawdę poczuł się beztrąsko; bardzo ciekawe doznanie * takie przeistoczenie, przemiana iluzji w rzeczywistość, w coś konkretnego.

Gail spoglądała na niego z dziwnym wyrazem twarzy, lekko przekrzywiając głowę. * O, zgoliłeś brodę.

* Nie da się zaprzeczyć.

Zaśmiała się i posłała mu wieloznaczne spojrzenie, w którym czaiło się wiele odczuć, domagając się uwagi.

* Dziękuję za list, Gail. Na przyszłość będziemy musieli pomyśleć o mniej kłopotliwej formie ich dostarczania.

Jej wzrok padł na niewielką kępkę włosów, której nie zgolił, i na niej pozostał. * To żaden kłopot * odparła, nie rozumiejąc aluzji.

Julian znalazł w kopercie tuzin wizytówek „Szóstki z Plusem” oraz wiadomość od Margie, szefowej, napisaną dużymi, krągłymi literami: Cieszę się, że do nas dołączyłeś, Julianie. Możesz wpisać swoje nazwisko na tych wizytówkach. Za

tydzień lub dwa dostaniesz własne. Włożył wizytówki do kieszeni, zieloną teczkę umieścił w bagażniku nad tylnym kołem roweru * nie jego własnego, lecz całkiem nowego i solidnego roweru górskiego, który znalazł pokryty pajęczynami w piwnicy wozowni * i ruszył długą alejką w kierunku Trunk Road, a następnie skręcił w prawo. Jak przyjemnie. Nawet wiatr wiał mu w plecy. Nie żeby sprawiało mu to jakąś różnicę: był bardzo silny. Miał silne nogi, plecy, ramiona, choć nie był ani trochę przysadzisty, przesadnie muskularny czy niezgrabny. Pedałował, jadąc przez pagórkowaty teren, na którym znajdowały się farmy, nie widząc nikogo, aż krajobraz zaczął bardziej przypominać przedmieście, a raczej zamożną podmiejską miejscowość, bo domy były wciąż dosyć rozproszone, i nagle znalazł się na głównej ulicy Old Mili, o dziesięć minut wcześniej, niż się spodziewał.

Wszedł tam do kawiarni, wypił espresso i przestudiował mapę. Odkrył o wiele krótszą drogę stąd do Robin Road w West Mili, trasę prowadzącą przez miejski las. Na mapie nie zaznaczono ścieżek, ale czy ktoś słyszał o lesie bez ścieżek? Zamówił brioche, wyjął notes i ponownie spróbował odnaleźć słowa wiersza:

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać

Co dalej? W tych słowach krył się wiersz, czuł go, genialny wiersz, jeden z tych, które trwale zapisują się w języku, są cytowane, zmieniają sposób myślenia ludzi. Lecz cokolwiek miało być dalej, nie chciało przyjść. Julian zapłacił rachunek i zostawił niedojedzoną brioche. I tak mu nie smakowała, nie przypominała prawdziwej brioche, a właściwą wymową tego słowa zbił z tropu kelnerkę. Nie dostanie za to napiwku.

Kilka minut później wjeżdżał do miejskiego lasu, czując, jak wiatr cichnie nagle, jakby ktoś odciął dopływ prądu. Ścieżka * oczywiście, że była tam ścieżka ze sterczącymi z rzadka korzeniami i kamieniami, lecz mógł ją pokonać bez trudu, ba, nawet przyspieszył * wiodła wśród drzew, gdzie panowała absolutna cisza. Cudowne miejsce, Julian poczuł to od razu, pełne cieni i dziwnych perspektyw. Słowo, które miało przyjść po oszukać zaczynało przybierać w jego umyśle realny kształt, lecz było jeszcze poza zasięgiem. Minał niewielką polanę, zaśmieconą tu i ówdzie pustymi puszkami po piwie, i słowo oddaliło się

nieubłaganie, niczym fala odpływu. Julian wjechał na dość płaskie wzniesienie, za którym dostrzegł w oddali maleńki owal wody. Jej błękit mignął w chwili, gdy zaczął zjeżdżać ze wzniesienia krętą ścieżką. Julian przestał pedałować, jechał na luzie równie cichy jak las wokół niego, sam będąc jedynym źródłem wiatru. Po prawej stronie zaraz znów zamigotała woda. Dostrzegł kilka owalnych kałuż, skrywanych aż do ostatniej chwili przez drzewa. Do jego uszu dobiegł głos, głos dziecka.

* Nie rób tak, Zippy.

Julian zatrzymał się przy granitowym głazie, pozostawionym tu przez wycofujący się lodowiec, i zerknął zza niego. Poniżej znajdował się staw, niemal idealnie okrągły, kolejna pozostałość po lodowcu. Jakieś trzydzieści metrów dalej, na pasku zamrożonego błota, stała dziewczynka w niebieskiej kurtce z żółtymi lamówkami. Olbrzymi kundel otrząsał się tuż obok, ochlapując ją wodą. Scena prawie jak u Normana Rockwella*, choć w lesie było zbyt ciemno jak na te jego obrazki, a poza niebiesko*żółtą kurtką nie było innych kolorów.

* Zippy!

Dziewczynka, która miała na głowie dziwaczną czapkę, podniosła bezradnie rękę. Ten jeden gest i piskliwy głosik pokazały Julianowi, jak bardzo jest pospolita. Teraz wrzuciła kij do wody. Pies odmówił aportowania. Stali tak oboje, pies i dziecko, patrząc czy raczej gapiąc się na powiększające się koła w wodzie, które utworzył wpadający kij. Ależ byli znudzeni, zarówno dziewczynka, jak i pies, i jacy nudni. Norman Rockwell musiałby być w bardzo ponurym nastroju, żeby z tej antysceny zrobić sztukę, musiałby to być jakiś anty*Rockwell, a jego dzieło z idealizmem niewiele miałyby wspólnego.

* Norman Rockwell (1894*1978) * amerykański plastyk, który tworzył idealistyczne obrazy z życia zwykłych Amerykanów.

Julian zatytułował wymyślony obraz „Mały gamoń” i odjechał w las bez słowa. Drzewa, drzewa, i to wspaniałe uczucie posiadania planety na własność, nie licząc małej dziewczynki i jej psa, poczucie własnej potęgi, posiadania władzy nad wiatrem: mógłby tak trwać bez końca... Ledwo ta myśl zdażyła mu przemknąć przez głowę, a już podróż przez las się skończyła. Drzewa znikły

nagle, prawdziwy wiatr powiał mu w twarz i oto znalazł się na skraju czyjegoś podwórka.

Julian zatrzymał się. Było to duże, nie ogrodzone podwórko, na którym dostrzegł stos drewna na opał, tuzin lub więcej piłek tenisowych porzucanych dookoła jak brudne żółte kwiaty, taras, karmnik dla ptaków. Karmnik miał kształt maleńkiego, ślicznego domku, białego z czarnymi dodatkami. Obrazował czyjaś ideę przytulnego i komfortowego miejsca. Na żerdzi przed maleńkimi drzwiczkami siedział kruk, nie jedząc, lecz obserwując Juliana. Za tarasem wznosił się prawdziwy dom, który wydawał się wyrastać z tej samej estetyki: również był biały i miał czarne dodatki, również był śliczny i przytulny. Jediną różnicą był wysoki komin z czerwonej cegły, prawdę mówiąc zbyt wysoki, sprawiający wrażenie czegoś, co zaraz się przewróci, tak jakby przechodzący obok gigant mógł go strącić jednym przypadkowym machnięciem. Ścieżka z tej samej cegły prowadziła wokół domu, biegnąc obok tarasu, mijając zwinięty wąż ogrodowy i kubły na śmieci. Julian zsiadł z roweru i przygotował sobie odpowiednią bajeczkę * o przejeździe przez las i zgubionej drodze * i poprowadził rower po ścieżce z cegły w kierunku frontu domu i Robin Road. Kiedy tak szedł, usłyszał splukiwanie toalety.

Okazało się, że nie musi nawet dochodzić do ulicy, bo w połowie trawnika przed domem dostrzegł numer na skrzynce pocztowej: 37. Przyjechał pod właściwy adres, idealnie, niczym rakietą skierowana na cel. Oparł rower o latarnię stojącą przy frontowej ścieżce, zdjął zieloną plastikową teczkę „Szóstki z Plusem” z bagażnika na tylnym kole i skierował się do frontowych drzwi.

Drzwi były czarne, mocne, z solidnymi mosiężnymi okuciami. Julian wyjął jedną z wizytówek i przybrał służbowy wyraz twarzy. Gdy naciskał przycisk dzwonka, zauważył wycieraczkę. Widniał na niej napis witajcie, a słowo oplatały stokrotki. Stokrotki! Jego nastrój, nie najlepszy od czasu porażki * nie porażki, jak mógł użyć takiego słowa? * w wymyślaniu słowa następującego po oszukać, polepszył się. Usłyszał kroki po drugiej stronie drzwi i poczuł, jak służbowy wyraz twarzy zmienia się odrobinę na bardziej sympatyczny. Z maleńkiego domku na podwórku dobiegło krakanie kruka.

Linda otworzyła drzwi. Stał w nich wysoki mężczyzna.

* Słucham? * zapytała.

Mężczyzna uśmiechnął się* przyjaźnie. * Nazywam się Julian Sawyer * powiedział.
* Jestem z Prywatnego Nauczania „Szóstka z Plusem”. Przyszedłem na powtórkę do SAT z Brandonem.

* Naprawdę? * zdziwiła się Linda. * Oczekiwaliśmy osoby o imieniu Sally.

* Niestety, zachorowała. * Podał jej wizytówkę, na której widniało logo w kształcie biretu. Zwróciła uwagę na kształt jego dłoni * ożywione dzieło Michała Anioła. *
Margie przysłała mnie w zastępstwie.

Źle się zaczyna * pomyślała Linda. Powodem, dla którego wybrała „Szóstkę z Plusem”, była rekomendacja, jaką Margie wystawiła Sally, słynącej ponoć z umiejętności radzenia sobie z niechętnymi, opornymi, niegrzecznymi aż do przesady chłopcami. Sally była studentką pierwszego roku w Trinity, gwiazdą lacrosse, wychowaną z pięcioma braćmi. Ten mężczyzna był... kim właściwie? Zbyt stary na studenta, nawet na absolwenta. Gdy Linda myślała o korepetytorach, miała na myśli studentów lub nauczycieli, a nie kogoś w tym stylu. On się nie nadawał * nie żeby nie wyglądał inteligentnie, wręcz przeciwnie, lecz na pewno nie był do przyjęcia przez Brandona. Brandona, który w tej chwili siedział naburmuszony w swoim pokoju, z naciśniętymi na uszy słuchawkami.

* Doceniam, że pan tu przyszedł w ostatniej chwili * zaczęła Linda. Zerknęła w poszukiwaniu jego samochodu, lecz jedyne, co dostrzegła, to rower górski oparty o latarnię. * Problem w tym, że Brandon nie jest zbyt entuzjastycznie nastawiony do tego pomysłu.

* Uważa, że to profanacja.

* Profanacja?

* Nauka w sobotę.

* Otóż to. A Margie uznała, że skoro Sally...

Za jej plecami pojawił się Scott, trzymając w ręku kilka strzał Ruby z niebiesko*żółtymi piórami.

* Gdzie jest jej łuk? * zapytał.

W tym momencie dostrzegł nauczyciela w zastępstwie, którego imienia Linda, jak właśnie sobie uświadomiła, nie zapamiętała. Pierwsza lekcja miała kluczowe znaczenie: jak ją odłożyć do czasu, gdy Sally będzie mogła przyjść, tak aby go nie urazić?

* Ten pan przyszedł uczyć Brandona * rzekła Linda.

* Myślałem, że...

* Jest chora. * Linda ze zdziwieniem zauważyła, że obaj mężczyźni są prawie tego samego wzrostu, Scott był odrobinę wyższy, co oznaczałoby, że ten drugi miał niecałe metr osiemdziesiąt. * Problem w tym...

Nagły krzyk * krzyk Ruby * i Zippy gnający jak strzała po chodniku, ciągnący za sobą smycz.

* Tylko nie to * westchnął Scott. Upuścił jedną ze strzał. A gdy się po nią schylał, wypadły mu pozostałe.

W tym samym momencie pojawiła się Ruby, także biegnąc, z tą idiotyczną diabelską fryzurą, bez kurtki. Zippy przeciął ulicę, a Ruby za nim, wołając: „Zippy!, Zippy!”. O Boże. Ruby chyba nie zamierza... Zrobiła to. Nie zatrzymała się, nie spojrzała w lewo i w prawo. Linda poczuła, jak paraliżuje ją strach, który nie mógłby być silniejszy, nawet gdyby naprawdę nadjeżdżał samochód.

* Ruby!

Teraz Linda również biegła. Zippy dał susa na trawnik Strombolich, kierując się wprost na krzaki róż, chlubę Robin Road każdego lata, teraz zabezpieczone folią. Nie zatrzymując się, niczym maniak realizujący swój szatański plan, Zippy rzucił się na folię.

* Zippy! * Ruby skoczyła w kierunku smyczy, złapała ją i próbowała go odciągnąć, lecz bezskutecznie. Zippy zdarł folię.

* Zippy! * krzyknęła Linda ze środka jezdni.

Zippy dopadł krzak róży tuż przy nasadzie i zaczął go szarpać w dzikiej furii,

warcząc i trzepiąc z boku na bok głową. Frontowe drzwi Strombolich otworzyły się i stanął w nich pan Stromboli w purpurowym szlafroku i kapciach, z kijem golfowym w dłoni. On również zaczął biec, zadziwiająco szybko jak na człowieka tej tuszy, z kijem podniesionym wysoko nad głową. Ruby, która stała teraz wyprostowana, zobaczyła, jak nadbiega, krzyknęła z przerażenia, zaplątała się w smycz i upadła na ziemię. Zippy szamotał się z krzakiem róży, ślepy na to, co działo się dookoła. Linda krzyknęła coś do pana Stromboli, sama nie wiedziała, co.

Nagle, zupełnie nie wiadomo skąd, nauczyciel w zastępstwie również znalazł się na trawniku Strombolich, nie przybiegł, ale po prostu tam był. Jakies trzy, cztery metry od Zippy'ego rzekł: * Do nogi.

A Zippy natychmiast porzucił krzew. Podniósł głowę do góry i ją obrócił. Spojrzał na nauczyciela w zastępstwie, podbiegł do niego truchtem

i stanął obok, machając ogonem. Wszyscy * Linda, Ruby i pan Stromboli * zastygli. Zrobiło się nienaturalnie cicho, jakby właśnie przestał pracować młot udarowy.

Nauczyciel w zastępstwie pomógł Ruby wstać, podał jej smycz, potem uklękł przy krzaku róży, kopiąc w ziemi rękoma * Linda dosłownie słyszała, jak jego palce poruszają się w glebie * ponownie zasadzając w niej korzenie. Założył z powrotem zdartą folię, podszedł do pana Stromboli i powiedział coś, czego Linda nie dosłyszała. Pan Stromboli odpowiedział, nauczyciel w zastępstwie skinął głową i podali sobie ręce. Pan Stromboli skierował się w stronę domu. Pani Stromboli była już w drodze do wyjścia, również w szlafroku, choć nie trzymała w ręku kija do golfa. Zawrócił ją i oboje weszli do środka.

* Nic się nie stało * uspokoił Linde nauczyciel.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Przede wszystkim wciąż nie mogła sobie przypomnieć jego imienia.

Brandon, znów ze słuchawkami na uszach, z których płynął głos Unka Deatha, usiadł przy stole w jadalni, obserwując, jak nauczyciel ocenia jego test klasyfikujący. Mów mi Julian, zaproponował i dodał jakiś żart o innym facecie z dziwacznym imieniem, Iszmaelu czy jakimś tam, żart, którego Brandon nie rozumiał. Julian: to na pewno gejowskie imię, choć nie wyglądał na geja, nie dosłownie, ale w tej, no, jak jej tam,

przenośni też nie. Potem już niewiele mówił, siedząc cicho na krześle taty stojącym na końcu stołu, podczas gdy Brandon pisał test. Wpatrywał się też w jakieś słowa zapisane w notatniku, z piórem w ręku, ale nic nie napisał. Później wstał i oglądał wystawę fotografii na ścianie obok kredensu, w większości starych już zdjęć dzieci podczas gry w tenisa: Ruby, Brandona, Adama. Wreszcie zerknął na butelki znajdujące się na stojaku do win. Tam właśnie stał * tuż za Brandonem * gdy powiedział: „Czas minął”, zaskakując Brandona odrobinę i zabierając mu testy. Unka Death to było to. Aten jego teledysk * odjazdowy. Ta dziewczyna w złotych spodenkach i białej peruce staruszki. Myślał o niej co noc.

Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym. Numerki zaliczamy i z krzyża spuszczaemy A druta ssące cipki...

Brandon zdał sobie sprawę, że nauczyciel na niego patrzy, poruszając ustami i wygładzając testy dłonią. Zdjął słuchawki z uszu, czując na szyi wibrowanie rapu Unka Deatha.

* ...porównując te wyniki z prawdziwym testem * mówił Julian. * Tym razem poszło ci odrobinę lepiej z matematyki i podobnie ze słownictwa.

Ale numer! Gościu ma kozią bródkę pod dolną wargą, niezły odjazd!

* Interesują cię dokładne wyniki? * zapytał. Miał też fajny głos, jak aktor.

* Chyba tak.

Nauczyciel zerknął do testu. * Sześćset matematyka, pięćset słownictwo, w sumie tysiąc sto.

Sześćset. Nie brzmiało źle. Jak on ma na imię? Julian, ale nie gej. Brandon czekał, aż powie: „Nieźle” czy „Dobra robota”, albo coś w tym rodzaju.

Julian nie powiedział ani słowa. Otworzył zieloną teczkę, przewrócił kilka kartek, zatrzymał się. Brandon odczytał do góry nogami słowo: kwestionariusz.

* Jaki college cię interesuje?

* Nie wiem.

Julian zaznaczył kwadracik. * Średnia ocen?

* Około cztery dwa.

* Ulubiony przedmiot? Brandon wzruszył ramionami.

* Wobec tego najmniej znienawidzony.

Brandon pomyślał. Szkoła była tak cholernie nudna. Praktycznie przez cały czas będąc na lekcjach, myślami błądził gdzie indziej. * Może historia.

Julian zapisał. * Najlepsza książka, jaką czytałeś w zeszłym roku?

* Helter Skelter*. * Była to jedyna książka, jaką w zeszłym roku przeczytał * znalazł ją w garażu Deweya.

* Helter Skelter?

* O morderstwach Rodziny Mansona.

Julian wyglądał tak, jakby miał się uśmiechnąć, ale tego nie zrobił. * Co ci się w niej podobało?

* No, była ciekawa * odparł Brandon.

* Vincent Bugliosi, Curt Gentry, Helter Skelter. Sprawa Mansona * opowieść o zabójstwach dokonanych w 1969 roku przez sektę o nazwie Rodzina Mansona (od nazwiska założyciela Charlesa Mansona), spisana przez prokuratora prowadzącego tę sprawę. Helter Skelter to także tytuł piosenki nagranej przez Beatlesów w 1968, która rzekomo stała się inspiracją dla Charlesa Mansona.

Julian obserwował go, być może czekając na dalszy ciąg. Brandonowi nic więcej nie przychodziło do głowy.

* I w końcu * rzekł Julian, wracając do kwestionariusza * plany na przyszłą karierę zawodową?

Brandon pokręcił tylko głową.

* Napiszę po prostu, że interesują cię seryjni mordercy.

Powiedział to tak poważnie, że Brandon nie załapał. A gdy załapał, zaczął się śmiać. Teraz uśmiechnął się i Julian. * Mała niespodzianka dla Sally, jak tu przyjdzie w przyszłym tygodniu.

Brandon znów wybuchnął śmiechem. Wyłączył MP3. Julian zapisał coś na kartce.

* Naprawdę tak napisałeś? * zapytał Brandon.

* A powinienem?

Brandon wzruszył ramionami. Julian przesunął mu teczkę po stole. W polu obok planów na karierę zawodową widniało: Niesprecyzowane.

* Nie ma potrzeby straszyć Sally * wyjaśnił Julian. * Ale zostawię jej wiadomość, żeby poświęciła więcej czasu na analogie.

Brandon nienawidził analogii.

* Nie przepadasz za nimi? * zapytał Julian.

* Takie są... * Pokręcił głową.

* Są do dupy?

* No. * Dokładnie to miał na myśli, choć to słowo w ustach Juliana zabrzmiało tak dziwnie, że Brandonowi zdawało się, jakby słyszał je po raz pierwszy.

Julian otworzył książkę z testami. * „Mściwość ma się do rozlewu krwi” * zaczął. * Zaznaczyłeś C: „tak jak smutek do śmierci”.

* Źle?

Julian obszedł stół, usiadł i położył przed Brandonem testy.

A) nóż : rana

B) deszcz : kukurydza

C) smutek : śmierć

D) elektryczność: światło

E) miłosierdzie : pielęgnowanie chorych

Brandon wpatrywał się w pytanie, czując, że jego umysł jest zbyt zmęczony, by myśleć lub choćby chłonąć znaczenie pojedynczych, codziennych słów. Może naprawdę był głupi. A w ogóle co to za dupek wymyślił cały ten bajzel z dwukropkami? Czuł na sobie wzrok Juliana.

* Przychodzi ci coś na myśl? * zainteresował się Julian.

Brandon pokręcił głową.

* A może spróbujesz metody przyczynowo*skutkowej?

* Przyczynowo*skutkowej?

* Na przykład, mściwość powoduje rozlew krwi. A teraz, czy nóż powoduje ranę?

* No.

* A nóż, którym kroimy chleb?

Podczas gdy Brandon zaczął się nad tym zastanawiać, Julian zapytał:

* A deszcz i kukurydza? Jest związek przyczynowo*skutkowy?

* Tak jakby * odpowiedział niepewnie Brandon.

* Rada numer jeden * rzekł Julian. * Wyeliminuj wszystkie „tak jakby”.

Elektryczność i światło?

* Jasne * odparł Brandon, lecz nie był już pewien.

Julian sięgnął do kieszeni i wyjął drewnianą zapałkę. Nie pudełko, lecz jedną. Zapalił ją kciukiem, z łatwością, nawet na nią nie patrząc, z oczami utkwionymi w Brandonie. Do czego zmierzał? Że można mieć światło bez elektryczności? Aha.

* Miłosierdzie i pielęgnowanie chorych? * kontynuował Julian.

* Wydaje mi się, że to jest właściwe * zdecydował Brandon. * Wszystko wziąłem na odwrót.

* Na odwrót? * Julian bacznie się mu przypatrywał. Było coś w jego oczach, tak jakby napędzał je chip najnowszej generacji.

Brandon skinął głową.

* Śmierć wywołuje smutek? * zapytał Julian. * A rozlew krwi mściwość?

* Zupełnie to schrząniłem, co?

* Niezupełnie * odparł Julian. Zdmuchnął zapałkę i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu popielniczki. Lecz jej nie znalazł. Nikt w tym domu nie palił, poza Brandonem, gdy udało mu się dorwać trawkę. Julian wsunął spaloną zapałkę do kieszeni. Procesor najnowszej generacji widoczny w jego spojrzeniu wyłączył się. * To całkiem wytłumaczalne * wyjaśnił. * Problem polega na tym, że uczelniana komisja rekrutacyjna nie ma czasu na tłumaczenia studentów.

Brandon wybuchnął śmiechem.

* A więc?

Brandon wzruszył ramionami.

* A więc, Brandon, musisz nauczyć się myśleć tak jak oni.

* Jak komisja?

* To nie takie trudne. Tak naprawdę to wcale nie jest trudne. Wyobraź sobie ludzi, którzy układają takie pytania. Czy są genialni?

* Nie wiem.

* A może po prostu inteligentni?

* Tak, inteligentni.

* Po prostu inteligentni, ale nie genialni. Słuchają Beatlesów? Czy raczej Unka Deatha?

Brandon był zaskoczony. Unka Death to zupełna nowość. A Julian wyglądał zbyt staro, by wiedzieć cokolwiek na temat rapu, choć nie tak staro jak mama i tata * nie miał zmarszczek, jego włosy były gęste, a brzuch płaski. Albo zmieniło się światło, albo Julian podniósł wyżej głowę, ponieważ przez sekundę jego oczy były jak lustro, nieprzejrzyste i połyskliwe. Brandon zdał sobie sprawę, że wpatruje się w Juliana, być może zbyt nachalnie, i odwrócił głowę.

* Na pewno znasz kogoś w szkole * kontynuował Julian. * Być może nie jest to jeden z twoich najbardziej rozrywkowych przyjaciół, lecz zwykle zna odpowiedź na każde pytanie.

Sam. Nie z jego szkoły. Z Andover. Ale Sam.

* Rada numer dwa * rzekł Julian. * Myśl tak jak on. Do dupy...

Wtedy Julian dodał: * Tylko na czas testu. Nikt się o tym nie dowie.

Brandon parsknął śmiechem. Julian w pewnym sensie był zabawny, przebiegle zabawny.

Julian zerknął na zegarek. * Twoje męki dobiegły końca. * Wstał i zebrał materiały. * Na dziś.

Brandon również wstał, przetarł oczy dłonią i spróbował sobie przypomnieć, czy wciąż ma szlaban, czy może przygotowanie do SAT było jedyną karą za Nowy Jork. Była to ważna kwestia, bo wieczorem szykował się piwny jubelek nad jeziorem. Przez okno dostrzegł Ruby wsiadającą do samochodu mamy, z łukiem w ręku i kołczanem przy pasie. Julian również ją obserwował.

* Twoja siostra jest łuczniczką? * zainteresował się.

* Tak bym tego nie nazwał.

Ruby wyraźnie nie mieściła się z łukiem w samochodzie, dlatego jego końcówka sterczała przez uchylone okno. I wyglądało na to, że mama krzyczy coś do niej. A Ruby jej odkrzyknęła.

* Co sprawiło, że zainteresowała się łucznictwem? * zapytał Julian.

* Mnie o to nie pytaj * odparł Brandon. * Zresztą trochę z niej jest wrzód na tyłku, jeśli chcesz wiedzieć.

Julian spojrział na niego. * W jakim sensie? Brandon wzruszył ramionami. * Miałeś kiedyś młodszą siostrę? Oczywiście Juliana znów zrobiły się jak lustra. * Nie * odparł. Do pokoju wszedł tata ubrany w krótkie spodenki i ochraniacze na kolana, zakładając dopiero koszulkę polo.

* Koniec?

* Koniec * odparł Julian, zerkając na goły brzuch ojca. O kurczę, tata zaczynał tyć.

* Jak mu poszło?

Julian spojrział na Brandona. * Zrobiliśmy krok do przodu?

Brandon wzruszył ramionami.

Tata podszedł z czekiem w rękę i wręczył go Julianowi.

* A tutaj mały dodatek za zastępstwo. * Dorzucił jeszcze pięciodolarowy banknot. *

Dobra robota, Bran * rzekł, wychodząc z pokoju.

Julian przez chwilę wpatrywał się w banknot, tak jakby dokładnie go odczytywał.

Następnie zgiął go na pół, jeszcze raz na pół, i schował do kieszeni, gdzie tkwiła zgaszona zapalka.

Wyciągnął dłoń. * Powodzenia na egzaminie.

Uścisnęli sobie ręce. Dłoń Juliana była ciepła, prawie gorąca.

* Rada numer trzy * powiedział. * Komisja rekrutacyjna lubi grzecznych chłopców.

* Więc wybieramy odpowiedź z Beatlesami?

* Zrobiliśmy krok do przodu * stwierdził Julian.

Brandon odprowadził Juliana do drzwi i patrzył, jak wsiada na rower. Julian wjechał na podjazd, zatrzymał się przyjezdni i odwrócił głowę.

* Z Beatlesami i Ali You Need Is Love * krzyknął. * A nie Helter Skelter.

Następnie odjechał ulicą Robin Road. Jego rower marnie wypadł w porównaniu z rowerem Brandona, od dawna już nieużywanym, choć Julian jechał bardzo szybko i wkrótce zniknął mu z oczu.

Sobota zawsze wiązała się z uprawianiem sportu: piłki nożnej, baseballu, siatkówki, koszykówki, jazdy figurowej na lodzie, a nawet (przez jakiś krótki czas) hokeja. Lecz

teraz, dzięki Bogu, były tylko dwa:

Tenis, z jakiegoś nieszczęśliwego powodu ich sport rodzinny. Gra polegająca na bieganiu w tę i z powrotem po kwadratach i prostokątach, na dyszeniu i sapaniu, na dzikich okrzykach, wymachiwaniu ręką w dół i w górę, na kłótniach i ciągłych przegranych z Kylą, mistrzynią loba. Nie wspominając już o Erichu i jego blond włosach, zaczesanych do tyłu, opadających na kołnierzyk koszulki polo, o całorocznej opaleniznie tej samej barwy co zniszczony skórzany neseser taty, no i tych oczach, osadzonych praktycznie w jednym oczodole.

I łucznictwo, jej własny wybór. Żadnego dyszenia i sapania, lobów ani kłótni. Już samo słowo należało do jej ulubionych. Tenis brzmiał jak choroba, za to słowo łucznictwo, po raz pierwszy napotkane w książeczce do kolorowania na temat legend i mitów już w dzieciństwie * obrazek przedstawiał Dianę na polowaniu, złote włosy, błękitna tunika * zainteresowało ją łucznictwem jako sportem. Co za odlotowe słowo, już samo jego brzmienie jest fantastyczne, a na dodatek to podwójne znaczenie łuku: łuk do strzelania i łuk jako tor, po którym mknie strzała. Dodatkowo inne odlotowe słowa, takie jak: kliker, opierzenie, trajektoria, kołczan. Zamiast nudnych typu: dobra piłka, zła piłka, i wstrętnych typu: błąd serwisowy, podwójny błąd serwisowy. No i tego najbardziej beznadziejnego zero, które oznacza, że przegrało się z kretesem i jest się niczym.

Ruby podeszła do linii strzału, wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze, tak jak nauczyła ją Jeanette. Uwielbiała cały ten rytuał: nasadzanie strzały na cięciwę, nie za ciasno, ustawianie jej tak, że żółte pióro (pozostałe dwa były niebieskie) tworzyło z łukiem L; a potem naciąganie * ręka, nadgarstek, przedramię, wyprostowane, w jednej linii ze strzałą, której grot spoczywa na kostce jej palca, a cięciwa leciuchno dotyka czubka nosa, ociera się o usta, zakotwiczona.

Zakotwiczenie: mogła wymienić całą listę rzeczy, dla których lubiła ten akurat moment w łucznictwie.

1. Siła drzemiąca w łuku, zanim jeszcze wystrzeliła, jakby trzymała w dłoniach coś żywego.
2. Sposób, w jaki opuszki jej palców na cięciwie jednoczyły łuk ze strzałą,

umożliwiają strzał.

3. Wszystko tak nieruchome, a najbardziej nieruchoma ze wszystkiego odległa tarcza widziana ponad strzałą.

4. Środkowe kółko na tarczy, żółte, prawie złote jak garnuszek cennego kruszcu czekający na końcu tęczy.

5. No i przede wszystkim ten nieśmiały, pożegnalny pocałunek cięciwy dotykającej ust w momencie wypuszczenia strzały.

Ruby puściła. Po prostu puść, niech cięciwa wyślizgnie ci się z palców. To wyślizgiwanie też było przyjemne.

Jej strzała pomknęła, niebieskie i żółte piórka zlały się w jedno, niebieskie jak niebo i żółte jak słońce, dlatego właśnie wybrała te kolory * nie były jej ulubionymi, lecz były jak barwy rycerskie. Patrzenie na lecącą strzałę też było przyjemne, gdy zrobiła już wszystko, co do niej należało, i teraz niech się dzieje, co chce. Pewnego Sylwestra jeszcze przed jej narodzinami, gdy Brandon miał cztery lata, Adam rzucił do niego piłeczkę tenisową w ostatniej sekundzie starego roku, a Bran złapał ją w pierwszej sekundzie nowego. Lot strzały był do tego podobny.

Trach. Ruby była zbyt daleko, by usłyszeć odgłos strzały wbijającej się w tarczę czterdzieści metrów dalej, ale proszę, jej strzała tkwiła w żółtym. Tak, w żółtym! Wprawdzie w tym zewnętrznym, blisko czerwonego, ale nie dotykając go, zdecydowanie w żółtym. Wpatrywała się w swoje sześć ostatnich strzał tego dnia, niezbyt skupionych, lecz i tak: jedna w czarnym, jedna w niebieskim, dwie w czerwonym, dwie w żółtym, w tym jedna w samym środku.

* Koniec na dziś, Ruby * powiedziała Jeanette.

Jeanette prowadziła zajęcia dla dzieci w klubie łuczniczym. Kiedyś Ruby była świadkiem, jak Jeanette trafiła jabłko z siedemdziesięciu metrów.

Dzieci podeszły do słomianych tarcz i zaczęły wyciągać z nich strzały. Jeanette podjechała za nimi w swoim pickupie i zaczęła wkładać tarcze na pakę, po dwie naraz.

* Wskakujcie * krzyknęła.

Dzieci wskoczyły do samochodu. Podjechała z nimi do miejsca, w którym czekali

rodzice, na starym boisku liceum West Mili, gdzie mamy lub tatusiowie siedzieli za kierownicami samochodów z włączonym silnikiem i ogrzewaniem.

Ruby wsiadła do jeepa.

* Na pewno przemarzłaś * zmartwiła się mama.

Jeanette usłyszała mamę przez otwarte okno pickupa. * Nigdy nie jest za zimno na strzelanie, prawda, Rubester?

* Prawda * odparła Ruby.

* Trzymaj się łuku * rzuciła jak zwykle na pożegnanie Jeanette.

* Jasne * odpowiedziała Ruby, ściskając kołczan pomiędzy kolanami. Jeanette * jeszcze jeden plus łucznictwa * wyciągnęła rękę i głośno zamknęła za nią drzwi.

Mama odwróciła się i spojrzała na Jeanette, drżąc z zimna. Gdy odjeżdżały, olbrzymie stado ptaków pikowało nad pustym polem, by za chwilę unieść się w górę jak czarna, wzbierająca fala. Ruby wiedziała, że nigdy nie byłaby w stanie strzelić do ptaka ani innego żywego stworzenia, lecz nie powstrzymało jej to od zastanawiania się, czy udałoby się jej trafić go w locie. Spróbowała zrobić to w myślach * naprowadzenie na cel, jeszcze odrobinę, strzał, trach i opadające pióra.

* Celuję bez pudła.

* Słucham, Ruby?

* Nie, nic. * Dobry Boże, powiedziała to na głos. Sprawdziła, czy mama ją usłyszała, rzucając ukradkowe spojrzenie w jej stronę. Mama myślami błędziła gdzie indziej, żadna riposta nie nastąpiła. A ptaki prawie zniknęły już z pola widzenia. Były teraz maleńką chmurką, ciemniejszą niż reszta chmur i poruszającą się w przeciwnym kierunku. Te opadające pióra nie były zabawne: nigdy nie potrafiłaby strzelić do żywej istoty.

No to gramy, panowie * powiedział Erich z tym swoim śmiesznym akcentem.

Deble w sobotnie popołudnia: dla Scotta obecnie jedyny moment, kiedy grał w tenisa, nie licząc odbijania piłki z Brandonem, mniej więcej raz w miesiącu. Bo Ruby całkiem już się zbuntowała i zeszła z kortu ostatnim razem, gdy z nią grał. Jak masz zamiar odbijać piłkę tak wysoko, to zapomnij. Dzieciaki bywały czasem cholernie niegrzeczne, zarówno Brandon, jak i Ruby. Brandon przypuszczalnie potrzebował

tęgiego pasa, ale nikt nie bił dzieci w tych czasach, a Scott wątpił, czy byłby do tego zdolny w jakichkolwiek innych. Co do Ruby... Wciąż usiłował dokończyć tę myśl, gdy Tom położył piłki na jego rakiecie.

* Serwuj pierwszy * rzekł.

Deble w sobotnie popołudnia: Scott i Tom grali przeciwko Erichowi i temu, kogo Erich ze sobą przyprowadził. Grali ostro przez półtorej godziny, sypali kawałami, czasem się przy tym spocili, posiedzieli w saunie, czasami szli na piwo, które stawiali przegrani. Dziś było odrobinę inaczej przede wszystkim dlatego, że Scott planował pomęczyć Toma interesem z Symptomaticą. Po drugie, Erich przyprowadził ze sobą Mickeya Gudukasa.

Dlaczego? Erich nigdy przedtem nie zapraszał Gudukasa i choć Scott nigdy jeszcze z nim nie grał, widywał go już kilkakrotnie na korcie, wystarczająco często, by wiedzieć, że Gudukas prezentuje niższy poziom. Nie, żeby sami byli tacy dobrzy * Scott i Tom trenowali na studiach,

a Erich grywał tu i ówdzie na świecie, twierdząc nawet, że startował w Pucharze Davisa, chociaż Sam w Internecie sprawdził listy zawodników dwadzieścia pięć lat wstecz i nie znalazł jego nazwiska. Byli dość dobrzy, choć o świetności nie mogło być mowy nawet w najlepszych czasach, ale i tak dla słabego gracza, takiego jak Mickey Gudukas, stanowili zbyt trudnych przeciwników.

To był jeden problem. Inny to: Ten łysy mańkut, który wciąż popełnia błędy stóp? Ten łajza? Tom miał bzika na punkcie etykiety na korcie. Scott, stojąc na końcowej linii, podniósł piłki i powiedział:

* Pokażmy, jak się gra, panowie.

Miał nadzieję, że Gudukas weźmie to sobie do serca.

* I się zabawmy * dodał Erich, stojąc po przeciwnej stronie kortu. Zabrzmiało to jak: I się zbawmy. Scott uznał, że to nawet trochę śmieszne.

Gudukas, czekając na końcu pola serwisowego, nie odezwał się. Wyglądał na dość spiętego jak na debla w sobotnie popołudnie, z ugiętymi nisko * za nisko * kolanami, w za ciasnych szortach, z łysiną, w której odbijały się światła, i kroplami potu występującego mu już pod nosem. Pomału ustawiał się do bekhendu w sposób

typowy dla graczy ze słabym bekhendem, którzy w ten sposób próbowali skusić przeciwnika do uderzenia na forhend.

Powodzenia. Staruszek zwrócił im na to uwagę, jeszcze zanim odbyli pierwszą formalną lekcję: jeśli widzisz gdzieś słabą stronę, tam właśnie uderzaj. Scott wykonał slajs na bekhend Gudukasa * piękny, doprawiony złośliwością: czuł, że to będzie całkiem niezły dzień.

* Aut * odezwał się Gudukas, nawet nie ruszając się z miejsca. Piłka dotknęła linii. Nie tylko jej dotknęła, lecz wylądowała w samym jej środku. Scott domyślił się tego, widząc napięte mięśnie pleców Toma stojącego przy siatce, choć Tom nawet się nie poruszył. Takie oszustwa na korcie były jeszcze gorsze niż błędy stóp. Twarz Ericha pozostała oczywiście niewzruszona. Brał życie takim, jakie jest, czego nauczył się, kręcąc się po świecie i grywając na różnych zadupiach, jeśli nie wyssał tego z mlekiem matki.

Scott wykonał kolejny serw, podkrecając piłkę, dokładnie tam, gdzie chciał tego Gudukas. Scott od dawna nie podkrecał piłek z powodu kontuzji ramienia i teraz od razu poczuł dobrze mu znany kłujący ból, bardzo głęboko, ale choć ten mecz nie miał większego znaczenia, nie potrafił opanować uczucia wściekłości.

Gudukas zamachnął się i nie trafił w piłkę. Piętnaście do zera.

* Gott im Himmel * zaklął Erich. * As w drugim serwie. Może od razu pójdziemy pod prysznic.

Tom podszedł do Scotta i rzucił mu piłkę. Ich oczy się spotkały.

* Co znaczy Gott im Himmel? * zapytał Scott.

* Nie mam pojęcia * odparł Tom. * Ale bardziej martwi mnie ten tekst o prysznicu.

Scott wybuchnął śmiechem. Tom mu zawtórował. To było śmieszne, nie trochę śmieszne, ale totalnie śmieszne. Wciąż mieli tenis we krwi. Jak to powiedziała Ruby? Że tenis jest jak matematyka? Czyżby miała wyrosnąć na osobę, która nie będzie umiała czerpać radości z życia? Chyba trochę tak jak Linda * jak Linda teraz. Scott odsunął od siebie te myśli i zaserwował do Ericha na forhend.

Erich rzucił się na piłkę, podskakując na swych krzywych nogach, kierując odbicie wprost do stóp Scotta. Scott zanurkował po piłkę, wzbil ją w powietrze, wprost na

rakiety Gudukasa. Było to łatwe odbicie, lecz Gudukas wziął zbyt duży zamach, całkiem jakby chciał wybić w Scotcie dziurę, i dosłownie cudem trafił w piłkę ramą, posyłając ją nad siatką. Tom zrobił krok naprzód i uderzył tak, jak to on potrafił, zdecydowanie, szybko i bez pudła, a piłka ominęła wyciągniętą do bekhendu rakiety Gudukasa.

Trzydzieści do zera. Gudukas próbował teraz rakiety podnieść piłkę z kortu, ale mu nie wychodziło. Erich, stojący za nim, zrobił minę wyrażającą myśl, że to będzie długie popołudnie. Scott zdecydował, że przy następnym serwie łagodniej potraktuje Gudukasa, z myślą o Syptomatice. Wykonał kolejny slajs, nie tak ostry jak poprzednio i tym razem na forhend. Gudukas mocno zamachnął się do tyłu * napiął wszystkie mięśnie, by zaatakować * i z ogromną siłą uderzył w piłkę. Sądząc po jego ustawieniu, piłka powinna polecieć po przekątnej, tymczasem uderzyła w Toma. Tom był kompletnie zaskoczony. Piłka trafiła go w sam środek czoła.

* Rany boskie * jęknął Erich.

Gudukas uniósł dłoń do góry w przeproszającym geście.

Scott podszedł do brata. * Wszystko w porządku?

Tom spojrzał na niego, sięgnął do kieszeni spodenek i podał mu piłkę. * Trzydzieści do piętnastu * powiedział i nie dodał nic więcej.

Na jego czole pojawiło się blade, bezkrwiste kółko. Nawet nie spojrzał na Gudukasa, tylko zajął swoje miejsce przy siatce.

* Możemy grać dalej? * zapytał Erich.

Zarówno Tom, jak i Scott skwitowali to milczeniem. Wszystko, nawet życie, wydawało się przez chwilę proste. Byli braćmi, grali po tej samej stronie i razem mieli zetrzeć Mickeya Gudukasa w proch. Tom dał mu znak, trzymając rękę za plecami: zaciśnięta pięść, piłka na forhend Ericha, lecz tym razem odbierze Tom. Scott wyrzucił piłkę w powietrze i odchylił się do tyłu.

Dźwięk telefonu komórkowego zabrzmiał jak wystrzał. Ręka Scotta zawisła w powietrzu w niewygodnej pozycji, która wywołała znacznie dotkliwszy ból niż ten przy poprzednim serwie. Gudukas krzyknął:

* Czas * i rozpoczął walkę z telefonem tkwiącym w kieszeni zbyt obcisłych szortów.

Zarówno w holu, szatniach, jak i na podwójnych drzwiach prowadzących na kort widniał napis: Zakaz korzystania z telefonów komórkowych w budynku. Do tego błędy stóp, oszustwa w sędziowaniu i niezdarna gra Gudukasa: całkiem jakby przeprowadził wnikliwe dochodzenie na temat tego, jak wyprowadzić z równowagi Toma i raz na zawsze pogrzebać układ dotyczący Symptomatiki.

Gudukas rozmawiał przez telefon. Scott, Tom i Erich stali przy siatce: Erich wykonywał sztuczki z rakieta, tocząc ją w górę i w dół po rękach; Scott wykonywał sztuczki z piłką, odbijając ją w przód i w tył jak Boris Becker; Tom zaś stał nieruchomo, przyciskając raketę do piersi.

Gudukas należał do ludzi, którzy bardzo głośno rozmawiają przez komórkę, jak farmerzy przez rozpadające się telefony na starych filmach.

* To chyba jakiś pieprzony żart? * wrzasnął. A potem dodał: * Nie mogę w to, kurwa, uwierzyć.

Zerknął na nich. Wszyscy odwrócili wzrok, poza Tomem, który i tak na niego nie patrzył.

* Co słyszeć u Sama? * zainteresował się Erich.

* Dziękuję, dobrze * odparł Tom.

* Nadal podoba mu się w Andover?

* Jeszcze jak.

* A jak drużyna?

* Jeden z jego kolegów wybiera się do Stanford, a drugi do Duke.

* W Stanford dobrze grają w tenisa * stwierdził Erich. * Znam Billy'ego Mixera.

* A kto to? * zaciekawił się Tom.

* Trener.

* Naprawdę? * rzekł Tom.

* Graliśmy razem w deblu na finałach w Estoril w osiemdziesiątym dziewiątym * wyjaśnił Erich. * Ten chłopak, który wybiera się na Stanford * to gracz numer jeden w Andover?

* Tak.

* A Sam?

* Wygląda na to, że tej wiosny zostanie graczem numer dwa.

* Mógłbym zadzwonić do Billy'ego * zaproponował Erich. * Szepnąć mu słówko.
Scott przestał naśladować Borisa Beckera.

* Myślisz, że Sam mógłby grać dla Stanford? * zapytał Tom. Wydawał się mile zaskoczony.

Erich zastanawiał się. A gdy się tak zastanawiał, Gudukas wrzasnął:

* Co za głupi dupek.

Erich zamrugał. * Sam ma dobre nastawienie * oznajmił. * Zadzwoń do Billy'ego.

* Dzięki * odparł Tom.

Czy tak właśnie dzieją się wielkie rzeczy? * pomyślał Scott. * Tak po prostu?

* Hej, chłopaki * zawołał Gudukas, podchodząc bliżej. * Coś mi wypadło i, cholera, nie może czekać. A właśnie zaczynaliśmy niezły mecz * musimy to powtórzyć.

Dzięki za zaproszonko, Erich. Do zobaczenia, Scott. Fajnie było cię poznać, Tommy.
Tommy. Nikt go tak nie nazywał, ani teraz, ani nigdy wcześniej.

Gdy Gudukas zniknął, Scott zaproponował: * Moglibyśmy popukać trochę we trójkę.
Erich machnął odmownie ręką. * Grajcie, chłopcy. Ja mam milion rakiet do naciągnięcia.

Scott i Tom spojrzeli na siebie.

* No, nie wiem * rzekł Tom.

* Dobra * odparł Scott. * Darujmy sobie.

Tom ruszył w kierunku ławki, na której zostawili bluzy, pokrowce na rakiety i wodę.
Scott odrobinę zniżył głos.

* A co z Brandonem? * zapytał. Wielkie rzeczy tak po prostu.

* Z Brandonem? * zdziwił się Erich, nie siląc się na dyskrecję.

* Iz tenisem * wyjaśnił Scott.

Erich zaczął się zastanawiać. * Musi popracować nad systematycznością, oczywiście.
Ale pomyślę o tym, by przeszedł w tym roku na kolejny poziom. Może nam od czasu do czasu trochę pomóc.

* Nie miałem na myśli West Mili. Chodziło mi o jego przyszłość, college.

* College? * zapytał Erich. Podobnie jak wielu dobrych tenisistów, miał zbyt blisko

siebie osadzone oczy. Teraz przerwa między nimi wydawała się jeszcze mniejsza. *
Jak Stanford czy Duke?

Było coś ponizającego w sposobie, w jaki wymówił te dwa słowa: Stanford i Duke.

* Nie, no, pomówmy o trzeciej lidze * rzekł Scott, a jego głos zrobił się nagle ostry, choć może była to wina akustyki w pomieszczeniu. * Powiedzmy o Middlebury czy Tufts.

* Middlebury * zaczął Erich * Tufts. * Zwilżył usta językiem. * Musisz wiedzieć, Scott, że obecnie nawet w trzeciej lidze jest dość trudno.

Scott zerknął na Toma. Tom zdejmował z łokcia ochraniacz i wydawało się, że nie przysłuchuje się rozmowie.

* Ale kto wie? * kontynuował Erich, zachęcająco poklepując Scotta po ramieniu. *
Może jednak zagrać, chłopcy? Kort macie na koszt firmy.

Tom odwrócił się. * Tak? * rzucił. Jego oczy napotkały spojrzenie Scotta.

I tak musiało się to kiedyś zdarzyć. * Pal licha * rzekł Scott. * Czemu nie?

* Szybkiego seta? * zaproponował Tom.

Scott wzruszył ramionami. Co to miało znaczyć? Szybkiego dla kogo? Poczucie jedności i wspólna chęć starcia Mickeya Gudukasa na proch znikły.

* No to grajmy * powiedział Tom. Bezkrwawe kółko na jego czole zaczynało przybierać czerwoną barwę.

* Dobrze się zbawcie * rzucił Erich.

Nie grali przeciwko sobie od lat. Z nich dwóch to Scott był lepszym graczem: plasował się wyżej w rankingu Amerykańskiego Towarzystwa Tenisowego Nowej Anglii w czasach, gdy obaj jeszcze byli klasyfikowani; na studiach robił sportową karierę, przewyższając w rankingu kilku graczy, którzy z kolei przewyższali Toma. Był roślejszy, silniejszy, szybszy i serwował z większą mocą. A jednak nigdy nie pokonał Toma. Nie udało mu się to, gdy byli małymi chłopcami, nastolatkami ani młodymi mężczyznami. Gdy ostatnio stanęli przeciwko sobie, Scott miał dwadzieścia jeden lat i był na ostatnim roku w UConn, a Tom miał dwadzieścia trzy lata i pracował dla ojca. Grali na starych, nie istniejących już ceglanych kortach w klubie sportowym w Old Mili, sami w środku dnia zbyt gorącego dla in

nych. Tom: 7*6, 6*7, 7*6 (13*11). Scott był wtedy najbliższej wygranej * zbliżyć się jeszcze bardziej było prawie niemożliwe. Schrzanął wtedy chyba z dziewięć serwów * pokłócili się potem, doszło nawet do przepychanki, prawie że walki, mimo iż nie byli już nastolatkami.

Scott wetknął dwie piłeczki do kieszeni, a trzecią trzymał w ręku. Tom czekał po drugiej stronie, jakieś pół metra przed linią końcową, co zdenerwowało Scotta. Nie był spięty i zgarbiony jak Gudukas, tylko zrelaksowany. Szybki dla kogo?

Scott pomyślał, że mógłby powiedzieć coś w stylu: „Zbawmy się dobrze” * lecz szybko zmienił zdanie, nękany natrętnie powracającą myślą o schrzanionym dziewiątym serwie, myślą, która nie nawiedzała go od ponad dziesięciu lat. Scott wciąż to widział: pewne uderzenie kończące, tylko że piłka dotknęła górnej części siatki i zamiast przez nią przelecieć, podobnie jak przy poprzednich dwóch * dwóch! * serwach Toma, spadła na jego stronę kortu.

„Zwykły pech” pomyślał Scott, wyrzucając piłkę w powietrze. Pech, fatum, Stanford, Duke. Te myśli będą go znów nękać. Wielkie rzeczy, tak po prostu. Od razu zaczął od podkreślonej piłki.

Tom, 6*0.

Szybki set. Gdy było po wszystkim, uścisnęli sobie ręce, odwracając spojrzenia. Tom powiedział coś pocieszającego o szczęśliwym trafie, dobrych i gorszych dniach. Scott nie mógł wydobyć z siebie głosu. Jego twarz, ciało, ręce płonęły. Cisnął rakieta, roztrzaskując ją o kort.

Tom udał się do szatni. Scott skierował się do siłowni, gdzie szaleńczo podnosił ciężary, starając się wypocić cały gniew. Nie mógł się równać z Tomem. Brandon nie mógł się równać z Samem. Siedemdziesiąty piąty centyl kontra dziewięćdziesiąty dziewiąty. To mówiło samo za siebie. Dziewięćdziesiąty dziewiąty * tam czekała cała śmietanka, śmietanka amerykańskich możliwości, słodkie życie ponad całym tym dziadowaniem. Ci na poziomie dziewięćdziesiątego dziewiątego centyla pewnie nawet nie wiedzieli, że biorą udział w jakimś wyścigu. Czy tak już będzie zawsze, czy już zawsze będziemy tuż za najlepszymi? Pomyślał o Adamie, Adamie, który mógł konkurować z każdym i we wszystkim.

Myśl o Adamie uspokoiła Scotta. Nie o jego zwycięstwach, nie o tym, jaką byłby gwiazdą, lecz po prostu o nim samym. Wstał z ławki, zdjął z drążka ciężarki i odwiesił je na miejsce. Scott oczywiście kochał jednak każde ze swoich dzieci, tak jak należało. Och, ale Adam...

W szatni przebrał się w kąpielówkę, przeszedł obok sauny, jeszcze nie gotowy na spotkanie z Tomem, i skierował się na taras. Hub zainstalował tu jacuzzi, teraz zasnute w kłębach pary. Scott usiadł w gorącej, bulgoczącej wodzie, ruchem ciała rozganiając parę; i oto jego oczom ukazał się Tom, siedzący po przeciwnej stronie.

* Przestraszyłeś mnie * odezwał się Tom.

* Tak?

Siedzieli zanurzeni w oparach aż po szyje. Widok z tarasu rozciągał się na miejski las, ten sam, który okalał Robin Road, lecz z drugiej strony. Drzewa widziane przez kłęby pary wyglądały jak ciemna masa, lecz bezpośrednio nad głowami znajdowała się dziura, niczym oko huraganu. Przeleciało nad nim stado ptaków, kierując się w stronę drzew.

Scott myślał o tym, że powinien powiedzieć coś, co usprawiedliwiłoby zniszczenie rakiety, przekleństwa i całą resztę. Czy Tom opowie o tym Deborah, a może i Samowi? Scott nie wiedział. Tom potrafił być czasami trudny do przewidzenia.

* Myślałem, że nie lubisz jacuzzi * zaczął Scott. Kilka lat temu Tom posiadał podobną wannę na własność w swoim domku w górach, lecz zlikwidował ją i powiększył pokoje dzieci.

Tom przybrał dziwny wyraz twarzy, tak jakby nagle poczuł dotkliwy ból. * Nie lubię * odparł. * Ale w saunie nie było miejsca.

Zamknął oczy. Zapadła cisza, nie licząc bulgotania wody. Scott wpatrywał się w twarz brata, zastanawiając się, o czym myśli. Nie miał zamiaru zaczynać tematu Symptomatiki, na pewno nie teraz. Nie miał również ochoty spędzić ani chwili dłużej w jacuzzi z Tomem. Powie zwyczajnie do widzenia, weźmie prysznic i pojedzie do domu, gdzie zabierze się za jakąś robotę, narąbie drewna za domem * może z Brandonem * albo posprząta w garażu.

* A co z Symptomaticą? * zapytał. Tak po prostu.

Tom otworzył oczy. Jego spojrzenie sprawiło, że Scott pomyślał: Trzeba było zostać w Bostonie, zrobić magistra, założyć własną firmę, sam nie wiem...

* Po tym, co odwiął Gudukas? * rzekł Tom. * Naprawdę chcesz robić interesy z kimś takim jak on? Wciągać w to firmę, mamę?

Scott nie odpowiedział. Tylko nie mów, że przecież dobrze nam idzie, nam obu. Naszym żonom, dzieciom i w ogóle... Tom nie powiedział ani słowa.

Brandon leżał na kanapie w pokoju telewizyjnym. Pokój telewizyjny był super, zwłaszcza gdy miał go tylko dla siebie. Idealny dźwięk i obraz. Diament w przednim zębie błyszczał za każdym razem, gdy Unka Death wymawiał to jakieś słowo, nie twarz, ale coś o podobnym brzmieniu. I po raz pierwszy Brandon usłyszał głos innego rapera w tle, który powtarzał: Gdzie słońce nie dochodzi za każdym razem, gdy Unka Death mówił Pierdol się.

Nagle w pokoju pojawił się tata, stając pomiędzy nim a telewizorem.

* Czy musi być tak głośno? * zapytał.

* Nic teraz nie widzę.

Tata odsunął się na bok. * Wyjdźmy na dwór narąbać trochę drewna * powiedział.

* Co?

* Trochę drewna na opał. Mamy robotę do wykonania.

* Odpoczywam. * Gdzie słońce nie dochodzi. Jak mógł to przeoczyć? Przecież to oczywiste. Unka Death wsiadł za kierownicę rolls*royce'a. Dziewczyna w złotych szortach i białej peruce staruszki położyła mu głowę na kolanach.

Tata wyłączył telewizor.

* Co jest, kurwa? * krzyknął Brandon.

* I tu mamy problem, Brandon * warknął tata. * Za dużo, cholera, odpoczywasz. Może mi powiesz, czym się tak zmęczyłeś, że musisz odpocząć?

Tata wyglądał na skrajnie wściekłego.

* Przecież uczyłem się dziś do SAT, na miłość boską * jęknął Brandon. * Zostaw mnie w spokoju.

* Zostawić cię w spokoju? * parsknął tata. * Przed tobą jeszcze długa droga, Bran. Co znaczy ckliwy? Makiaweliczny? Kanalia?

Brandon wstał. * Ale z ciebie dupek.

Ruszył w kierunku schodów, lecz ojciec stanął mu na drodze. * Nigdy więcej tak do mnie nie mów, nigdy.

Stali u podnóża schodów, patrząc sobie w twarz. Brandon miał już znowu nazwać ojca dupkiem. W tym momencie usłyszeli głos mamy, dochodzący z góry.

* Co to za krzyki? * Zeszła na dół z kalkulatorem w ręku i długopisem za uchem. Tata cofnął się o krok. * Co się tu dzieje? * zapytała, spoglądając na każdego z osobna.

Na policzkach taty kwitły czerwone plamy. Nic nie odpowiedział.

* Zupełnie mu odbiło * rzucił Brandon i wszedł po schodach.

Słyszałeś to? * zapytał Brandon. * Gdzie słońce nie dochodził

Leżał na łóżku ze stopami opartymi o okno, obserwując chmury, niskie i ciemne płynące w jednym kierunku, a wysokie i jasne w drugim. Trzymał przy uchu telefon.

* Jak mogłeś tego nie słyszeć? * zdziwił się Dewey. * To głos Problema.

* Mówisz o gościu z tasakiem w ręku w bagażniku rollsa?

* To nie jest rolls * wyjaśnił Dewey. * Tylko bentley. Będziesz dziś na imprezie?

* Nie wiem * odparł Brandon. * Chyba mam szlaban.

* Za co?

Za co? * A twoja mama zapomniała już o Nowym Jorku?

* Uleciało z wiatrem * rzekł Dewey. * Wystarczyło, że twoi starzy wyskoczyli z kasy. Pieniądze działają na nią jak relanium.

Brandon wybuchnął śmiechem. Niezły tekst.

* No dobra, jak przyjdiesz, to będziesz * skwitował Dewey. * Może zdobędę cracka.

* Cracka? * powtórzył Brandon.

Ktoś zapukał do drzwi. * Brandon? * To mama.

* Pogadamy później * rzucił do słuchawki i rozłączył się.

* Mogę wejść?

* No.

Mama weszła do pokoju. * Może być stek na obiad?

* Jasne. * A to coś nowego; nie stek na obiad, choć taki wspólny obiadek przy stole

nie zdarzał się często, ale fakt, że go pytano o zdanie.

Mama uśmiechnęła się. * To dobrze.

Rozejrzała się po pokoju, wrzuciła kilka butów do szafy, zamknęła ją, zauważyła, że szufladka na płytę kompaktową w odtwarzaczu jest otwarta, więc ją również zamknęła. O, cholera. Zaraz dojdzie do biurka, a tam, dokładnie pośrodku, na jedynej nie zarzuconej szpargałami części blatu spoczywał test poprawkowy z Makbeta z olbrzymią, zakreśloną na czerwono jedyką. Równie dobrze mógłby wisieć na ścianie, oprawiony w ramkę.

Brandon podniósł się, podszedł do biurka, tak naturalnie, jak tylko umiał, przeciągając się nawet odrobinę, i usiadł na teście w niedbałej pozie ze skrzyżowanymi rękami. Mama spojrzała na niego w dziwny sposób.

* Chcesz mi coś powiedzieć, Bran?

* Nie.

* Jest ci przykro z powodu kłótni z tatą?

* Nie.

* On chce dla ciebie jak najlepiej. Ja zresztą też.

* Ja też chcę dla ciebie jak najlepiej mamo. * Tak mu się powiedziało. Trzeba być pieprzonym świrem, żeby powiedzieć coś takiego. Brandon poczuł, jak robi się czerwony.

* Brandon! * Objęła go i pocałowała w policzek. Rumieniec na twarzy robił się coraz czerwiejszy. * Jak miło z twojej strony * szepnęła i wypuściła go z objęć. Odsunęła się i spojrzała na niego. * Jesteś już prawie dorosły. * Miała wilgotne oczy.

* Mamo?

* Tak?

* Czy wciąż mam szlaban?

Ponownie spojrzała na niego w ten dziwny sposób. Może powinien zacząć od kilku pytań naprowadzających?

* Nie wiem, Brandon * powiedziała. * Jak poszedł ci test poprawkowy z Makbeta!

* Jeszcze go nie dostałem.

* A lekcja przed SAT?

* Nieźle.

* Co omawialiście?

Co omawiali? Brandonowi nic nie przychodziło do głowy. Potem zadziwił samego siebie, przypomniał sobie o trzech radach, wszystkie jasno i wyraźnie wyryły mu się w pamięci. Rada numer jeden * wyeliminować wszystkie „tak jakby”. Rada numer dwa * myśleć jak Sam, ale tylko na czas testu. Rada numer trzy * być grzecznym.

* Analogie * odparł. * No wiesz, musztarda ma się do hot doga jak coś tam do czegoś innego.

* No to słucham, Brandon, dokończ to i wyjdiesz dziś wieczorem. Nie jest cyrkową małpką, która popisuje się na życzenie! Nie da rady wymyślić czegoś takiego...

* Jak polewa do ciasta * wypalił.

Mama dosłownie klasnęła w dłonie. * Wspaniale, Brandon. Jakiej metody użyłeś? Usiadła na łóżku, tak jakby przygotowywała się na jedną z tych intelektualnych dyskusji, kiedy przychodzili goście. Metody? Nie miał pojęcia.

* Julian dał mi parę wskazówek.

* Naprawdę? Jakich?

* Są ściśle tajne, mamó.

Zaśmiała się. Brandon poruszył lekko tyłkiem, a test z Makbeta zaszeleścił.

* Co sądzisz o Julianie? * zapytała mama. Brandon wzruszył ramionami. * Jest w porządku.

Mama skinęła głową. Czuł, jak myśli, przez całe życie czuł, jak pracuje jej umysł. To ona była mózgiem rodziny, nie było co do tego wątpliwości.

* Jak ci się spodobał jako nauczyciel?

* Nie wiem.

* W porównaniu z nauczycielami w szkole.

Brandon pomyślał o panu Monsonie i jego brykach. * Nikt nie może być tak fatalny jak oni.

Mama ponownie skinęła głową, jakby jego słowa miały głęboki sens. * Może więc damy sobie spokój z tą Sally i zaangażujemy Juliana?

* Do czego?

* Do prowadzenia korepetycji.

* A muszę brać te korepetycje?

* Nie zaczynaj. Mamy umowę. Poza tym spójrz na postępy, jakie zrobiłeś po jednej lekcji.

* Dobrze, dobrze.

* Co: „dobrze”?

* Będę brał te lekcje.

* Ale czy chcesz, żebym zadzwoniła do agencji i poprosiła o Juliana? Brandon wzruszył ramionami.

* Wybór należy do ciebie, Brandon.

* Jest mi to obojętne.

* Sally podobno dobrze sobie radzi z chłopcami. Gra w Trinity w lacrosse i ma pięciu braci.

* Zadzwoń do tej agencji * zdecydował Brandon.

Mama parsknęła śmiechem. * Myślę, że to słuszna decyzja, Brandon. Chyba, że uważasz...

Do pokoju weszła Ruby z telefonem w ręku. * To do ciebie * powiedziała, wręczając słuchawkę mamie. * Ten dupek ze Skyway.

* Ruby!

* Spokojnie, wyłączyłam mikrofon * uspokoiła ją Ruby i spojrzała na Brandona. * Kim jest ta biedna dziewczyna, która ma pięciu braci?

* Nie twój pieprzony interes * warknął Brandon.

Mama machnęła zdecydowanie ręką, nakazując ciszę, i wyszła na korytarz.

Metoda Sherlocka Holmesa polegała na skupianiu się na drobiazgach. Późnym wieczorem, czytając w łóżku jedynie przy lampce na biurku, której światło tworzyło niewielkie kółko na książce, lecz pozostawiało resztę pokoju w cieniu, Ruby próbowała skupić się na tym, na czym skupiał się Holmes, starała się rozwikłać zagadkę „Cętkowanej wstęgi” jeszcze przed nim. Oczywiście bez podglądania * Ruby nigdy nie zaglądała na koniec żadnej książki.

Skupiać się, nie tylko widzieć. Holmes zawsze o tym mówił. Watson widział to samo, co Holmes, ale nigdy nie potrafił tego z sobą połączyć. Doktor Roylott był najwyraźniej tym złym * groźnym człowiekiem, jak sam o sobie powiedział podczas sceny zginania pogrzebacza. Więc pozostaje pytanie, jak. Jak zabił siostrę przerażonej panny Stoner? Jak planował zabić ją samą?

Na czym skupił się Holmes? Na sznurze jak do dzwonka i dziwnym wentylatorze * pewnie to taki mały otwór w ścianie * w pokoju panny Stoner. Był też maleńki spodek mleka i rzemień dla psa w pokoju doktora Roylotta. Ruby przeczytała fragment dotyczący rzemienia trzy razy. Rzemień z pewnością oznaczał „smycz”. Została związana, by zrobić pętlę. A więc? Czy pawian w jakiś sposób precyzyjnie przeszedł przez ten wentylator, a może zrobił to gepard? Ruby przekartkowała kilka stron wstecz. Panna Stoner zmarła, lecz na jej ciele nie znaleziono żadnych śladów. Umarła ze strachu, jak przypuszczała jej siostra, na widok cętkowanej wstęgi. Czy gepard ma cętki? Można tak powiedzieć. Gepardy to koty, a koty lubią mleko. Ale gepardy są duże, a spodek był maleńki, jak zauważył Holmes. Ruby była zupełnie zbita z tropu. Odwróciła następną stronę. Mają tutaj wentylator, wieszają sznur, a kobieta śpiąca w pobliskim łóżku umiera. Watson nie widział żadnego powiązania. Ruby, szalejąca z bezradności, również. Holmes i Watson pełnili służbę późną nocą w zupełnej ciemności w sypialni panny Stoner. Sypialnia Ruby również była pogrążona w ciemnościach. Światło lampki nie było już światłem, lecz w jakimś sensie częścią książki, a ona sama czuła się zawieszona w próżni, osnuta zupełną ciszą.

Raptem: rozległ się cichy dźwięk, niczym syk pary, i Holmes zerwał się na równe nogi, zamierzając się laską na sznur. Watson niczego nie widział. Holmes zrobił się trupio błydy. Przez wentylator dobiegł ich przeraźliwy krzyk. Ruby poczuła lodowaty pot na plecach i serce zaczęło jej szybciej bić. Holmes i Watson weszli do pokoju doktora Roylotta. Słowa pędziły z taką szybkością, że Ruby nie nadążała z ich zrozumieniem: tureckie pantofle, rzemień z pętlą, przerażony i nieruchomy wzrok doktora Roylotta. A to co? Dziwna żółta wstęga z brązowymi cętkami wokół jego głowy. Kolejna część tureckiego ubrania? I wtedy cętkowana opaska na głowie drgnęła, a z włosów martwego mężczyzny wysunęła się spłaszczona głowa w

kształcie karo i rozdęta szyja odpychającego gada.

Ruby krzyknęła, gwałtownie odwróciła głowę od książki i z przestachem rozejrzała się po pokoju. Nie dostrzegła niczego poza aksamitną ciemnością, w której poruszały się cienie. Zatrzasnęła książkę i usiadła, szybko oddychając, wręcz dysząc. Wąż!

Nienawidziła węży, nie mogła znieść ich widoku, a nawet myśli o nich.

Ruby podniosła książkę, trzymając ją na odległość, tak jakby wąż został w niej uwięziony; wyniosła ją na korytarz i położyła na podłodze. Dom był cichy i pogrążony w ciemności, nie licząc światła lampki stojącej na jej biurku. Zamknęła drzwi i wróciła do łóżka, nie gasząc światła. Po minucie lub dwóch * lub więcej, straciła rachubę czasu * ponownie wstała, otworzyła szafę, zajrzała do środka, sprawdziła pod łóżkiem, z powrotem się położyła i naciągnęła na siebie kołdrę * niebieską z żółtymi słoneczkami * bardzo wysoko.

Ruby wymyśliła sobie spokojny sposób na zasypianie, z którego czasami korzystała.

Wyobrażała sobie, że jest jaskiniową kobietą, która siedzi u wejścia do suchej i przytulnej jaskini. Na zewnątrz, kilka kroków dalej, szaleje dzika burza, czasami ulewa, czasami śnieżna zawierucha. A ona siedzi w ciepłe, bezpieczna. Najlepsza była wersja ze śniegiem. Ruby wypróbowała ją teraz * szalejąca, wyjąca śnieżycą i ona, poza jej zasięgiem.

Dewey naprawdę przyniósł fiolkę * pokazywał ją każdemu * ale Brandon nie miał ochoty spróbować, więc został, siedząc na kłodzie i patrząc na staw razem z paroma innymi ludźmi, w tym z Trish. W lesie było ciemno i zimno, lecz im chłód nie dokuczał, przynajmniej Brandonowi. Pili z dwóch butelek, jednej z colą, a drugiej z czterdziestoprocentowym rumem. Napoje miksowały się w ich ciałach. Gdy Frankie J był w pobliżu, nie było problemu z alkoholem i dziś wieczór też go nie brakowało. Frankie J był kapitanem drużyny futbolowej i synem trenera. W żadnym ze sklepów monopolowych w West Mili nie wymagano od niego dowodu tożsamości. Opychał potem gorzałę ludziom w lesie, zarabiając po pięć doków na butelce plus darmowe picie.

* Byłeś w Nowym Jorku? * zapytała Trish.

* Skąd wiesz? * zdziwił się Brandon. Trish nie należała raczej do najbardziej

odlotowych dziewczyn w szkole. Siedziała obok niego na kłodzie z kolanami pod brodą.

* Cała szkoła o tym gadała.

* O, kurwa * zaklął Brandon, ale nie był niezadowolony.

* Jak było?

* Spoko.

* Co tam robiłeś?

* Niewiele. Poszliśmy z Deweyem do baru w Soho.

* Brzmi nieźle.

* No * mruknął Brandon. Butelki poszły w ruch. Trish wzięła duży łyk Kapitana Morgana, nawet nie patrząc na colę. Siedzący obok koleś zapalił zapalniczkę, oświetlając jej twarz. Brandona uderzył fakt, że jest równie ładna jak większość tych najbardziej odlotowych lasek, właściwie jak wszystkie z nich. Jak to się stało, że wcześniej tego nie zauważył? Zawsze była uważana trochę za frajerkę. Mieszkała w blokach za drogerią sieci Rite*Aid, a czasami pracowała jako kasjerka, tak jak jej matka czy macocha, czy kim ona tam była.

Butelki dotarły teraz do niego. Wziął potężny łyk rumu, żeby łatwiej szła mu rozmowa z Trish, nawet jeśli nie była jedną z tych odlotowych dziewczyn. Poczul przyjemny szum w głowie i wyprostował się. Cola wypadła mu z rąk. Butelka stoczyła się na brzeg i wpadła do stawu. Właściwie nie do, lecz na staw.

* O, kurwa * krzyknął chłopak siedzący na końcu kłody. * Jest zamarznięty.

* Przejdź się po nim * zaproponował Frankie J.

* Nie ma mowy * odparł chłopak.

* Jest bezpiecznie * ciągnął Frankie J. * Rano jeździłem tu na łyżwach.

Chłopak pokręcił głową.

* Pięć dolców, jeśli to zrobisz * kusił Frankie J.

* Nie ma mowy.

* Dwadzieścia.

* Dwadzieścia?

Frankie J wyjął dwudziestkę, zrobił z niej kulkę i rzucił na lód, jakieś półtora metra

od brzegu, poza zasięgiem. Była noc, lecz chmury przyciągnęły wszystkie światła cywilizacji i staw jaśniał pod nimi. Zwinięta dwudziestka leżała na lodzie, dobrze widoczna. Chłopak wstał, był to jakiś nowy, którego Brandon nigdy wcześniej nie widział. Nie rób tego, dupku * pomyślał Brandon. Lecz nie powiedział tego głośno, a chłopak stanął niepewnie na lodzie jedną nogą, potem drugą, w końcu obiema stopami i schylił się po banknot, a wtedy...

Plusk. Niezdarny chłopak zapadł się, poszedł prosto w dół, mocząc przy tym nawet głowę.

Śmiech dookoła. Chłopak wyszedł na brzeg, drżąc z zimna i otrząsając się z wody. Śmiech stawał się coraz głośniejszy.

* A gdzie moja dwudziestka? * zapytał Frankie J. * Ty to nazywasz przechadzką? Wisisz mi dwie dychy.

Brandon kątem oka spostrzegł, że Trish się nie śmieje. Sam również przestał.

Jakiś czas później, stojąc z Deweyem przy dużym głazie, zapytał:

* Co sądzisz o Trish?

* O Trish Almeidzie? To zero. * Dewey trzymał w ręku fajkę z crackiem. * Wiesz, do kogo powinieneś uderzyć? * zapytał. * Do Whitney.

* Do Whitney? * Brandon widział ją, jak z kilkoma innymi dziewczynami siedziała przy małym ognisku tuż przy ścieżce. * Myślałem, że chodzi z Frankie'em J.

* Zerwali ze sobą.

Blond włosy Whitney błyszczały w ciemności.

* Idź, pogadaj z nią. Brandon pokręcił głową.

* A co masz do stracenia? * nalegał Dewey. * Dziewczyny uważają cię za przystojniaka.

Brandon nic o tym nie wiedział. Dewey zapalił fajkę. * Spróbuj tego.

* Nie chcę.

Dewey głęboko się zaciągnął i podał mu fajkę. Brandon znów pokręcił głową, ale fajka w jakiś sposób wylądowała w jego dłoni, wypuszczona z rąk Deweya.

* Jeden sztach i poznasz magiczne słowa.

Brandon zaciągnął się. * Kurczę * szepnął, choć może nie od razu, lecz dość szybko.

A chwilę później dodał: * Czy to jest magiczne słowo?

Dewey jeszcze nie skończył się śmiać, gdy Brandon odchodził już w stronę ogniska. Whitney i inne dziewczyny, najbardziej odlotowe laski w szkole, niektóre z ostatniej klasy, siedziały w kółku i piły z kubeczków. Brandon pomyślał, że też mógłby usiąść, ale ziemia była tak nisko. Wszystkie dziewczyny spojrzały na niego. Nie uśmiechały się, raczej spoglądały pytająco.

* Hej, Whitney * zawołał. Jej oczy się zwęziły.

* Znam jedno magiczne słowo.

No, przynajmniej przestała mrużyć oczy. Problem polegał na tym, że powiedzenie w tym momencie kurczę może nie wydawać się Whitney i pozostałym dziewczynom tak śmieszne jak Deweyowi. Drugi problem polegał na tym, że nic innego nie przychodziło mu do głowy. Raptem, z szybkością błyskawicy pojawił się problem trzeci, który przerósł tamte dwa: kompletny zawrót głowy i uczucie mdłości, które musiało skończyć się wymiotami, i to zaraz. Brandon odwrócił się i pobiegł, a raczej powłókł się gdzieś dalej.

Śmiech dookoła, tym razem z niego.

Ocknął się, leżąc przy kłodzie nad stawem, wtulony w jej zgięcie. Usiadł, sam pośród pustych butelek, puszek po piwie i niedopałków papierosów. Wokół nie było żywego ducha.

Brandon wstał, cholernie kręciło mu się w głowie, i ponownie zwymiotował. Zszedł w stronę stawu, żeby przepłukać usta, i włożył rękę do wody * a właściwie nie, nie zdażył jej włożyć, bo dłoń odbiła się od lodu. Staw był zamrznięty, zapomniał o tym. Czy ktoś tam wpadł? A, tak. Ale lód już się odbudował. Brandon kucnął na brzegu, starając się poczuć lepiej, nie mogąc nawet wypłukać pieprzonych ust. Nagle rozległ się trzask. Dźwięk dobiegał ze stawu. Nie było to pęknięcie lodu, lecz odgłos uderzenia. Spojrzał w tym kierunku i dostrzegł duży kij ślizgający się jeszcze po lodzie, całkiem blisko.

Gliniarze? Czasami robili tu nalot, ale nigdy o tej porze, a rzucanie kijami nie było w ich stylu. Od razu wkraczali do akcji. A więc to jakiś dzieciak, bo ktoś musiał to zrobić, patyk nie mógł spaść sam z oddalonych od stawu drzew. Wbił wzrok w

ciemność okalającą staw, lecz nikogo nie dojrzał. Brandon pomyślał, żeby powiedzieć coś na głos, może pieprz się, ale zdecydował, że zrobi to, jeśli pojawi się kolejny kij.

Tak się jednak nie stało. Wstał, bez problemu odszukał ścieżkę * przez całe życie chodził po tym lesie * i ruszył w kierunku domu. Coś dziwnego zaczęło dziać się z powietrzem i zdał sobie sprawę, że pada śnieg. I wtedy, niech to szlag, wymyślił, co odjazdowego mógł powiedzieć do Whitney: Beatlesi. Za późno. Dlaczego nie potrafił...

Wtedy ktoś rzucił kolejny kij. Brandon usłyszał, jak spada na powierzchnię stawu, który został już daleko w tyle. Pewnie jakiś koleś, totalnie nawalony, bardziej niż on sam. Mimo wszystko ruszył odrobinę szybciej, nagle odzyskując przytomność umysłu. Śnieg padał wśród nagich drzew czarnymi płatkami, które lepiły mu się do skóry. Brandon zdał sobie sprawę, że nie ma na sobie kurtki, tej czerwonej z czarnymi rękawami i napisem West Mili Tennis na plecach. Nie miał też koszuli. Spodnie * owszem, buty też. Jutro niedziela, będzie spał, kurde, bez końca. Chciał tylko znaleźć się już w łóżku.

Na piersi Lindy spoczywała męska ręka, piękna ręka. Przebudziła się z twardymi sutkami, podniecona. Nikt jej nie dotykał. Scott leżał na swojej połowie, pogrążony w głębokim śnie.

Może teraz? Teraz, gdy tak dobrze im się układało, na początku tego nowego etapu, kiedy to razem starali się posłać Brandona na porządne studia. Linda przypomniała sobie zdanie odkryte w jakimś poradniku przeglądany w księgarni podczas czekania, aż Ruby skończy świąteczne zakupy. Ciepło wytworzone w małżeńskiej sypialni ogrzewa cały dom. Gdy przeczytała tę myśl po raz pierwszy, poczuła ukłucie; czuła je również teraz. Dotknęła Scotta. Tylko się nie obudź. Kolejne ukłucie * dlaczego nie potrafi lepiej kontrolować swojego umysłu, pozbyć się takich myśli? * lecz jej sutki pozostały twarde.

Scott miał wzwód, we śnie. Po chwili już go w sobie miała, siedząc okrakiem z podciągniętą w górę koszulą nocną. Wydał z siebie cichy jęk, nie tyle jęk, co odgłos o wiele bardziej śpiewny, w którym zabrzmiało zaskoczenie i zadowolenie. Czuła, że

się budzi. Tylko nic nie mów.

* Hej * mruknął Scott. Tylko jedno słowo, lecz o jedno za dużo.

W jaskini: śnieg, spokój, nic. Nagle zaczyna się dziać coś naprawdę niedobrego.

Gruby, wielgachny wąż z szeroką głową w kształcie karo i nadętą szyją wolno pełził po jej nodze. Podniósł wzrok i spojrzał jej prosto w oczy tymi swoimi brązowymi, mądrymi ślepiami. I już Ruby pędziła korytarzem, krzycząc w myślach: Wąż, wąż. Zatrzymała się przed sypialnią rodziców. Dochodziły z niej jakieś dźwięki, dźwięki które powstrzymały ją od otwarcia drzwi na dość długo, by koszmar ją opuścić.

Dźwięki się nasiliły. Wciąż bardzo chciała tam

wejść i pewnie by weszła, jeszcze kilka miesięcy temu. Ale teraz miała prawie jedenaście lat. Ruby cofnęła się od drzwi.

Nie wróciła do własnego pokoju i łóżka. Za żadne skarby tam nie pójdzie. Zamiast tego poszła do pokoju Brandona, zastanawiając się, czy nie wślizgnąć się do jego łóżka, co nie zdarzyło się od lat, lub może nie zasnąć na podłodze w śpiworze, z którego czasami korzystali jego koledzy.

Na CD Brandona mrugał wyświetlacz. W jego zielonym świetle dostrzegła, że łóżko jest puste. Zielone światło, zielone jak węże. Wyszła z pokoju, ruszyła dalej korytarzem, wspięła się po małych schodkach i otworzyła drzwi do ostatniej sypialni. Ruby słyszała tu wyraźnie własny oddech. Pustka odbijała dźwięk. Włączyła światło. Wszystko zostało wyniesione już wiele lat temu, lecz pozostało zaścielone łóżko. Ruby doskonale to rozumiała: pusty materac byłby zbyt okropnym widokiem. Nie wyłączając światła, weszła do łóżka Adama i zamknęła oczy. Wąż nie powrócił.

Margie zadzwoniła do Juliana w niedzielę rano.

* Zrobiłeś furorę * orzekła.

Julian milczał. Szpaki wróciły. Śledził ich lot, paniczny, a jednocześnie uporządkowany, w tę i z powrotem, pomiędzy dwiema kępami drzew.

* U Gardnerów z West Mili. Chcą, żebyś wrócił.

Przez okno dostrzegł również właścicielkę, która wyszła z dużego domu i natychmiast spojrzała w jego okno * odsunął się z pola widzenia * po czym wsiadła do samochodu.

* A co z Sally? * zainteresował się.

* To miło z twojej strony, że pytasz * powiedziała Margie. * Ale nie będzie żadnego problemu. Takie rzeczy czasami się zdarzają.

Szpaki wzbiły się w białe niebo, w swoim locie niezmordowane.

* A więc zgadzasz się? * zapytała Margie. * O tej samej godzinie w soboty i o siódmej w środy.

Julian głęboko zaciągnął się papierosem, pierwszym tego dnia: Ach, ten dym i maleńki ognik, który trzymał w dłoni. Przypomniał sobie wszystkie potężne emocje, jakich kiedykolwiek zaznał, lecz teraz był spokojny.

* Zgadzam się * odparł.

Ruby i Kyla usiadły na tylnym siedzeniu samochodu ojca Kyli. Kyla trzymała w ręku jaskraworóżowe opaski na nadgarstki, nagrodę za kolejny wygrany turniej. Ruby nie dotarła nawet do finału. „Musisz się bardziej skupić, Ruby”, mówił jej Erich. Ale linie narysowane na korcie bardzo ją rozpraszały, tak jakby uwięziono ją między nimi dla jakiegoś eksperymentu. A w szkole Amanda została wybrana przyszłorocznym redaktorem gazetki Westie dla piąto * i szóstoklasistów, podczas gdy bardzo chciała nim zostać Ruby. Nie był to jej najlepszy dzień.

* Dziękuję, że mnie pan podwiezie, panie Gudukas * rzekła.

* Ależ nie ma sprawy * odparł. Zapach od niego bijący, sosny czy czegoś w tym rodzaju, wypełniał cały samochód, tak jakby znajdowali się samym środkiem lasu. *
Twoja mama znowu jest zajęta?

* Tak.

Śnieg sypał coraz gęściej. Wycieraczki poruszały się w tę i z powrotem. Miasto wyglądało cudownie, wszystkie trawniki białe i puchate, choć na ich własnym tego ranka zauważyła kilka małych, żółtych dziurek, jakby Zippy robił jakieś odwierty. Dachy domów też były puchate, a ich skraje zaokrągliły się od śniegu. Ten widok ją uspokoił.

* Chcesz jedną z moich opasek? * zaproponowała szeptem Kyla, siedząc obok niej na tylnym siedzeniu.

Jak miło z jej strony. Jaskrawy róż nie był ulubionym kolorem Ruby, ale pasował do

opasek. Założyła ją i podniosła rękę do góry, z gracją, jak modelka.

* Super * stwierdziła Kyla.

* No * zgodziła się Ruby. * Dzięki.

* Chcesz drugą?

* Zatrzymaj sobie * odparła Ruby.

Wycieraczki chodziły w tę i z powrotem. Nagle Ruby poczuła się strasznie zmęczona, jakby miała zaraz zasnąć. Wyprostowała nogi, wciskając stopy pod przednie siedzenie, gdzie wyczuła puste puszki, i wpatrywała się w nicość.

Były z Amanda jedynymi kandydatkami i musiały wygłosić mowę przed wszystkimi piątymi klasami. Ruby obiecała wielkie zmiany * horoskop, porady dla zakochanych, mnóstwo konkursów, na przykład konkurs

na zdjęcie najpaskudniejszego brata lub siostry, konkurs na najgłupszą rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałeś, konkurs na najlepszy limeryk. Amanda obiecała starannie zredagowane artykuły, poprawne gramatycznie i ortograficznie, dzięki którym wszyscy będą dumni ze szkoły, obszerniejsze informacje na temat prac Komitetu Rodzicielskiego, sprzedaż wypieków połączoną ze zbiórką pieniędzy dla uczniów z biednych krajów. Wszyscy wrzucali głosy do pudełka, które dyrektorka zabrała do swojego gabinetu i podliczyła. Wyniki ogłoszono przez radiowęzeł, nie wspomniano dokładnej liczby głosów, tylko tyle, że walka była wyrównana i każda z kandydatek zasłużyła na wygraną.

* Wiesz, te linie na korcie * zaczęła Ruby * powinny tworzyć koła. Kyla parsknęła śmiechem. * A piłka powinna być kwadratowa. Ruby też się zaśmiała.

* A twój tata? * odezwał się pan Gudukas, odwracając lekko głowę.

* Słucham? * zapytała Ruby.

* Twój tata też jest zajęty?

* Wyjechał z miasta * wyjaśniła Ruby. * Naprawdę dziękuję za odwiezienie mnie do domu, panie Gudukas.

* Nie ma sprawy, dziecinko * rzucił. * Wyjechał na konferencję czy coś w tym rodzaju?

* Nie wiem.

* Grałem z nim w sobotę w tenisa. On z twoim wujkiem przeciwko mnie i Erichowi. Ruby milczała. Chyba pierwszy raz usłyszała słowo dziecinko, w rozmowie.

* Wspominał o tym?

* Nie.

* Świetnie się bawiliśmy. Jesteśmy dokładnie na tym samym poziomie.

Przejechali obok lampy ulicznej. Kyla przygryzła wargę i zmarszczyła czoło.

* Ta konferencja * kontynuował pan Gudukas * jest w Miami albo innym ciepłym miejscu?

* Tato * wtrąciła się Kyla.

* Tak?

* Już nic.

* O co chodzi?

Kyla nie odpowiedziała. Od tej chwili nie było już więcej pytań. Ruby przestała być senna.

W domu panowała ciemność. Ruby weszła tylnymi drzwiami.

* Cześć! Wróciłam!

Brak odpowiedzi. Włączyła światło. Kurtka Brandona nie wisiała na swoim miejscu.

* Zippy? * zawołała, rzucając wszystko, czapkę, rękawiczki, kurtkę, plecak i rakietę, blisko miejsca, w którym powinny się znaleźć.

Zippy się nie pojawił. Albo spał na kanapie w pokoju telewizyjnym, albo na małej kanapce w salonie. Ruby weszła do kuchni i włączyła kolejne światła. Miała do odrobienia zadanie domowe * z matematyki i nauki o społeczeństwie * dodatkowo jutro miała sesję jazzową, a od tygodnia nie ćwiczyła. Może najpierw nauka o społeczeństwie, potem saksofon, a na końcu matematyka? Brzmi świetnie. Zawarła ze sobą układ.

Lecz natychmiast go zerwała, żeby zrobić hot dogi. Tym razem były nawet bułki.

Usiadła na swoim miejscu przy stole, przyglądając się, jak śnieg sypie z trzech stron dosłownie parę centymetrów od niej. Hot dogi, musztarda, przyprawy, sprite, Sherlock Holmes.

Ugryzła kawałek hot doga, popiła sprite'em i sięgnęła po książkę, by ją otworzyć. O,

rety. W środku czaiła się „Cętkowana wstęga”, której nie sposób było uniknąć. Ruby wyjęła z szafki nożyczki i ostrożnie wycięła „Cętkowaną wstęgę” z tomu Sherlock Holmes: opowieści zebrane, poświęcając tylko pierwszą stronę kolejnego opowiadania pod tytułem „Kciuk inżyniera”, przebiegając po niej szybko wzrokiem, żeby załapać sens. Lato 1889, doktor Watson ma nowego pacjenta, który przychodzi do niego z okrwawioną chusteczką wokół palca * wszystko jasne.

Ruby mogła po prostu wyrzucić „Cętkowaną wstęgę” do kosza na śmieci pod zlewozmywakiem, lecz czy efekt nie byłby lepszy, gdyby ją spaliła? O niebo lepszy. Zabrała opowiadanie do salonu. Zippy, leżący na małej kanapce, nawet nie otworzył oczu. Ruby, prawdę mówiąc, nigdy przedtem nie rozpalała ognia w kominku, ale widziała, jak robił to tata w tych dziwnych czasach, kiedy jeszcze palili w kominku. To wydawało się proste.

Najpierw należało zdjąć osłonę, o tak. Potem zgnieść w kulkę parę gazet * leżały w pudle na drewno * i wcisnąć je pod palenisko. Na palenisko kładło się podpałkę * ułożyła kijki starannie w kwadrat * a następnie dwie lub trzy zgrabnie porąbane szczapy, w tym wypadku trzy, ponieważ trójkąt na szczycie kwadratu ładnie wyglądał. Ruby wybrała brzoźowe drewno, bo lubiła, jak biała kora zwija się w płomieniach. Zapalki leżały na gzymsie kominka. Podciągnęła podnóżek, stanęła na nim, sięgnęła po zapalki.

Ruby nigdy wcześniej nie zapalała zapalki. Te akurat pochodziły z Bricco, jej ulubionej restauracji. Zawsze zamawiała tam podwójne ciastko czekoladowe na deser, nigdy nie dała rady go skończyć i zjadała resztę następnego dnia w domu, z jeszcze większym apetytem. W Bricco mieli pewien rodzaj wina zaczynającego się na Z, które lubił tata, a mama zawsze wypijała kieliszek szampana, tylko jeden. Ruby piła sprite'a, tak jak w domu * w domu, gdy w pobliżu nie było nikogo, kto zmuszałby ją do picia mleka. W Bricco do sprite'a wkładali plastikową pałeczkę do mieszania koktajli, taką z małpką.

Ruby otworzyła pudełko z zapalkami. Zapalki były drewniane i miały duże, jaskrawoczerwone główki. Pod palcami namacała szorstki pasek z boku pudełka i wyjęła zapalkę. Na pudełku widniał napis: Zamknij przed zapaleniem. Zamknęła

pudełko i trzymając zapalną za sam koniec, przeciągnęła ją po pasku. Nic. Spróbowała jeszcze raz, mocniej. Zapalnik złamała się na dwie części. Wrzuciła ją do kominka, wyjęła kolejną, zamknęła pudełko, przycisnęła jaskrawoczerwoną końcówkę do draski i szybko potarła.

Czary*mary! Pomiędzy jej palcami pojawił się maleńki, dygoczący płomień. Uspokoił się, przybierając kształt spiczastego owalu, niebieskiego, pomarańczowego i żółtego na samej górze. Ruby uklękła i przyłożyła zapalną do pogniecionych gazet. Papier zbrązowił odrobinę, lecz się nie zajął. W tym samym czasie ogień trawił zapalną, pełznąć coraz bliżej palców Ruby, tracąc swój spiczasty, owalny kształt, rozprzestrzeniając się. Rozpalenie ognia nie było wcale takie łatwe. Poczła gorąco bijące od płomienia i upuściła zapalną. Być może będzie musiała zmienić te swoje jaskiniowe dumania. Nie byłaby chyba zbyt dobra, jako jaskiniowa kobieta, skoro...

No! Abrakadabra! Ogień zbudził się do życia pomiędzy zgniecionym gazetami pod paleniskiem, wydając cichy trzask. Jeszcze kilka trzasków i płomień wzbiły się w górę, muskając końcami podpalną. Trzask, trzask. Ależ to było wspaniałe. Ruby natychmiast zdecydowała, że będzie rozpalać w kominku co wieczór. Mogłaby nawet opiekować tu swoje hot dogi!

Zippy zaszczekał. Miał podniesioną głowę i otwarte oczy. Ruby skupiła na sobie całą psią uwagę.

* Nieźle, co, Zippy? Jestem wielka!

Zaszczekał ponownie.

Podpalnik pięknie zajęła się ogniem. Wielkie płomienie zawładnęły kominkiem, a biała kora brzozy zwijała się, trzaskając i iskrząc. Płomienie rosły coraz wyżej i wyżej jak grubi pomarańczowi tancerze powołani do życia przez maleńki, spiczasty owal. Był też miły zapach dymu, który kojarzył się jej z grillowaniem z okazji Czwartego Lipca. Ten zapach Czwartego Lipca musiał towarzyszyć jaskiniowcom przez cały czas. Czyli jednak byłaby dobrą jaskiniową kobietą, nazwałaby się Ruby*Ogień, tak żeby cała reszta jaskiniowców wiedziała, w czym jest najlepsza. Ale czy w jaskini też było tyle dymu?

Zippy zaszczekał, a po chwili zrobił to jeszcze raz.

* Cicho, Zippy.

Chyba jednak dymu było odrobinę za dużo. Ogień świetnie się palił, zajęły się już wszystkie szczapy, z gazet został jedynie popiół i zniknęła nawet część podpałki.

Lecz dym zdawał się wylewać z kominka, zaczynając piec ją w oczy. Zdała sobie sprawę, że cały pokój zrobił się mglisty niczym scena w kinie. Ruby dokonała naukowego odkrycia: ogień nie palił się tak, jak trzeba. Pamiętała, jak tata użył kiedyś tego sformułowania, a następną rzeczą, jaką zrobił, było uchylenie okien.

* Cicho, Zippy.

Ruby otworzyła najbliższe okno, to za rzeźbą Cynowego Człowieka. Nazwali go Cynowym Człowiekiem, choć prawdziwy tytuł brzmiał: 19 * Bez tytułu. Była to odjazdowa rzeźba wykonana przez jakiegoś artystę z Nowego Jorku, którego odkryła mama. Ruby poczuła, jak do pokoju wdziera się chłodne powietrze, spojrzała na ogień i zobaczyła, że płomienie strzelają jeszcze wyżej. Zamiast lepiej, zaczynało się robić coraz gorzej. Dym kotłował się teraz, wywołując u Ruby napady kaszlu. No tak, osłona: powinna ją już chyba założyć na kominek.

Sięgnęła po osłonę. Wtedy usłyszała okropny dźwięk, tak głośny i przeszywający, że przeszedł przez jej ciało jak porażenie prądem. W pierwszej chwili Ruby nie wiedziała nawet, skąd dobiega ten hałas, i zasłoniła uszy dłońmi. Zippy zaczął wyć.

Nagle do niej dotarło: alarm przeciwpożarowy.

Ruby pobiegła do kuchni, napełniła garnek wodą i biegiem wróciła. Lecz Zippy ruszył właśnie zadek z kanapy. Potknęła się o niego lub została przez niego popchnięta, a garnek poleciał w powietrze. Ruby z hukiem wpadła na podnózek, posyłając go nogą w palenisko. Z kominka wytoczył się płonący kawał drewna i wylądował na dywaniku, pięknym perskim dywaniku, który był w rodzinie mamy od...

Nagle pośrodku dymu pojawiła się olbrzymia postać, mężczyzna * z pewnością tata, chociaż pojechał do Bostonu. Podszedł do niej jak Olbrzym z Rodos * nie tata, lecz ktoś obcy. Włożył rękę do kominka po prawej stronie u góry, złapał za coś i otworzył to ze szczękiem. Ruby wreszcie ujrzała dobrze jego twarz: to nie był obcy, lecz

Julian, nauczyciel

Brandona. Olbrzymie kłęby dymu zostały wessane przez komin. Czy przypadkiem nie znajdowało się tam coś o nazwie szyber?

Julian podniósł płonący kawałek drewna przy pomocy szczypiec z kominka, wrzucił go do ognia i wyciągnął podnóżek. Poruszał się bardzo szybko: zamknął harmonijkowe drzwi, odcinając pokój od reszty domu, szeroko otworzył wszystkie okna i drzwi balkonowe na taras. Zippy dreptał za nim, merdając ogonem. Dym zaczął się rozrzedzać. Alarm przeciwpożarowy zamilkł. Zrobiło się bardzo cicho i wszystko wróciło do normy, tak po prostu. Ogień palił się wesoło, nie wydzielając dymu.

Ruby wstała, trochę oszołomiona, podobnie jak po jeździe kolejką górską. Julian przyglądał się podnóżkowi. * Trochę przypalony. * Spojrzał na nią. Nigdy przedtem nie widziała takich oczu. Wydawały się żyć własnym życiem. * Nic ci nie jest?

* Nie.

Jego spojrzenie powędrowało do Cynowego Człowieka.

* Gdzie jest Brandon?

* Nie wiem. * Jej głos zabrzmiał tak krzykliwie. Ale przecież wszystko już było w porządku; postarała się więc, by jej głos też wrócił do normy. * Czy dziś miała być lekcja?

* O siódmej.

* Ja przepraszam.

* To nie twoja wina. Jesteś sama?

* Z Zippym.

Jego oczy zmieniły się dwu lub trzykrotnie. * Lubisz bawić się zapalkami?

Ruby pokręciła głową, czując, że zaraz się rozplacze. Miała kłopoty, największe kłopoty w swoim życiu, zdecydowanie. Spaliłaby cały dom, gdyby nie pojawił się Julian. On doskonale o tym wiedział: pewnie dlatego tak na nią patrzył * nie z wściekłością, lecz poważnie, być może nawet w pewnym zamyśleniu.

Julian z łatwością podniósł podnóżek, choć był bardzo ciężki.

* Gdzie to stało?

* Przy tamtym skórzanym fotelu.

* Tym zielonym? * zapytał.

* Tak.

Przeniósł podnózek w pobliże fotela i postawił. * Trochę nadpalony * powtórzył. *

Tak więc najważniejsze będzie ustawienie.

Odrobinę odwrócił podnózek, tak aby nadpalony fragment znalazł się z tyłu, przylegając do fotela, by był niewidoczny.

Najważniejsze będzie ustawienie, by ukryć nadpalony fragment. Ruby zrozumiała. *

Nie naskarży pan na mnie?

* A chcesz, żebym to zrobił? * zapytał Julian.

* Nie. * Ruby czuła, jak jej głupia broda drży.

Skinął głową. * A więc będziemy potrzebowali odkurzacza, papierowych ręczników i wody z mydłem.

Dziesięć minut później, a może nawet wcześniej, salon powrócił do swojego dawnego wyglądu, jedynym śladem winy była mokra plama niewielkich rozmiarów, która widniała na dywaniku w miejscu, gdzie Ruby rozlała wodę. Być może nawet Sherlock Holmes nie wydedukowałby, co się tu wydarzyło. Julian rozejrzał się. Zippy warował przy jego nodze niczym psi champion oczekujący na rozkazy. Według Ruby salon wyglądał idealnie, całkiem jak po wyjściu Marii, lecz Julian dostrzegł coś jeszcze obok pojemnika na drewno * rozrzucone kartki „Cętkowanej wstęgi”.

Podniósł je i przejrzał. Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech.

* Ach * odezwał się. * Sznur od dzwonka. * Spojrzał na nią znad kartek. * Dedukuję, iż czytałaś Sherlocka Holmesa.

* Skąd pan wie, że to byłam ja? * zapytała Ruby.

* Słuszne pytanie. * Nie odpowiedział. * Zagadką jest tylko, dlaczego te kartki wycięto z książki?

* Nie lubię węży. * Sama się zdziwiła, że to powiedziała. Wtedy nastąpiło coś, co zadziwiło ją jeszcze bardziej.

* Skoro tak... * rzekł Julian i wrzucił kartki do ognia. Paf: i już ich nie było.

Pozamykali wszystkie drzwi i okna, a potem weszli do kuchni. Na stole czekała

kolacja Ruby.

* Ma pan ochotę na hot doga? * zapytała.

* Dziękuję, nie jestem głodny * odparł.

* A na sprite'a?

Pokręcił głową i zerknął na zegarek.

* Brandon powinien zaraz przyjść * usprawiedliwiła brata Ruby, czując, że nie tylko Brandon, lecz w pewien sposób cała rodzina okazała się wobec Juliana niegrzeczna. Zapropnowała mu już jedzenie i picie. Co jeszcze robi się, by zabawić gości, poza grą na saksofonie? Bo to nie wchodziło w rachubę. Potem przypomniała sobie, że goście z jakiegoś powodu lubią oglądać odremontowane domy.

* Może pokażę panu dom, skoro czekamy?

* Będzie mi miło * zgodził się Julian.

* Świetnie * ucieszyła się Ruby. * Tutaj mamy przedsionek i... Zatrzymała się. Na wieszaku wisiała kurtka Brandona, czerwono*czarna szkolna kurtka z napisem West Mili Tennis na plecach.

* Hej! * zawołała, podchodząc do schodów. * Brandon? * Żadnej odpowiedzi. *

Brandon? Jesteś w domu? * Cisza. Ruby wróciła do przedsionka. Nie znalazła tam jego plecaka ani butów. * To dziwne * stwierdziła.

Julian jej nie słuchał. Drapał Zippy'ego między uszami. Zippy był w siódmym niebie. Może jednak przedsionek nie prezentował się szczególnie interesująco.

* Chce pan zobaczyć pokój telewizyjny?

* Zdaję się na ciebie. Poprowadziła go po schodach w dół.

10

...Z satelity * tłumaczyła Ruby. Włączyła telewizor, żeby pokazać mu, jak dobry jest obraz. * Sto parę kanałów, i to nie licząc kablówki. * Wcisnęła na pilocie guzik przeglądu programów i przytrzymała go, obserwując, jak sto parę kanałów miga przed jej oczami. * Emeril, Springer, niemieccy treserzy tygrysów, Sipowicz, zapasy, Yosemite Sam, Hitler, telezakupy, rozprawa sądowa, znowu ten Hitler, ta stara

zakonnica, inne telezakupy, policyjne pościgi. * Tak właśnie należało oglądać telewizję, jak jeden wielki kanał, naprawdę szybko. * A jaki jest pański ulubiony program, panie...

* Sawyer * rzekł Julian.

Wpatrywał się w ekran: dyskusje polityczne, tańczące tyłeczki, nauka golfa, remont kuchni, znów polityczne dyskusje * jedna z tym wstrętnym facecikiem w trzyczęściowym garniturze * znowu Hitler, tym razem w Paryżu. To przypomniało Ruby Wiosnę dla Hitlera * * zrywała na tym boki ze śmiechu.

* Możesz mi mówić Julian * zaproponował Julian. * Ja lubię programy przyrodnicze. * „Wiosna dla Hitlera” (Springtime for Hitler) * tytuł fikcyjnej sztuki, którą zamierzają wystawić bohaterowie komediowego musicalu autorstwa Mel Brooksa pt. Produccenci.

* Ja też * odparła Ruby. Poza tymi, w których pokazywano węże. * A jakie zwierzęta lubisz?

* Ptaki.

Dla Ruby to nie były tak naprawdę zwierzęta, ale nie skomentowała tego. Przede wszystkim okazało się, że Julian jest bardzo miły. Poza tym miała u niego dług. * Do naszego karmnika przylatuje kardynał...

Spoglądał w stronę nieoświetlonej kotłowni i chyba jej nie słyszał. Piec był włączony. W mroku Ruby wyraźnie widziała maleńkie niebieskie płomyki na samym dole.

* To gaz? * zainteresował się Julian.

* Słucham?

* Czy wasz dom jest ogrzewany naturalnym gazem?

Ruby nie miała pojęcia, ale podobało się jej to wyrażenie: „naturalny gaz”.

Czy Julian miał ochotę na dalsze zwiedzanie? Być może nie, ale Ruby i tak kontynuowała oprowadzanie. Dobrze się przy tym bawiła, otwierając drzwi i puszczając czy, jak to się mówi, zapuszczając gadkę.

* I to już prawie wszystko * powiedziała, zostawiając na koniec najlepsze, swój własny pokój, swoje maskotki, oprawioną w ramkę oryginalną klatkę z jej ulubionej

kreskówki, pryzmat w oknie. Julian obserwował ją z korytarza. Zdała sobie sprawę, jak nienaganne były jego maniery. Był zbyt grzeczny, by wchodzić do jej pokoju.

* Bardzo ładny * zauważył. * A co jest u góry?

* U góry?

* Na końcu korytarza. Tam, gdzie prowadzą te małe schodki. Ruby wyszła na korytarz. Powinna być jakaś nazwa dla tego pokoju, do którego wchodziło się po małych schodkach. Dodatkowa sypialnia? Pokój dla gości? Te nazwy pasowały, lecz nikt nigdy ich nie używał. Gdy tylko ten pokój pojawił się w jakiejś rozmowie, nazywano go pokojem Adama.

* To pokój Adama * wyjaśniła Ruby. * Mojego brata, który zmarł.

Julian, z oczami utkwionymi w końcu korytarza, odwrócił się i spojrzał na nią. Mój Boże! Miał kozią bródkę. Jak mogła wcześniej nie zauważyć rzeczy tak oczywistej? Przepaść pomiędzy nią a Sherlockiem Holmesem musiała być większa niż ten cholerny Wielki...

* Przykro mi * rzekł Julian.

* Z jakiego powodu?

* Śmierci twojego brata.

* Aha * odparła Ruby. * Dziękuję.

Czy tak właśnie należało odpowiedzieć, dziękuję? Dziękuję oznaczało, że druga osoba powinna teraz powiedzieć: Nie ma za co. Wydawało się, że powinien nastąpić cały łańcuch uprzejmości typu: proszę bardzo, jak miło z twojej strony, to drobiazg.

* To stało się dawno temu * rzekła Ruby. * Nie było mnie jeszcze na świecie.

* Mimo wszystko * odparł.

Mimo wszystko, co? Nie kontynuował, tylko ponownie wbił wzrok w małe schodki.

* Chcesz zobaczyć jego pokój?

* Tylko zerknąć * stwierdził Julian. * Skoro pokazałaś mi już większą część tego uroczego domu.

Uroczego. Tak. Naprawdę był uroczy. Jak z bajki, z tym swoim czerwonym kominem, karmnikiem, stosem drewna, lasem dokoła: Robin Road 37, Raj. Jaki może być kod Raju1? * myślała Ruby, wbiegając po schodkach i otwierając drzwi do

pokoju Adama. Pustego, oczywiście, nie licząc łóżka i pościeli, wymiętej po tym, jak spędziła tu noc * szczegóół, który umknął pamięci Ruby. Czy Julian pomyśli sobie, że łóżko stoi nie pościelone od jedenastu lat? Czy powinna to jakoś wytłumaczyć?

* Wygląda jak poddasze artysty * stwierdził Julian.

* A to dobrze czy źle?

* Ależ dobrze * odparł Julian. * To najpiękniejszy pokój w całym domu. Nie licząc twojego, oczywiście.

Ruby zachichotała głupkowato, całkiem jak Kyla.

* Jak umarł? * zainteresował się Julian. Ruby przestała chichotać.

Historia śmierci Adama była dość zagmatwana, a jednocześnie stanowiła jej najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa. Wraz z Brandonem siedzieli w piwnicy, zanim utworzono tam pokój telewizyjny. Zapamiętała zielony dywan, pustą puszkę po piłkach tenisowych, w której gromadziła swoje skarby, takie jak magiczny pierścionek z olbrzymim rubinem * co się z nim stało? * oraz fort z poduszek.

Pewnie wspięła się na samą górę fortu i próbowała wstać, bo pamiętała, jak Brandon podniósł głowę, by na nią spojrzeć. Miał na sobie piżamę w piłki do baseballu.

Powiedział: „Złamiesz nogę i umrzesz, tak jak Adam”. I w ten oto sposób w jednej chwili dowiedziała się o Adamie i jego śmierci, tyle że nie do końca było to zgodne z prawdą. Adam, co prawda, złamał nogę, lecz coś innego było przyczyną jego śmierci, choroba o nazwie, która przerażała ją od lat do tego stopnia, że wciąż odwracała oczy, gdy tylko gdzieś ją zauważyła.

* Najpierw złamał nogę * szepnęła Ruby. * A potem zmarł na leukemię.

Julian skinął głową, tak jakby się tego spodziewał.

Leukemia: mogło to być imię którejs z tych potwornych mrówek w jednej z części Obcego * filmu, który przełączała jak najszybciej, gdy tylko natknęła się na niego podczas wędrowki po telewizyjnych kanałach.

JVlama weszła przez drzwi prowadzące do garażu, z płatkami śniegu we włosach i na ciemnym futrzanym kołnierzu płaszczu. Ruby i Julian siedzieli przy stole. Ruby właśnie pałaszowała kolejnego hot doga, a Julian przeglądał Sherlocka Holmesa: opowieści zebrane. Wstał. Czy Ruby kiedykolwiek przedtem widziała mężczyznę,

który wstaje, gdy kobieta wchodzi do pokoju? W prawdziwym życiu nigdy.

Mężczyźni wstający, gdy kobieta wchodzi do pokoju: to chyba najwspanialszy zwyczaj pod słońcem. I co się z nim stało?

* Dzień dobry * przywitała się mama. * Brandon pisze kolejny test sprawdzający?

* Mm * mruknęła Ruby z pełnym ustami. * Nie ma go jeszcze w domu.

Palce mamy zastygły na górnym guziku płaszcza.

* Nie ma go jeszcze w domu? Ale przecież... * Spojrzała na zegarek. * Na miłość boską. Zadzwoił chociaż?

* Nie wiem * odparła Ruby.

* Jak to nie wiesz? * Ruby od razu wiedziała, że mama miała ciężki dzień w pracy. * Rozmawiałaś z nim? Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce?

Może nie usłyszałam, gdy byłam zajęta podpalaniem domu. Ruby nie odezwała się ani słowem. W tym czasie mama podeszła do telefonu stojącego na blacie i zajęła się przesłuchiowaniem wiadomości. Żadna nie pochodziła od Brandona. Potem, tak jakby czaszka Ruby stała się nagle przezroczysta i mama mogła do niej zajrzeć, gdy tylko miała na to ochotę, pociągnęła nosem i zapytała:

* Czy ja tu czuję zapach dymu?

Cisza jak ta po błyskawicy, a przed uderzeniem pioruna.

* To ja rozpałiłem ogień * odezwał się Julian. * Mam nadzieję, że się pani nie gniewa.

Piorun nie uderzył. Głos mamy stracił ostre brzmienie spowodowane trudnym dniem w pracy.

* Oczywiście, że nie, Julian. Uwielbiam ogień w kominku.

Rozpięła płaszcz. Wtedy z przedsionka dobiegł odgłos otwieranych drzwi i do domu wszedł Brandon, również ze śniegiem we włosach, ubrany w nową, czarną koszulkę z wizerunkiem Unka Deatha. Jego wzrok powędrował od mamy do Juliana i jeszcze raz do mamy. Zamknął oczy, tylko na mikrosekundę. To oznaczało zmieszanie, stwierdziła Ruby. Po prostu zapomniał o lekcji. Obserwacja i dedukcja: Ruby znów była w swoim żywiole.

Mama wystrzeliła pod adresem Brandona serię pytań, które przykuły go do miejsca.

Gdzie byłeś? Czy mam uwierzyć, że musiałeś zostać po lekcjach aż do siódmej trzydzieści? Nie sądzisz, że zachowałeś się niegrzecznie wobec Juliana? Dlaczego nie zadzwoniłeś?

Brandon nie potrafił się wytłumaczyć. Ruby dołożyła do hot doga jeszcze trochę musztardy i odgryzła kolejny kawałek. Winę miał wypisaną na twarzy.

* I dlaczego nie masz na sobie kurtki? * zapytała mama. * Jest zima.

* Zostawiłem ją w szkole * wyjaśnił Brandon.

Co? Ruby zatrzymała się w połowie kęsa. Był pijany czy co? Jego kurtka wisiała na wieszaku, prawie dotykał jej łokciem. Nawet jej nie założył do szkoły * a może w ogóle nie był w szkole! Biada mu.

* Co się z tobą dzieje, Brandon? * zapytała mama. * Przecież twoja kurtka wisi na wieszaku.

Brandon odwrócił się i dostrzegł kurtkę. Podniósł brwi. To musiało oznaczać zaskoczenie. Nagle jego brwi się zmarszczyły: zdumienie. Dosłownie dotknął kurtki, tak jakby nie była jego czy coś w tym rodzaju. Ale oczywiście była jego. Na prawym rękawie widniał napis: Brandon. Musiał być totalnie pijany. Wszystkie młodsze siostry umiały poznać, gdy coś było nie tak.

Brandon spojrzał na mamę. * Chyba...

Julian wziął do ręki swoją zieloną teczkę. * A może byśmy już zaczęli, Brandon? * zaproponował.

Odległość * zaczął Julian, siedząc na głównym miejscu przy stole w jadalni * prędkość i czas. Wnioskuje z testu, że nie jest to twoją mocną stroną.

Mama, przechodząc do salonu, zamknęła podwójne drzwi. Ta pieprzona kurtka. Co za dziwny dzień, pełen niespodzianek * nie licząc braku wiedzy na temat odległości, prędkości i czasu.

* Dwa jadące na północ pociągi wyjeżdżają z tej samej stacji w odstępach jednej godziny, jadąc po równoległych torach * czytał Julian z książki z testami.

To pewnie robota Ruby, była na spacerze w lesie z Zippym. Znalazła kurtkę i odwiesiła ją na wieszak, bez ostrzeżenia. Jak pułapkę. Czy musi być taka wredna? Inni mają normalne siostry.

* ...dziesięć mil na godzinę wolniej niż drugi pociąg. Zwariowany dzień, a zaczęło się od pożaru kosza na śmieci w męskim kiblu, tuż przy sekretariacie. Te pożary zdarzały się dwa lub trzy razy w roku, zawsze prowadząc do ewakuacji całego budynku. I była to sprawka tych samych dupków, ale nikt ich nigdy nie złapał. Tym razem, czekając na parkingu przed szkołą na dzwonek, który wezwie znowu wszystkich do środka, Brandon stał obok Trish Almeidy, żując gumę od niej.

* Mam zamiar wyjechać z tego miasta, choćby nie wiem co * postanowiła.

* A co ci się tu nie podoba? * zdziwił się Brandon. Wyjechać z West Mili? To świetne miejsce na dorastanie, każdy to wiedział. Potem przypomniał sobie, że Trish mieszka w tych blokach za Rite*Aid.

Ale może nie to akurat jej przeszkadzało, ponieważ dodała:

* Nie chcę być jedynką albo zerem.

* He?

* Jak w programie komputerowym, są same jedynki i zera. Tak jest w tym mieście. To brzmiało dość interesująco. * Chcesz być dwójką?

* Albo inną liczbą. Ale w West Mili ci na to nie pozwolą.

* A gdzie pozwolą?

* W Nowym Jorku, oczywiście * odparła Trish. * Opowiedz mi o tym barze w Soho.

* Ty byłaś w Soho?

* Ja nigdy nigdzie nie byłam...

Julian obszedł stół i podszedł do niego. * Mogę zobaczyć, jak ci idzie?

Brandon odwrócił zeszyt tak, by Julian mógł sprawdzić zadanie z pociągami. Ze sposobu, w jaki Julian uniósł brwi, Brandon domyślił się, że poczuł od niego zapach alkoholu.

* Ofiaruję ci tarczę * rzekł Julian.

* Tarczę?

* Dla ochrony * wyjaśnił. Zapadła chwila ciszy, jak dodatkowa spacja pomiędzy wyrazami w zdaniu, i Julian dodał: * Przed odległością, prędkością i czasem.

Delikatnie wyjął długopis z rąk Brandona i na samym środku kartki narysował tarczę,

naprawdę piękną, ze wszystkimi szczegółami. A zapach alkoholu? W jakiś sposób Brandon czuł, że Julianowi to nie przeszkadza. Ile właściwie miał lat? Chyba wciąż był na tyle młody, by pamiętać jak to jest, prawda?

Na tarczy, w miejscu, gdzie znajduje się herb czy jak to tam się nazywa, Julian wypisał dużymi, gotyckimi literami:

* Słuchaj tego, co ci dyktuje tarcza * radził Julian. * Jeśli pytają cię o odległość, połóż palec na O.

Brandon położył palec na O. A z Trish skończyli w tym jej paskudnym mieszkaniu w blokach za Rite*Aid. Trish miała butelkę Jacka Danielsa, co było miłą niespodzianką.

* Co mówi tarcza?

* PC.

* Czyli?

* Prędkość i czas.

* „I” to zwykle znaczy „dodać”.

* No to prędkość razy czas?

Julian skinął głową. Miał odrobinę nieobecne spojrzenie, tak jakby obserwował, jak poszczególne elementy wskakują na swoje miejsca. * A jeśli potrzebna jest prędkość? * zapytał.

Brandon położył palec na P. * O dzielone przez C.

* Tarcza OPC * rzekł Julian. * Spróbuj zrobić to zadanie z pociągami od nowa.

Brandon jeszcze raz przeczytał polecenie. Dwa pociągi na równoległych torach...

Mieszkanie było paskudne, ale pokój Trish niesamowity. Na ścianach stworzyła malowidła, których tematem było liceum w West Mili, odjazdowe obrazki, na których rozpoznał wielu ludzi, łącznie z sobą samym. Niektórzy robili obrzydliwe rzeczy, na przykład pan Kranepool, parkingowy, klęczał, liżąc owłosione nogi pani Belsey, dyrektorki...

* Jakie jest sedno pytania?

Sedno. Brandon przeczytał pytanie po raz kolejny i strzelił: * Chodzi o czas?

* A więc?

* Niech więc czas podróży pociągu numer dwa to będzie C.

* Teraz zbierz wszystko w jedno równanie.

* W równanie?

* Coś, co składa się z liczb i liter, ze znakiem równości w środku. Wszystkie one wyglądają prawie tak samo.

Prawie tak samo: Brandon nareszcie zaczynał rozumieć, czuł zachodzący proces, tak jakby wielkie klocki w jego głowie ustawiały się na swoich miejscach. To było jak przykład * z angielskiego na matematykę. Nigdy wcześniej tego nie pojmował, nigdy w całym swoim życiu nie rozwiązał prawidłowo zadania na odległość, prędkość i czas, chyba że przypadkowo.

Ułożył równanie: $85C = 75(C + 1)$. Pokój był niesamowity, a oni jakimś sposobem wylądowali razem na łóżku Trish, przy czym spoglądała na nich cała ekipa z liceum West Mili * pani Belsey, pan Kranepool, pan Monson czytający swoje bryki na temat Makbeta podczas walenia konia w toalecie, Frankie J i Whitney ubrani jak król i królowa balu, lecz z jakiegoś powodu trzymający w dłoniach płonące krzyże, i on sam, stojący na scenie, żonglujący piłeczkami tenisowymi. Otoczeni tymi i wieloma innymi postaciami leżeli na łóżku, gdzie Trish obciągnęła mu ustami, jeszcze nie gotowa, jak twierdziła, na prawdziwy seks, a on sięgnął pod jej spódniczkę i pieścił ją, myśląc, czy się na niej nie położyć, niekoniecznie po to, by uprawiać prawdziwy seks, bo też jeszcze nie był gotów. I nie wiedział, czy w ogóle kiedyś będzie.

* Czas wynosi siedem przecinek pięć.

* A w czym mierzymy?

* W godzinach. Siedem przecinek pięć godzin.

Julian sięgnął i postawił haczyk tuż obok swej pięknej tarczy. Nawet jego haczyk miał doskonały kształt. Brandon zastanawiał się, co Julian pomyślałby o malowidle Trish.

* Czy to gotowiec od agencji? * zainteresował się Brandon. * Ta cała tarcza OPC?

* Od agencji?

* No wiesz, czy była w materiałach, które od nich dostałeś?

* Sam ją wymyśliłem * odparł Julian.

* Teraz?

Julian skinął głową w ten typowy dla siebie sposób, wpatrzony w nicość.

O, kurczę.

Brandon rozwiązał jeszcze dziesięć zadań z algebry, tworząc równania, czasami nawet całe ich akapity. Akapity w matematyce: jego własny pomysł. Julian położył przed nim kartkę z odpowiedziami i pozwolił mu się samemu ocenić.

* Zrobiłeś wszystkie? * zapytał Julian.

Brandon sprawdził. * Tak, wszystkie. * Usłyszał zdziwienie w tonie swojego głosu. * Jak to się stało?

Julian nie odpowiedział. Wpatrywał się w zdjęcie Adama stojące na kredensie, to, gdzie grał na saksofonie * teraz należącym do Ruby * a jeden z braci Wyntona Marsalisa, którego imienia Brandon nie mógł sobie przypomnieć, stał obok niego z uśmiechem na twarzy.

* To Adam * wyjaśnił Brandon.

* Ruby mi o nim opowiadała.

Jaka historia wiązała się z tym zdjęciem? Coś związanego z koncertem jazzowym w szkole i wielkim sukcesem Adama.

* Ruby * prychnął Brandon. / ta jej niewyparzona gęba. * Ruby nie było jeszcze wtedy na świecie.

* Tak słyszałem * powiedział Julian, pochylając się nad fotografią, by przyjrzeć się z bliska. * A ty, ile miałaś lat?

* Pięć * odparł Brandon. Adam byłby teraz na studiach, może nawet już by je skończył. Na jakiej uczelni by studiował?

* Pamiętasz go? * Głos Juliana brzmiał łagodnie. Nie szeptał, lecz mówił bardzo cicho.

* Jasne.

* Jaki był?

* Dobry we wszystkim * wyjaśnił Brandon. Poza tym zbyt wiele nie pamiętał, jedynie czyjaś ważną obecność, kogoś, osobę, nad której wspaniałym rozwojem trzęśli się oboje rodzice. Harvard, Stanford, Princeton. To była przyszłość, której

Adam nie doczekał. Tam chodzili najlepsi.

* A gdzie ty chodziłeś? * zapytał Brandon.

* Gdzie chodziłem? * zdziwił się Julian, odwracając się od zdjęcia.

* Do jakiego college'u?

* Do żadnego * odparł Julian i zaczął się śmiać.

Brandon nigdy przedtem nie słyszał jego śmiechu, który brzmiał teraz dość dziwnie, bo Julian, który posiadał piękny, niemal śpiewny głos, śmiał się rehotliwie, przypominając krakanie kruka. Rehotliwie i zaraźliwie: Brandon również zaczął się śmiać. W pokoju wciąż jeszcze rozbrzmiewał śmiech, gdy zajrzała do niego mama z wyrazem miłego zaskoczenia na twarzy.

11

Było już po północy, a Julian siedział, mając przy sobie trzy ogniki: ostatniego tego dnia papierosa i dwóch świeczek. Julian lubił świeczki, lubił te ich maleńkie płomyki luźno przymocowane do cienkiego knota, jak więźniowie na łańcuchu, złoczyńcy z odciętymi nogami. W piwnicy wozowni odkrył stare szkolne biurko zrobione z ciężkiego dębu, z metalowymi nogami, które kiedyś były przymocowane do podłogi. Wyczyścił je, zaniósł na górę i umieścił obok okna z widokiem na podwórko. Lubiał przy nim siadywać, gdy minęła północ, i wpatrywać się w ciemność, ciemność, która mieniła się trzema odcieniami: najjaśniejsze były pola i droga pomiędzy wozownią a dużym domem; średnio ciemny zdawał się sam duży dom, zwłaszcza gdy nie zapalono w nim światła, tak jak teraz; najciemniej zaś jawił się las.

Padał śnieg. Julian nie widział płatków, lecz słyszał, jak opadają na dach wozowni, bardzo lekko. Miał doskonały słuch, wzrok wprost idealny, ciśnienie krwi 115/70, puls 55, cholesterol 140. Wszystko to były wyniki łatwych pomiarów, lecz także to, co nienamagalne, było u niego na podobnym poziomie, tak jakby został zaprojektowany w określonym celu. Ilu z sześciu miliardów ludzi na tej planecie można opisać jako bardziej lub mniej do siebie podobnych? Pięć miliardów dziewięćset dziewięćdziesiąt milionów dziewięćset tysięcy. Zostaje więc sto tysięcy

tych, którzy się liczą, którzy mogliby zainteresować kogoś obiektywnego, jakiegoś znawcę ludzkości zwiedzającego wszechświat.

Julian zerknął na kartkę papieru leżącą na biurku, tam, gdzie oczekiwał wiersz.

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać

Podniósł swoje pióro, które w świetle świec rzucało podwójny cień, z lewej i z prawej strony, i pochylił się nad pustym miejscem, tam, gdzie powinien zacząć się kolejny wers. Wiersz był tu uwięziony, czuł go, a skoro go czuł, był poetą. Pozostało jedynie wkraść się do środka i wziąć go w posiadanie. Uchwycić słowa, wstrząsnąć nimi, przelać je na papier.

Lecz słowa nie przychodziły, nawet to pierwsze. Kto był winien? Najpierw nikt nie przychodził mu do głowy, lecz po chwili go olśniło: Gardnerowie z Robin Road.

Rozpraszał go w sposób najgorszy z możliwych. Jak umysł taki jak jego mógł pracować na najwyższych obrotach, kreować rzeczy, do których był stworzony, skoro musiał przebywać w towarzystwie Gardnerów z Robin Road? Oni byli i na zawsze mieli pozostać częścią tych 5.999.900.000. A rzeczą, która go w nich denerwowała * jedną z wielu * był fakt, że nie mieli o tym pojęcia. Czy ktokolwiek z nich podejrzewał, że ich istnienie nie ma żadnego znaczenia, czy zdawali sobie sprawę z własnej miernoty? A gdyby się o tym dowiedzieli, to czy ktokolwiek z nich stałby się mniej zadufany, mniej pewny, mniej zadowolony z siebie? Interesujące pytanie.

W dużym domu w oknie na piętrze zapaliło się światło, zaskakując go. Małeńka lampka widziana z tej odległości, która zniszczyła jednak odcieniowe trio świateł, wdzierając się w nie i zniekształcając, tak że nie miało już sensu. Julian głęboko zaciągnął się papierosem, by się uspokoić, przywrócić porządek; zrobił długi wdech, zasysając powoli smugę gorącego, aromatycznego dymu. Palenie tytoniu było sposobem na kontakt z Matką Ziemią, aczkolwiek ten fakt nigdy nie został poruszony w niekończących się dysputach na ten temat. Tytoń był tak samo częścią natury, jak sekwoje i małeńkie foczki; i ta myśl uczyniła z niego aktywistę na rzecz przyrody.

Przyroda i telewizyjne programy przyrodnicze: ta odrażająca dziewczucha, Ruby.

Pozwoliła, by jego umysł się błąkał. Czy to błąkanie było w jakiś sposób związane z ukrytym wierszem?

ozieźby ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać

Julian zbliżył końcówkę pióra do pustego miejsca, w którym powinno znaleźć się następne słowo. Nadchodziło, wiązało się z przyrodą, z programami przyrodniczymi, być może z jakimś konkretnym zwierzęciem i z dzieckiem. Czuł, jak słowo nadciąga, nabiera rozpędu, a gdy już się objawi, tama pęknie i nic nie będzie takie jak przedtem. Poczował, jak penis mu twardnieje.

Zadzwoił telefon.

Telefon? O tej porze? Już miał nie odbierać. Ale: lepiej wiedzieć.

* Słucham? * rzucił.

* Julian?

Ktoś, kogo znał, ale kto? Ktoś, ktoś... właścicielka. Resztki jego poetyckiej zadumy rozproszyły się na dobre.

* Mówi Gail.

Obserwował światło na piętrze dużego domu i dostrzegł poruszający się cień.

Uspokoił się.

* Gail Bender * dokończyła.

* Tak?

* Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Nigdy bym się nie ośmieliła zadzwonić o tej porze, ale zauważyłam, że pali się u ciebie światło.

Cień w dużym domu powiększył się. Julian zastanawiał się, czy nie zdmuchnąć świeczek.

* Tak mi wstyd się do tego przyznać, ale w moim domu jest nietoperz... uwięziony w łazience... a ja strasznie boję się nietoperzy.

Julian przypomniał sobie, jak rozmawiał z Gail na podwórku. Miała na sobie kurtkę w czerwono*czarną kratkę i kalosze: czy wyglądała jak kobieta, która boi się nietoperzy? Raczej jak instruktorka jazdy konnej, którą znał wiele lat temu.

* Zastawiam się, czy nie mógłbyś zrobić mi przysługi i przyjść do mnie?

Ponownie głęboko się zaciągnął. Przypuszczalnie wzięła to za westchnienie.

* Tak mi przykro, że sprawiam ci kłopot.

Nietoperze. Część przyrody, oczywiście, a przyroda zdawała się jakoś wiązać z

wierszem.

* Nie ma problemu * odparł Julian. * Zaraz u ciebie będę. Zdmuchnął świece i założył płaszcz. Duży dom zajaśniał od świateł.

Prawdziwy z ciebie dżentelmen * przywitała go Gail, otwierając drzwi. Miała na sobie fioletoworóżowy szlafrok i makijaż na twarzy, co oznaczało, że jeszcze się nie położyła. Ale w domu wcześniej było całkiem ciemno. Tak więc położyła się, tylko ponownie nałożyła makijaż. * Pewnie wydaje ci się, że jestem dziecinna * rzekła. * Ale nietoperze to jedyne, czego się boję.

* Naprawdę?

* Och, tak * westchnęła Gail. * Dorastałam w dość nieokrzesanym towarzystwie, w dzieciństwie była ze mnie prawdziwa chłopczyca. Kiedyś to była czynna farma. Mieliliśmy dwieście akrów, aż do Trunk Road, do miejsca, gdzie teraz jest ta wielka wypożyczalnia wideo.

* Ale nigdy nie przyzwyczaiłaś się do nietoperzy. Pokręciła głową. * Mimo, że lubię ptaki.

* Nietoperze są ssakami.

* Wiem. Może to właśnie jest w nich najstraszniejsze. Są jak eksperyment Frankensteina.

Julian uśmiechnął się. Ta rozmowa zaczęła mu się podobać. Odwzajemniła uśmiech. Wtedy jej wzrok spoczął na łacie zarostu znajdującej się pod jego dolną wargą, kępcę włosów, którą pozostawił, a której nazwy wciąż jeszcze sobie nie przypomniał. Wyraz jej oczu zmienił się odrobinę. Te jej oczy * były takie zwyczajne.

* To prowadź mnie do swojego nietoperza.

Gail zaśmiała się. Poczł zapach alkoholu w jej oddechu, przypuszczalnie jednego z tych kawowych likierów, Tia Maria albo kahliia, i wyobraził sobie, jak popija go prosto z butelki, ubrana w swój fioletoworóżowy szlafrok. Być może nawet bez szlafroka, spoglądając na światło świec w wozowni. Wiedział już, jak będzie wyglądać jej sypialnia, chociaż jej nie widział.

Poprowadziła go na górę. Jej ciało poruszało się pod szlafrokiem. Była masywną kobietą, to fakt, lecz większość jej wagi stanowiły mięśnie. Czł, że ona czuje na

sobie jego spojrzenie.

Szli wyłożonym boazerią korytarzem * cały dom wydawał się wyłożony drewnem z mnóstwem ozdobnych gzymsów, istny raj dla podpalacza * w kierunku jej sypialni. Była to stara wiejska sypialnia, być może dwie lub trzy sypialnie połączone w jedną, odnowione w rustykalnym stylu. Ładne meble, ładny dywan, ładne obrazy, ładne ogromne łóżko. Dokładnie tak sobie to wszystko wyobrażał, choć może trochę większe. Jedyna rzecz, której nie przewidział, to sprawozdania finansowe spółek i prospekty emisyjne porozrzucane na łóżku.

* Zbliża się spotkanie klubu inwestorek J.P. Morganette * wyjaśniła Gail. * W zeszłym roku zarobiłyśmy na czysto dziewiętnaście procent.

* Gratulacje.

Podowała mu rakietę tenisową. * Jest w łazience. Mój drugi mąż zawsze tego używał na nietoperze.

Fatalnie wyważona rakietka. * Był graczem?

* Sama nie wiem, kim był * odparła Gail. Julian skierował się do łazienki.

* Nie, żebym nie lubiła odrobiny tajemniczości u mężczyzny * kontynuowała Gail, mówiąc do jego pleców * ale od czasu do czasu chętnie poznałabym jakąś wskazówkę...

Julian otworzył drzwi do łazienki.

* Na temat tego, co się dzieje w ich głowach, jeśli cokolwiek * ciągnęła Gail.

Wszedł do środka i szybko zamknął za sobą drzwi.

* Widzisz go? * zawołała Gail, stojąc za drzwiami.

Za dużo mówiła, jak tamten dzieciak. Kobiety, które zbyt dużo mówiły, denerwowały go jak nic na świecie. Stawały mu wtedy przed oczami całe ich miliardy, języki, usta, kłapiące zęby, bzdury mamrotane w niezliczonych językach.

Julian oczywiście dostrzegł nietoperza natychmiast po wejściu do łazienki.

Stworzenie wisiało na uchwycie na ręczniki tuż nad toaletą, jak najdalej od światła nad umywalką, wpatrując się w niego czarnymi oczami.

* Nie lubisz, jak jest za jasno, co? * powiedział Julian.

* I co tam? * zawołała Gail.

* Powoli się rozglądam.

I tak się rozglądał. Zobaczył odkręconą tubkę tuszu do rzes, leżącą przed lusterkiem, i spoczywający obok mały pędzelek oraz kilka pyłków na marmurowym stoliku.

Otworzył szafkę z lekarstwami i znalazł środki uspokajające, przeciwbólowe, estrogen. Pochylił się, by sprawdzić zawartość słomianego koszyczka stojącego obok toalety: kobiece czasopisma, romans w tanim wydaniu * Ciemny jest kolor snów * a na samym dnie w wyświechtanej twardej oprawie Poradnik seksualny dla dojrzałych kobiet z ilustracjami.

* Co się dzieje? Wszystko w porządku?

Julian wstał, spojrział na nietoperza zwisającego z wieszaka na ręczniki na wyciągnięcie ręki. Nietoperz patrzył na niego. Ciało gryzonia uwięzione w błoniastych skrzydłach, cienkie jak patyki kończyny na wieki ograniczone. Być może naprawdę był to twór Frankensteina, nieudany eksperyment natury. Co ten biedak próbował mu powiedzieć tymi swoimi ciemnymi oczami? Nie spuszczać wzroku z nietoperza, Julian odłożył raketę, opierając ją o muszlę klozetową. Potem wyciągnął prawą rękę i złapał nietoperza.

Słowo „wyciągnął” nie najlepiej opisywało gest, jaki uczynił Julian. Była to znacznie szybsza czynność. Julian potrafił być bardzo szybki, gdy chciał, omalże nadnaturalnie. Stworzenie próbowało walczyć, trzepotać skrzydłami, a w końcu ugryźć.

* Nie, nie, ty mały wampirze * powiedział Julian cicho, by uspokoić zwierzę. Potem lewą ręką chwycił gryzonia za głowę i ukręcił ją niczym oporną zakrętkę.

Zakrętkę słoika z dżemem: truskawkowym dżemem.

* Masz jakieś kłopoty?

* Żadnych * odparł Julian. Łokciem otworzył okno i wyrzucił przez nie czerwono*czarne szczątki, w jakimś sensie przeciwieństwo bukietu, tak jak on był w jakimś sensie przeciwieństwem panny młodej. Och, jego umysł płonął. Czuł się genialnie, w pełnym tego słowa znaczeniu.

* Więc dlaczego to tak długo trwa?

Julian umył ręce nad umywalką, wytarł je w puszysty czerwony ręcznik, zamknął

okno, zakręcił tubkę z tuszem do rzes i otworzył drzwi. Przed drzwiami stała Gail z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

* Co się stało? * zapytała. * Przez chwilę myślałam, że toczysz tam walkę na śmierć i życie.

* Och, nie * zaprzeczył Julian. * Nic takiego się nie wydarzyło. Szczerze mówiąc, wypuściłem go na wolność.

* Na wolność?

* Skłoniłem, by wyleciał przez okno * wyjaśnił Julian. * Przecież zależało ci na tym, by pozbyć się go z domu, a nie zakończyć jego żywot, jakkolwiek marny.

Gail otworzyła szerzej nie tylko oczy, ale również usta. * Jak miło z twojej strony, Julian.

Wzruszył ramionami. Niedbały gest, choć wewnątrz czuł, jak krew szumi mu w głowie.

* Jestem ci wdzięczna za pomoc i za to, że przyszedłeś tu w środku nocy.

* Wcale o tym nie myśl. * Mógł powiedzieć nie ma za co, lub nie ma o czym mówić. Wcale o tym nie myśl jednak brzmiało jakoś lepiej, było bardziej na miejscu, a jednocześnie miało w sobie coś z rozkazu.

* Nie zmrużyłabym oka, gdyby ten stwór latał po domu * zwierzyła się Gail. * Właściwie przez to zamieszanie nagle odechciało mi się spać. * Jej spojrzenie na sekundę powędrowało do małej kępki włosów pod dolną wargą Juliana. * Może napijemy się przed snem?

Julian myślał nad odpowiedzią, spoglądając na nią, lecz wciąż mając przed oczami truskawkowy dżem.

* Tylko tak mogę się odwdzińczyć * wyjaśniła Gail.

* To miło z twojej strony * rzekł Julian. To zbytnia uprzejmość * czy to nie zabrzmiałoby lepiej? Raczej nie, zbyt obcesowe.

* Akurat mam tu w pokoju mały barek * powiedziała Gail. * Tak na wszelki wypadek. * Podeszła do srebrnej tacki stojącej na dolnej półce starej biblioteczki, przypuszczalnie dość cennej. * Kahlua, B&B, koniak * rzekła. * Czego się napijesz? Julian zdecydował się na koniak, a Gail wybrała kahlua. Usiadł w niskim fotelu,

złożonym i obitym aksamitem, który ona przysunęła bliżej łóżka. Sama zajęła jedyne pozostałe miejsce nadające się do siedzenia, czyli łóżko, odsuwając materiały klubu J.P. Morganette i opierając się o poduszki z wyciągniętymi przed siebie nogami.

Jedynie stopy z pomalowanymi na czerwono paznokciami wystawały jej spod szlafroka. Julian domyślił się, że jest dumna ze swych stóp, zresztą całkiem słusznie: były pięknie ukształtowane, nie wyglądały, jakby należały do kobiety w średnim wieku, a jednocześnie wydawały się jakieś takie doświadczone, niosły ze sobą obietnicę. Był to jej największy atut, bez dwóch zdań.

Gail podniosła szklanekę, by wznieść toast. * Za nietoperze.

Julian pociągnął łyk koniaku. Koniak to chyba było za dużo powiedziane.

* Powiedz mi coś o sobie, Julian.

* Nie ma o czym.

* Nie chciałam być wścibska.

* Nic nie szkodzi * odparł Julian. * Po prostu jestem pewien, że twoje życie jest bardziej interesujące, to wszystko.

* Chciałabym... * westchnęła Gail. * Czasami wydaje mi się, że moje życie w ogóle się jeszcze nie zaczęło. Od zawsze byłam hamowana przez mężów, chłopaków, dzieci. I nikt z nich mi tak naprawdę nie pasował. Poza dziećmi, oczywiście. Mam dwójkę wspaniałych dzieci, syna i córkę, oboje dawno już wyfrunęli z gniazdka.

* Mieszkają w pobliżu?

* Jedno w Houston, a drugie w Kalifornii. * Opróżniła szklanekę. * A rzecz w tym, że wciąż czuję w sobie ogromny potencjał, co jest dość dziwne w moim wieku, o który, dzięki Bogu, nie pytasz. Jestem tu jak w więzieniu, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

Julian skinął głową.

* Potrafisz słuchać, prawda? * rzekła Gail. * Ja nie mam zbyt dużego doświadczenia z dobrymi słuchaczami.

W ogóle jej nie słuchał. Błędnie odczytała jego nieruchomy wzrok, wbity w czerwone paznokcie jej stóp.

* Mógłbyś coś dla mnie zrobić, Julian? Nalej mi jeszcze odrobinę, proszę.

Podawała mu pustą szklanekę. Ich dłonie się spotkały. Kiedyś z pewnością miała

wspaniałe ręce, prawie tak piękne jak stopy, lecz czas odcisnął już na nich swe piętno. Julian podszedł do tacki i nalał kahlua do szklanki Gail.

* Muszę powiedzieć, że jesteś bardzo miły * stwierdziła, odbierając szklankę z jego rąk. Przez chwilę, gdy siedział tuż obok łóżka w swoim foteliku, wydawało mu się, że Gail zaproponuje kolejny toast, lecz wypła w ciszy, błogosławionej ciszy. Jej policzki zaróżowiły się. Spojrzała na niego, wypła jeszcze łyk i poruszyła lekko nogami, tak że jedna ze stóp znalazła się na brzegu łóżka. * Czy mogę zaryzykować i powiedzieć ci coś osobistego? * rzekła.

* Proszę.

* Podoba mi się ta kępka włosów pod twoją wargą. Julian uśmiechnął się. Jej stopa ześlizgnęła się z brzegu łóżka tak, że można by to uznać za przypadek, i wylądowała na jego kolanach, czego już za przypadek uznać się nie dało. Nie przestał się uśmiechać, zmieniając odrobinę wyraz twarzy, tak by myślała, że uśmiecha się do niej. Poruszyła stopą i okazało się, że palce z czerwonym paznokciami są bardzo chwytne.

* Chodź do mnie * powiedziała. * Pozwól, że ci pokażę, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

* Za co?

* Za pomoc z nietoperzem.

Nie trzeba mu było żadnej wdzięczności. Dostał już zapłatę w pełni. Trach: ten dźwięk. Mógł wymyślić tysiące powodów, by tu zostać lub po prostu wyjść. Ale był taki twardy, kiedy czuł nadciągający wiersz, którego narodziny przerwał jej telefon... Tak więc naprawdę była jego dłużniczką. Poza tym była chętna. No i te stopy...

Najpierw dopił resztę tak zwanego koniaku, wysączył go niespiesznie, nie odrywając ust od kieliszka. Potem wstał i zdjął ubranie, tak by mogła mu się dobrze przyjrzeć.

* Mój Boże * szepnęła, a jej policzki zaróżowiły się jeszcze bardziej, wkrótce osiągając truskawkową czerwień.

Wszedł na nią, rozsunał jej szlafrok, podczas gdy jej nogi rozsunały się same, i wszedł w nią bez żadnej gry wstępnej.

* O mój Boże * krzyknęła głosem, w którym zabrzmiała przyjemność połączona z

bólem, co nawet mu pasowało.

Trzask kości i truskawkowy dżem: był twardy jak skała. Pchał i pchał. Różnili się w swym zachowaniu tak, jakby pochodzili z różnych gatunków. Ona tylko sapała i kwiczała jak świnia.

* O, mój Boże * szeptała. * Będzie wspaniale. Co mówię? Już jest wspaniale.

Cudownie, cudownie, i to coś pod twoją wargą, och, Boże, tak, właśnie tak, rób tak jak...

* Zamknij się.

Ale było już za późno. Całe to gadanie, te brednie, podręcznikowe podejście dojrzałej kobiety do seksu, zmaciły obraz stóp z czerwonymi paznokciami.

* Co? * Przestała się poruszać, jeśli to bezradne, niemrawe podrygiwanie można było nazwać ruchem. * Tak mi przykro, Julian, czy zrobiłam coś nie tak?

Miękki, całkowicie miękki. Wysunął się z jej ziejącej czeluści jak mokry robak.

* Julian? Zrobiłam ci krzywdę?

Uczucie pogardy dla jej słów wywołało gniewne mruknięcie. Wzięła robaka w dłoń i starała się pobudzić go do życia, niezgrabnie tarłując, w końcu próbując zdziałać coś ustami. To przynajmniej przerwało odrażający bełkot, ale i tak było już za późno. Spojrzał na jej podskakującą głowę i pomyślał o truskawkowym dżemie ukrytym pod czaszką, a potem wstał.

Gail skuliła się przy wezgielku z rozmazaną na twarzy pomadką i próbowała okryć się szlafrokiem.

* Co takiego zrobiłam?

Julian ubrał się i wyszedł bez słowa.

Siedział przy biurku w ciemności. W dużym domu nie paliło się światło, nie licząc tego, które błyskało przez okno sypialni na piętrze. W końcu zgasło i ono. Julian zapalił dwie świece i kolejnego papierosa, pierwszego nowego dnia. Wessał pierwszą kulkę kojącego dymu, czuł, jak rozchodzi się po jego ciele i umyśle.

Wydmuchnął go z głębokim westchnieniem, prawie ze szlochem. Nikt go nie znał, nie znał jego potęgi. To znaczy, nikt, kto się liczył, nikt z tych stu tysięcy. Był uwięziony w sekretnej wzniosłości, jak Nietzsche. A co robił Nietzsche? Pisał.

ozieźbły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać
Słowo, które przedtem miał prawie na końcu pióra, teraz nie było nawet cieniem.
Tortura. Te ciemne oczy rozumiały, do czego był zdolny, czuły, co nadejdzie. Trzask
kości. Trzask kości i truskawkowy dżem.

Truskawkowy dżem: jego umysł zawisł na jakiejś krawędzi. Truskawkowy dżem był
obrazem, symbolem. A wiersze wymagały obrazów i symboli. Być może do całego
problemu trzeba było podejść z innej strony. Czego jeszcze wymagał wiersz? Tematu,
oczywiście. Wyjdzie od tego pierwsze

go, jakże obiecującego słowa, ozieźbły, i znajdzie obszerny temat. A jaki to będzie
temat? Znał już dźwięki, które się z nim kojarzyły: sapanie i kwiczenie. O dwóch
gatunkach: poemat epicki. Ta setka tysięcy i pozostali. Oto był temat jego wiersza:
jak zdławić płytką nikczemność pozostałych 5.999.900.000.

Epicki temat epickiego poematu. Lecz jak tu pisać o tak ogromnej rzeszy? Co zrobił
Homer? Skoncentrował się na niewielkiej grupie postaci, uwikłał je w konflikt i
popchnął w kierunku przeznaczenia. Julian potrzebował łatwo dostępnej grupki, która
reprezentowałaby wszystkich.

Gail? Prawie wzdrygnął się na samą myśl o niej. Lecz nie było potrzeby teraz
zawracać nią sobie głowę. I tak nie pasowała do jego wiersza. Potrzebował postaci,
które biorą aktywny udział w życiu współczesnego społeczeństwa, a ona w jakimś
sensie była poza nim.

Raptem: trach. Eureka. Gardnerowie z Robin Road. Idealnie pasowali na
przedstawicieli współczesnego społeczeństwa, kapitalnie je reprezentowali ze swoją
średnią 2,2 dziecka, jeśli wliczyć w to ducha pierwotnego.

Julian skierował pióro na pustą kartkę. Następne słowo jednak wciąż nie
przychodziło. Miał dziwne fizyczne uczucie, tak jakby spadał w dół jakiegoś szybu.
Potężnie zaciągnął się papierosem, spalając niemalże całego za jednym razem. Gdy w
wyniku tego osiągnął moment ukojenia, przestał odczuwać spadanie i zdał sobie
sprawę, że wiersza epickiego nie można napisać, ot tak. Wymaga przygotowań.
Od czego zacząć? Od postaci? Jeśli tak, jakie będą ich losy, jakie przeznaczenie?
Julian nie miał pojęcia.

Żaden pomysł nie przychodził mu do głowy, lecz jego umysł nadal intensywnie pracował, zadając kolejne pytanie. A może należy do tego podejść naukowo? Najpierw zebrać dane. Być może, gdy będzie miał dane, historia ruszy naprzód, przyroda i sztuka połączone w jedno. Niespokojnie poruszył się na krześle z podniecenia: czyżby zachodził w nim właśnie proces, którego skutkiem miało być stworzenie nowej formy, żywego wiersza, gdzie przyroda i sztuka będą się ze sobą splatać w rzeczywistym czasie? A może będzie to żywa powieść? Spokojnie, spokojnie. Lecz nie był w stanie zachować spokoju, a papieros wypalił się do cna. Zapalił kolejnego, drugiego tego dnia, choć jeszcze nie zaczęło świtać. Być może nadszedł czas, by zrobić odstępstwo od jednej lub dwóch reguł.

Dane. Na początek stworzy kompletną charakterystykę głównych postaci. Po raz kolejny Julian skierował końcówkę pióra na pustą stronę i wreszcie zaczął pisać. Na górze czterech dziewiczych stron wpisał nagłówki: Scott, Linda, Brandon, Ruby. A Zippy? Ta myśl go rozbawiła. Uśmiechnął się do siebie, otulony nocą.

Nagle jednak przestał się uśmiechać, zdając sobie sprawę, jak poważny popełnił błąd już na samym początku. Sięgnął po piątą kartkę papieru i nadał jej kolejny nagłówek: Adam.

Dlaczego mnie do tego zmuszasz? Wstawaj z łóżka.

Brandon przylgnął do poduszki, przylgnął do ciemności pod zamkniętymi powiekami i resztek snu. Miłego snu. Śnił mu się ten niesamowity pokój Trish, ale w łóżku była Whitney.

* Kiedy wreszcie przestaniesz zachowywać się jak dziecko? * zapytał tata.

Brandon słyszał kap, kap, odgłos wody ściekającej z żyłki ojca na podłogę. Czy powinien odpowiedzieć na to pytanie, czy było to jedno z tych, które zadaje się tylko dla efektu, a których nazwy nie mógł sobie przypomnieć. Zresztą nieważne. Był zbyt zmęczony, by się odezwać. Jeszcze nigdy w życiu nie był tak zmęczony jak teraz, a na dodatek czuł się kijowo. Bolało go gardło, głowa, uszy...

* Wstawaj, wstawaj, wstawaj.

Za każdym razem tata powtarzał polecenie głośniej, tak jakby znowu miał zamiar

świrować. Dalej, świruj * Brandon nie był w stanie się poruszyć. Czuł swój oddech * śmierdzący, stęchły. A przód bokserek wydawał się lepki. Co jest, do cholery? Gdzieś na granicy świadomości mignęły mu szczegóły snu o Whitney w sypialni Trish.

Wtedy z korytarza na dole dobiegł głos mamy: * Jeszcze nie wstał?

* Pracuję nad tym * krzyknął tata.

Cisza. Może tata sobie poszedł, może po prostu stwierdził, a, co tam, niech sobie biedak pośpi. Brandon czuł, jak jego ciało zaczyna się odprężać, powoli zapadając znów w głęboki sen.

* Hej * rozległ się głos taty, wciąż obecnego w pokoju, niepokojąco blisko. * A co to jest?

Brandon otworzył oko, tylko jedno, i to niezbyt szeroko, i zerknął przez firankę posklejanych rzęs. Tata stał przy biurku z jakimiś kartkami w ręku. O, kurwa. Test poprawkowy z Makbeta z olbrzymią, czerwoną jedynką na pierwszej stronie. Czy naprawdę zostawił go na wierzchu, naprawdę go nie wyrzucił? Opuścił z powrotem powiekę, nie będąc w stanie wymyślić żadnej sensownej odpowiedzi.

* Co się stało, Scott? * Mama. Mama była w pokoju.

* To mi wygląda na test poprawkowy * zwrócił się do niej tata. Cisza. A potem westchnienie mamy: * O, mój Boże. * Jej głos

brzmiał tak, jakby poczuła się dotkliwie zraniona. * Co to ma znaczyć, Brandon? Czuł, jak nad nim stoi. Otworzył oczy. Wymachiwała nad nim testem jak gliniarz dowodem rzeczowym. Byli tacy cholernie upierdliwi. Szczególnie ona.

* Och, nie nudź.

* Och, nie nudź? Tak powiedziałaś?

* Och, nie nudź, do cholery.

* Słyszałeś, co on powiedział, Scott?

* Nie waź się tak odzywać * warknął tata.

* Jedynka * powiedziała mama. * Gdzie się podziała twoja duma? Z takimi stopniami nie masz szans dostać się do żadnego college'u.

* I co z tego? A może ja nie mam zamiaru iść do college'u? * To był niezły pomysł.

* Nie chcesz iść do college'u? * zdziwił się Scott. * A co niby będziesz robił?

* Na miłość boską * jęknęła mama. * On wcale tak nie myśli. Nie daj się wciągnąć w te jego gierki.

Nie iść do college'u. Za półtora roku opuścić szkołę raz na zawsze. Wtedy końcówka liceum byłaby łatwizną, żadnych kursów przygotowawczych, żadnych testów, żadnego Makbeta ani Szkarłatnej litery, planowanej na przyszły rok, która ponoć była jeszcze gorsza.

* Naprawdę tak myślę * odezwał się Brandon. * Chyba dam sobie spokój ze studiami.

Obserwował rodziców przez posklejane rzęsy. Co za widok: tata z ręcznikiem wokół pasa, mama z jednym wokół całego ciała, a drugim na głowie, oboje w szoku, z szeroko otwartymi ustami. Nagle do głowy przyszedł mu kolejny świetny pomysł.

* Pomyślcie, ile zaoszczędzicie pieniędzy.

Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym.

* Do cholery * wrzasnął tata * A kto mówił cokolwiek o pieniądzach?

Gdzie słońce nie dochodzi, gdzie słońce nie dochodzi. To Problem, w tle. Miał głęboki, chrapliwy głos, prawie tak dobry jak Unka Death.

* Nie widzisz, że on wodzi cię za nos? * zawołała mama.

* Ale przecież nigdy nie mówiliśmy, że to kwestia pieniędzy.

* To nie ma znaczenia * powiedziała twardo mama. * Ważne jest, że on idzie do college'u i dobrze o tym wie.

* Nie możecie mnie zmusić * rzekł Brandon, nagle zdając sobie sprawę, jak prawdziwe są jego słowa. Nie mogli go zmusić. Czy Problem nagrał własną płytę? Będzie musiał zapytać o to Deweya.

* Jak myślisz, jaką znajdziesz pracę bez dyplomu uczelni? * zapytał tata.

* Kuriera na rowerze.

* Kuriera na rowerze?

* W Nowym Jorku. Zarabiają trzysta dolców dziennie.

* To nie jest prawdziwa praca * orzekł tata.

* Trzysta dolców dziennie to nie jest prawdziwa praca? * zdziwił się Brandon. *

Mamo, zarabiasz tyle?

Dwa blade kółka wielkości ćwierćdolarówek pojawiły się na policzkach mamy.

* Po szkole zaczyna się prawdziwe życie * szepnęła. * Naprawdę chcesz je przegrać, Brandon?

* Jeśli nie skończy się studiów, jest się przegranym? * zapytał Brandon.

* W dzisiejszych czasach, tak * odparł tata.

* Uważacie, że Julian jest przegrany?

* A co Julian ma z tym wspólnego?

* Nie skończył studiów.

* Bzdura * zaśmiała się mama.

* Chcesz się założyć?

Blade ćwierćdolarówki zrobiły się różowe. * Nie znasz się zbytnio na ludziach * rzekła mama. * Wystarczy posłuchać go przez dwie sekundy i już ma się pewność.

* Mówię tylko to, co sam mi powiedział * wyjaśnił Brandon.

* Musiałeś źle go zrozumieć * stwierdziła mama.

* Sama go zapytaj.

Siedząc w swoim boksie * dla którego właściwszą nazwą byłoby minibiuro, bo znacznie przekraczał rozmiary typowego boksu i stanowił boks tylko dlatego, że ściany nie sięgały do sufitu * Linda podzieliła swój dochód

przez liczbę dni roboczych w roku i wyszła jej kwota o wiele niższa niż trzysta dolarów. Skończyliście, moi drodzy, UConn, jesteście ludźmi sukcesu. Lubiła swoją pracę, była w niej dobra, lecz w Nowym Jorku zarobiłaby trzy, a może nawet cztery razy więcej. A zamiast zajmować się sprawami Centralnego Związku Pośredników Handlu Nieruchomości z Connecticut, Spółki Browarnianej Nutmeg i Skyway, pracowałaby dla wielkich domów towarowych przy Piątej Alei, dla Tiffany'ego lub jakiegoś dużego muzeum.

Dokonała wyboru: wybrała życie w małym miasteczku zamiast w dużym mieście, a tym samym zgodziła się na będące konsekwencją tego wyboru kompromisy. Czy już pierwsza decyzja, jaką się podejmuje, musi bezwarunkowo prowadzić do dalszych, tak jak na tych drzewkach ukazujących, jak mała podąża jedną drogą ewolucji, a

człowiek inną? Jaki był jej pierwszy wybór?

Rozległ się dźwięk telefonu. Skyway. Firma Skyway była właścicielem centrum handlowego w West Mili, a teraz przygotowywała pod zabudowę miejsce, gdzie pierwotnie stał młyn, musiała jednak najpierw uzyskać zgodę na wyrąb drzew w miejskim lasu, by zbudować tam drogę dojazdową. Do zadań Lindy należało opracowanie wizji dalszego rozwoju przedsięwzięcia, tak by prawnicy Skyway mogliby wykorzystać je potem, przedstawiając inwestycję wszystkim komitetom i komisjom. Miała z tym problemy: przede wszystkim, architekci Skyway nie mieli jeszcze gotowych projektów. Po drugie, nie podobała się jej nazwa, którą wybrali, Osiedle Mieszkaniowe Olde Mili. To osiedle mieszkaniowe mogło tylko rozżłościć ludzi od planowania i ochrony przyrody * w grę wchodziła kwestia znajdujących się na tym terenie bagien, a nie tylko mającej prowadzić przez las dojazdówki * a inwestycja miała mieć miejsce w West Mili, nie w Old Mili. Na dodatek to niedorzeczne e dodane do „Old”. Wysłała im listę z propozycjami innych nazw, którą odrzucili, a potem spróbowała ułożyć kolejną.

* Wciąż najbardziej podoba im się nazwa Osiedle Mieszkaniowe Olde Mili *
wyjaśniła jej kobieta od marketingu w Skyway.

* Bardziej niż Wierzbowe Zakole?

* Tego w ogóle nie załapali.

* Przecież znajduje się tam kępa wierzb * tłumaczyła Linda. Pojechała kiedyś w niedzielę, by się rozejrzeć. * Tuż przy zakolu rzeki, tam, gdzie kiedyś stał młyn.

* Tych drzew i tak tam nie będzie, gdy dobiegnie końca trzeci etap inwestycji.

* Trzeci etap?

* Budowa przystani.

* Starego młyna, od którego pochodzi nazwa Old Mili, też już nie ma, jeśli trzymamy się szczegółów * zauważyła Linda.

* Nie rozumiem.

Nie zamierzała wyjaśniać. * A co z e?

* El

* W Olde. To takie wydziwianie.

* Dlaczego?

Tego Linda też nie zamierzała wyjaśniać, poprosiła jedynie o czas na nowe pomysły.

* Ale drukarnia już czeka.

Linda zaczęła tworzyć nową listę: Rieczne Zakole, Łąki West Mili... Siedziała w biurze, stukając długopisem o kartkę, aż pomyślała: Wierzbowe Cmentarzysko. Czy w Nowym Jorku robiłaby podobne rzeczy? Albo nawet w Bostonie, mieście, na które jakoś udało jej się namówić Scotta. On sam nie palił się do tego pomysłu, który koniec końców kosztował go utratę części udziałów w rodzinnej firmie * nierówność schedy, która będzie dziedziczona z pokolenia na pokolenie.

Linda wybrała numer Centrum Prywatnego Nauczania „Szóstka z Plusem” i poprosiła do telefonu Margie.

* Czy to prawda, że Julian nie skończył college'u?

* Czy to stanowi jakiś problem? * zapytała Margie.

* Powiedział tak mojemu synowi.

* Wielu naszych pracowników nie posiada dyplomu ukończenia studiów * wyjaśniła Margie. * Wynika to z tego, że wciąż są studentami.

* Julian jest trochę starszy.

* Jeśli potrzebny jest ktoś starszy z dyplomem, mogę polecić emerytowanego nauczyciela angielskiego z Loomis.

* Nie, dziękuję * rzekła Linda. * Jesteśmy zadowoleni z Juliana.

* Tak też mi się zdawało.

* Po prostu jesteśmy zaskoczeni, jeśli to prawda.

* Czy ktoś w biurze zasugerował, że Julian ma dyplom?

* Nie * odparła Linda. * Wydaje się dobrze wykształcony, to wszystko.

* Julian jest dobrze wykształcony. Kilka lat temu wykładał na uniwersytecie * pokazał mi referencje od dziekana z Balliol. W odróżnieniu od konkurencyjnych firm, których nazwy pomnę, zawsze wymagam referencji od moich pracowników. Linda nie potrafiła umiejscowić Balliol. Czy to było w Wisconsin? * Beloit? * zapytała.

* Balliol * poprawiła ją Margie. * To jeden z college'ów w Oxfordzie.

* Julian dawał wykład na Uniwersytecie Oxfordzkim?

* Zdaje się, że było też kilka seminariów.

* Na jaki temat?

* Na żaden, który wiązałoby się z SAT, jeśli o to chodzi.

* Pytam z ciekawości.

* Proszę poczekać.

Linda usłyszała dźwięk otwieranej szuflady i szelest kartek. Łąki West Mili * co było złego w tej nazwie? Margie odezwała się po drugiej stronie słuchawki.

* „Zmije w moim plecaku * zoologiczne wędrówki po Górnym Gabonie”, taki był temat wykładów * przeczytała Margie. * W referencji napisano: „Jakże miło jest się przekonać, że tradycja odważnego amatora*przyrodnika wciąż żyje wśród nas”.

* Wielkie nieba.

* Ale nie poruszałabym tego tematu przy nim * ostrzegła Margie.

* Dlaczego?

* Nie chciał, żebym to rozgłaszała.

* Naprawdę?

* Bał się, że wypadnie pretensjonalnie. To dość niezwykle w tych czasach, prawda? Trzysta dolców dziennie. Czy to możliwe, żeby kurierzy w Nowym Jorku aż tyle zarabiali? Scott niemalże czuł zapach ich wolności.

* Jest tam pan jeszcze? * odezwał się w słuchawce drżący głos starszej osoby.

* Jeszcze to sprawdzam... * Nie dodał przy tym nazwiska klienta, bo nie pamiętał, czy był to pan Insley, czy pani Insley, a oboje mieli podobne głosy. * Tak, państwa polisa to pokrywa.

* Więc jesteśmy zabezpieczeni?

* Tak.

* Nie musimy niczego płacić?

* Nie.

Insleyowie przez chwilę sprzeczali się w tle. * A co z naszymi składkami?

* Pozostaną bez zmian.

* Och, to cudownie, Scott. Proszę, pozdrów od nas mamę, gdy będziesz się z nią

widział.

* Oczywiście.

Ta wolność... Scott pamiętał, jak kiedyś przeskakiwał po trzy lub cztery schodki w pełnym biegu, nawet o tym nie myśląc. Jak to się stało, że przestał to robić? A gdyby nie przestał, czy wciąż byłby w stanie tak skakać? Dotknął jednego z bicepsów i nacisnął, by sprawdzić napięcie mięśni, gdy nagle otworzyły się drzwi i do biura wpadł Sam.

Tak naprawdę Sam wcale nie wpadł, tylko wszedł spokojnie. To tylko ta niezwykła energia, która wypełniła nagle pokój, sprawiła, że Scott odebrał to inaczej.

* Cześć, wujku * przywitał się Sam, uśmiechając się serdecznie. Podszedł do Scotta z wyciągniętą do powitania ręką. Scott wstał. Sam znów urósł, był już tak wysoki jak Scott, a może nawet odrobinę wyższy.

Podali sobie dłonie. Sam miał mocny uścisk i bezpośrednie spojrzenie. Jego oczy również się uśmiechały. Miał na sobie sportową marynarkę i luźno zawiązany krawat ze wzorkiem w rakiety tenisowe.

* Jak się masz? * zapytał Scott, odkrywając, że na jego twarzy też pojawia się uśmiech; nie sposób było się powstrzymać.

* Świetnie, dziękuję * odparł Sam.

* Nie masz dziś szkoły?

* W pewnym sensie jestem na wagarach.

* Serio? 'f «

* Tak naprawdę to jedziemy na klasową wycieczkę. Dostałem pozwolenie, żeby czekać na autobus tutaj. Tata najpierw zabierze mnie na lunch. Chcesz iść z nami?

* Jasne. Gdzie jedziecie z klasą?

* Do Nowego Jorku.

* Co będziecie robić? ,ł

* Idziemy do teatru.

* Tak? Na co?

* Na Makbeta * opowiedział Sam. * Tylko że zamiast w średniowiecznej Szkocji, akcja rozgrywa się w środowisku gangsterskim w latach trzydziestych. Może być

dość zabawnie, gdy ktoś taki jak Joe Pesci zacznie mówić: „Ciagle to jutro, jutro i znów jutro”.*

Krzykliwa czerwona jedyńka w wielkim czerwonym kółku. * A więc omawiacie teraz Makbeta? * rzekł Scott.

* Skończyliśmy kilka tygodni temu * wyjaśnił Sam. * Teraz przerabiamy Wieczór Trzech Króli. Aż trudno uwierzyć, że obie sztuki napisał ten sam autor.

Scott pamiętał Makbeta, lecz nie znał Wieczoru Trzech Króli. * Chodzi ci o to, że Wieczór Trzech Króli nie jest taki dobry?

* Raczej o to, że tak się od siebie różnią * odparł Sam. * Ale nie mnie o tym sądzić; dosłownie godzinami brnę przez każdą scenę.

Do pokoju wszedł Tom, lekko skinął głową w kierunku Scotta i zwrócił się do syna: * Gotowy?

* Wujek idzie z nami * poinformował go Sam.

* Świetnie * odparł Tom. * Może być „U Primo”, Scott? Autobus z Andover przyjedzie po Sama pod centrum handlowe.

* Właśnie coś sobie przypomniałem * odezwał się Scott i wymyślił jakąś wymówkę.

* Baw się dobrze w wielkim mieście, Sam.

* Dzięki * odparł Sam. * A co słyhać u Brandona?

* Wszystko świetnie, dziękuję.

* Pozdrów go ode mnie.

* Jasne.

Sam i Tom wyszli z pokoju. Sam był już wyraźnie wyższy od ojca i szerszy w ramionach, lecz obaj poruszali się w identyczny sposób, pewnym siebie kroMem. Poziom energii w pokoju Scotta drastycznie opadł.

'Rozległ się dźwięk telefonu. * Ponownie pani Insley na trzeciej linii.

* Oddzwonię do niej.

Scott wstał, założył płaszcz i wyszedł z biura. W pokoju nie tyle brakowało powietrza, co wszystkie jego cząsteczki były jak sparaliżowane. Wsiadł do triumpha

* kochał ten samochód, TR6 rocznik siedemdziesiąty szósty, rok, w którym przestali je produkować, utrzymywany w idealnym stanie przez Tony'ego z European Motors *

i ruszył w stronę Briny'ego, w przeciwnym kierunku niż „U Primo” i centrum handlowe. Silnik wydawał przyjemny dźwięk, coś jak warczenie dochodzące z głębi gardła groźnego psa. Oczywiście nie miał groźnego psa, tak jak nie miał wielu innych rzeczy.

Scott zjadł lunch przy barze. Zamówił zupę rybną, trochę krewetek i kwartę piwa, dobrego piwa z minibrowaru, w który mieli szansę zainwestować, lecz Tom sprawdził wyniki finansowe i się nie zgodził. A warzyli cholernie dobre piwo. Scott zamówił kolejne. W pewnym sensie miło było zjeść od czasu do czasu w samotności, z dala od zbędnych pytań, z dala od problemów. Spojrzał na najbliższy ekran.

Dostrzegł, jak piłka ląduje w ko

szu, wrzucona obiema rękoma przez koszykarza. Nagle ktoś klepnął go w plecy.

* Scotty, chłopie. Popijasz w samotności?

Scott odwrócił się. To był Mickey Gudukas. Miał kwiatka w butonierce, a w ręku trzymał szampana * Venve Clicquot, Scott rozpoznał pomarańczową etykietkę.

* I jak ci się odbija? * zapytał Gudukas.

* Odbija?

* Poproszę o kieliszek dla mojego przyjaciela * zawołał Gudukas. * Taki do szampana.

* Ja dziękuję * powiedział Scott.

* Chodzi mi o tenisa * wyjaśnił Gudukas. * Jak ci się odbija piłkę? Scott wzruszył ramionami.

* Kiedyś będziemy musieli dokończyć nasz mecz * ciągnął Gudukas. * Ten twój brat jest diablo szybki.

Gudukas był oczywiście pijany, a do tego nieźle podjarany. Barman postawił kieliszek na barze. Gudukas napełnił go po same brzegi.

* Może przechowam panu butelkę, panie Gudukas * zaproponował barman.

Gudukas położył na barze banknot i dotknął palcem ust, nakazując milczenie.

Banknot był studolarowy. Podał wypełniony po brzegi kieliszek Scottowi.

* Wznieśmy toast * zawołał. * Za Symptomaticę.

* Dlaczego akurat za Symptomaticę?

Gudukas wyglądał na zaskoczonego. * O niczym nie wiesz, Scotty? Nienawidził tego zdrobnienia. * A niby o czym to?

* Badanie enzymów nie powiodło się. Zabili dwieście sześćdziesiąt pieprzonych szympanów, Scotty! Akcje są warte... * Gudukas otworzył palmtopa i nacisnął kilka klawiszy. * Siedemdziesiąt trzy centy. I na scenę wkracza Komisja Papierów Wartościowych i Giełd. Aten boxster, którego widzisz za oknem, jest mój. Jestem bogaty.

13

Obserwator, który dogłębnie pojął znaczenie jednego elementu należącego do całej serii zdarzeń, powinien być zdolny do precyzyjnego określenia wszystkich pozostałych, zarówno wcześniejszych, jak i późniejszych. Ruby obudziła się w sobotni poranek z tą myślą, na którą natknęła się tuż przed zaśnięciem, czytając późno w nocy „Pięć pestek pomarańczy”. Odszukała ją znowu na stronie siedemdziesiątej piątej Sherlocka Holmesa: opowieści zebranych i przeczytała trzy lub cztery razy. Czy to prawda? Jeśli tak, to cudownie! Inni ludzie będą cię brali za magika, oczywiście Holmes tak właśnie był odbierany, choć „Pięć pestek pomarańczy” nie należało do jej ulubionych opowiadań. Zestawienie Sherlocka Holmesa i Ku*Klux*Klanu w jednej historii wydawało się dość dziwne.

Jedno zdarzenie z serii. Byłoby wspaniale, gdyby miała jakiś przykład, od którego mogłaby zacząć, coś łatwego. Ruby próbowała wymyślić prostą serię wydarzeń. Była więc ta jedyńka, którą Brandon dostał z głupiego testu poprawkowego. Wcześniej: olał naukę i pojechał z Deweyem do Nowego Jorku. Później: mamę i tatę ogarnął wojowniczy nastrój. Rozumiała, jak te trzy sytuacje łączą się w jedną serię, mimo że przeskakiwała z jednej na drugą. Lecz co wydarzy się później, co będzie kolejnym elementem w łańcuchu wydarzeń? Ruby nie miała pojęcia.

Wtedy, mimo że bardzo chciało się jej siusiu, Ruby przyszedł do głowy inny przykład, coś, czego zupełnie nie potrafiła zrozumieć. I co bardziej pasowało do Sherlocka Holmesa: Tajemnica Szkolnej Kurtki. Próbowała zrekonstruować całą

historię w myślach. Było to tego dnia, kiedy przegrała z Amandą konkurs na redaktora gazetki Westie. A Kyla dała jej różową opaskę na rękę, gdy wracały do domu z tenisa. Weszła do domu, włączyła światła, zobaczyła, że kurtki Brandona nie ma na wieszaku. Nazwijmy to elementem numer jeden.

Później, Bóg wie skąd, przyszło jej do głowy, by spalić „Cętkowaną wstęgę”. To doprowadziło do zamieszania z dymem i przybycia Juliana na ratunek. Potem nastąpiło zwiedzanie domu, lecz zanim wyruszyli, dostrzegła kurtkę Brandona na wieszaku. Zawołała go po imieniu, lecz nikt nie odpowiedział. Zauważyła, że w przedsiionku nie ma jego plecaka ani butów. Element numer dwa.

Następnym wydarzeniem było zwiedzanie domu, które było świetną zabawą, i rozmowa o Adamie, która ją przygnębiła. Później przyszła mama, wściekła się, że Brandona nie ma w domu, i wyczuła dym. Następną rzeczą było przybycie Brandona, który miał na sobie koszulkę z Unka Deathem * tę, na której Unka Death wygląda naprawdę wrednie, a za nim stoi ten gościu Problem z medalionem przedstawiającym kałacha na szyi * i Brandon powiedział mamie, że zostawił kurtkę w szkole. Mama nie miała pojęcia, o czym on bredzi, skoro kurtka wisi tuż obok niego, a gdy ją zauważył, wyglądał, jakby kompletnie nie wiedział, co robić. Na wet dotknął kurtki, jak jakiś wsiowy przyglup. Coś jeszcze? Nic nie przychodziło jej do głowy. Nazwijmy to elementem numer trzy.

A jakie było rozwiązanie zagadki? Nie wiedziała. Czyżby była Watsonem, nie Holmesem? Może kurtka przez cały czas wisiała na wieszaku, a ona jakimś cudem jej nie dostrzegła. Lecz jeśli nawet było to prawdą, jak wytłumaczyć zdumienie Brandona? Był zdumiony, bo nie spodziewał się, że kurtka tam będzie. Czy zostawił ją w szkole, tak jak twierdził? Zaraz! A może były dwie kurtki? Podniecenie tym pomysłem szybko ustąpiło. Jeśli istniały dwie kurtki, dlaczego Bran tak się zdziwił? Natykałby się przecież na nie bez przerwy. Tak więc nie posunęła się naprzód. Holmes prawdopodobnie już rozwiązałby całą sprawę. A jednak była Watsonem, nie Holmesem. Czy pozostało jej spędzić życie na mówieniu: wspaniale i dobra robota, drogi przyjacielu do jakiegoś wymuskanego dupka?

Ruby zdecydowała się wstać z łóżka i dopiero wtedy zorientowała się, co to za dzień.

Czyżby w nocy zupełnie zgłupiała? Przez cały miesiąc miała przed oczyma narysowany kredkami tort z palącymi się świeczkami. I co, na miłość boską, powiedziała jej przed zaśnięciem mama? Wbiegła do łazienki i pierwszy raz jako jedenastolatka zrobiła siusiu, bardzo obfite i dorosłe. Jak to się mówi, kiedy coś się robi po raz pierwszy? Inauguracja. A więc miała za sobą swoje inauguracyjne siusianie.

Aruba Nicole Mara Gardner: wreszcie nastolatka. Aruba, na miłość boską * nazwano ją tak na cześć wyspy, na której została poczęta. Gdy była mała, nie знаła znaczenia słowa poczęta i dawała się nabierać rodzicom na tłumaczenie, że chcieli uczcić miejsce, w którym po raz pierwszy zapragnęli, by się urodziła. Później, po sprawdzeniu w słowniku, zdecydowała, że oficjalnie zmieni swoje imię na Ruby, gdy tylko będzie na to dość dorosła. Jej imię było jej własnością, prawda? Sama będzie mogła nazwać się Bora Bora, jeśli to tam akurat pierwszy raz będzie uprawiać seks, choć to nigdy się nie zdarzy. Ani tam, ani gdzie indziej.

Ruby zeszła na dół. Mama i tata już nie spali. Tata robił kawę, a mama stała przy tosterze. Na blacie leżał olbrzymi prezent owinięty w żółty papier i przewiązany niebieską wstążką. Oboje mocno ją uścisnęli w tym samym momencie.

* Wszystkiego najlepszego, kochanie!

* Wielka jedenastka * powiedziała Ruby. Może nadszedł czas, by zacząć pić kawę? To miał być cudowny dzień. Po zajęciach z łucznictwa mama miała zabrać ją, Kyle i kilkoro innych przyjaciół na film w multipleksie * na Praktycznie martwych lub To i owo, będą głosować * a potem na pizzę w Signor Capone, najlepszą pizzę w mieście. Na koniec tort w domu, tylko z rodziną, co było już tradycją, bo w rodzinie mamy zawsze tak robili chyba od pieprzonego średniowiecza. Hejże, wyhamuj, dziewczyno. Miało też jednak miejsce kilka niespodzianek, takich jak Julian. Nie chodziło o to, że pojawił się na lekcji Brandona, bo to było ustalone. Ani o to, że Brandon akurat spał. Ale podczas gdy mama próbowała na piętrze obudzić Brandona, a tata przebierał się w strój do tenisa, Julian wyjął z kieszeni płaszcz paczuszkę i wręczył ją Ruby.

* Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin * rzekł.

Była to mała paczuszka owinięta w błyszczący, czarny papier i przewiązana grubą,

czerwoną wstążką, bardzo gustownie, podobnie jak na tych filmach, których akcja dzieje się we włoskich rezydencjach.

* Dziękuję, Julian. Skąd wiedziałeś?

* Powiedział mi o tym mały ptaszek * odparł.

Ruby zaśmiała się, jednocześnie przypominając sobie wycieczkę po domu i Juliana stojącego na progu i zagląającego do jej pokoju. Pewnie dostrzegł stamtąd kalendarz i tort urodzinowy narysowany w tym najważniejszym kwadraciku, jeśli miał dobry wzrok. Zaraz! A może był to jeden z elementów w łańcuchu wydarzeń? Z drugiej strony, może po prostu dowiedział się tego od mamy i taty. Ale po co mieliby go o tym informować? To by wyglądało tak, jakby domagali się prezentu, a byli na to zbyt w porządku. To nie znaczy, że są tak w stu procentach w porządku, ale w tej sytuacji akurat by byli.

* Nie masz zamiaru go otworzyć? * spytał Julian.

Ruby zajęła się podarkiem. Najpierw otworzyła kartę urodzinową, która już sama w sobie była uprzejmym gestem. Na pierwszej stronie widniał duży brązowy miś z prezentem ukrytym za plecami. Mówił: Trudno misie powstrzymać. Tekst wydrukowany wewnątrz brzmiał: Wszystkiego najlepszego z okazji Urodzin, a Julian dodał: / spełnienia marzeń, życzy Julian.

Potem przyszedł czas na prezent. Ruby delikatnie odwinęła papier, w kulturalny sposób, tak jak należało, ponieważ można go było ponownie wykorzystać albo żeby nie wyglądać zachłannie, nie pamiętała, jaki właściwie był powód. W środku znajdowało się cienkie pudełko, mniej więcej takie jak na dwie płyty CD. Otworzyła je, pomacała zawartość przez bibułkę, po czym wyjęła szkło powiększające, bardzo ładne, takie z drewnianą rączką.

Ruby obejrzała pod nim paznokiec własnego kciuka. Biały półksiężyc powiększył się, że hej.

* Wspaniały prezent * stwierdziła.

* Nie ma, o czym mówić, drogi Holmesie * odparł Julian. Ponownie się zaśmiała i w porywie radości podetknęła szkło do twarzy

Juliana. Jego oczy przybrały dziwny wyraz i zdała sobie sprawę, że to nie było

grzeczne. Lubił ją, nie miała, co do tego wątpliwości, biorąc pod uwagę, że jej nie wydał, lecz istniały pewne granice.

Jedenaście lat. Trudno w to uwierzyć. Z upływem lat czas biegł coraz szybciej, to prawda, co wszyscy mówili. Scott wrzucił rakiety do bagażnika triumpha, wsiadł do samochodu i nacisnął przycisk otwierający bramę garażu, umieszczony na osłonce przeciwsłonecznej. Pamiętał noc, kiedy się urodziła, tak dokładnie, jakby to było wczoraj. Położna powiedziała ze wschodnioeuropejskim akcentem: „Jeszcze raz, kochana” i pojawiła się główka Ruby z szeroko otwartymi oczami. Zaczął płakać, zalał się niekontrolowanym potokiem łez i musiał wyjść z sali porodowej. Każdy * poza Lindą * przypuszczalnie uznał go za kolejnego nowoczesnego tatusia, doświadczającego cudu narodzin. Wszyscy byli przyzwyczajeni do łez radości i być może jego łzy, będące wyrazem gniewu i rozpacz, wyglądały podobnie. Nie minął jeszcze rok, odkąd zmarł Adam, a w ich rodzinie pojawiło się nowe dziecko. Życie było takie brutalne. Szybko doszedł do siebie i wrócił na salę, gdzie Linda, która nie uroniła nawet jednej łzy, przytulała maleństwo do piersi, a położna chwaliła ją z tym swoim akcentem, mówiąc: „Dobra robota”.

Scott włożył kluczyk do stacyjki, przekręcił, i nic. Spróbował jeszcze kilka razy, z tym samym skutkiem. Wysiadł z samochodu, otworzył maskę i nie dostrzegł niczego podejrzanego w połączeniach akumulatora. Spróbował ponownie. No tak: akumulator kompletnie wyczerpany. Sprawdził wskaźniki * nie zapomniał niczego wyłączyć na noc. Zupełnie wyczerpany, i to bez powodu.

* A niech to szlag * krzyknął na całe gardło, co zupełnie nie było w jego stylu. I ot tak, przestał kochać swojego starego TR6. Powodem nie był wyłącznie zepsuty akumulator, dobrze o tym wiedział. Przypuszczalnie w ogóle nie chodziło mu o akumulator: chodziło o pieprzonego boxstera, niebieskiego, zaparkowanego pod oknem Briny'ego.

Scott wyjął rakiety z bagażnika i udał się do kuchni. Linda rozmawiała przez telefon.

* Kiedyś były tam łąki * tłumaczyła. * Zrobiłam mały wywiad i...

Słuchała czyjejs odpowiedzi po drugiej stronie. Scott podniósł palec, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. Pokręciła głową i machnęła ręką, by dał jej spokój.

Spojrzał na zegarek. Zostało dziesięć minut do wejścia na kort i piętnaście minut drogi. Otworzył drzwi jadalni i zajrzał do środka. Dostrzegł Brandona z potarganymi włosami, pochylonego nad kolejnym testem. Julian stał przy oknie, wpatrując się w las. Scott zawahał się, lecz tylko przez chwilę. Kto w końcu za to, do cholery, płacił?

* Julian * rzekł. Julian się odwrócił.

* Masz ważne prawo jazdy? * Pytanie typowe dla agenta ubezpieczeniowego.

* Tymczasowe * odpowiedział Julian.

* Może być.

Scott prowadził jeepa Lindy. Julian siedział obok.

* Jak idzie Brandonowi? * zapytał Scott.

* Robi postępy.

* A co jest jego największą słabością?

* Brak pewności siebie.

Scott zerknął na Juliana. To go wkurzyło. Przede wszystkim Julian się mylił, czyż nie? Brandon był tak samo pewien siebie jak jego rówieśnicy. Po drugie, Julian wtykał nos w nie swoje sprawy. Julian patrzył przed siebie.

* Miałem na myśli SAT * wyjaśnił Scott.

* Ja również * odrzekł Julian.

* Ach, tak.

Tuż obok w pełnym pędzie przejechał samochód policyjny, mrugając światłami.

* Wiesz, co to są opcje? * zapytał Scott.

* W jakim sensie?

* Chodzi mi o giełdę.

** Opcje jako droga do podniesienia stopy życiowej?

* Tak * przytaknął Scott. * Mogą ją podnieść tak, że kupno boxstera to będzie przyszcz, jeśli się wie, co się robi.

* Boxstera?

Nie wiedział, co to boxster? * Porsche * wyjaśnił Scott. * Kosztuje około pięćdziesięciu kawałków.

* To twoje marzenie, boxster?

* A dlaczego nie?

* Nie lubisz już triumpha?

Zerknął na Juliana: co za przenikliwość, zupełnie jakby Julian śledził tok jego myśli.

Julian obserwował policyjny samochód zmierzający właśnie w stronę Old Mili.

* Tak naprawdę nie można ich porównywać * tłumaczył Scott. * Są jak jabłka i pomarańcze.

Lecz boxster był jego marzeniem, nie tylko boxster, ale całe życie, jakie się z nim wiązało. A miał przecież coraz mniej czasu.

* Grasz aktywnie na giełdzie? * zapytał Julian.

* Nie tak aktywnie, jak bym chciał.

* Nie?

Scott nikomu nie opowiadał o Symptomacie i nie miał zamiaru mówić o niej teraz, ale Julian wyglądał na dobrego słuchacza, więc miał to już na końcu języka, gdy znaleźli się na parkingu klubu tenisowego.

* Może wejdiesz? * zaproponował Scott. * Pomacham ci przez okno, jeśli znajdę kogoś, kto odwiezie mnie do domu.

Weszli do środka. Scott pospiesznie przemierzył hol i wszedł na kort. Julian podszedł do okna widokowego. Tom, Erich i ten dentysta, posyłający zabójcze loby o przedniej rotacji, byli w trakcie rozgrzewki.

* Tom, podwieziesz mnie do domu?

* Jasne.

Scott pomachał do Juliana.

* Gotowi, panowie? * zawołał, rezygnując z własnej rozgrzewki, co zawsze miało miejsce w przypadku spóźnienia.

Erich zaserwował. Scott odbił z bekhendu tak, że wiedział, iż punkt ma już w kieszeni. Z góry wiedział, że będzie mu się świetnie grało, mimo że wcale się świetnie nie czuł. Wraz z Tomem wygrali pierwszego seta sześć do dwóch. Po zmianie stron Scott zerknął w kierunku okna i zobaczył, że Julian wciąż tam stoi, obserwując. Czy spodziewał się, że dostanie za to zapłatę?

Scott zaserwował, rozpoczynając drugiego seta i wygrywając gema do zera, a gdy

spojrzał ponownie, Juliana już nie było. Od tej chwili zaczął grać trochę słabiej i drugi set zakończył się ich porażką akurat w chwili, gdy rozległ się gong.

* Przez chwilę nieźle nam szło * stwierdził Tom, gdy schodzili z kortu.

Scottowi nie podobało się to przez chwilę, tym bardziej, że w pamięci wciąż miał ich niedawny pojedynek jeden na jednego.

* Słyszałeś o Symptomacie? * zapytał.

Słowa siłą cisnęły się przez zaciśnięte gardło, a on czuł dziwne zadowolenie, którego sam nie potrafił wytłumaczyć * Gudukas, boxster, pieniądze, które mogliby zarobić.

Tom nie odezwał się ani słowem. Jego twarz napięła się, tak jak dawniej twarz ojca, lecz nie mógł spojrzeć Scottowi w oczy, co zupełnie nie było w stylu ojca.

Skyway nagle zniechęciło się do Osiedla Mieszkaniowego Olde Mili, nie tylko do samego e, lecz do całej nazwy, a szef Lindy nie był z tego powodu szczęśliwy.

* Dlaczego nie mogłaś zostawić tego w spokoju?

Ruby weszła do kuchni z łukiem w ręce, wskazując na zegarek.

* W czym jest problem? * zapytała Linda. * Wymyślimy lepszą nazwę, to wszystko.

* Problem jest w tym, że tracą do nas zaufanie, Linda. Wydaje mi się, że już szukają.

* Szukają?

* Kogoś innego. Przypadkiem dowiedziałem się, że Larry odbył w piątek rano szybką podróż do Nowego Jorku.

* Mamo * odezwała się Ruby.

* Do Nowego Jorku? * zdziwiła się Linda.

* Tylko tyle wiem. Najlepiej by było, gdybyś...

* Mamo? * rzekła znów Ruby.

Linda machnęła ręką, nakazując milczenie. * Przepraszam, czy mógłbyś powtórzyć?

Jej szef cmoknął w ten typowy dla siebie, jakże denerwujący sposób. * Najlepiej by było, gdybyś wymyśliła nazwę, na której punkcie oszaleją, i to dziś.

* Dziś?

* Jeśli jeszcze nie jest za późno. Nie rozumiesz? Sprawa Skyway jest zagrożona.

Linda odłożyła słuchawkę. Czy jej posada też była zagrożona?

* Spóźnię się * odezwała się Ruby.

* Na miłość boską, Ruby * Linda uderzyła dłonią w stół i pomyślała natychmiast:
Chryste, nie rób tego w jej urodziny.

Natychmiast, lecz i tak za późno.

* Nie ma sprawy * rzekła Ruby. Upuściła łuk na podłogę i wyszła z kuchni.

** Chryste * powiedziała Linda, tym razem na głos.

Julian pojawił się w przedsionku z kluczykami od jej samochodu w ręku.

* Julian * zaczęła. * Mam do ciebie ogromną prośbę.

Ta sprawa Skyway doprowadza ją do szału * wyjaśniła Ruby.

Julian zerknął znad kierownicy samochodu mamy. Nie siedział zgarbiony i nie trzymał jej kurczowo jak mama, lecz był oparty i zrelaksowany. Ruby od razu poczuła się bezpiecznie, nie tak jak w samochodzie Deweya, którym miała kiedyś okazję jechać, gdzie dostała choroby lokomocyjnej i prawie zwymiotowała przez okno.

* Na czym polega sprawa Skyway? * zainteresował się Julian.

* Skyway to właściciele centrum handlowego, a teraz chcą wybudować jakieś domy.
Mama ma wymyślić dla nich nazwę.

* Dla osiedla?

* Tak. Najbardziej podoba się jej nazwa Łąki West Mili.

* A jak brzmią inne?

Ruby wymieniła nazwy znajdujące się na liście leżącej na kuchennym stole, którą przejrzała podczas śniadania.

* Rzeczne Zakole, Wierzby w West Mili, Coś Innego w West Mili i temu podobne.

* A ty, masz jakieś pomysły?

* Żadnych. * Wszystkie były nudne, nie? Aż raptem przyszła jej do głowy fantastyczna nazwa: Zakątek Puchatka. Zastanawiała się, czy powiedzieć o niej Julianowi, gdy wjechali na stare boisko liceum w West Mili.

Nie było tam dziś zbyt wielu samochodów, być może niektórzy rodzice pomyśleli, że nie można strzelać z łuku, skoro spadł śnieg. Nie znali Jeanette. Już postawiła tarcze i właśnie rysowała linię strzału butami na śniegu.

* Ruszajcie się, no dalej * pokrzykiwała do dzieci wysiadających z samochodów. *

Biegiem, Rubester.

Ruby podbiegła.

I świetnie potem strzelała, być może dlatego, że kolory na tarczy tak jaskrawo odbijały się na tle śniegu, może dlatego, że miała dziś urodziny, a może była w tym coraz lepsza. Jej finałowe sześć strzałów to: trzy czerwone i trzy żółte, w sam środek, istny Wilhelm Tell.

* Coś dzisiaj paliłaś, Rubester? * zapytała Jeanette, a wszystkie dzieci parsknęły śmiechem. * Nie mówcie rodzicom, że tak powiedziałam. * Ponownie zabrzmiały salwy śmiechu. * Zadanie na przyszły tydzień, * Zapadła cisza. * Ćwiczcie obserwację najmniejszej rzeczy, jaką zdołacie dostrzec na każdym przedmiocie.

Ruby chłonęła jej słowa, wstrzymując oddech. Od razu wiedziała, jak będzie to ważne, nie tylko w łucznictwie, lecz w całym życiu. Gdzieś w głębi duszy Ruby łucznictwo i Sherlock Holmes złączyły się w jedno, tworząc idealną parę.

Dzieci wyciągnęły strzały z tarcz. Jeanette podjechała pickupem, załadowała tarcze, odsunęła na bok swoje narty i kijki, a potem ruszyła z dziećmi do miejsca, gdzie oczekiwały na nie samochody.

* Trzymajcie się mocno * krzyknęła przez okno i żeby sprawić swym uczniom przyjemność, dodała gazu, mknąc po śniegu, aż samochodem lekko zarzucało. Jeanette zatrzymywała się przy każdym samochodzie po kolei, by wysadzić każde z dzieci. Jeep był na końcu. Zaparkowała tuż obok. Julian stał przy samochodzie ze śnieżką w dłoni. Podszedł bliżej i wziął z rąk Ruby łuk i strzały. Ruby zeskoczyła z pickupa i zauważyła, że Jeanette przypatruje się Julianowi. Mama mówiła, że Jeanette jest lesbijką, lecz nigdy nie można mieć pewności, prawda?

* Jeanette * zaczęła Ruby. * To jest Julian. Dzięki niemu mój brat znajdzie się w Harvardzie.

* Cześć * przywitała się Jeanette.

* Witam * odparł Julian.

Przez sekundę ich oczy się spotkały. Ruby przyszła do głowy szalona myśl, że się nie polubili. To była niechęć od pierwszego wejrzenia.

* Trzymaj się łuku * rzekła Jeanette i odjechała.

* Jasne * odpowiedziała Ruby.

Julian obserwował odjeżdżającego pickupa aż do momentu, gdy zniknął za rogiem sali gimnastycznej. Spojrzał na Ruby. * Dobrze strzelasz * stwierdził.

Ruby powiodła wzrokiem ku miejscu, gdzie stały tarcze. * Widziałeś aż stąd? * zdziwiła się.

Nie odpowiedział, bo nie patrzył już na nią, tylko w górę, na niebo, po którym zataczał koła duży ptak.

* Czy to jest jastrząb? * zapytała Ruby.

* Tak.

I nagle, tak szybko jak w filmie, gdy kończy się jedna scena, a zaczyna druga, upuścił śnieżkę i wyciągnął łuk Ruby, kierując jedną z niebiesko*żółtych strzał na przelatującego jastrzębia.

* Julian! * krzyknęła.

Zatrzymał się w pozycji do strzału. Celujące w ptaka oko było pozbawione barw, podobne do śniegu. Powoli zwolnił napiętą cięciwę i opuścił łuk. Spojrzał na nią oczami, które odzyskały kolor.

* Ćwiczyłem tylko celowanie * tłumaczył.

* Szkoda, że nie ma już tarcz * zauważyła Ruby. * Mógłbyś strzelić.

* Chciałabyś?

* Możemy strzelać wyłącznie do tarcz. To zasada numer dwa.

* A jak brzmi zasada numer jeden?

* Nigdy nie strzelaj, gdy ktoś przed tobą stoi.

* Bardzo mądrze * stwierdził Julian. Pochylił się, podniósł śnieżkę i wyrzucił ją w powietrze, niesamowicie wysoko. Potem bez pośpiechu podniósł łuk, naciągnął cięciwę i w zasadzie bez zakotwiczania wypuścił strzałę w powietrze.

Z łatwością można było śledzić jej lot po bladym niebie, pochmurnym, lecz niewiele ciemniejszym od śniegu leżącego na ziemi. Strzała mknęła nad polem, coraz wyżej i wyżej, kierując się na śnieżkę, i w momencie gdy śnieżka osiągnęła maksymalną wysokość, przez sekundę zawisając w powietrzu przed dalekim upadkiem, strzała

utkwiała w samym jej środku. Nastąpił niewielki biały wybuch i po śnieżce nie został nawet ślad.

* O, kurczę * zawołała Ruby.

Julian jej nie słyszał. Był już w połowie drogi przez pole, biegnąc po strzałę. Nawet nie zainteresował się, czy trafił. Ruby zauważyła, że jastrząb odleciał.

Czy Wilhelm Tell istniał naprawdę? * zapytała Ruby w drodze powrotnej.

* Był legendą.

* Czyli jabłko i cała reszta też należą do legendy? Nie odpowiedział. Chyba zadała głupie pytanie.

* Niektórzy polują przy pomocy łuku i strzał * stwierdziła.

* Tak.

* A ty?

Nastąpiła cisza, dość długa, tak jakby nie słyszał jej słów. Już chciała powtórzyć, gdy usłyszała:

* Nie.

To oświadczenie ją ucieszyło. Odsunęło w niepamięć epizod z jastrzębiem. Znów byli po tej samej stronie, łucznicy strzelający wyłącznie do tarcz.

* No bo jak można strzelić do żywej istoty? * zapytała.

* Wtedy nie widzi się żywej istoty * stwierdził Julian. * Widzi się żółte kółko w czerwonej obwódce.

Nie miała na myśli w/? w takim sensie * raczej jak, do licha.

Skreśli w Robin Road. Z przeciwka nadjeżdżał samochód Deweya pełen ludzi, z okien buchał dym. Brandon był jednym z pasażerów na tylnym siedzeniu, rozpychał się i szturchał kolegów w typowy dla chłopców sposób. Nie było tam zbyt wiele miejsca, zwłaszcza że wieźli ze sobą wyraźnie widoczną beczułkę piwa. Ruby zerknęła na Juliana. Nie spuszczał oczu z drogi.

Weszli do kuchni. Mama wciąż siedziała przy stole z rękoma we włosach i rozmazanym atramentem na podbródku, a pomięte kartki papieru walały się dookoła. Podniosła głowę, zupełnie nieprzytomna.

* A może La Riviere? * zaproponował Julian.

La Riviere chwyciło, i to błyskawicznie: Linda natychmiast zadzwoniła do działu marketingu Skyway, dział marketingu powiadomił Larry'ego, Larry swojego wspólnika i w ciągu piętnastu minut, ni mniej, ni więcej, szef Lindy ponownie rozmawiał z nią przez telefon, lecz już w całkiem innym nastroju.

* Strzał w dziesiątkę, Lindo. Dokładnie o to nam chodziło, to cytat z Larry'ego. A on nie należy do ludzi, którzy sypią komplementami na prawo i lewo, dobrze o tym wiesz.

Tak!, pomyślała * powiedziała zaś coś bardziej powściągliwego, o czym zaraz zapomniała.

* Jak na to wpadłaś? * zainteresował się jej szef.

Linda zerknęła na Juliana, który siedział po przeciwnej stronie stołu, wpatrując się w widok za oknem, a na stole przed nim znajdowała się szklanka wody * odmówił czegokolwiek innego.

* Trudno powiedzieć * odparła.

* Przestań się krygować * rzekł jej szef. * To do ciebie niepodobne.

* Zajrzałam tu i ówdzie, to wszystko * wyjaśniła Linda, starając się mówić ciszej, choć miała ochotę krzyczeć z radości.

Julian sięgnął po szklankę i napił się. Każdy jego ruch był celowy i z jakiegoś powodu trudno było oderwać od niego oczy.

* Tak trzymaj, dziewczyno. Do zobaczenia w poniedziałek. Linda odłożyła słuchawkę. * Jesteś nieoceniony * rzekła.

* A więc pomysł się spodobał? * powiedział Julian. Zippy przydreptał do kuchni i otarł się o jego nogi.

* Spodobał? Oszaleli na jego punkcie. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę. * Czekala na reakcję z jego strony, lecz gdy się nie odezwał, rzekła:

* Dobre rzeczy zawsze dzieją się szybko, prawda?

Spojrzał na nią zainteresowaniem. * Czy w związku z tym... * zaczął.

* No * do pokoju weszła Ruby, zakładając kurtkę. * Spóźnimy się. Włosy miała zaplecione w dziwny sposób. Trzy warkoczyki połączyła ze sobą w piramidę na czubku głowy. Sama już chyba nie wiedziała, co ze sobą

zrobić, lecz Linda była w dobrym nastroju i dała jej spokój.

* Wybraliście już film?

* To i owo, trzy głosy do czterech. Mój przeważył.

* Czy to odpowiedni film?

* Och, tak. Jest o dealerach narkotyków, którzy ukrywają się na obozie jogi.

* Cudownie * stwierdziła Linda, uśmiechając się do Juliana z wyrazem twarzy mówiącym, „ach, te dzisiejsze dzieci”. Julian jednak nie patrzył na Linde. Jego wzrok był utkwiony w piramidzie na głowie Ruby.

Wyszli na dwór. Julian wsiadł na rower.

* Dziękuję za wszystko, co dzisiaj dla nas zrobiłeś * odezwała się Linda. *

Uwzględnij w rachunku wszelkie dodatkowe...

Podniósł rękę w górę.

* Mówię poważnie * powiedziała Linda. Ależ on był miły. Czuła się odrobinę winna, że zbiera pochwały za jego pomysł z La Riviere. Lecz na cóż Julianowi pochwały od jej szefa? * Jeśli nie masz dziś innych planów

* zaczęła w ostatniej chwili * może wpadłbyś do nas na tort? Powiedzmy koło siódmej.

* Co miałbym przynieść ze sobą?

* Ty sam wystarczysz.

Odjechał i wkrótce zniknął im z oczu, pedałowując bardzo szybko ze wzrokiem utkwionym w drodze. Na ulicach nie było ruchu, lecz na jazdę na rowerze było zdecydowanie zbyt zimno.

* Dlaczego on zawsze jeździ na rowerze? * zdziwiła się Ruby.

* Może nie stać go na samochód * wyjaśniła Linda.

* Moim zdaniem nie wygląda na biednego.

* Może lubi ruch. W Europie nie jest to niczym niezwykłym.

* Nie mieszkamy w Europie, mamo.

* Julian wykładał na Oxfordzie.

* I co z tego?

Być może lepiej się zaczną rozumieć, gdy Ruby dorośnie, pomyślała Linda. Czytała o

takich relacjach między matką i córką.

Mama wyłączyła światło, a tata zapalił świece na torcie. Potem zaśpiewali „Sto lat”, cała piątka przy stole w jadalni, gdzie zwykle obchodzono urodziny. Mama siedziała na swoim końcu, tata na swoim, Julian po jednej stronie, a Brandon tuż obok niej, solenizantki. Sama również śpiewała, ponieważ lubiła śpiewać i to ona odpowiadała za stworzenie na końcu dwugłosu.

* Pomyśl sobie życzenie * powiedziała mama.

Ruby spojrzała na palące się świece i zastanowiła się. Naprzeciwko niej siedział Julian, który także wpatrywał się w świece: ich płomienie odbijały się jego oczach. Ze wszystkich urodzinowych życzeń Ruby pamiętała tylko jedno sprzed wielu lat, to dotyczące psa, które już się spełniło. Czuła, jak jej spełnione życzenie węszy pod stołem w poszukiwaniu okruszków jedzenia. Gdy była pogrążona w zadumie, jedna ze świec, ta na szczęście, stojąca na samym środku, zgasła.

* Jezu Chryste * mruknął Brandon. Był sobotni wieczór i chciał już wyrwać się z domu. Niecierpliwie tupał nogą, aż drżało jej krzesło.

Tata ponownie zapalił świeczkę. Gdy na filmie jeden z facetów od jogi pomagał facetowi od narkotyków odnaleźć wewnętrzne kundalini, czy jak to tam się nazywało, powiedział: „Esencji egzystencji szukać nam trzeba w płomieniach przemienienia”. No i ten wyraz twarzy faceta od narkotyków, gdy to usłyszał! Ruby zaczęła się śmiać.

Tata przyglądał się jej i wyglądał, jakby sam miał się roześmiać, choć nie mógł mieć najmniejszego pojęcia, o co chodzi. Ale z niego świetny tata.

* Co cię tak rozbawiło? * zainteresowała się mama.

* Wymyśl w końcu to cholerne życzenie * jęknął Brandon.

A może tak pryszcze na całej twojej twarzy? Lecz raptem ją olśniło, ho*kus*pokus i już, to, czego pragnęła najbardziej: rentgen w oczach. Ruby w myślach wypowiedziała życzenie: Chcę mieć rentgen w oczach. Umieć dostrzec nie tylko najdrobniejsze szczegóły * tak, jak mówiła Jeanette * lecz móc zajrzeć do wnętrza, tego właśnie pragnęła. Ruby wzięła głęboki oddech i zdmuchnęła jedenaście świec wraz z tą dodatkową na szczęście, za jednym zamachem.

Julian lekko zaklaskał. * Czego sobie zażyczyłaś? * zapytał.

* Jeśli ci powiem * zauważyła Ruby * to się nie spełni. Utkwiła w nim wzrok, starając się włączyć swój rentgen. Chyba jeszcze nie działał.

* Nie patrz tak na Juliana * zwróciła jej uwagę mama. * To niegrzecznie.

* Przepraszam * powiedziała Ruby.

* To moja wina * wtrącił Julian. * Pomyślałem, że może coś zdradzisz, Ruby.

* Masz mnie za naiwną? * rzuciła Ruby.

Wszyscy parsknęli śmiechem, nawet Bran. A ponieważ śmiech Juliana tak bardzo się wyróżniał * był zaskakująco podobny do krakania kruka, zaskakująco, gdyż jego głos miał tak miłe brzmienie, całkiem jak u któregoś z angielskich aktorów * Ruby zauważyła, jak bardzo podobnie brzmią śmiechy całej ich rodziny. Całe mnóstwo krótkich, dźwięcznych erupcji, naprawdę wesołych. To były świetne urodziny. Mama pokroiła tort, z czekoladą na zewnątrz i w środku, a Ruby zjadła dwa kawałki.

Bran wstał. * Na razie * rzucił.

* O wpół do pierwszej masz być w domu * powiedziała stanowczo mama.

* Wpół do drugiej * odparł Bran. Rodzice wymienili spojrzenia.

* O pierwszej * uległ tata. Mama westchnęła. * Dokąd idziesz?

* Trochę tu, trochę tam * odparł Brandon.

* Z Deweyem?

* Może.

Na czole mamy pojawiła się pionowa bruzda, lecz niezbyt głęboka, no i od razu się wygładziła. Wyglądała na całkiem zadowoloną, pewnie z powodu Skyway. No i, na miłość boską, były urodziny jej córki, pomyślała Ruby. Nie mogłaby być szczęśliwa również z tego powodu?

Brandon wyszedł. Ruby odbiło się, naprawdę cicho, tak że nikt nie mógł usłyszeć.

* Dzięki, todo el mundo * powiedziała i udała się do swojego pokoju obejrzeć prezenty, postanawiając zacząć od gier komputerowych. Todo el mundo * zapożyczyła to od facetów od narkotyków.

Jtyioże się czegoś napijemy? * zaproponowała Linda, zadziwiając samą siebie.

Prawie nigdy nie piła, a jeszcze rzadziej czuła taką potrzebę.

* Dobry pomysł * zgodził się Scott. * Czego?

* Czy mamy wódkę?

* Jasne.

* To poproszę wódkę z tonikiem.

Scott wstał. * Julian? Mamy bardzo smaczną słodową whisky. Jest też wino, piwo, powiedz tylko, na co masz ochotę.

* Poproszę o whisky.

* Glenfarclas? Glenmorangie? Glenlivet?

* A masz coś, co nie zaczyna się na Glen?

Całkiem zabawne, szczególnie wypowiedziane z takim poważnym wyrazem twarzy.

Linda zaśmiała się, a po chwili przyłączył się Scott.

* Highland Park * odparł.

* Świetnie * stwierdził Julian.

Scott zszedł do barku z alkoholem w pokoju telewizyjnym. Linda dłużyła w kawałku tortu, jaki pozostał jej na talerzu. Ukroiła sobie maleńki kawałeczek, potem zjadła tylko połowę plus kawałeczek polewy, który właśnie wkładała do ust.

* Nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna za tę podpowiedź * zaczęła.

* Za podpowiedź? * zdziwił się Julian.

* La Riviere.

* Nie ma za co, naprawdę.

* Ależ jest. Jak na to wpadłeś?

* Trudno powiedzieć * stwierdził Julian.

Tych samych słów użyła, rozmawiając z szefem, który zadał jej identyczne pytanie.

Czy Julian sobie z niej żartował? Nie wyczytała tego z wyrazu jego twarzy: wyglądał na zamyślonego, a ona zdała sobie sprawę, że często takim go widywała.

* Musisz być bardzo twórczą osobą * zauważyła Linda.

Twarz Juliana, zwykle dość blada, zarumieniła się odrobinę. Zrozumiała coś jeszcze: był skromny. Czy należał do ludzi, którzy noszą w sobie olbrzymi potencjał, lecz zjada ich nieśmiałość? Wciąż istniało wiele takich kobiet, ale nigdy nie spotkała ich męskiego odpowiednika.

* Co masz na myśli, mówiąc twórczy? * zainteresował się Julian.

* Sądzę, że to, co wszyscy. Wymyśliłeś nazwę La Riviere, sama nie wiem kiedy.

* Może jednak lepiej pozostawić to pytanie otwartym? * zapytał Julian.

Czy to właśnie było otwarte pytanie? Czy retoryczne? Od lat myliła te dwa pojęcia.

Linda złapała się na tym, że marszczy czoło, i wiedziała, że już pojawiła się ta przekłeta pionowa bruzda * często nieoczekiwanie dostrzegała ją w oknach sklepowych wystaw i szklach okularów przeciwsłonecznych innych osób.

* Bez urazy * dodał Julian, być może błędnie interpretując jej zmarszczone brwi.

Scott wszedł z drinkami na tacy. * Bez urazy, za co? * zainteresował się.

* Rozmawiamy o byciu twórczym * odparła Linda.

* Linda jest świetna w intelektualnych dyskusjach * stwierdził Scott, podając drinki.

Zauważyła, że użył kryształowych szklanek, ostatnich trzech z ich ślubnego zestawu, reszta potłukła się przez te wszystkie lata i zastąpili je bardziej praktycznymi, nietłukącymi.

Julian podniósł szklankę. * Za Ruby.

* Jak miło z twojej strony * rzekła Linda. * Za Ruby.

* Za Ruby * przyłączył się Scott. Pokręcił głową. * Co za dziewczyna. Wiesz, że gra na saksofonie?

* Nie wiedziałem * przyznał się Julian.

* Jej gra nie jest na poziomie, który mógłby okazać się przydatny * stwierdziła Linda.

* Przydatny? * zapytał Julian.

* W przyszłości. * Linda pomyślała o córce swojego szefa, o rok młodszej od Ruby, która grała już na skrzypcach * o wiele bardziej wyrafinowanym instrumencie, skoro już o tym mowa * na specjalnie zorganizowanym przesłuchaniu przed profesorem z nowojorskiego konserwatorium. Do tej samej dziewczyny raz w tygodniu przychodził prywatny nauczyciel matematyki i zaczęła już przerabiać algebrę. * Na razie to ona nawet nie zna dobrze tabliczki mnożenia.

* Zaraz * wtrącił się Scott. * Co ma jedno do drugiego?

* Wydaje mi się, że istnieje związek pomiędzy zdolnościami muzycznymi i

matematycznymi * stwierdził Julian.

* Otóż to * powiedziała Linda, choć słyszała o tym po raz pierwszy.

* Na pewno znacie historię o Einsteinie i Heifetzu * rzekł Julian.

* A kto to Heifetz? * zapytał Scott.

* Słynny skrzypek * wyjaśniła Linda. Jej ojciec słuchał jego płyt, zwłaszcza koncertu Beethovena, a dokładniej rzecz ujmując, kadencji wirtuozowskiej na końcu pierwszej części, aż do znużenia.

* No to już wiem * stwierdził Scott, biorąc duży łyk drinka. Julian opowiedział historię, bardzo zabawną, z żydowskim akcentem, którego Linda nawet w najmniejszym stopniu nie uznała za obraźliwy, kończąc słowami zirytowanego Heifetza: „A liczyć to ty umiesz, Einstein? Haz, dwa, trzy, haz, dwa, trzy”.

Linda zaśmiała się. Scott zapytał:

* Bo jest naukowcem, tak?

Tak, pomyślała Linda, sącząc drinka. Zdała sobie sprawę, iż zapomniała wspomnieć, że tonik ma być dietetyczny. Julian był taki smukły w porównaniu z nimi obojgiem.

* Co myślisz o korepetycjach z matematyki dla Ruby? * zapytała go.

* W jakim celu? * zainteresował się Julian. Zerknął na swoją szklanekę. Linda zauważyła, że jest pusta.

* Żeby ją podciągnąć * wyjaśniła.

* Pewnie to nie zaszkodzi * zgodził się Julian. * A co ty o tym sądzisz, Scott?

* Nie mam nic przeciwko * powiedział Scott. * Napijesz się jeszcze?

* Poproszę.

* Zostajesz przy Highland Park?

* Jesteś bardzo hojny.

* Hejże * zawołał Scott * tam, na dole mam tego znacznie więcej. Scott właśnie wstawał, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę

i spojrzał na Linde, unosząc brwi. Kto?, poruszyła ustami Linda.

* Kto mówi? * zapytał Scott i też poruszył ustami: Larry. To było coś nowego. Linda zabrała telefon do kuchni.

Scott wrócił do jadalni z butelką Highland Park. Julian przyglądał się fotografii, na której wraz z Tomem trzymali puchar. Scott słyszał, jak Linda rozmawia w kuchni.

* To twój brat? * zapytał Julian.

Scott napełnił szklanki. * Kiedyś braliśmy udział w letnich turniejach.

* Stanowicie dobry zespół, z tego, co widziałem.

* Też grasz? * zainteresował się Scott.

* Kiedyś grałem * odparł Julian.

Scott napił się. Highland Park, było całkiem niezłe. Butelka stała w nienaruszonym stanie od ostatniej Gwiazdki. Koniecznie musi zapamiętać ten tekst o czymś, co nie zaczyna się na Glen.

* Prawdę mówiąc * rzekł Scott, nagle zdając sobie z tego sprawę * jestem tym już trochę zmęczony.

* Tenisem?

* Grą z tym samym partnerem.

* Dlaczego?

Dobre pytanie. * Spędzamy razem dużo czasu w pracy, kierując firmą i tak dalej.

Jesteśmy właścicielami niewielkiego towarzystwa ubezpieczeniowego, wspominałem ci o tym?

* Coś słyszałem.

* Może nie jest to najwspanialszy interes pod słońcem. Ale... * Szukał właściwego słowa.

* Solidny.

Scottowi podobało się brzmienie tego słowa. * Pewny * dodał.

* Jest jak fundament.

* Tak. * To brzmiało jeszcze lepiej. Nawet sam poczuł się odrobinę pewniej.

* Lecz szczególnie podnosi stopę życiową * rzekł Julian.

To również się zgadzało: dobre i złe strony interesu podsumowane przez Juliana w trzydzieści sekund. Scott obserwował go ponad krawędzią szklanki: inteligentny, wykształcony, miał w sobie coś jeszcze, co trudno było określić. Julian napił się. Jego szklanka znów była pusta. Scott przesunął w jego stronę butelkę stojącą na stole.

* A więc problem tkwi w komitywie * stwierdził Julian, nalewając do szklanki whisky na dwa palce, może trochę mniej.

* He?

* W tym, że spędzasz z bratem * Tomem, czy tak? * mnóstwo czasu, tak w pracy, jak i poza nią.

* Nie zrozum mnie źle, ja lubię z nim grać.

* A może powinieneś zagrać przeciwko niemu * zaproponował Julian. * Nieco ożywić atmosferę.

Scott nagle przestał pić i odstawił szklankę na stół. Przez brzeg przelała się maleńka strużka Highland Park. * Masz na myśli jeden na jednego?

* To lepszy trening.

Scott milczał przez dość długą chwilę. Julian siedział i czekał. W końcu Scott przemówił:

* Jest pewne ale.

* Jakie?

Scott myślał, czy nie wymigać się od odpowiedzi na to pytanie lub wymyślić jakąś wymówkę. Lecz po prostu odpowiedział: * Nigdy go nie pokonałem. * Być może powodem tej szczerości był Highland Park.

* Nie? * zdziwił się Julian.

* Czy to cię zaskoczyło?

* Nie widziałem zbyt wiele * zaczął Julian * lecz wystarczająco, by stwierdzić, że jesteś lepszym graczem.

* To jest właśnie zabawne * stwierdził Scott, pochylając się do przodu. Jednak zamilkł. Nigdy nikomu tego nie mówił. Jak mógłby to zrobić, by nie wyjść na skamlącą ofiarę losu?

* Wygrywasz ze wszystkimi, którzy wygrywają z nim * powiedział Julian. * I zawsze byłeś wyżej w rankingach.

* Skąd wiesz?

Julian wzruszył ramionami. * To nie jest wcale takie niezwykle. Rozumiem, że jest od ciebie starszy?

* O dwa lata i trzy miesiące.

* Powiedziałbym, że więcej.

* Naprawdę?

Julian opróżnił szklanę, nalał sobie odrobinę, tym razem nawet nie na palec. * Co najmniej o cztery lub pięć lat * powiedział, uśmiechając się do siebie, tak jakby przyszła mu do głowy zabawna myśl. * Chciałbyś go pokonać?

* To już nie jest dla mnie takie ważne * stwierdził Scott. * Nie wiem. Jasne.

* Przypadkowo co nieco zauważyłem * powiedział Julian.

* Co takiego?

* Drobnostki. Przypuszczam, że starasz się stale ganiać go po korcie?

* Tak.

* I używasz swojej siły, by go zmiażdżyć? Scott skinął głową.

* Mam dla ciebie trzy wskazówki * zaczął Julian, stawiając ponownie pustą szklanę na stole i nalewając do niej whisky na pół palca. * Po pierwsze, nie staraj się go cały czas ganiać.

* Uderzać prosto w niego?

* On świetnie porusza się za piłką, lecz nie jest tak dobry w obronie. Po drugie, nie staraj się go zmiażdżyć. Po prostu odbijaj piłki na środek kortu. Używaj siły jedynie, gdy on użyje swojej.

* Nigdy"tego nie robi.

* Ale zacznij * oznajmił Julian, trzymając pustą szklanę. * Napijesz się jeszcze tej pierwszorzędnej słodówki?

* Jasne * odparł Scott. * A trzecia wskazówka?

Julian nalał Highland Park, dużego drinka dla Scotta i nie więcej jak kilka kropel dla siebie.

* Trzymajmy ją w rezerwie .* powiedział. * Dwie powinny wystarczyć.

* Powiedz mi * nalegał Scott. * Nie wykorzystam jej.

* A jeśli zrobisz to przez przypadek? * zapytał Julian. * Dziwne rzeczy dzieją się w ferworze walki. Nie chciałbyś przecież, żeby przegrał z kretelem?

* Nie?

* Pomyśl o jego poczuciu własnej wartości.

Scott parsknął śmiechem. Czuł się nielojalny wobec Toma, lecz tylko odrobinę. Czy Tom kiedykolwiek pomyślał o jego poczuciu własnej wartości?

Julian podniósł szklanę. * Za zwycięstwo.

* Za zwycięstwo * przyłączył się Scott. Nie mógł się już doczekać.

15

Czyje zwycięstwo? * zainteresowała się Linda, wracając do jadalni w świetnym nastroju.

Larry miał wielkie plany, plany, których nie znał nawet jej szef, i być może będzie potrzebował kogoś takiego jak Linda w niezbyt odległej przyszłości.

Scott wyglądał na lekko zakłopotanego jej pytaniem. Linda zerknęła na butelkę szkockiej, której zawartość skurczyła się znacznie od chwili jej wyjścia z pokoju.

Julian wyjaśnił:

* Po prostu za zwycięstwo, w ogólnym tego słowa znaczeniu.

* Za to też się chętnie napiję * stwierdziła Linda.

Naprawdę była w świetnym nastroju. W niezbyt odległej przyszłości: tak dokładnie brzmiały słowa Larry'ego. Dokonała wyboru, wybrała małe zamiast dużego, lecz może nie było jeszcze za późno. Linda wzięła do ręki szklanę wypełnioną wódką z tonikiem i usiadła, nie na swym zwykłym miejscu na końcu stołu, lecz na krześle Brandona * na nodze krzesła tkwiła przyklejona tam guma * tworząc bardziej zwartą grupę, w której lepiej się rozmawia. Napiła się, nie pociągając jak zwykle małego łyżeczka, lecz wypełniając napojem całe usta. Smakował przepysznie, był taki mocny i... pełen życia.

* Jak brzmi to słowo, którym nazywa się trunki? * zapytała.

* Trunki? * zdziwił się Scott.

* Francuzi mówią eaudevie * odparł Julian. * Lecz większość języków europejskich ma własne odpowiedniki. Po łacinie to aqua uitaie.

* Czyli? * zapytał Scott.

* Woda życia * wyjaśnił Julian.

Vie, uitae, życie * mocna i pełna życia: tak właśnie się teraz czuła.

Scott pokręcił głową. * Skąd ty to wszystko wiesz, Julian?

Julian spuścił wzrok, był zdolny, lecz nieśmiały, tak jak podejrzewała. A jednak miał dość pewności siebie, żeby wyklądać na Oxfordzie. Miała ochotę go o to zapytać, lecz Margie zwierzyła się jej w tajemnicy. Julian nie chciał, by ten fakt rozgłaszała, nie chciał wypaść pretensjonalnie.

Scott podniósł butelkę. Highland Park: na etykiecie widniał ładny obrazek przedstawiający słoneczny, lecz kojarzący się z chłodem widoczek. Linda nigdy nie czuła najmniejszej potrzeby zwiedzenia Szkocji, aż do tej chwili.

Julian dał znak ręką, że dziękuje, lecz Scott i tak nalał mu trochę do szklanki, a potem do własnej. * Linda mówiła, że miałeś pogadankę na Oxfordzie w Anglii * rzucił.

Julian znieruchomiał.

Cholera jasna, pomyślała Linda. Uprzedzała Scotta, by o tym nie wspominał.

Czasami był zupełnie pozbawiony taktu. Częściej niż czasami. Spojrzała na niego gniewnie * nie mogła się opanować. Patrzył na nią zaskoczony. Czasami był zupełnie beznadziejny. Częściej niż czasami.

Julian podniósł szklankę do ust, lekko nią zakołysał, tworząc w środku niewielki wir.

* Wypytywałaś o mnie Margie * stwierdził.

* Niezupełnie * tłumaczyła się Linda. * Po prostu nie dawało mi to spokoju, gdy Brandon powiedział, że nie skończyłaś studiów.

Wpatrywał się w wir. * Czy agencja kiedykolwiek twierdziła inaczej?

* Nie * odparła Linda.

* A więc czym się kierowałaś?

* Czym się kierowałam?

* Dzwoniąc do agencji.

* Tak jak już mówiłam * zaczęła Linda * kiedy Brandon...

* Chodziło raczej o to, żeby sprawdzić Brandona, nie ciebie * wtrącił się Scott.

Czy musiał tak to ująć? Linda chciała złagodzić słowa, które przed chwilą padły, gdy Julian powiedział:

* A więc mnie to nie dyskwalifikuję, moje braki w wykształceniu?

* Ależ nie * gorąco zaprzeczyła Linda * Oczywiście, że nie. Wręcz przeciwnie, wydajesz się wszechstronnie wykształcony, więc nie mogliśmy uwierzyć, że skończyłeś jedynie szkołę średnią.

Julian spojrział na nią. Wir w jego rękę przestał się obracać. * Chyba będzie lepiej, jak już pójdę * powiedział, a w kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu. * Do szkoły średniej również nie chodziłem.

Scott parsknął śmiechem, posyłając w powietrze mgiełkę szkockiej. * Próbowaleś kiedyś pracować jako komik? Rzucasz żartami, zachowując taką śmiertelną powagę. * A więc to żart? * zapytała Linda. * To niemożliwe, żebyś nie skończył średniej szkoły.

Julian wziął mały łyk drinka, lecz nagle przechylił szklankę i dopił resztę potężnym haustem. * Miałem to szczęście korzystać z tego, co nazywają prywatną nauką.

* Czyli? * zainteresował się Scott. * Chodziłeś do prywatnej szkoły?

* W ogóle nie chodziłem do szkoły * wyjaśnił Julian. * Uczono mnie w domu.

* Ach, nauka w domu * rzekł Scott. * Jak ta para * jak oni się nazywali, Linda? * ci, co się przeprowadzili do Maine.

* Nie sądzę, żeby Julian mówił o tego rodzaju alternatywnych dziwactwach * stwierdziła Linda. * Robienie kolaży z mamusią w szmacianych sandałach.

* Moja matka przeważnie chodziła boso * wyjaśnił Julian. * W większości uczyli mnie ludzie, którzy odwiedzali nasz dom.

* Prywatni nauczyciele? * zapytał Scott.

* Nie byli zawodowymi nauczycielami. Raczej byli to znajomi mojego ojca, którzy posiadali wyjątkową wiedzę na taki czy inny temat.

* To brzmi fascynująco * zauważyła Linda. Chciała się napić, lecz odkryła, że jej szklanka jest już pusta, po czym dołała sobie wódki, prawie bezwiednie. W lodówce stał dietetyczny tonik, lecz Linda nie chciała uronić ani słowa. Dodała odrobinę zwykłego toniku, żeby nie przesadzić z kaloriami. * Jaką to wyjątkową wiedzę masz na myśli?

* Właśnie * włączył się Scott. * Daj nam jakiś przykład.

* Jeśli nie jesteśmy zbyt wścibscy * dodała Linda.

* Dolać ci? * zapytał Scott.

Z wyrazu twarzy Juliana Linda wyczytała, że odmówi, lecz on zamiast tego podniósł szklanke. Czują, że sama zaczyna się odprężyć.

* Serdeczne dzięki * powiedział.

* Nie ma sprawy * odparł Scott. * Jak skończymy tę butelkę, zostanie nam jeszcze mnóstwo Glenów.

Słowa Scotta rozbawiły wszystkich. Pierwszy przestał się śmiać Julian.

* Oto przykład * rzekł. * W wiosce mieszkał ksiądz, który napisał książkę o Verlainie i Rimbaud. Poznawałem z nim dziewiętnastowieczną poezję francuską.

* A więc mieszkałeś we Francji? * zaciekała się Linda.

* Dość krótko * wyjaśnił Julian. * Lecz wioska, o której wspomniałem, była w Kamerunie.

* W Kamerunie? * zdziwił się Scott.

* Czy twoi rodzice byli misjonarzami? * zainteresowała się Linda.

* I tak to można nazwać * odparł Julian. * Pracowali w przemyśle naftowym.

* Tak? * rzekł Scott. Zaciekawienie na jego twarzy sprawiło, że ta wydała się szczuplejsza, bardziej podobna do twarzy Toma. Takiego wyrazu Linda nie widziała u niego do lat. * Pracowali dla którejś z dużych korporacji, jak Chevron czy Shell?

* Nie pracowali dla żadnej korporacji. Mój ojciec był niezależny.

* Był wolnym strzelcem?

* Nie lubił tego określenia.

* Nie? * zapytał Scott. * Ja bym je polubił. Julian uśmiechnął się.

* Szukaliście ropy w Kamerunie? * zainteresowała się Linda.

* Między innymi.

* A gdzie jeszcze? * pytał Scott.

* W Tunezji, Kazachstanie, Fernando Po, Gabonie i innych miejscach.

Linda nie wiedziała, gdzie umiejscowić niektóre z nich.

* Nie mam pojęcia, gdzie połowa z nich leży, na miłość boską * jęknął Scott.

* Nie? * zapytał Julian.

Linda zauważyła, że jej szklanka znów jest pusta, ponownie ją napełniła, tym razem niewielką ilością wódki, zaledwie odrobiną, i jeszcze mniejszą ilością toniku.

* We wszystkich tych miejscach miałeś nauczycieli? * zapytała. Julian tworzył kolejny wir, wydawał się jej nie słyszeć.

* Co za życie * westchnął Scott. * Jakie ubogające...

* Właśnie * zgodziła się Linda. Scott potrafił czasami trafić w sedno.

* No i nie musiałeś zaliczać testów pod koniec dnia * dodał Scott.

* Musiałem zaliczać wiele testów * odparł Julian. Wir kręcił się z zawrotną szybkością.

Cała trójka zaczęła się mu przyglądać. Linda pociągnęła drinka, dodała jeszcze trochę wódki, jedynie kroplę lub dwie wody życia. Potem ona i Scott odezwali się równocześnie:

* Przepraszam, że o to pytam... * rzekła Linda.

* Pozwól, że coś wyjaśnimy... * zaczął Scott.

Julian spojrzał na nich i uśmiechnął się. * Pytajcie, o co chcecie * rzekł. * Moje życie jest jak otwarta księga.

* Ty pierwszy, Scott.

* Zastanawiałem się * zaczął * jakie masz plany.

Chciała zadać to samo pytanie, choć nie w tak bezpośredni sposób.

* Plany? * zdziwił się Julian.

* Na przyszłość * wyjaśnił Scott. * Ktoś z twoim przygotowaniem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli, marnuje się, pracując jako zwykły * no, może nie zwykły, ale...

* Myślę, że Scott na swój sposób stara się dowiedzieć, czy to, co teraz robisz, to tylko tymczasowy sposób na życie.

Spojrzenie Juliana powędrowało od Lindy do Scotta, a jego oczy wydały się jeszcze bardziej nieprzeniknione niż zwykle. * To zależy, co się jeszcze zdarzy, prawda? * rzekł.

Linda zaśmiała się. Scott miał rację: Julian miał cudownie wyrafinowane poczucie humoru. Przez chwilę zmartwiła się, czy Julian nie poczuł się urażony.

* Nie mógłbyś wrócić do interesu z ropą? * zapytał Scott.

* Ten interes już nie istnieje.

* Twoi rodzice przeszli na emeryturę?

* Nie żyją.

* Ach, tak * rzekł Scott.

* Przykro mi * odezwała się Linda.

* Niepotrzebnie * stwierdził Julian. * To nie ty ich zabiłaś. Zapadła cisza. Po chwili na twarzy Juliana pojawił się nikły uśmiech

i Linda zdała sobie sprawę, że był to kolejny dowcip, jeszcze bardziej wyszukany od poprzednich. Scott zaśmiał się, lecz ona nie. Nie był to humor w jej guście, choć wiedziała, że dowcipy w tym stylu stanowią część pewnego rodzaju mechanizmu obronnego przed skrywanym głęboko bólem.

Już miała zaproponować kolejny kawałek tortu, by zmienić temat, gdy odezwał się Scott:

* Dawno temu umarli?

* Będzie parę lat * odpowiedział Julian.

* Masz jeszcze jakąś rodzinę? * zainteresowała się Linda.

* Nie w dosłownym tego słowa znaczeniu * rzekł Julian. * Czy nie będzie nietaktem, jeśli poproszę o kawałek tortu Ruby?

* Ależ oczywiście, że nie * odparła Linda, krojąc porcję z y z napisu Ruby na wierzchu i drugi kawałek dla Scotta, zanim o niego poprosił.

Scott najpierw w dwóch kęsach pochłonał wierzch z polewą, popijając szkocką. Jego twarz była różowa. Linda czuła, że sama również ma wypieki. Julian był blady, lecz niewielka kropla potu błyszczała w maleńkiej kępcie włosów po jego dolną wargą. Linda wzięła kolejny łyk i poczuła, jak jeszcze bardziej rozluźniają się jej mięśnie. Trzymanie nóg razem kosztowało ją sporo wysiłku.

* A jak doszło do tego wykładu na Oxfordzie? * zainteresował się Scott. * Skąd się wzięły te żmije i tak dalej?

Julian przełknął resztę drinka, położył nóż i widelczyk na swoim talerzu i wstał.

* Jeśli nie macie nic przeciwko temu * rzekł * porozmawiamy o tym następnym razem.

* W ogóle nie musimy o tym rozmawiać * odparła Linda.

* Chodzi o to, że po prostu mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia.

* Zatrzymaliśmy cię?

* Ależ nie. Rozumiem, że mam się pojawić o wyznaczonym czasie.

* Na lekcję z Brandonem? * zapytała Linda. * Dlaczego pytasz?

* Wciąż mam tę pracę?

* Jasne, do cholery ** potwierdził Scott.

* Chociaż *<* wtrąciła Linda * mógłbyś zwrócić Brandonowi uwagę na znaczenie tradycyjnego wykształcenia akademickiego.

* Dobry pomysł * zauważył Scott.

Oboje czekali na odpowiedź Juliana. * Gramy w tej samej drużynie * odparł.

* Uwielbiam to określenie * powiedział Scott. * Może cię podwoję? Wrzucimy tego twojego starego grata... twój rower do jeepa i...

* Dzięki * przerwał mu Julian. * Wolę się przejechać.

* Daleko masz? * zainteresowała się Linda.

* Nie * odparł Julian. * I znam dobry skrót.

Nie ma nic bardziej zwodniczego niż oczywisty fakt * powiedział Sherlock Holmes w „Tragedii w Boscombe Valley”. Ruby zaczęła czytać tę opowieść w łóżku w wieczór swoich urodzin, lecz nagle jej powieki zrobiły się ciężkie i zamknęły się nieoczekiwanie w chwili, gdy Holmes wyciągał szkło * pewnie było to szkło powiększające * i przykładał je do ziemi, by przyjrzeć się miejscu zbrodni. Przez zamknięte powieki docierało do niej zamglone, czerwone światło, lekko wibrując, co oznaczało, że zasnęła przy zapalanej lampce. Ruby była zbyt zmęczona, by się tym kłopotać. Czowała ciężar otwartego tomu opowiadań leżącego na jej brzuchu i rozkoszując się nim, zaczęła zapadać się coraz niżej i niżej tak szybko, że nie zdążyła nawet przywołać w myśli jaskini.

Coraz niżej i niżej * aż znalazła się na łące pełnej kwiatów, pochylając się, by obejrzeć jeden z nich przez szkło powiększające. Wtedy zdarzyło się coś bardzo niedobrego. Ponieważ zdarzyło się już wcześniej, choć w innych okolicznościach, wiedziała, że nastąpi ponownie, zanim na dobre się zaczęło. To właśnie najbardziej ją

przerażało, stuprocentowa pewność, że nie był to jednorazowy przypadek. Patrzyła przez szkło powiększające, gdy pojawiła się w nim szeroka głowa w kształcie karo i ślepią, wszechwiedzące, powiększone przez szkło i wpatrzone prosto w nią.

Ruby otworzyła oczy i usiadła przerażona. Sherlock Holmes: opowieści zebrane ześlizgnęły się z łóżka jak coś żywego i spadły, stukając o podłogę. Dzięki Bogu, światło było zapalone, a pokój pławił się w dziwnej żółtawej, a raczej brązowożółtej barwie, niczym papier, który zaraz spłonie. Wstała z łóżka, ostrożnie stąpając, by nie nadepnąć na książkę, i otworzyła drzwi. Wszystko wyglądało normalnie, dom był taki jak zawsze, bez węży.

Ruby usłyszała głosy dochodzące z korytarza na dole. Mamy, taty i kogoś jeszcze, kogo w pierwszym momencie nie poznała, lecz po chwili już wiedziała: był to głos Juliana. Nie mogła po prostu zejść na dół i przyznać się do nocnych koszmarów. Nie zrobiłaby tego, nawet gdyby nie było tam Juliana. Miała w końcu jedenaście lat.

Więc co byłoby dobrym usprawiedliwieniem * chciało się jej pić, było za gorąco, za zimno, bolało ją gardło, nie mogła zasnąć? Wszystkie brzmiały dziecinnie, co do jednego.

Ruby ruszyła w przeciwną stronę, do pokoju Adama. Przedtem to podziałało. Był to oczywisty fakt, a więc zwodniczy, według Holmesa. Weszła do łóżka i przykryła się kołdrą. Znowu podziałało * bez względu na to, co uważał Holmes * od razu to poczuła. Lecz dla większego bezpieczeństwa zaczęła też myśleć o jaskini.

Kiedy to ostatnio wypila wieczorem trzy drinki? Linda nie mogła sobie przypomnieć. Nie zdarzyło się to nawet w college'u, gdzie czasami nawet kropla alkoholu przyprawiała ją o ból głowy. Ale dziś wieczór było zupełnie inaczej. Czowała się wspaniale, mogłaby skakać z radości: częściowo z powodu wypitego alkoholu, lecz bardziej z podniecenia na myśl o czymś nowym, co wisiało w powietrzu, przypuszczalnie związanym z wiadomością ze Skyway.

Może teraz. Zerknęła na stojący przy łóżku budzik. Za piętnaście pierwsza: Brandon miał jeszcze trochę czasu na powrót. Może teraz nadszedł ten moment, by zapomnieć o Tomie, Adamie, o wszystkich zawirowaniach. W umyśle Lindy powstał związek pomiędzy zawirowaniami w jej życiu i wirem, który pojawił się w szklance Juliana.

Ten związek zdawał się dawać nadzieję, jakąś obietnicę, że wszystko będzie dobrze, że między nią i Scottem wreszcie się ułoży. Być może powinna nauczyć się śmiało patrzeć w wir, tak jak Julian, a nie odwracać od niego oczy, co robiła od tak dawna. Ciepło wytworzone w małżeńskiej sypialni ogrzewa cały dom: ciekawe, jakie zdanie miałyby na ten temat Julian. Poczwała, jak ogrania ją fala gorąca.

* Niezwykły wieczór, co? * zapytał Scott, kładąc się obok niej.

Miał prawo rozmawiać w łóżku, a jej nie powinno to razić, miał prawo mówić to, na co mu tylko przyszła ochota.

* Przypomnij mi, żeby rano zadzwonił do Toma.

Ale czy musiał akurat to? Czemu nie, skoro śmiałe patrzenie w wir było jedynym sposobem. * Chodzi o pracę? * zapytała.

* Nie. O tenisa.

Być może nie był w nastroju. Położyła dłoń na jego udzie.

* Hej * zawołał Scott. * Powinnaś częściej się wstawiać.

* Uważasz, że jestem wstawiona?

* Nie, nie, chciałem tylko użyć tego słowa, jak mu tam, tego słowa, gdy ktoś celowo przesadza.

Linda również go nie pamiętała. Spyta w stronę Juliana. Wzięła głęboki oddech.

* Może jestem wstawiona * powiedziała. * Ale wiem, że nie byłam dla ciebie w łóżku tym, czego pragnąłeś.

Poczwała jak się napina, cały, tylko nie tam, gdzie trzeba, co przy tej sztywności byłoby po prostu idealne. I wtedy ją zaskoczył.

* Rozumiem cię * odparł. * Wszystko zaczęło się po śmierci Adama.

Czego mogła więcej pragnąć, jeśli nawet tak naprawdę niczego nie rozumiał? Obraz, który zawsze czaił się w zakamarkach jej umysłu, stanął jej przed oczami.

Bulgoczący wir wyrastający spomiędzy jej nóg, spieniony białaczką. Starła się wyprzeć ten obraz, wciągnęła na siebie Scotta, oplótła go nogami, nogami, które dziś wieczór nie chciały pozostać złączone.

* Kocham cię * szepnęła.

* Tak?

I nawet jeśli będzie musiała zakończyć to udawanym orgazmem, tak jak zrobiła to ostatnio i parę razy wcześniej przez te kilka lat, wykona przedstawienie, jakiego Scott nie zapomni. Zgromadzi fałszywe ciepło, którego ani Scott, ani nikt inny nie będzie w stanie odróżnić od prawdziwego.

* Rób ze mną, co chcesz * rzekła.

* Naprawdę?

Zadzwoił telefon. Oboje podskoczyli na jego dźwięk i Linda poczuła, jak Scott nagle robi się miękki, akurat w chwili, gdy miał w nią wejść. Podniósł słuchawkę.

* Słucham.

Spojrzała na stojący przy łóżku budzik. Dziesięć po pierwszej. Boże, tylko nie znowu. Nie zniosłabym tego.

* W porządku * powiedział Scott i odłożył słuchawkę.

* Co się stało? Co?

* Zamknęli Brandona za picie alkoholu * była jakaś impreza w lesie. Siedzi na posterunku.

Linda się rozplakała, a Scott wstał i zaczął się ubierać.

16

Nazywam się Scott Gardner * przedstawił się Scott sierżantowi siedzącemu za kontuarem. * Podobno jest tu mój syn, Brandon.

* Zgadza się, Scott * odparł sierżant.

Scott oczekiwał raczej zwrotu panie Gardner, więc przyjrzał się bacznie sierżantowi i dostrzegł, że chodzili razem do liceum West Mili. Sierżant był o rok lub dwa lata młodszy. Grali w tej samej drużynie piłkarskiej. Nazywał się D'Amario, imienia Scott nie pamiętał, pamiętał za to, że go nie lubił.

* Hej, jak się masz? * powiedział Scott.

* Nie narzekam. A ty masz teraz firmę ubezpieczeniową?

* Tak. Co to za afera?

* Młodociani pijący alkohol w miejskim lasku. Chyba nieźle przy tym hałasowali, bo

dostaliśmy wezwanie od zaniepokojonego mieszkańca.

* Czy przypadkiem nie nazywał się Stromboli?

* Nie udostępniamy tego typu informacji. Wracając do tematu, wysłaliśmy kilka patroli na starą drogę dla wozów, okrążyliśmy tych zbyt pijanych lub zbyt powolnych, by uciec. Nikt poniżej osiemnastki nie został formalnie aresztowany * nie robi się tego, jeśli nie znajdą jakieś szczególne okoliczności.

* A więc nie siedzi w celi?

Sierżant przerwał na chwilę. Scott zdał sobie sprawę, że musiał poczuć alkohol w jego oddechu.

* Są w stołówce. Zaraz poślę po twojego chłopaka.

Sierżant sięgnął po telefon, lecz zanim otworzył usta, jakiś rozgniewany mężczyzna w długim skórzanym płaszczu wbiegł na posterunek, wpadając na kontuar.

* W poniedziałek z samego rana skontaktuje się z wami mój adwokat * wrzasnął. * Mój syn nigdy nie tknąłby kropli alkoholu.

Sierżant D'Amario się nie odezwał. To jeszcze bardziej rozwścieczyło mężczyznę.

* Jak myślicie, kto zorganizował akcję ALKOHOLOWI MÓWIĘ NIE!?! * zapytał, krzycząc jeszcze głośniej.

* Może przejdziemy na stołówkę? * zaproponował sierżant. * Ty też, Scott.

Sierżant poprowadził Scotta i rozwścieczonego mężczyznę korytarzem wiodącym obok pustych pomieszczeń biurowych, wprost na stołówkę. W stołówce znajdował się rząd automatów z przekąskami stojących pod jedną ze ścian i około tuzina tanich stołów z przymocowanymi do nich ławkami. Przy jednym siedziała policjantka, malując paznokcie. W przeciwnym kącie pomieszczenia, tak daleko, jak to tylko możliwe, siedział Brandon, całkiem nieźle się prezentując. Przy stole na samym środku siedziała jedyna poza nimi osoba w pomieszczeniu, chłopak pochylony nad plastikowym pojemnikiem na śmieci, takim dużym, dla sporej rodziny. Targnęło nim i z wymiotował ogromną ilość żółtego płynu z pomarańczowymi resztkami. Jakby jadł na kolację bigos * pomyślał Scott, pamiętając dawne czasy.

Sierżant spojrzał na rozwścieczonego mężczyznę. * Który to pański syn?

D'Amario wygłosił chłopcom krótką pogadankę przy ojcach. Każda ze

zgrupowanych osób starała się trzymać jak najdalej od chłopaka z kubłem. W mieście panowała polityka zerowej tolerancji dla picia alkoholu przez nieletnich, taka była prawda. A w związku z tym, że żaden z nich nie był wcześniej notowany, obaj zostaną jedynie pouczeni.

* Ale następnym razem, jeśli będziecie na tyle głupi, by dopuścić do następnego razu, możecie liczyć na aresztowanie, postawienie zarzutów i w ogóle cały ten * zwrócił się do syna rozgniewanego ojca * bigos.

Scott nie pamiętał, żeby D'Amario miał takie poczucie humoru. Jeden z nich musiał się zmienić.

* Nie wiem, czy któryś z was uprawia czynnie jakiś sport w szkole * dodał sierżant. Ten drugi chłopak miał na sobie sweter zabrudzony wymiocinami, ale Brandon był w kurtce szkolnej reprezentacji. * Selekcjoner reprezentacji też nie toleruje picia. Raz złapany na bańce, wypadasz z drużyny na cały sezon. Złapany po raz drugi, wypadasz na zawsze.

Cienka nić nadziei związana z tenisem, wzmacniająca szansę Brandona na szkołę z jakąś trzecioligową drużyną * jeśli nie Amherst, to może chociaż Union albo Hamilton, na miłość boską * czy i ona miała zaraz pęknąć?

* To znaczy, że jemu ktoś o tym powie? * wtrącił Scott.

* Selekcjonerem jest teraz ona, Scott, wiele się zmieniło, odkąd razem tarzaliśmy się po boisku * wyjaśnił D'Amario. * Ale nie ma przepływu informacji pomiędzy nią a wydziałem policji. * Zerknął na Brandona i dodał: * Jeszcze nie.

* Dzięki, sierżancie * powiedział Scott.

Rozgniewany mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Wciąż miał szeroko otwarte usta. Jego syn wstał, blady jak ściana, i zatoczył się.

* Chodźmy, Brandon * rzekł Scott.

Brandon wstał, nie zatoczył się, lecz niezbyt pewnie trzymał się na nogach. Nie spojrzał Scottowi w oczy, co było przykre, i skulił buntowniczo ramiona, co było wkurzające. Scott zwalczył pokusę, by wywlec go za rękaw. Skierowali się do drzwi.

* Jeszcze jedno * odezwał się D'Amario. * Czy któryś z was zna Davida Brickhama? Brandon i blady jak ściana chłopak pokręcili głowami.

* Mówi na siebie Dewey * dodał sierżant.

Chłopcy ponownie zaprzeczyli. Oczy D'Amario skierowane były na Scotta, który wzrokiem piorunował Brandona. Scott spojrział w inną stronę, lecz za późno.

** Hasta la uista * pożegnał ich sierżant D'Amario.

Brandon nie odezwał się, ani gdy szli przez parking, ani gdy wsiedli do samochodu. Trzasnął za sobą drzwiami. Trzasnął buntowniczo.

* Zapnij pieprzone pasy * wybuchnął Scott. Usłyszał szarpnięcie, a po chwili odgłos zapinania. Włączył silnik i wyjechał z parkingu. * Jak bardzo jesteś pijany?

Brak odpowiedzi.

* Zadałem ci pytanie.

* Nie jestem pijany, do cholery.

* Uważaj, kurwa, co mówisz * wrzasnął Scott. Na posterunku nie był aż tak zdenerwowany. Teraz wpadł w furję, choć do końca nie wiedział dlaczego. * I co to miało znaczyć, że nie znasz Deweya? Oczywiście, że go znasz.

* No i co z tego?

* Co z tego? A co to za odpowiedź... * Uważaj, tato.

Przekroczył środkową linię, a z przeciwka zaczęły zbliżać się światła nadjeżdżającego samochodu. Scott zjechał na swój pas. Resztę drogi odbyli w milczeniu.

Gdy weszli do domu, Linda stała w kuchni w szlafroku zarzuconym na koszulę nocną i ze skrzyżowanymi ramionami. Spojrzała zimno na Brandona. Zimno, lecz jej oczy były czerwone.

* Masz mi coś do powiedzenia, Brandon?

* Niby, co?

* Bełkoczesz.

* Ty też.

* Nie waż się tak mówić do matki * wtrącił się Scott. Dostrzegł, że Brandon ma ręce zaciśnięte w pięści, i wtedy zdał sobie sprawę, że on sam również.

* Nie widzisz, do czego to prowadzi, Brandon? * zawołała Linda. * Jedyński w

szkole, wagary, aresztowanie?

* Do krzesła elektrycznego * rzekł Brandon i lekko się zachwiał. Linda spojrzała na Scotta. * Nie mogłeś po drodze przemówić mu do rozumu?

Kompletnie go zaskoczyła. * No chwileczkę... * odparł Scott.

* Sami sobie przemawiajcie do rozumu * odezwał się Brandon. * Charlie Manson idzie do wyra.

* W tej chwili tu wracaj * zawołała Linda.

Scott nie powiedział ani słowa, a Brandon nie wrócił. Słyszeli jego ciężkie kroki na schodach.

* O co ci chodziło z tym przemówieniem do rozumu po drodze do domu?

* On się zagubił, Scott.

* Nie o to pytałem. * Na telefonie zapaliło się zielone światełko oznaczające, że jedna z linii jest zajęta. Scott chwycił słuchawkę i usłyszał dziewczęcy głos: * ...dupki * i mruknięcie Brandona w odpowiedzi. * Przestań gadać przez ten pieprzony telefon * wrzasnął i z trzaskiem odłożył słuchawkę.

* Teraz lepiej?

* Przepraszam * powiedziała Linda. * Po prostu się martwię. Co my teraz zrobimy?

* Na pewno nie dostanie prawa jazdy, dopóki nie wróci na właściwą drogę * zdecydował Scott, pamiętając ostateczną broń własnego ojca.

Linda skinęła głową. * Ale musimy zrobić też coś pozytywnego.

* Pozytywnego?

* Może wyślemy go do szkoły z internatem? Niekoniecznie do Andover.

Ich spojrzenia się spotkały i Scott wiedział, że myślą o tym samym: w Andover nie chcieliby go widzieć. I mimo że istniały inne szkoły z internatem, do których by go przyjęli, to czy mogli sobie na to pozwolić? Nawet jeszcze nie spłacili remontu. Scott jednak o tym nie wspomniał. Powiedział za to:

* Nie jestem pewien, czy to naprawdę jest coś pozytywnego. Po co w ogóle mieć dzieci, jeśli się je potem wysyła z dala od domu?

Z jej oczu popłynęły łzy. Otarła je, tylko raz i bardzo delikatnie. Nie należała do

kobiet, które często płaczą, dlatego jej reakcja na telefon z posterunku była odrobinę zaskakująca. On również prawie nigdy nie płakał: po śmierci Adama oboje wypłakali już wszystkie łzy.

* Dlaczego nie powiesz mi wprost, że jestem złą matką?

* Wcale tak nie myślę * bronił się Scott.

Jednak przyszło mu to do głowy. Czy nie byłoby inaczej z Brandonem, gdyby nie poszła do pracy? Ale wtedy nie mieliby tak wspaniałego domu, nie byłoby remontu, tylu wycieczek, wielu innych rzeczy. Z drugiej strony,

Linda nie pracowała jedynie dla pieniędzy. Czy to czyniło z niej złą matkę?

Ich oczy się spotkały. Znała każdą z jego myśli.

* Czy stać nas na Juliana? * zapytała.

* Oczywiście.

* To może przychodziłby częściej. Ma dobry wpływ na Brandona. Miała rację.

Znaleźli kompromis, sposób, by ruszyć naprzód, nie wyrządzając nikomu krzywdy.

* I zapiszmy Brandona na najbliższy SAT * zaproponował Scott. * Zobaczmy, na czym stoimy.

* Dobry pomysł. * Linda zapisała to sobie w notesie, który nosiła w kieszeni.

Wrócili do łóżka i położyli się każde na swojej połowie. Scott czekał, aż coś się wydarzy, lecz jedyne, co miało miejsce, to mnóstwo myśli krążących mu po głowie. Z pokoju Brandona sączyły się ledwie słyszalne dźwięki muzyki.

Oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać

Być może chemia jego mózgu zmieniła się pod wpływem Highland Park * całkiem niezły trunek, który Scott pewnie będzie serwował swoim gościom do końca życia * być może gdzieś głęboko wśród neuronów zrodzi się zaraz następny wers.

Nic.

Julian zapalił papierosa, czwartego tego dnia lub pierwszego następnego. Dobrze wiedział, że ostatnio przekracza limit. Z drugiej strony jednak był artystą, a artyści, najlepsi artyści, ci, którzy zmieniali świat, zawsze łamali ograniczenia. Dwie świece płonęły po przeciwnych stronach stołu, a na środku tlił się papieros: był znów wewnątrz swojego trójkąta, czuł jego pulsującą siłę.

Nadal nic.

Raptem: pomysł. Może następnym słowem miało być nic. Czy właśnie to jego umysł starał się mu przekazać przez cały czas? Julian skierował pióro Mont Blanc na kartkę papieru i napisał nic. Żadne kolejne słowo ani zdanie nie przychodziło mu do głowy.

Odczytał ponownie całość:

ozieźbły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać
nic

I zrozumiał, że to było dobre.

Julian głęboko i z satysfakcją zaciągnął się papierosem i wrócił do charakterystyki swoich postaci, zaczynając od Scotta. Napisał:

Kompleks niższości, zwłaszcza w stosunku do Toma; z gruntu leniwy; hazardzista bez pojęcia o szansach na wygraną; oszukuje się, że jest ambitny, lecz pragnie tylko więcej tego samego; brak więcej tego samego sprawia, że czuje się nieszczęśliwy, a to powód niewystarczający * w najmniejszym stopniu. IQ 110. Scott był prosty. Czy istniał jakiś sposób, by zobaczyć tę tenisową rozgrywkę? Raczej nie. Zadanie do wykonania: przyjacielska dyskusja dotycząca strategii inwestowania, np. obrotu opcjami; dowiedzieć się więcej na temat rodzinnej firmy ubezpieczeniowej; czy Tom ma dzieci?

Linda: naprawdę ambitna, chce rozwinąć swój tłamszony potencjał ekspresji; drugi plus * dba o rozwój Brandona; dużo problemów ze Scottem * dowiedzieć się więcej; dobrze kłamie (epizod z Gabonem). IQ 120. Jeśli jej kariera, jak pewnie sama to nazywa, zacznie się rozkręcać * miał nadzieję, że dobrze postawi akcent w słowie La Riviere * to czy pozbędzie się choć częściowo tego swojego wewnętrznego napięcia? A z drugiej strony, jeśli spotka ją zawód, to czy napięcie osiągnie nowy, niespotykany dotąd poziom? To były interesujące pytania, pytania, które odpowiedzialny pisarz powinien zadać. Zadanie do wykonania: dowiedzieć się więcej o Adamie, zostać dobrymi przyjaciółmi.

Adam: Superchłopak * wcielenie cnót, u którego stóp wszyscy się płaszczą.

Nieznane: chronologia * złamana noga, białaczka.

Brandon: normalny dzieciak, w innych okolicznościach mógłby wyrosnąć na

szczęśliwego człowieka. IQ 125. Zadanie do wykonania: kontynuować to samo (poznać szczegóły pijackiej imprezy).

Papieros skrócił się tak, że cywilizowany człowiek nie mógł go już palić. Julian zgasił go, nagle czując olbrzymi głód. Żałował, że nie wyraził się ciepło o torcie, zanim wyszedł, prowokując w ten sposób propozycję zabrania kawałka do domu. Tort był całkiem niezły.

Ruby:

Julian wpatrywał się w pustą kartkę, którą miał przed sobą, z imieniem Ruby na samej górze. Cienie przemykały po papierze, wprowadzane w ruch przez drgające płomienie świec.

Ruby:

Dotarło do niego, że nie jest w stanie niczego o niej napisać, ani jednego słowa.

Spróbował: IQ. Okazało się, że nie ma pojęcia. Była tylko głupią małą dziewczynką, zdecydowanie zbyt gadatliwą, która robiła dziwaczne rzeczy ze swoimi włosami. A jednak to zdarzenie z ogniem... Nawiedziła go

niepokojąca myśl: czyżby mieli ze sobą coś wspólnego? Niemożliwe. Był chyba zbyt zmęczony.

Julian odłożył pióro, pozostawiając stronę Ruby nie zapisaną, i przeczytał to, co do tej pory zanotował. Nie był zachwycony; wyjątkiem było jedno zdanie: wcielenie cnót, u którego stóp wszyscy się płaszczą * czyż nie była to proza najwyższego lotu? Reszta była raczej oczywista.

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny

tak jak zdradziecki oszukać

nic

Po nic nic mu już nie przyszło do głowy. Zastanawiał się nad nową formą, którą właśnie tworzył, żywym poematem epickim, łączącym naturę i sztukę w rzeczywistym czasie. Biorąc pod uwagę naturę głównych postaci i rozwijającą się fabułę, której były bohaterami, bardziej pasowała tu nazwa powieść poetycka. Postać, sytuacja, przeznaczenie: wszystko to wciąż jeszcze mniej lub bardziej nieprzeniknione. Lecz znał temat swego dzieła: życie amerykańskiej klasy średniej.

Miał do niego wystarczający dystans, by obserwować. Obserwować i, co więcej, brać w nim udział, eksperymentować, kontrolować, ponieważ żywa powieść będzie mieć formę z krwi i kości, będzie pierwszą w swoim rodzaju, z bezprecedensowym napięciem, będzie ekscytować i ewoluować pomiędzy postaciami a ich stwórcą. A na końcu oczywiście liczyć się będzie tylko stwórca i dlatego jakże cudownie patetycznie*trywialni byli Gardnerowie, z takim zaślepieniem i prostotą wierzący we własne znaczenie. Być może powinien zmienić tytuł z nieco zbyt oszczędnego O dwóch gatunkach na prosty, lecz wymowny W domu.

Tak! Tkwiał teraz w paszczy potwora * wyświechtany zwrot, który nigdy nie znajdzie miejsca w jego dziele * czy raczej, pozostając przy anatomii, czuł się tak, jakby zaraz miał mu zerznąć tyłek. Coś wspaniałego.

Julian zerknął przez okno, by sprawdzić, czy na piętrze dużego domu nie pali się światło. Jedyne, co zobaczył, to ciemność. Czy istniał jakiś sposób, by w razie potrzeby zaprosić do sypialni Gail nietoperza? Gdzie należy szukać nietoperzy? Po tym ataku twórczego myślenia poczuł ochotę i zasłużył sobie na coś czysto fizycznego.

Chociaż, kiedy tak uczciwie wyobraził sobie kolejną scenę w sypialni, Julian stwierdził, że wciąż miałby problem ze zniesieniem jej nadmiernej, nie mającej końca gadatliwości. Czy knebel wchodziłby w grę? Przyszło mu na myśl, że kneblowanie nawet jej się spodoba, podnieci ją, tak że sa ma poprosi o to następnym razem i kolejnym * tak, uczciwie to sobie wyobraził. W oknie na piętrze dużego domu wciąż panowała ciemność. Julian poszedł spać głodny.

Czy istniało na świecie coś lepszego od niedzielного poranka? Mogła leżeć w łóżku, gdzie było ciepło i przytulnie, i czytać, nie martwiąc się treningiem, lekcjami, niczym, tylko przewracać kartki, przeciągać się od czasu do czasu i wsłuchiwać w odgłos przelatujących samolotów, który brzmiał, jakby ktoś w niebie grał w kręgle.

Niedzielny poranek: czy nie mogłoby ich być w tygodniu o jeden lub dwa więcej? Na przykład, na co komu wtorkowy poranek? Poniedziałkowe ranki * najgorsze ze wszystkich * nie byłyby tak paskudne, gdyby następnego dnia czekał na nas niedzielny poranek. Ktokolwiek zaplanował cały ten tydzień, mógł się lepiej postarać. Jeśli kiedykolwiek będzie ubiegała się o fotel prezydenta, jej zobowiązaniem numer jeden wobec amerykańskiego narodu będzie zwiększenie ilości niedzielnych poranków.

Kręgle w niebie: tam, gdzie teraz jest Adam, jeśli wierzyło się w niebo. A jeśli się nie wierzyło, to gdzie on teraz był? Przypuszczalnie lepiej, żeby niebo istniało, lecz teraz, po tylu wiekach umierania na pewno było bardzo zatłoczone, bardziej niż planeta Ziemia, i musiało borykać się z typowymi dla przeludnienia problemami: zanieczyszczeniem powietrza, brakiem uprzejmości, kolejkami za wszystkim.

Ruby leżała w łóżku, myśląc o niebie jako ekologicznej katastrofie, w którą zaangażowanych było całe mnóstwo wkurzonych ludzi, kiedy nagle dotarło do niej, że choć faktycznie leży we własnym łóżku i w nim się obudziła, to poszła przecież spać do pokoju Adama i nie pamiętała, żeby tu wróciła. To odrobinę ją przestraszyło. Czyżby była lunaticzką? A może tata znalazł ją i odniósł z powrotem do jej pokoju? Wstała i zeszła na dół.

Zippy siorbał z toalety w małej łazience.

* Przestań * krzyknęła na niego.

Odgłosy siorbania zamilkły. Doskonale potrafiła go sobie wyobrazić z głową uniesioną nad sedesem, przekrzywionym uchem, czekającego, czy po niego przyjdzie. Ruby weszła do kuchni i usłyszała słaby odgłos następnego łapczywego siorbnięcia.

Tata stał przy kuchence. Tak! Francuskie grzanki.

* Dzień dobry, słoneczko.

* Cześć, tato.

* Co powiesz na francuskie grzanki?

* Mniam.

* Dobrze spałaś?

* Enę.

* Enę? A co to za odpowiedź?

* Dobrze, dziękuję. A ty?

* Ja?

* Czy dobrze spałeś, tato?

* Całkiem nieźle.

* Mocno?

* Co masz na myśli, mówiąc mocno?

* No wiesz, jak kamień, jak zabity, żadnego wstawania i włączania się po domu.

Tata spojrział na nią, trzymając w ręku łopatkę. Używał tego orzechowego chleba z cebulką, idealnego na francuskie grzanki.

* Do czego zmierzasz, Ruby?

Na jego twarzy malowało się totalne zaskoczenie, tak jak w momencie, gdy czarny charakter wysadza sejf, a w środku niczego nie ma. Ponieważ mama najprawdopodobniej nie była na tyle silna, by ją przenieść, i na pewno kazałaby to zrobić tacie, to oznaczało, że jednak była lunaticzką.

* Do niczego, tato. Tylko podtrzymuję rozmowę.

Wyglądał tak, jakby miał zamiar powiedzieć coś jeszcze, lecz nagle z patelni dobiegł odgłos skwierczenia i skoncentrował się na smażeniu. * Jak bardzo jesteś głodna?

* Głodna.

* Dwa kawałki czy trzy?

* Trzy * odparła Ruby. Nakryła stół dla obojga, postawiła na nim syrop klonowy oraz cukier i śmietankę do kawy dla taty. Chodzenie we śnie jest oznaką problemów emocjonalnych, czytała o tym w jednym z pisemek dla młodzieży. Czy można mieć problemy emocjonalne i zarazem być szczęśliwym? Już miała zapytać o to tatę, gdy nagle krzyknął tak, że aż podskoczyła:

* Cholera * i pomachał palcem w powietrzu.

* W porządku, tato?

* Tak, przepraszam.

* Nic nie szkodzi.

Usiadła na swoim miejscu, nalała dla obojga soku pomarańczowego i czekała, aż tata skończy smażenie. Gdy czekanie zaczynało robić się nudne, czyli po kilku sekundach, wzięła do ręki kredkę leżącą na stole i zaczęła pisać wiersz na serwetce.

Najpierw tytuł:

Złote tory I co dalej? A może coś takiego?

Jak gra ci się w niebie, Adamie? Czy Raju mistrzostwo zdobyłeś już? Czy z aniołami wygrywasz i z

* Tato, jak się nazywa taki superanioł, szef aniołów?

* Archanioł?

archaniołami

Sztuczki stosując, których nauczył cię Bóg

W trzech osobach przenajświętszej trójcy?

Może kiedyś mi je, bracie, zdradzisz,

Pokażesz, jak boskie jeść hot dogi,

Niebiańskiego sprite'a pić.

I punkty twe zwycięskie podliczać będziemy

Radośnie,

Razem wszyscy,

Teraz jeszcze jednak nie.

* Co piszesz? * zainteresował się tata.

Siedział przy stole i mieszał kawę, a francuskie grzanki leżały na dwóch talerzach.

Śniadanie w trakcie. W jakiś sposób przegapiła początek.

* Och, nic takiego * odparła Ruby i położyła sobie serwetkę na kolanach, tak jak robiły to dobrze wychowane panny. Polała grzankę dużą ilością syropu klonowego i obserwowała, jak spływa po złotobrazowych urwiskach wodospadem gęstego bursztynu.

* Hej. Nie przesadzaj z tym syropem.

* Ojej.

Odkroiła kawałek górnej części, zanurzyła go w syropie i nasączyła. * Jak to się nazywa, jak coś jest pełne płynu?

* Pełne płynu? Nie jestem pewien.

* Tak, że więcej się nie zmieści, aż się z tego czegoś leje?

* Nasycone?

* Tak.

Francuska grzanka z orzechowego chleba była nasycona syropem klonowym, wspaniałym syropem najlepszej jakości z Vermont, nie jakimiś tam podejrzanymi pomyjami, do których nijak się miało kluczowe słowo * klonowy * i Ruby ugryzła pierwszy kawałek.

Tata się jej przyglądał. * Smakuje ci?

* W życiu nie jadłam lepszych.

Uśmiechnął się do niej szeroko. Naprawdę były świetne. Niebo w gębie. O, znów to niebo. Właśnie wtedy przyszedł jej do głowy pomysł na kolejny wiersz. Prawdę mówiąc, całość * klon, farmer, krzyż * pojawiła się nagle w jej umyśle, wszystko naraz. Musiała tylko później to spisać. Albo znaleźć kogoś, kto spisze to za nią, podczas gdy ona sama ułoży się wygodnie na czymś fantastycznym i będzie zajadała się cukierkami. Zdała sobie sprawę, że jeśli nic lepszego nie przyjdzie jej do głowy, zawsze będzie mogła zostać pisarką.

* Jak myślisz, kim zostanie Brandon, jak dorośnie, tato?

Tata postawił kawę na stole. Jejku. Nagle zrobił się strasznie ponury. * A czy on w ogóle dorośnie? Oto jest pytanie.

Drastyczna zmiana nastroju. Ale dlaczego? Wtedy to do niej dotarło: musiał wrócić za późno. * Brandon jest w domu, prawda?

* Och, tak.

* Był na czas? * zapytała Ruby.

* Niezupełnie.

* Ile się spóźnił?

* Spóźnienie to nie wszystko * odparł tata. Westchnął, podparł się na łokciach i złożył podbródek na dłoniach.

No dalej, tato. Ruby nie powiedziała tego głośno.

* Tym razem w grę wchodziła również policja * wydusił z siebie tata, gdy końcu

zdecydował się mówić.

* Jak to?

* Cała ich banda piła alkohol w lesie. Pewnie zachowywali się głośno i ktoś zadzwonił po gliny. Zwinęli Brandona za picie, bo nie jest pełnoletni.

* Siedział za kratkami?

* Nie. I o nic go nie oskarżyli ani nic z tych rzeczy.

* Tym razem * wtrąciła Ruby.

Spojrzał na nią wymownie i wyprostował się na krześle. * Zgadza się.

Czuła, jak pytania rodzą się w jej głowie jedno po drugim, niczym kwiaty rozkwitające na jednym z tych filmów dokumentalnych w przyśpieszonym tempie. Zaczęła je wypowiadać, nie zachowując specjalnie kolejności.

* Co pili?

* Nie wiem. Pewnie piwo.

* Czy Deweya też zapuszkowali?

* Nie wiem. Ale pytali o niego Brandona.

* A o co dokładnie pytali?

* Czy go zna.

* Zaprzeczył?

* Skąd wiesz?

Z tonu twojego głosu. * Po prostu zgadłam * wyjaśniła Ruby. * Kto ich sypnął?

* Sypnął?

* Na miłość boską, tato, nie znasz tego słowa? Kto powiadomił policję?

* Ach. Nie udzielają takich informacji.

* Ale to raczej oczywiste. Tata skinął głową.

* Pan Stromboli * powiedziała Ruby. Wymówiła to nazwisko najgłębszym głosem, jaki potrafiła z siebie wydobyć, głosem przeznaczenia. W ten sposób Stromboli brzmiało naprawdę przerażająco. * Może powinniśmy wrzucić mu przez komin bombę z cuchnącym gazem?

* To miał być żart, prawda?

* Niestety, jest mały problem.

* Nadal mówisz o wrzucaniu cuchnących bomb? Do cholery, jasne, że jest problem. Nigdy w życiu...

* Problem, tato, polega na tym, jakim cudem Stromboli usłyszeli hałas ze swojego domu?

* A co w tym dziwnego?

* Która była wtedy godzina?

* Nie pamiętam dokładnie. Chyba między północą a dwunastą trzydzieści.

* Spałeś już?

Tata z jakiegoś powodu zamyślił się i nie były to wesołe myśli. * Nie, nie spałem.

* Słyszałeś jakiś hałas?

* Nie.

* A mieszkamy bliżej lasu niż Stromboli.

* A więc to nie mogli być oni * czy do tego zmierzasz?

* Niekoniecznie * kontynuowała Ruby. * Pan Stromboli mógł być na spacerze, może nawet spacerował po lesie.

* A dlaczego miałyby to robić?

* Jest dziwakiem, tato. Sam wiesz.

Tata napił się kawy. * I tak nigdy nie poznamy prawdy * stwierdził. * Poza tym to nie ma żadnego związku ze sprawą.

* A o jaką sprawę chodzi?

* O taką, że Brandon wszystko spieprzył. * Zerknął na nią znad kubka z kawą. * Ty nie będziesz robiła takich rzeczy, nie będziesz chodziła na pijackie imprezy w lesie, prawda?

* Cholerka, tato * zaśmiała się Ruby. * Ja też tam wczoraj byłam.

* Bardzo śmieszne * rzekł tata. * Jedz już.

Powrócili do śniadania. Było miło i cicho, nie rozbrzmiewał żaden dźwięk, nie licząc pykania kwiatów rozkwitających w głowie Ruby, poza zasięgiem uszu taty.

Zdobycie cuchnącej bomby nie mogło stanowić problemu. Jeśli Dewey nie byłby w stanie skombinować takiej bomby, to kto? Problem polegał na tym, żeby dowiedzieć się, czy pan Stromboli spacerował w nocy w lesie. Zwykle w niedzielny poranek taki

jak ten Ruby wróciłaby do łóżka, położyła się ze zbiorem opowiadań o Sherlocku Holmesie lub przygotowała by sobie kąpiel z bąbelkami i czymś ekstra z Body Shopu, nastawiając CD w odtwarzaczu przy wannie. Dziś ubrała się, założyła niebieską kurtkę z żółtymi lamówkami, żółte rękawiczki z jednym palcem i niebieską czapkę z żółtym frędzelkiem: idealny strój. Włożyła do kieszeni szkło powiększające, zapięła Zippy'emu smycz i wyszła na zewnątrz.

Nie było zbyt zimno. Czy mogła zobaczyć własny oddech? Tak. Czy mogła zobaczyć oddech Zippy'ego? Nie. Dlaczego?

* Oddychasz, Zippy?

Podniósł łapę i zrobił siusiu tam, gdzie stał, czyli na ich własne schody przed wejściem.

* Zippy!

Odciągnęła go. Wciąż siusiał, wlokąc po ziemi trzy łapy, a jedną trzymając w górze, pozostawiając za sobą krętą, żółtą linię na śniegu.

Wszystko oczywiście zależało od śniegu, od razu to pojęła. Kiedy ostatni raz padało? Nie mogła sobie przypomnieć. Czasami była taka tępa. Me obudziłaś się jeszcze, Rubester? Zauważyła, że nie jest świeży. Na ich podwórku widniało mnóstwo śladów, łącznie z odciskami jej butów, najmniejszymi, i tymi tutaj, większymi, głębszymi, najprawdopodobniej...

Uklęknęła, wyjęła szkło powiększające i przyjrzała się pofałdowanym odciskom podeszwy, tak szczegółowym pod szkłem powiększającym, że była w stanie dostrzec nawet dwa słowa, słabo widoczne i tkwiące głęboko w śniegu: Dr. Marlens. Ślady Brandona, tak jak myślała. Przeszła na drugą stronę ulicy.

* Do nogi, Zippy.

Nie znalazła zbyt wiele śladów na podwórku Strombolich: nie było to dla niej niespodzianką, Stromboli raczej nie bawili się na śniegu, przypuszczalnie wchodzili i wychodzili z domu przez drzwi od garażu, do którego wjeżdżali samochodem.

Właściwie jedynymi śladami były duże odciski stóp wiodące od połowy odśnieżonego chodnika przez trawnik przed domem, aż do okrągłego zagłębienia w śniegu, a stamtąd na podjazd. Widziała już podobne zagłębienie w śniegu przed

własnym domem. Cóż to mogło być? Ach tak, ślad pozostawiony przez pokrywę śmietnika w dniu wywożenia śmieci, kiedy to śmieciarze przemykają ulicą jak dzikusy, zostawiając za sobą porozrzucane kubły i pokrywy. Śmieciarze byli fantastyczni. Jednego roku tata zostawił im w prezencie skrzynkę budweisera na Święta. Zaczęli otwierać butelki na miejscu. W tym dniu na ulicy roiło się od przewracanych kubłów i tylko ich dom był wyjątkiem, śmietniki stały równo ustawione. Wyjątkowe traktowanie skończyło się po dwóch tygodniach.

Tak więc w dniu, kiedy wywożono śmieci, pan Stromboli wyszedł frontowymi drzwiami, podniósł pokrywę, mamrocząc cholerni, pieprzeni śmieciarze i temu podobne, i zaniósł ją do garażu. Ruby weszła na ich podwórko. Zippy zawarczał.

* Bądź grzeczny * upomniała go, mówiąc szeptem i mocno owijając smycz wokół nadgarstka.

Ruby wyjęła szkło powiększające, pochyliła się i obserwowała, jak nietknięte ślady klarują się pod soczewką. Pan Stromboli miał niesamowicie wielkie stopy. Był z niego straszny koleś, co do tego nie miała wątpliwości. Podeszwy jego butów zostały śmieszne kwadratowe wzorki, z wyjątkiem obcasów, które były już zużyte i gładkie. Na prawym obcasie znajdowało się nawet maleńkie wyżłobienie, którego nie było na lewym. Odciski jego butów były łatwe do zidentyfikowania. Jeśli znalazłaby je w lesie, oznaczałoby to zamknięcie sprawy, konkretny dowód, że pan Stromboli był złoczyńcą, sygnał, by spuścić bomby i storpedować...

Ktoś otworzył frontowe drzwi. Ruby, na czworakach * jak to się stało? * poczuła, jak serce zaczyna jej gwałtownie łomotać. Zza drzwi wyjrzała pani Stromboli, ubrana w pikowaną, różową podomkę i kapcie do

kompletu z pomponami na czubkach. Zippy zaszczekał i spróbował się na nią rzucić.

Ruby z całej siły pociągnęła za smycz, ładując twarzą w śniegu. Jego szczekanie zakończyło się wysokim dźwiękiem podobnym do pisku hamulców w samochodzie.

* Czy coś się stało? * zainteresowała się pani Stromboli, spoglądając w dół.

* Wykonuję tylko pewne zadanie detektywistyczne * odparła Ruby, strzepując śnieg z twarzy. Miała go również na szyi. Na dowód swoich słów podniosła do góry szkło powiększające.

* A czego szukasz? * zapytała pani Stromboli.

* Błękitnego karbunkułu * wyjaśniła Ruby.

Pani Stromboli uśmiechnęła się. Wydarzenia przybierały zdumiewający obrót. * O ile pamiętam, należy go szukać w gęsi.

Ruby odwzajemniła uśmiech, uśmiechając się najładniej, jak potrafiła. * Ja tylko udaję * rzekła pieszczotliwym głosem.

* Proszę bardzo, baw się dalej * powiedziała pani Stromboli. * Jeśli oczywiście nie przeszkadza ci zimno.

* Och, nie * odparła Ruby. * Tak dobrze spałam dziś w nocy.

Nie było to może najbardziej naturalne przejście do interesującego ją tematu, lecz nic lepszego nie przyszło jej do głowy.

* Cieszę się, moja droga.

* Było tak cicho i spokojnie, prawda, proszę pani? Wyjątkowo cicho.

* Naprawdę nie zwróciłam na to uwagi.

* Nie? Więc nie uważa pani, że było odrobinę zbyt głośno?

* Głośno?

* Tak. Że była to jedna z tych hałaśliwych nocy.

Pani Stromboli wyglądała na zdziwioną. * Mieszkamy w dość spokojnym sąsiedztwie, nie uważasz?

* Nie licząc nas, prawda?

Pani Stromboli zaśmiała się. * Jeśli chodzi o pana Stromboli, to nie taki diabeł straszny, jak go malują.

To czemu próbował zabić Zippy'ego kijem golfowym? * A więc spędziliście z panem Stromboli spokojną noc?

Pani Stromboli zamrugnęła. A po chwili trochę się zarumieniła. * Czy to również jest część twojego zadania detektywistycznego?

Ruby skinęła głową. * Moja metoda bazuje na obserwacji szczegółów.

* A więc, tak * odparła pani Stromboli. * Spędziliśmy spokojną noc. Zasnęliśmy, oglądając wiadomości, jak zwykle, i nie widzieliśmy nawet śladu błękitnego karbunkułu.

* A o której były wiadomości, proszę pani?

* Zawsze oglądamy wiadomości o dziesiątej na pięćdziesiątym szóstym kanale.

Musisz wiedzieć, co było w wiadomościach? W Hartford wybuchł pożar, jeśli dobrze pamiętam, i...

* Dziękuję, proszę pani. Bardzo mi pani pomogła.

* Polecam się na przyszłość * rzekła pani Stromboli. * Mam nadzieję, że uda ci się go znaleźć.

* Zrobimy, co w naszej mocy.

* Rozumiem. A twój pies to doktor Watson.

Świetny pomysł, ale Ruby nie miała czasu zastanawiać się nad tym, czy kupić Zippy'emu czapkę a la Watson. Musiała skoncentrować się na problemie: jeśli nie był to pan Stromboli, to kto?

Prawdziwy doktor Watson nawet w najgorszy dzień nie miałby problemu ze zidentyfikowaniem miejsca, gdzie odbyła się impreza w lesie. Po drugiej stronie stawu pełno było pustych butelek, puszek po piwie, niedopałków papierosów, kartonów po pizzy, papierków po batonach i śladów stóp, jednych na drugich, aż gdzieś pod śniegu zaczęło przebijać błoto. Znajdowała się tu nawet beczułka, pozostawiona, jak przypuszczała Ruby, przez uciekających imprezowiczów, z której wciąż wyciekało piwo. Zippy znalazł kawałek pizzy z pepperoni na grubym cieście i pożarł ją łapczywie.

* Jak, do cholery * powiedziała Ruby, przyglądając się, jak węszy w śniegu, szukając kolejnej porcji * znajdziemy to, czego szukamy w tym bałaganie?

Zza wielkiego głazu wyszedł barczysty mężczyzna. Miał na sobie granatową kurtkę ze srebrną odznaką na przedzie i trzy paski na ramieniu.

* Zależy, czego szukasz, panienko.

Czy tak właśnie wyglądał zawał, gdy serce zaczynało gwałtownie łomotać i próbowało wyskoczyć przez gardło?

* Zippy zgubił tu wczoraj zabawkę * wydusiła z siebie piskliwym głosem, podobnym do głosu Amandy, i cofnęła się.

* Jaką zabawkę? * zainteresował się mężczyzna.

* Czerwoną, gumową kość * wyjaśniła Ruby, odzyskując pewność siebie. Kiedyś naprawdę miał taką zabawkę. * Ale teraz jest tu taki bałagan.

* Zgadza się * rzekł mężczyzna. Pochylił się i podniósł z ziemi portfel, zajrzał do środka i wrzucił go do czarnej torby. Brandon zgubił kiedyś trzy portfele w ciągu jednego tygodnia.

* Jest pan policjantem? * zapytała Ruby.

* Sie wie.

* A te paski oznaczają, że jest pan sierżantem? Moment ciszy. * Mieszkasz w pobliżu? * zapytał w końcu.

* Tak * rzuciła Ruby, machając od niechcenia ręką w przeciwną stronę niż dom.

* Jak ci na imię?

* Ruby.

* A nazwisko?

* RubyKid.

Wyglądał, jakby miał się uśmiechnąć. Właściwie na twarzy sierżanta nie pojawił się uśmiech, lecz z jego oczu można było wyczytać, że przeszło mu to przez myśl. * Tak jak Billy Kid? * rzekł.

* Tak, ale jestem bardziej groźna.

Teraz się uśmiechnął. * Ja jestem sierżant D'Amario.

* Miło mi pana poznać, sierżancie D'Amario. Czy musi pan tu posprzątać? Jeśli ma pan jeszcze jedną torbę, to mogę pomóc.

* To miło z twojej strony * odparł sierżant D'Amario * ale ja tu nie sprzątam. To robota dla MPO. A to jest torba na dowody rzeczowe.

* Popelniono tu przestępstwo?

* Sie wie.

* Chodzi o zaśmiecanie?

* To też. Nakryliśmy tu wczoraj w nocy grupkę młodocianych pijących alkohol. Nie takich jak ty, Ruby Kid.

* Ciężko pan pracuje, prawda?

* Nie rozumiem?

* Tak patrolować las zimną nocą i w ogóle.

* Nie * sprostował * tutaj nie patrolujemy.

* A więc skąd pan wiedział o młodocianych pijących alkohol?

* Ktoś zadzwonił do nas ze skargą. Anonimowo, jak to zwykle bywa.

* Anonimowo? * zainteresowała się Ruby.

* To takie wielkie słowo oznaczające, że ktoś nie podaje swojego nazwiska.

Me o to mi chodzi, na miłość boską. * Nie macie na posterunku funkcji identyfikacji numeru?

* Masz zamiar w przyszłości zostać detektywem?

Czy było to lepsze zajęcie od bycia pisarką? Być może. * Może i tak * odpowiedziała Ruby.

* Oczywiście, że identyfikujemy każdą rozmowę przychodzącą. Ta akurat odbyła się z płatnego automatu.

* Ach, tak.

* Domyślasz się, co wtedy zaszło?

* Nie.

* Jakiś sąsiad, zdenerwowany hałasem, lecz nieskory do ujawnienia swojej tożsamości, podjechał do automatu telefonicznego przy stacji Shella i...

* Sypnął.

* Bingo.

* Ludzie nie chcą kłopotów.

* Nie, proszę pana. Czy ta grupka młodocianych siedzi w areszcie?

* Za takie przewinienia nie zamykamy w areszcie. Wysyłamy dzieciaki do domu w towarzystwie rodziców.

* Jak miło * zauważyła Ruby. * Wobec tego, jakich dowodów pan szuka?

Spojrzał na nią. * Wiesz co to crack, Ruby?

* Bardzo niebezpieczny rodzaj kokainy rozprowadzanej we fiolkach i palonej w fajce.

* Uważałaś na edukacji zdrowotnej.

* Tej „Zawsze mów, nie”.

* A więc nie muszę ci tłumaczyć, że crack to poważna sprawa, nie to samo, co wypicie kilku piw w lesie, jeśli wiesz, co chcę powiedzieć.

* Oni palili tu cracki? * Brandon. Poczula, jak serce zaczyna jej gwałtownie bić.

* Tego nie wiemy. Lecz doszły do nas słuchy, że ktoś ze szkoły średniej jeździ do Bridgeport i przywozi tutaj to świństwo. Chcemy się dowiedzieć, kto to, i dopaść go z towarem.

Ktoś z naklejką na zderzaku „Pieprz się Pieprzony Pierdolcu”, która nagle przestała być zabawna, zwłaszcza gdy na siedzeniu obok kierowcy siedział Brandon.

Obserwowała, jak Zippy kopie w poszukiwaniu pizzy. Zamiast tego znalazł coś innego. Ruby niepostrzeżenie przysunęła się bliżej i nadepnęła na to, jakby od niechcienia. Zippy drapał tuż przy jej stopie.

* A czego on szuka? * zainteresował się sierżant D'Amario.

* Pizzy * odparła Ruby.

* Jest tutaj * zauważył, podchodząc do kłody znajdującej się na skraju stawu. Ruby błyskawicznie pochyliła się, złapała fajkę do cracku, na której stała, i wsadziła ją do kieszeni. Sierżant D'Amario wrócił z prawie pełnym pudełkiem pizzy. * Ile mogę mu dać?

* Tylko kawałek, dziękuję * rzekła Ruby. * Jest na diecie.

Sierżant D'Amario nakarmił Zippy'ego kawałkiem pizzy hawajskiej, z ananasem i szynką. Zippy zamerdał ogonem. Sierżant D'Amario go poklepał.

* A gdzie jest jego numerek?

* Och * westchnęła Ruby. * Zamknij mnie pan do ciupy?

* Następnym razem * odparł sierżant D'Amario.

Ruby poszła do domu, ruszając najpierw w przeciwnym kierunku, dawną drogą dla wozów, mijając radiowóz sierżanta D'Amario, by w końcu obrać właściwy kierunek. Fajka do cracku była jak żywa, podrygująca istota w jej kieszeni. Wrzuciła ją do dużej dziury w starym, spróchniałym pniu drzewa.

Gdy wychodziła już z lasu, w miejscu, gdzie drzewa zaczynały się przerzedzać i można było dostrzec tył domu, dojrzała ślady grubych rowerowych opon na śniegu. Z pewnością zostawił je Julian, gdy wracał do domu z przyjęcia urodzinowego. Przy

karmniku nie było ptaków. Resztę drogi pokonała biegiem. Zippy'emu bardzo się to podobało: myślał, że to rodzaj zabawy. Gdy byli już w domu, pierwszą rzeczą, jaką zrobiła, było przypięcie mu numerka informującego o szczepieniu przeciw wścieklicznie. Nie ma mowy, żeby sierżant D'Amario zabrał jej psa.

18

W kuchni tata rozmawiał przez telefon.

* Jasne, że jestem pewien * mówił. * To tylko gra, prawda? Nie bierzmy jej więc zbyt poważnie. * Przez chwilę słuchał. Jeśli nie traktował tego, o czym rozmawiał poważnie, dlaczego był taki spięty? Ruby wyczuła ten okropny zapach, co oznaczało, że w pobliżu znajdowała się niedzielna gazeta. Wtedy tata powiedział: * W porządku, Tom. Do zobaczenia o czwartej.

* Co jest tylko grą? * zainteresowała się Ruby.

* Tenis.

Parszywa, głupia gra. * Skoro o tym wspomniałeś * zaczęła Ruby. * Myślę, żeby może trochę zwolnić tempo z tenisem.

* Zwolnić tempo?

* No wiesz, odpocząć od tenisa. Tak zupełnie.

* Chcesz zrezygnować z tenisa? Czy to próbujesz mi powiedzieć?

* To ma sens, prawda, tato?

* Nie, nie ma. Uprawiasz tylko dwa sporty, jeśli zaliczyć do sportów łucznicstwo.

Kiedy Brandon był w twoim wieku, uprawiał inny sport każdego sezonu, piłkę nożną, tenis, baseball... kiedyś grał nawet w koszykówkę.

A teraz jest kryminalistą. Ruby spróbowała skorzystać ze swojego rentgena w oczach, by zasiać w umyśle taty myśl wiążącą ze sobą obie te sprawy * uprawianie sportu i kłopoty z prawem * co i tak powinno być dla niego oczywiste, skoro oglądał wiadomości sportowe. Potrafiła utworzyć obszar intensywnego napięcia w części mózgu tuż nad oczami.

* Dlaczego tak na mnie patrzysz? * zapytał tata. * Dobrze się czujesz?

Oczywiście rentgen nie zadziałał. * Może jeszcze trochę pogram.

* Grzeczna dziewczynka.

Ruby weszła na piętro i skierowała się do pokoju Brandona. Zapukała do drzwi. Brak odpowiedzi. Zapukała ponownie, mocniej, lecz z pokoju nadal nie dobiegał żaden dźwięk. Nacisnęła klamkę i cicho otworzyła drzwi.

W pokoju Brandona panował półmrok, a w powietrzu unosił się zapach podobny do tego, jaki króluje w chłopięcej szatni. Ruby nigdy nie była w chłopięcej szatni i miała nadzieję, że nigdy tam nie zawita, lecz wiedziała, że musi to być ten zapach. Cały ten spór pomiędzy zwolennikami teorii ewolucji i tymi, którzy wierzyli w stworzenie człowieka, był pozbawiony sensu. Wystarczyło poczuć ten zapach, by zrozumieć, że Darwin się nie mylił: ludzie pochodzą od zwierząt. Przynajmniej mężczyźni. Zaraz! Może obie strony miały w połowie rację: mężczyźni ewoluowali, a kobiety zostały stworzone. A ona sama była małym aniołkiem.

* Brandon? Śpisz?

Cisza. Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności. Dostrzegła sterty różnych rupieci, pozbawione połysku puchary Brandona na półce i nowy plakat nad łóżkiem, z którego Problem zerkał na nią zza ramienia Unka Deatha. Zdała sobie sprawę, że Problem wystąpił w Tym i owym, jej urodzinowym filmie, grając rolę króla wudu. Brandon, pogrążony w głębokim śnie, leżał w łóżku przykryty kołdrą po samą brodę i wyglądał zadziwiająco młodo, młodziej niż ona sama.

* Brandon? * Poklepała go lekko po ramieniu.

Wymamrotał coś niewyraźnie, jakby miał kluski w ustach. Chyba to było: * Jeszcze pięć minut.

* Możesz spać cały dzień, jeśli masz ochotę, Brandon. Jest niedziela.

Otworzył oczy, przynajmniej jedno, to mniej zapuchnięte. * To po co mi zawracasz głowę?

* Musimy porozmawiać.

* Co?

* Będiesz się dziś widział z Deweyem?

* A co cię to obchodzi?

* Odjazdowy ten plakat.

* O co ci chodzi? Nie widzisz, że śpię? ** Problem grał w Tym i owym.

* Rany. A jak myślisz, kto jest producentem tego filmu, głupolu?

* Problem?

* Co ty w ogóle wiesz? Unka Death jest producentem. Podpisał umowę z Paramount.

* Wiem jedno * rzekła Ruby. * Już czas, żeby Dewey wyjechał do Nowego Jorku i zaczął pracować jako kurier na rowerze.

* Co ty pieprzysz?

* Sierżant D'Amario * chyba poznałeś go zeszłej nocy? * wie, że Dewey handluje crackiem.

Brandon otworzył drugie oko. * Gówno prawda * powiedział głosem, który wreszcie zabrzmiał bardzo trzeźwo.

* Gówno prawda, że co?

* Że Dewey handluje crackiem.

* Sierżant D'Amario sądzi inaczej.

* Skąd wiesz, co sądzi pieprzony sierżant D'Amario?

* Powiedział mi o tym. Spacerowałam z Zippym w lesie i spotkałam go, jak badał miejsce przestępstwa. Zaczęliśmy rozmawiać.

Brandon posłał jej jedno z tych swoich wrednych spojrzeń. * Jesteś dziwna, wiesz o tym?

* Przynajmniej nie jestem ćpunką.

* Co ty, kurwa, pieprzysz?

* Ty nie palisz cracku, prawda, Brandon?

* Mów ciszej.* powiedział, zerkając na drzwi. Ruby podeszła i je zamknęła. Brandon podniósł się na łóżku i wydał z siebie cichy jęk, jakby nagle zabolą go głowa. * Czy rodzice o tym wiedzą?

* Nie * odparła Ruby i żeby zaczął się do niej w końcu lepiej odnosić, dodała: * Jeszcze nie.

* Jeszcze nie? Co ty, kurwa... * Spojrzała na niego ostrzegawczo. * Co masz na myśli mówiąc, jeszcze nie?

* Niektórzy starsi bracia są mili dla swoich młodszych sióstr.

* Na przykład, kto? Wymień choć jednego.

* Piotr.

* Piotr? Nie znamy nikogo o tym imieniu.

* W Opowieściach z Narnii * odrzekła Ruby.

Spojrzał na nią, tym razem nie podle, po prostu patrzył. * Czy ty masz jakichkolwiek przyjaciół? * zapytał.

* Wiesz, że tak. * Lecz nagle zaczęła się nad tym zastanawiać. W myślach wymieniła wszystkie osoby, które były na jej urodzinach, dodała jeszcze kilka, lecz niepokój pozostał.

* Nie będziesz miała żadnego, jeśli nie przestaniesz się tak zachowywać * ostrzegł Brandon.

* Tak, znaczy jak?

Nie odpowiedział, tylko pokręcił głową.

To doprowadziło ją do szału. Poczwała, jak ogarnia ją wielka fala wściekłości. Nie pamiętała, by kiedykolwiek czuła się tak wściekła.

* Próbuję ci tylko pomóc * powiedziała naprawdę głośno, zdając sobie sprawę, że Brandon stara się ją uciszyć, ale się nie dała. * Jeśli palisz crack, to jesteś głupkiem, bo po pierwsze, to ci zaszkodzi, a po drugie, sierżant D'Amario nie chce cracku w West Mili, a on jest dziesięć razy sprytniejszy niż ty i Dewey razem wzięci.

Rzucił się w jej stronę, żeby ją złapać albo jej przyłożyć, lecz odskoczyła. Wtedy zrobił coś, co wynagrodziło jej wiele. Spojrzał na swoją dłoń, wciąż podniesioną, i schował ją pod koldrę jak coś, czego należy się wstydzić.

* Dobra, dobra * mruknął. * Nie palę cracku. Tylko już nie krzycz.

* I jeszcze jedno * powiedziała, mówiąc odrobinę ciszej. * Założę się, że zgubiłeś wczoraj portfel.

* Co?

* Sierżant D'Amario znalazł portfel podobny do twojego. Miałeś w nim tymczasowe prawo jazdy, prawda?

* Cholera * zaklął Brandon. * Zrób coś dla mnie. Zejdź na dół i sprawdź, czy nie

mam go w kieszeni kurtki.

Ruby wyszła z pokoju Brandona. Mama, z twarzą i szyją oblepionymi tą zieloną odmładzającą papką, dostrzegła ją, jak stała na szczycie schodów. Uśmiechnęła się.

* Dobrze się bawicie z Brandonem? * spytała.

* Się wie * rzuciła Ruby, naśladując sierżanta D'Amario i nie dając po sobie niczego poznać.

* To miło.

Ruby skierowała się do przedsionka. Kurtka Brandona wisiała na wieszaku. Zdała sobie sprawę, że teraz miała już dwie zagadki do rozwiązania: Tajemnicę Szkolnej Kurtki i Tajemnicę Anonimowego Rozmówcy. Jej zadania zaczynały ją przerastać. Sięgnęła do najbliższej kieszeni i wyjęła z niej portfel Brandona. Fałszywy alarm. Następnie sięgnęła do drugiej kieszeni, bez konkretnego powodu. Jej dłoń natrafiła na małą fiolkę. Zostawiła ją tam, nie wyciągnęła nawet, by na nią zerknąć.

Tak wiele postaci, z którymi należało być wciąż na bieżąco: Julian nigdy nie zdawał sobie sprawy, jak olbrzymia odpowiedzialność spoczywa na barkach stwórcy. Miał za zadanie ogarnąć umysłem wszystkich tych ludzi, ich mocne i słabe strony, nadzieje i obawy, zwyczaje, pragnienia, nastroje. W roboczą niedzielę, jedząc przy biurku późne śniadanie * kawa, naturalny jogurt i tost z dżemem truskawkowym, wyśmienitym krwistoczerwonym dżemem z całymi owocami, importowanym z Francji * czuł szczerzy podziw dla mistrzów takich jak Tołstoj i Dickens, tak genialnie ujeżdżających stada niezliczonego mnóstwa postaci. Z drugiej strony, czy którykolwiek z nich stworzył nową formę? Poczł dreszcz emocji, on, stwórca W domu, złożonej opowieści, której akcja toczy się w pozornie dobrze wszystkim znanej scenerii, autor wciąż rozwijającego się dzieła.

Przez okno na piętrze wozowni Julian dostrzegł samochody nadjeżdżające długą drogą dojazdową. Zaparkowały przed dużym domem i wysiadły z nich jakieś kobiety. Ach tak, członkinie klubu J.P. Morganette. Obserwował, jak wchodzi do środka, niektóre poruszały się nawet tak, jakby we własnym mniemaniu reprezentowały grację i pewien styl. Lecz słowo stado pasowało do nich wręcz idealnie.

Julian zerknął na pustą stronę zatytułowaną Ruby i spróbował wrócić do pracy. Jego

koncentracja, sine qua non artysty, została zburzona. Nie z jego winy: te burżuazyjne widoki były bardzo rozpraszające. Nagle nie potrafił usiedzieć w miejscu, poczuł potrzebę działania, zrozumiał teraz, jak to nawet artysta mniejszej rangi, jak Hemingway, mijał się pomiędzy własną pracą a światem zewnętrznym. Ale jakiego działania? Przychodziła mu na myśl tylko jedna możliwość, którą wcześniej odrzucił jako dość niezręczną, a także zbyt ryzykowną. Teraz objawiła mu się sposobność przeobrażenia niezręczności w grację i zadzwonił do klubu tenisowego.

* Chciałbym sprawdzić, na którą zamówiono kort na nazwisko Gardner * powiedział. Szelest. * Na czwartą.

Dobra godzina na rozgrywkę. Do tej pory kac Scotta, jeśli go dopadł, będzie już tylko wspomnieniem.

Julian zatelefonował na Robin Road 37.

* Słucham * odezwał się Brandon.

* Cześć, Bran. Mówi Julian.

* O, cześć, Julian.

* Co słychać?

* W porządku.

Julian zaśmiał się. * Poznają po głosie, że miałaś ciężką noc.

* Coś w tym stylu.

* Nie martw się. Nikomu nie powiem. W słuchawce rozległ się śmiech Brandona.

* Czy tata jest może w domu? Chcę tylko sprawdzić godziny zajęć.

* Pojechał na tenisa. A mama chyba bierze kąpiel.

* A więc zadzwonię później. I, Brandon?

* Tak?

* Nic nie pomaga tak jak Krwawa Mary na to, co ci teraz dolega, ale ode mnie tego nie usłyszałeś.

Brandon ponownie parsknął śmiechem. Julian usłyszał cichutkie piknięcie na linii.

* Mam drugi telefon * powiedział Brandon.

rtuby? * zawołał Brandon. * Dzwoni babcia.

Ruby podniosła słuchawkę. * Cześć, babciu.

Usłyszała, jak po drugiej stronie babcia kaszle * typowy papierosowy kaszel.

* No cóż, mamy dzisiaj wyjątkowy dzień, prawda, kochanie?

* Tak? * zdziwiła się Ruby.

* No przecież dziś są twoje urodziny! * wykrzyknęła babcia. * Czy jest coś bardziej wyjątkowego niż urodziny? Dziesięć lat, mój Boże.

* Jedenaście * poprawiła ją Ruby. Nie zadała sobie nawet trudu, by sprostować datę * nie było sensu * ale nie pozwoliła, by traktowano ją jak dziecko.

* Ach, już jedenaście? * mruknęła babcia i ponownie zaczęła kaszleć.

Kiedy ktoś kicha, mówi się Na zdrowie, a co należałoby powiedzieć osobie, która kaszle? Robiłaś ostatnio prześwietlenie płuc? Coś w tym rodzaju?

Babcia przestała kaszleć. Nastąpiła chwila ciszy. Mogła zapytać: Jak jest w Arizonie?, a babcia odpowiedziałaby: Gorąco. Potem zapytałaby: Jak ci idzie gra w tenisa?, a odpowiedź babci brzmiałaby: Nie gram już w tenisa, kochanie. Teraz pozostał mi tylko golf. I to najwyżej dziewięć dołków pod koniec dnia, gdy na dworze robi się znośniej.

* Jak jest w Arizonie? * zapytała Ruby. W końcu to była jej babcia. Powinny o czymś porozmawiać.

* Gorąco.

* A jak idzie ci gra w tenisa?

Cisza. * Nie gram już w tenisa. Wszystko przez ten okropny reumatyzm. Chyba już o tym wspomniałam, gdy rozmawialiśmy na Gwiazdkę.

* Pozostał ci chociaż golf * wtrąciła Ruby.

* Niestety, już nie * odparła babcia. * Czy na prezent mogą być pieniądze? W sklepach kompletnie nic nie ma.

* Mogą być, oczywiście * odrzekła Ruby. * Dziękuję, babciu.

* Do widzenia, kochanie.

W sklepach kompletnie nic nie ma? A co to miało znaczyć?

* Jak jest w Arizonie? * zapytała Ruby. Brandon był tam kiedyś latem na obozie tenisowym.

* Gorąco * odparł Brandon.

To chyba dziedziczne. Wyszedł z pokoju z wysoką szklanką soku pomidorowego w dłoni, w której kostki lodu uderzały o siebie dźwięcznie.

JL miejsca przy stoliku tuż przy wielkiej szybie w barze na piętrze Julian miał dobry widok na rozgrywany mecz. Poszło dokładnie tak, jak przewidywał. Bracia podali sobie dłonie. Scott próbował opanować uśmiech cisnący mu się na usta, lecz bezskutecznie. Mówił coś, klepiąc brata po ramieniu, kręcąc głową z fałszywą skromnością, rozpromieniony. Tom dzielnie to znosił. Być może lata dominacji dla niego również były ciężarem. A w takim wypadku nie była to z jego strony żadna dominacja.

Julian zapragnął nagle truskawkowego dżemu. Udał się do baru, zamówił Krwawą Mary, zabrał ją do swojego stolika wraz z orzeszkami ziemnymi prażonymi w miodzie. Smak miodu odrobinę złagodził pragnienie dżemu, lecz tylko odrobinę. Zaczął sobie przypominać sposób, w jaki patrzył na niego swymi czarnymi oczami nietoperz w łazience Gail Bender, kiedy do baru weszli bracia. Jego myśli powędrowały do nagłówka Zadanie do wykonania na kartce zatytułowanej Scott. Przyjacielska dyskusja dotycząca strategii inwestowania, np. obrotu opcjami; dowiedzieć się więcej na temat rodzinnej firmy ubezpieczeniowej; czy Tom ma dzieci? W barze nie było zbyt wiele osób, więc Scott dostrzegł go od razu, zaskoczony, a następnie zachwycony, po chwili zerkając konspiracyjnie, a przynajmniej tak, jakby miał świadomość, że nagle może zajść potrzeba konspiracji: idealna reakcja, która miała uczynić tworzenie żywej powieści epickiej tak satysfakcjonującym. Julian pomachał do niego przyjacielsko.

Cześć, Julian * przywitał się Scott. Czuł, że z rozpierającej go radości mógłby skakać, było mu tak lekko, jakby unosił się w powietrzu. * A co ty tu robisz?

* Zajrzałem po drodze.

* Julian, poznaj mojego brata, Toma. Tom, to jest Julian. Uścisnęli sobie dłonie.

* Grasz w tenisa, Julian? * zapytał Tom.

Tom miał wyraz twarzy, jakiego Scott nigdy jeszcze u niego nie widział, był osłupiały. Poklepał go lekko po ramieniu. Mięśnie Toma były napięte do granic

wytrzymałości.

* Myślę, czy do tego nie wrócić * odrzekł Julian. * Sprawdzam miejscowe kluby.

Może zechcecie się tu do mnie przyłączyć?

* Dobry pomysł * rzekł Scott. * Napijesz się czegoś, Tom?

* Poproszę o wodę * odparł Tom.

Scott poszedł do baru. Zamówił butelkę wody i piwo z beczki.

* Ćwiartkę czy do pełna? * zapytał barman.

* Do pełna.

Zaniósł napoje do stolika.

* ...tylko jednego syna. Jest w przedostatniej klasie w Andover * mówił Tom.

* Rozmawiacie o Samie? * zainteresował się Scott. * Powinieneś zobaczyć, jak gra,

Julian * dodał, idąc za nagłym porywem wspaniałomyślności.

* Z miłą chęcią * odparł Julian. * Mój ojciec był tam kapitanem drużyny.

* W Andover? * zainteresował się Tom. * Kiedy to było?

* W epoce drewnianych rakiet * wyjaśnił Julian.

* Hej * zawołał Scott. * Jak to się stało, że wcześniej o tym nie wspomniałeś?

* Nie było okazji * odparł Julian. Spojrzał na Toma i zapytał: * Czy twój syn ma zamiar grać w college'u?

Tom skinął głową. * Akurat wczoraj dzwonił do nas trener z Harvardu.

* Naprawdę? * odezwał się Scott, zatrzymując szklanekę w połowie drogi do ust.

* Głównie po to, żeby psioczyć na Stanford * kontynuował Tom. * Nie miał najlepszego dnia. * Tom sączył wodę. * Też jesteś absolwentem, Julian?

* Nie, nie jestem.

W tym momencie należałoby wspomnieć o pomocy w nauce, jakiej Julian udzielał Brandonowi, lecz Scott za nic w świecie nie miał zamiaru tego robić.

Tom wstał. * Prawdę mówiąc, muszę go odwiedzić do szkoły * oznajmił. * Miło mi było cię poznać, Julian. Dzięki za grę, Scott.

I wyszedł. Woda w prawie pełnej butelce stojącej na stole zadrżała. Fala wspaniałomyślności cofnęła się, a przynajmniej przestała już tak porywać.

* Muszę się do czegoś przyznać * zwierzył się Julian. * Wcale tędy nie

przejeżdżałem. Zadzwoiłem do ciebie, do domu, żeby sprawdzić rozkład zajęć, i Brandon wspomniał, że grasz w tenisa. Nie mogłem się oprzeć.

* Tak? * Nagle poczuł się bardzo swobodnie, siedząc tak we dwójkę przy stoliku. * Doceniam to.

* Masz ochotę na orzeszka w miodzie? * zaproponował Julian, przesuwając miseczkę w jego stronę.

Nie było już wspaniałomyślności, lecz rdzeń jego szczęścia pozostał nietknięty. Scott zjadł kilka orzeszków, popił je sporym łykiem piwa i westchnął w sposób, który byłby czarnym gąszczem, gdyby westchnięcia były widzialne. Julian obserwował go z podniesionymi brwiami.

* Siedem do pięciu, sześć do dwóch * wypalił Scott. Wygrałem, wygrałem, wygrałem.

Julian posłał mu uśmiech, z którego biła czysta przyjemność. Scott doskonale to widział. Mam nowego przyjaciela * pomyślał i odezwał się: * Nie wiem, jak ci dziękować.

* Wiesz, wiesz * rzekł Julian. Zaśmiał się. Scott również. Przybili piątkę.

* Jeszcze jedną Krwawą Mary? * zaproponował Scott.

* Jest ku temu okazja.

Scott udał się do baru i przyniósł kolejne dwa drinki.

* Grałem dokładnie tak, jak mi poradziłeś, Julian. Całkiem jakbyśmy mieli napisany scenariusz.

* Miło mi * stwierdził Julian. * Ale wierzę, że sam byś w końcu do tego doszedł. To była myśl. Scott ją rozważył. Julian przypuszczalnie miał rację.

* Mimo wszystko ** odparł * zaoszczędziłeś mi sporo czasu. Spojrzenie Juliana zmieniło się odrobinę, tak jak zmieniają się przepływające chmury i kolor oceanu.

* Cieszę się, że mogłem ci pomóc * powiedział.

* Dzięki * rzekł Scott. Zaczął kolejnego drinka. * O, rany. Czuję się świetnie.

* Twój brat dzielnie to przyjął.

* On ma własny kod zachowań.

* Chyba tak jak każdy?

* Och, jasne * odparł Scott. * Chodziło mi o to, że jest dżentelmenem według starej szkoły.

* W jakim sensie?

* Dobre pytanie. * Scott postawił piwo na stoliku i pochylił się lekko do przodu. * Oto przykład. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o opcjach? O giełdzie?

* Słabo * stwierdził Julian.

* To musi być dla ciebie dość nudne, skoro nie jesteś typem biznesmena. Twój ojciec naprawdę chodził do Andover?

Julian zrobił się blady. Co to miało znaczyć? * Nie rozumiem pytania * powiedział.

* Zdziwiłem się, to wszystko.

* Wydaje ci się, że zmyśliłbym coś takiego? Żeby zaimponować twojemu bratu?

* Nie, nie * bronił się Scott, nagle zdając sobie sprawę, że Julian również należał do starej szkoły, miał swój własny, honorowy kod zachowań. * Nie chciałem cię obrazić, Julian. Przepraszam.

Julian przyglądał się mu przez chwilę. * Nic się nie stało * rzekł przez zaciśnięte zęby. * Może trudno w to uwierzyć, skoro jestem pospolitym nauczycielem.

* Hej * zawołał Scott. * Nie mów tak. Nigdy nie nazwałbym cię pospolitym.

* To miło z twojej strony, Scott. Wspominałeś coś o opcjach.

* Właściwie bardziej chodzi o sprzedaż bez pokrycia. * Scott wziął kolejnego łyka.

Piwo i tenis * wygrana w tenisa * bardzo do siebie pasowały. * Poznałeś już przyjaciółkę Ruby, Kylę?

* Nie.

* Jej ojciec jest maklerem. Jest może trochę obleśny, lecz nie zmienia to faktu, że czasami ma cenne informacje. Tom nie potrafiłby zrobić interesu z nikim, kogo nie mógłby zaprosić na obiad. Ja taki nie jestem.

* Oczywiście.

* Żyjemy w nowym świecie.

* Otóż to. Jak nazywa się ten makler?

* Mickey Gudukas.

* Przypuszczam, że Toma odstręczyło już samo nazwisko * stwierdził Julian.

* Masz rację * powiedział, śmiejąc się Scott. Opowiedział Julianowi o Symptomacie
* o dobrej radzie Gudukasa, o wymogach finansowych, odmowie Toma, masowej
śmierci szympansów, boxsterze.

* Teraz rozumiem * rzekł Julian. * To, co mówiłeś o kupowaniu boxstera za drobne.
Ciekawie to ująłeś.

* Dzięki * odparł Scott.

* Jedyne, czego nie rozumiem * oczywiście to nie moja sprawa...

* Mów dalej.

* ...to, dlaczego nie włożyłeś w to innego kapitału?

* Inny kapitał nie istnieje. Nie w kwocie, jakiej potrzebowałem. Nie mógłbym w tym
celu ruszyć funduszy emerytalnych, a jeśli chodzi o dom...

* Nie jest tyle wart? * Julian włożył do ust orzeszka w miodzie.

* Jest tyle wart * sprostował Scott * nawet z obciążoną hipoteką. Julian przestał
przeżuwać i wyglądał na zdziwionego. Ach, do cholery

* pomyślał Scott * przecież to nie jest tajemnica państwowa. * Chodzi o to, że dom
należy w połowie do mnie i do Lindy.

* A to wyklucza pozytywne załatwienie sprawy?

* W sensie formalnym, nie. Chodzi o to, że Linda nigdy by się z tym nie pogodziła.

* Ach, tak.

19

Kiedy Ruby zeszła na dół w poniedziałek rano, mamy i taty nie było już w domu.
Brandon siedział przy stole, zajadając się chrupiącymi płatkami śniadaniowymi z
mango i migdałami. Na włosy nałożył żel i wyglądał jak jakiś przystojniak z katalogu
z ubraniami dla facetów. Może ukrywał gdzieś dziewczynę?

* Cześć, Bran.

* Cześć.

* Zostało trochę dla mnie?

* Zjadłem do końca.

Ruby wyjęła z lodówki bajgla, przekroiła go na pół i włożyła połówki do tosterka. *

Zrobię gorącą czekoladę * zaproponowała.

* No i?

* Chcesz też?

* No. * Siorb, siorb, chrup, chrup. * Dzięki.

Ruby zrobiła gorącą czekoladę w garnuszku, zamiast wody używając mleka, w dodatku pełnego. Robienie gorącej czekolady oznaczało pójście na całość. Przyniosła dwa parujące kubki i postawiła je na stole, siadając naprzeciwko Brandona. Pili czekoladę małymi łyżkami.

* Dobra, co? * zapytała Ruby.

* No.

Posmarowała połówki bajgla kremowym serkiem, hojnie, jak w restauracji, gdzie klient zawsze ma rację.

* Ile masz kurtek, Brandon?

Wykrzywił się z niesmakiem. Szkoda, że to zrobił. Winston, najgłupszy dzieciak w autobusie i zjadacz baboli, robił tak samo, a przecież Brandon nie był głupi.

* O co ci chodzi?

* O twoją kurtkę reprezentacji West Mili, Bran * ile ich masz?

* Jedną. Co ci dolega? Nikt nie ma więcej. Przyszywasz tylko odznaki oznaczające poszczególne dyscypliny sportu, które uprawiasz, i co roku dodajesz jedną belkę.

* Na którym miejscu będziesz w tym roku?

* Nie wiem.

* Na pierwszym?

* A co ci do tego?

Zjadła kolejną porcję bajgla i sączyła czekoladę. Miska Brandona z płatkami z mango i migdałami była olbrzymia. Z pewnością wsypał do niej połowę pudełka.

* Masz jakąś teorię, co mogło się stać z twoją kurtką, Bran?

* A co to, cholera, za pytanie?

O, kurczę, czy przypomniał sobie fiolkę w kieszeni? * Pamiętasz ten wieczór, kiedy przyszedłeś do domu późno i Julian musiał na ciebie czekać? Powiedziałeś mamie, że

zostawiłeś kurtkę w szkole, ale ona wisiała na wieszaku.

* I co z tego?

* Więc co mogło się stać?

* Jak to, co mogło się stać? Zapomniałem, gdzie ją zostawiłem. Ty nigdy o niczym nie zapominasz, panno wścibska?

Posłała mu przeszywające na wskroś spojrzenie, które mówiło: Gadaj tak dalej, koleś, a ta fiolka z crackiem znajdzie się w głównych wiadomościach.

* A to głupie spojrzenie co niby ma znaczyć? * Wciąż tak na niego patrzyła, przyszpilając go do krzesła. * No dobra, nie jesteś panną wścibską.

* Przeprosiny przyjęte * rzekła Ruby, choć wydawało się jej, że znów mruknął coś pod nosem o pannie wścibskiej. Ugryzła kolejny kawałek bajgla * chrupkość pieczywa i kremowa śmietankowość serka, niczym idealne małżeństwo. * Problem w tym, że gdy wróciłam tego dnia do domu, nie było jej tam.

* Czego nie było?

* Twojej kurtki. Na wieszaku. Zawsze sprawdzam, kto jest w domu.

* Musiałaś się pomylić.

* Nie * odparła Ruby. * Pamiętam dobrze.

* Pamiętasz, w porządku. Do czego zmierzasz?

* Zmierzam do tego, że jedno zdarzenie pociąga za sobą cały łańcuch innych.

* O czym ty mówisz?

* Kiedy wcześniej miałaś na sobie tę kurtkę ostatni raz? Muszę się tego dowiedzieć.

* Ale po co, do diabła? * Nie powiedział tego ze złością, a jego oczy powędrowały w bok, tak jakby myślał albo starał się sobie coś przypomnieć: nareszcie jakaś czynność umysłowa, dzięki Bogu.

* Już ci powiedziałam, jedno zdarzenie...

Nagle otworzyły się boczne drzwi, te prowadzące do garażu, i wszedł przez nie Dewey. On również miał na włosach żel.

* Cześć * rzucił.

* Cześć * odpowiedział Brandon.

* Gotowy? * zapytał Dewey.

* Jasne * odparł Brandon, pochłaniając resztę płatków z mango i migdałami.

* Cześć, Dewey * zagadnęła Ruby.

* Cześć, Ruby, co słychać?

* W porządku. Chcesz kawałek bajgla?

* Dzięki. * Wziął połowę.

Teoria Darwina była tak oczywista. Mężczyźni prawie nie ewoluowali i wciąż bliżej im było do małp, mimo że niektórzy * choć nie wszyscy, co było szokująco widoczne na plaży * stracili swoje futra.

Brandon złapał książki i obaj skierowali w się w stronę drzwi.

* Spróbuj sobie przypomnieć, Bran * zawołała za nim Ruby.

* Co masz sobie przypomnieć? * zainteresował się Dewey.

* Nie zwracaj na nią uwagi * mruknął Brandon.

* Kurtkę * zawołała Ruby, tym razem o wiele głośniej. W odpowiedzi usłyszała trzaśnięcie drzwiami.

Ruby zjadła to, co zostało z bajgla, i zaczęła zaplatać sobie włosy * w schludny warkoczyk nazywany Małą Scarlett. W tym momencie czekała ją nie lada niespodzianka. Przydreptał do niej Zippy spragniony głaskania. Nigdy tego nie robił, nie należał do okazujących przywiązanie psów, które posiadali inni ludzie, był bardziej psem żyjącym według własnych reguł.

* Zippy, słoneczko * powiedziała do niego czule, pochylając się, by mocno go ucałować. Zrewanżował się podobnym całusem, jeśli można nim nazwać przejechanie po twarzy mokrym i chropowatym jęzorem. Ruby była przekonana, że to właśnie był pocałunek. * Kocham cię, Zippy * dodała. Pomerdał do niej ogonem. * Wiem, że ty też mnie kochasz.

Gdy tylko odwróciła się do niego plecami, wsadził nos do słoiczka z kremowym serkiem. Nie oznaczało to oczywiście, że jej nie kocha. Każdy musiał jeść. Na tę myśl omal nie padła: każdy musiał jeść, a Aztekowie jadalili ludzi. Zupełnie zapomniała o zadaniu domowym z historii * wypracowaniu na temat Corteza.

Dlaczego Hiszpanie tak źle traktowali Azteków? Taki był temat wypracowania.

Musiała zapisać pół strony, a pani Freleng miała bzika na tym punkcie. Ruby zaczęła

pisać dużymi, grubymi literami: Hiszpanie, którzy czasami nazywani byli Konkwistadorami, co w ich ojczystym języku oznaczało „zdobywców”, długo żeglowali po bezkresnym Oceanie Atlantyckim z Hiszpanii do Nowego Świata, który był nowy dla nich, ale nie dla Azteków żyjących tam od jakiegoś czasu i uprawiających sztukę składania ofiar z ludzi, w spokoju i ciszy. Cały ten spokój i cisza odeszły w zapomnienie, gdy Hiszpanie, którzy przyплыли na swoich statkach, bo motorówki jeszcze wtedy nie istniały... i wkrótce pół strony zostało zapisane. Było też pytanie dodatkowe: Kim był Montezuma? Ruby napisała: To był wódz Azteków. Koniec zadania domowego.

Zerknęła na zegar i nagle poczuła, jak ogarnia ją panika. Za dwie minuty przyjeżdża autobus, a pan V nigdy się nie spóźnia, nigdy też nie jest za wcześnie. Zawsze mawiał, że za Mussoliniego pociągi jeździły punktualnie, cokolwiek to znaczyło. Prawie że czuła, jak pojazd toczy się po Robin Road, brum, brum. Ruby wrzuciła wszystko jak leci do plecaka i otworzyła drzwi frontowe na oścież; i zaraz je zamknęła. Ulicą w stronę jej domu powoli zbliżał się wóz policyjny. Za kierownicą siedział sierżant D'Amario, spoglądając w jej kierunku. Czy ją rozpoznał? Jeśli tak, gra była skończona. Przypuszczalnie aresztuje ją pod zarzutem udzielania fałszywych informacji policjantowi na służbie * za to machanie w przeciwnym kierunku, gdy pytał ją, gdzie mieszka. Stała nieruchomo w korytarzu, wstrzymując oddech, czekając na pukanie do drzwi.

Nikt jednak nie zapukał. Po chwili, stąpając na palcach, skierowała się do wyjścia, by zerknąć przez wizjer. Droga wolna. Odetchnęła z ulgą, otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Szkolny autobus właśnie zniknął za rogiem. Plecak sam zsunął się jej z ramienia.

Spóźniła się na autobus: coś nowego. I co teraz? Mogła iść do szkoły pieszo, co zajęłoby wieki, skoro Szkoła Podstawowa West Mili była oddalona o parę kilometrów, no, przynajmniej o dwa i pół. A może i trzy, nie pamiętała, czy tata mówił o jej szkole, czy o Brandona. I tak dojście zajęłoby jej wieki, obojętnie, jaka była dokładna odległość. Ale mogła pojechać rowerem. Było wprawdzie zbyt zimno na jazdę rowerem i nigdy przedtem nie jeździła w zimie, ale Julian tak robił, więc nie

było to niemożliwe.

Ruby weszła do garażu. Jej rower * niebieski, z żółtymi wstążkami przywiązanymi do kierownicy * wisiał na haku pod sufitem, w miejscu, gdzie tata umieszczał go na zimę. Ruby przyciągnęła tam drabinę, weszła na górny stopień * nie na sam koniec, gdzie widniał napis „Uwaga, nie wchodzić” * z którego była w stanie sięgnąć do połowy ramy roweru. Nie miała innego wyjścia, jak wspiąć się na sam szczyt, powoli i ostrożnie. Teraz sięgała już do kierownicy. Raz, dwa, trzy, do góry. Rower znalazł się w jej rękach, lecz był bardzo ciężki i nagle drabina znikła, a ona znalazła się w powietrzu, jakby wykonywała jakąś niesamowitą sztuczkę rowerową na kanale sportów ekstremalnych. Potem rozległ się łoskot, porażający hałas, jakby jakiś wariat zaczął grać na talerzach, a Ruby potoczyła się po betonowej podłodze i zatrzymała, cała i zdrowa. Wstała * podskoczyła wręcz * niezwykła. Założyła plecak, wsiadła na rower i odjechała, powracając po minucie lub dwóch, aby zamknąć bramę garażu i wyruszyć ponownie. Zippy, zamknięty w domu, szczekał jak szalony. Niezwykła * no, całkiem nieźle.

Pedałowała po Robin Road, podążając tam, gdzie pojechał szkolny autobus, po czym skręciła w lewo w Indian Ridge. Wcale nie było tak zimno. Było całkiem fajnie; fajnie, tylko że zapomniała kasku. O, rany. To była ważna zasada, taka jak ta dotycząca nierozmawiania z nieznanymi. Za późno, by zawrócić, lecz cokolwiek by się nie stało, nie będzie rozmawiała z żadnym nieznanym, którego spotka po drodze do szkoły, nawet na niego nie spojrzy, by zadośćuczynić za pozostawiony w domu kask.

Z Indian Ridge skręciła w Poplar Drive. Poplar Drive, jak się okazało, prowadziło cały czas w dół. To dziwne, że wcześniej tego nie zauważyła. Jechała nie pedałując, nawet nie dotykając pedałów, aż do momentu, gdy droga wyrównała się w pobliżu budynku straży pożarnej. To było wspaniałe. Dlaczego nigdy wcześniej nie jeździła rowerem do szkoły? Autobus należał już do przeszłości.

Ale: straż pożarna? Czy budynek straży pożarnej zawsze znajdował się przy drodze do szkoły? Oczywiście przejeżdżała koło straży pożarnej wiele razy, ale czy autobusem? Nie. Na pewno niczego takiego nie pamiętała. Może źle skręciła? Jednak

przecież nie skręcała w ogóle, wciąż jechała Poplar Drive, czyż nie? Ruby dotarła do kolejnego skrzyżowania i sprawdziła nazwę ulicy: Central Avenue. A ta druga to Main. Co się działo? Ruby miała silne przeczucie, że szkoła jest gdzieś w pobliżu. Skręciła w prawo w Main, pedałując szybciej, by nadrobić stracony czas. Uf, puf, uf, puf, pedał, pedał, potem łubudu*bu. Łubudu*bu * przejechała po torach kolejowych, nawet nie zauważyła, że się do nich zbliża. W pobliżu Szkoły Podstawowej West Mili nie było torów kolejowych, była tego prawie pewna. Poczowała, jak zaczyna jej drzeć dolna warga.

Hej! Tylko nie to. Masz jedenaście lat i przecież się nie zgubiłaś * jesteś w swoim rodzinnym mieście, na miłość boską, tu się urodziłaś i wychowałaś, jesteś niczym rdzenny tropiciel. Na przykład, tutaj stoi stacja benzynowa Shella, na której według taty sprzedają najdroższą benzynę w West Mili. A z boku niej, tuż obok biura, mają automat telefoniczny. Czy zna numer do taty pracy? Nie. A do mamy? Nie. Są zapisane na tablicy w kuchni z nowymi numerami kierunkowymi, ale nie zna ich na pamięć. Ruby podjechała do stacji, zsiadła z roweru i oparła go o szybę biura.

Wtedy to do niej dotarło: automat telefoniczny! Patrzyła na automat, przez który sobotniej nocy anonimowy rozmówca sypnął Brandona i jego przyjaciół. Sprawa numer dwa: Tajemnica Anonimowego Rozmówcy.

Ruby weszła do środka. Było tam ciepło i miło. Facet w kombinezonie Shella z imieniem Manny na przedniej kieszonce stał przy kasie i liczył pieniądze. Miał wielkie i brudne palce o zadziwiająco długich, czarnych od smarów paznokciach. Ruby pomyślała, że sama raczej obcinałaby paznokcie krótko, jeśli pracowałaby przy samochodach.

Spojrzał na nią. * W czym mogę pomóc?

Już miała powiedzieć: Chciałabym się dowiedzieć, jak dojechać do Szkoły Podstawowej West Mili. Ale zamiast tego zapytała:

* O której zamykacie w sobotę wieczorem? Manny zamrugał. * Co proszę?

Ruby powtórzyła pytanie.

* Przeprowadzasz jakąś ankietę? * zainteresował się Manny. Dobry pomysł, dzięki Manny. * Tak. Mam zadanie domowe o stacjach

benzynowych.

O, rany. Jak teraz zapyta o drogę do szkoły, skoro zapędziła się w kozi róg?

* W soboty zamykamy o dziewiątej * odpowiedział Manny. * Z wyjątkiem wakacji.

Mam podać godziny otwarcia w wakacje?

* Nie trzeba, dziękuję * odparła Ruby. * A więc powiedzmy, że ktoś podjeżdża tu i korzysta z automatu telefonicznego około północy, nie widziałby go pan?

* Oczywiście, że nie * zdziwił się Manny. * Nie byłoby mnie tutaj. Na drodze pojawił się kolejny rowerzysta. Skręcił na stację i zatrzymał się przy kompresorze, z dała od dystrybutorów paliwa. Znikąd przyszła jej do głowy fenomenalna myśl. * Macie tu chyba kamery?

Manny spojrzał na nią podejrzliwie. * A co cię to obchodzi?

* Muszę o to zapytać. Mój nauczyciel jest bardzo wymagający. Manny wskazał wielkim, czarnym paznokciem na kamerę na ścianie. Niesamowite, moja droga przyjaciółko. Ruby nie miała Watsona, który by tak do niej powiedział, więc musiała zrobić to sama.

* A na koniec, żebym mogła wszystko ze sobą posklejać * odezwała się Ruby słowami, które nawet dla niej nie miały sensu * czy kamera filmuje automat telefoniczny?

* Nie * odrzekł Manny. * Automat nie jest własnością stacji.

* Ach, tak * westchnęła Ruby.

Podziękowała Manny'emu i wyszła na zewnątrz, zatrzymując się przy telefonie.

Zaczęła odczytywać instrukcje dotyczące wykonywania różnego rodzaju połączeń, przede wszystkim dlatego, że nie potrafiła powstrzymać się od czytania, gdy tylko napotykała słowo pisane. Na samym dole znajdowały się numery alarmowe.

Policja * 911. Ruby nigdy wcześniej nie wybierała numeru 911, lecz anonimowy rozmówca oczywiście to właśnie zrobił. Wziął do ręki słuchawkę, o tak, nacisnął trzy małe cyferki i...

* Dziewięćset jedenaście, rozmowa nagrywana * odezwał się po drugiej stronie słuchawki mężczyzna o twardym, zdecydowanym głosie, mówiąc bardzo szybko. * W czym mogę pomóc?

Ruby z trzaskiem odwiesiła słuchawkę, tak jakby ta miała ją ugryźć. Manny obserwował ją przez okno. Pomachała mu niewinnie, wsiadając na rower, lecz prawdopodobnie nie była zbyt przekonująca. Myślami była już gdzie indziej. Rozmowa nagrywana * to oznaczało jedno: głos anonimowego rozmówcy został nagrany na taśmie, która znajdowała się na posterunku policji. Rozwiązanie podobne do tego z kamerą, lecz odrobinę bardziej skomplikowane. Jedyne, co musiała teraz zrobić, myślała Ruby, przejeżdżając przez stację benzynową, to przesłuchać taśmę, a następnie odwiedzić wszystkich sąsiadów i porozmawiać z każdym, aż nie usłyszałaby tego samego...

* Ruby?

Odwróciła się. Drugi rowerzysta, ten przy kompresorze, wymówił jej imię. Niespodzianka: stał przed nią Julian.

* Julian!

Była naprawdę szczęśliwa, że go spotkała. Przede wszystkim wciąż nie potrafiła odnaleźć drogi do szkoły, nie zgubiła się oczywiście, po prostu potrzebowała pomocnej dłoni. A Julian zawsze taką oferował.

eJulian spojrzał na nią. * Nie jesteś w szkole? * zdziwił się. * Czegoś tu nie rozumiem.

* Właśnie tam jadę * wytłumaczyła Ruby.

Julian zerknął na zegarek. * Piętnaście po dziesiątej?

* Piętnaście po dziesiątej? * Jak to się stało?

* Poza tym wydawało mi się, że twoja szkoła jest na River Drive * stwierdził Julian.

* Stacja benzynowa jest dokładnie w przeciwnym kierunku od twojego domu.

* Może trochę nadłożyłam drogi * rzekła Ruby * ale właśnie nad czymś pracuję.

* Ach, tak?

* Nad pewną sprawą.

* To ciekawe.

* Nad Tajemnicą Anonimowego Rozmówcy.

* Brzmi nieźle.

* Dzięki. * Była bardzo zadowolona. * Ale to nie jest na niby, Julian. To prawdziwa

sprawa.

* Ma się rozumieć * odparł Julian.

Ruby zaśmiała się. * Chodzi o las, Brandona, Deweya i sierżanta D'Amario, i...

Julian podniósł rękę. * Hej, wolnego * powiedział. * Kilka przecznic stąd jest kawiarenka Starbucks. Możesz mi tam opowiedzieć całą historię przy filiżance gorącej czekolady.

* Już dzisiaj piłam gorącą czekoladę.

* Jeszcze jedna filiżanka cię nie zabije * stwierdził Julian. * Potem odwiozę cię do szkoły.

Perspektywa kolejnej filiżanki gorącej czekolady tak naprawdę była wspaniała, lecz Ruby nie chciała wykorzystywać Juliana. Przypuszczalnie nie miał zbyt wielu pieniędzy, był w końcu dorosłym facetem, a nie miał nawet samochodu. Uznała, że będzie ucziwie, jak go uprzedzi.

* Nie mam przy sobie pieniędzy.

* Ja stawiam * odparł Julian.

20

Ruby od razu zdała sobie sprawę z jednej rzeczy: gorąca czekolada jej roboty była lepsza niż w Starbucks. Być może pewnego dnia zrobi im konkurencję: Czekoladowy Raj Ruby. Jak kraj długi i szeroki.

* Biscotti? * zaproponował Julian.

* Dzięki * odparła Ruby, wybierając tego w polewie czekoladowej. * Dlaczego wszystko jest tu po włosku?

* Żeby usprawiedliwić ceny * skwitował Julian.

Ruby zaśmiała się. Julian był bardzo zabawny. Rozważała zanurzenie biscotti w gorącej czekoladzie, ale nie wiedziała, czy to nie będzie niegrzeczne.

* Zanurz go, jeśli chcesz * zaproponował Julian. * Nikomu nie powiem.

Bardzo zabawny i niesamowity. Ruby zanurzyła czekoladowego biscotti w gorącej czekoladzie. Hmm, rozkosz.

* Byłeś kiedyś we Włoszech, Julian?

* Questo e l'inizio della fine.

* Jak to pięknie brzmi * zachwyciła się Ruby. * Co to znaczy?

* „Gdzie można zrobić tanie zakupy” * wyjaśnił Julian. * Ale to wolne tłumaczenie.

* Które słowo oznacza zakupy?

* Fine.

* Mógłbyś przeliterować?

* Któregoś dnia pouczymy się trochę włoskiego * rzekł Julian. * A teraz bardziej interesuje mnie Tajemnica Anonimowego Rozmówcy.

Julian zatarł ręce niczym niecierpliwy widz, który nie może się doczekać, kiedy rozpocznie się sztuka.

* Rzecz w tym, Julian, że to musi być tak jak w tym wypadku z dymem.

* Musi pozostać między nami?

* Tak.

Wyciągnął rękę. Ruby ją uścisnęła. Dłoń Juliana była gorąca, tak jakby miał temperaturę, choć wyglądał na zdrowego. Nic dziwnego, że jazda na rowerze zimą mu nie przeszkadzała.

* Zgoda * rzekł.

* Zgoda * powtórzyła Ruby. * Zgadnij, co wydarzyło się w sobotę w nocy?

* Zippy zjadł resztę tortu?

Ruby zaśmiała się. * Nie, nie zjadł. Widocznie zrobił sobie tego dnia przerwę. Chodzi o Brandona. Znasz las?

* To najładniejsza część miasta.

* Oni robią tam imprezy, imprezy alkoholowe. Brandon został aresztowany. Tata musiał go wyciągać z ciupy.

* O, kurczę * westchnął Julian. * Mam nadzieję, że go nie oskarżyli?

* Nie. Ale sierżant D'Amario przeprowadza dochodzenie.

* Dochodzenie? W sprawie nastolatków pijących w lesie alkohol?

* Chodzi nie tylko o to. Ale przede wszystkim sierżant D'Amario powiedział mi o anonimowym telefonie. Ktoś sypnął Brandona i jego przyjaciół.

* Z pewnością ten wielbiciel psów, który mieszka obok was.

* Stromboli. Też tak myślałam. Ale jest czysty.

* Skąd wiesz?

* Przeprowadziłam małe śledztwo na własną rękę.

* Czyli powiedział ci o tym sierżant D'Amario?

* To gliniarz, Julian. Z niego nic się nie wyciągnie.

Julian zamieszał swoją czekoladę. * A jak to się stało, że w ogóle z nim rozmawiałaś?

* Poszłam na spacer do lasu z Zippym. Sierżant D'Amario szukał tam dowodów.

* Dowodów czego?

Ruby wzruszyła ramionami. Nie miała zamiaru okłamywać Juliana, ale po co wyciągać na światło dzienne całą tę historię z crackiem, zwłaszcza że nie ma to nic wspólnego z tajemnicą tego anonimowego rozmówcy, która dotyczyła hałasu, a nie narkotyków.

* Chodzi o to, że znam już sposób, by rozwiązać tę zagadkę.

* Naprawdę?

Ruby pochyliła się nad stołem. * Posłuchaj * zaczęła. Świetnie jej się rozmawiało z Julianem. Od razu wszystko rozumiał. * Te anonimowe rozmowy oni tam nagrywają na posterunku. * Czekala na jego reakcję, patrząc triumfalnie.

Lecz żadna reakcja nie nastąpiła. Julian mieszał tylko czekoladę jedną z tych małych łyżeczek. * Obawiam się, że nie rozumiem * powiedział, wpatrując się w czekoladowy wir, który utworzył się na powierzchni, kręcąc się coraz szybciej i szybciej, grożąc zatopieniem wyspie z bitej śmietany.

Ruby wprowadziła małą poprawkę: prawie wszystko od razu rozumiał.

* Nie rozumiesz? * zdziwiła się. * Głos anonimowego rozmówcy jest na taśmie.

Wszystko, co teraz należy zrobić, to przejść się po sąsiadach i porozmawiać z nimi, aż spotkam tę osobę, do której należy głos. * Żadnej reakcji. Czego jeszcze nie rozumiał? * Nie muszę wspominać o telefonie, imprezie ani niczym takim. Powiem na przykład: „Dzień dobry, pańska trawa wygląda w tym roku niezwykle pięknie, panie sąsiedzie”, a on odpowie: „Ach, dziękuję, młoda damo” i bumtara.

* Bumtara?

* Mam go.

* Rozumiem * odparł Julian. * Ale co potem?

* Co potem? Tajemnica wyjaśniona. Sprawa zamknięta. Może wrzucimy mu śmierdzącą bombę przez komin albo zrobimy coś równie szczeniackiego.

* A więc Brandon też bierze w tym udział?

* W moim śledztwie? Nie, on nie będzie mi potrzebny aż do momentu bombardowania.

* Ale najpierw trzeba przesłuchać taśmę.

* Jasne.

* Myślisz, że sierżant D'Amario ci na to pozwoli, biorąc pod uwagę, że jesteś siostrą Brandona?

* On nie wie, że jestem siostrą Brandona.

Julian kupił wraz z czekoladą mały słoiczek dżemu truskawkowego. Otworzył go, zanurzył w nim biscotti i odgryzł czerwony koniec. Chrup.

* Tak mi się przynajmniej zdaje * dodała Ruby, przypominając sobie, dlaczego w ogóle spóźniła się na autobus.

* Nie zapytał cię o nazwisko wtedy, w lesie? * zainteresował się Julian.

* W pewnym sensie * odparła Ruby. * Ale potem coś innego odwróciło jego uwagę.

* A więc nie rozmawiałaś jeszcze na ten temat z sierżantem D'Amario?

* Nie.

* Nawet żartem?

* Jakim żartem?

* Takim bez związku, typowym non sequitur.

* Nie wiem, co to znaczy, Julian.

Ponownie zanurzył biscotti w dżemie, tym razem trochę zbyt mocno, bo złamał go na pół, a jedna z połówek upadła na podłogę. Drugą położył na stole.

* To nic nie znaczy * rzekł Julian. * Ciekaw jestem tylko, czy jest jakiś powód, by podejrzewać, że sierżant D'Amario domyśla się, co planujesz?

* Nie.

* Rozmawiałaś o tym z kimś jeszcze?

* Po co? Sądzisz, że ktoś inny mógłby mu donieść, co mam zamiar zrobić?

* Z tajemnicami nigdy nic nie wiadomo * stwierdził Julian.

* A więc jesteśmy bezpieczni * odparła Ruby. * Powiedziałam tylko tobie.

Julian uśmiechnął się i oparł na krześle. * Miałaś niezwykły pomysł * rzekł. Napił się czekolady. * Jesteś bardzo sprytna.

* Dziękuję. * Była bardzo zadowolona.

* Jeszcze jednego biscotti?

* Dziękuję.

* Więc jak to sobie wyobrażasz?

* Masz na myśli to, w jaki sposób przesłucham taśmę?

Julian skinął głową. Zauważyła odrobinę bitej śmietany, która utkwiała na jego kocznej bródce. Przez chwilę, gdy podniósł biscotti do ust, Ruby poczuła dziwny skurcz żołądka podobny do tego, jaki czuła, gdy była małą dziewczynką i jadła kanapkę z szynką, słuchając historii o żabie. Teraz była starsza. Potrafiła zapanować nad tym uczuciem, choć jej entuzjazm dla biscotti chwilowo ostygł, gdy w myśli połączyła ciastko z zarostem.

* Nie można tam tak po prostu wejść i poprosić o taśmy, co? * zapytała.

Julian uśmiechnął się. * Co by się wówczas stało z anonimowymi rozmówcami?

* Przestaliby dzwonić.

* A co stałoby się z sierżantem D'Amario?

* Straciłby pracę.

Julian skinął głową, nagle zdając sobie sprawę z problemu z bitą śmietaną. Wytarł podbródek, zaskakująco nerwowo, pomyślała Ruby. Wyobraziła go sobie jako staruszkę, grymaśnego, lecz dobrotliwego.

* A więc jaki masz plan? * zapytał.

* Nie wiem * stwierdziła Ruby. Zdała sobie sprawę z ważnej rzeczy dotyczącej Juliana, z rzeczy, która bardzo przypadła jej do gustu: rozmawiał z nią jak z dorosłą.

* Ty masz jakieś pomysły?

Julian wyjął z kieszeni notes, bardzo ładny, oprawiony w skórę, z wiecznym piórem, również ładnym. Otworzył na pierwszej stronie, gdzie zapisano kilka ciekawie

wyglądających linijek, lecz przewrócił kartkę i na kolejnej stronie napisał Pomysły. Ruby przysunęła krzesło bliżej, by lepiej widzieć.

Punkt pierwszy * napisał. Strona techniczna.

* Co to znaczy?

* Te nagrania muszą być gdzieś zapisywane cyfrowo. Na taśmach, płytach, twardych dyskach, do których mogliby się dostać hakerzy. Znasz jakiegoś? * Julian zapisał: Haker?

* Nie, chyba, że ty nim jesteś.

Pokręcił głową. * Hakerzy lubią uproszczenia.

* Czyli?

* W większości to ograniczone umysły, jak wszyscy entuzjaści technologii.

Ruby nie miała o tym pojęcia. Będzie się musiała nad tym zastanowić. Wiedziała natomiast, że Julian jest świetnym nauczycielem. Pani Freleng nigdy nie mówiła o takich rzeczach. Ale to nie wszystko. Ruby miała wrażenie, jakby Julian nauczał przez cały czas. Pani Freleng wyjeżdżała z parkingu już o 15:01 jak wystrzelona z procy. W następnej linijce napisał: Punkt drugi.

* Jaki jest punkt drugi?

* Teraz twoja kolej * zaproponował Julian.

Wspaniale: dobry nauczyciel dawał okazję do myślenia. Ruby łamała sobie głowę.

Podobało się jej to sformułowanie. Łamanie było pewnym rodzajem tortury, prawda?

Czy w filmie Mela Brooksa Historia świata: część pierwsza nie łamano Żydów kołem? Istniało też wyrażenie „mózg mi się lasuje”. Niezłe. A więc łamała sobie głowę i mózg jej się lasował. Wszystko na nic.

* Nic mi nie przychodzi do głowy * wyznała.

* Mnie także * zwierzył się Julian. * Może to wszystko nie jest warte zachodu?

* Słucham? * zdziwiła się Ruby. * Chcesz przez to powiedzieć, że mamy się poddać?

Nie zależy ci na rozwikłaniu zagadki? Poza tym, ktokolwiek wykonał ten telefon, przysporzył wielu kłopotów Brandonowi.

* Nie rozumiem. Przecież dostał tylko ostrzeżenie.

* To jest trochę bardziej skomplikowane * powiedziała Ruby.

* W jakim sensie?

Przy stoliku pojawił się kelner. * Czy to pański rower stoi na zewnątrz? Mógłby go pan przestawić? Blokuje wjazd dla samochodów dostawczych.

Julian wstał i wyszedł na zewnątrz. Ruby wpatrywała się w stronę w notesie. Punkt pierwszy: Strona techniczna. Tak więc punkt drugi nie może być związany z techniką, tyle chociaż wiedziała. Żaden pomysł, techniczny ani inny, nie przychodził jej do głowy. Odwróciła kartkę, by zerknąć na pierwszą stronę.

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny

tak jak zdradziecki oszukać

nic

Super. Julian pisał wiersz, korzystając z zadań SAT. Znała mniej więcej znaczenie każdego ze słów, poza oziębły, ale to na pewno oznaczało coś złego. Wzięła do ręki pióro Juliana * było miłe w dotyku * i nagle napłynęły słowa. Zapisała je.

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać

nic, czemu ufać sam nie możesz, twemu ufaniu powierzone nie będzie

A więc był to wiersz o zaufaniu. Naprawdę dobry temat. Pasowałyby do części Tego i

owego, w której Problem rozkazuje zabić niewłaściwą dziewczynę, tę z

wytatuowanym Świętym Mikołajem na pośladku. A teraz, jeśli tylko uda się jej

przypomnieć, dobrze byłoby wstawić ten zwrot o tanich zakupach, którego nauczył ją

Julian, questo coś tam i fine, co oznaczało zakupy, żeby tylko tego nie zapomnieć.

Właściwie mogłaby w całym wierszu powstawiać włoskie słowa, bella, signor, latte *

wszystkie były świetne, warte każdej ceny. Cena zaufania, do tego tematu chciał

podążać wiersz * przełammy się biscotti, druhu mój drogi * jakkolwiek druh,

przyjaciel brzmiałby po włosku.

Julian wracał. Ruby szybko odwróciła kartkę na stronę z Pomysłami.

* Jak będzie po włosku przyjaciel? * zapytała.

* Amico w odniesieniu do mężczyzny, amica do kobiety.

* Mają różne końcówki?

* To całkiem naturalne, nie uważasz?

Czy te słowa nie zabrzmiały dwuznacznie? Ruby była zszokowana i zawstydzona,

mimo że słyszała już o wiele gorsze rzeczy, raz nawet przypadkiem widziała film dla dorosłych, który Brandon i Dewey oglądali w pokoju telewizyjnym. Poczula, jak oblewa ją rumieniec, i wtedy spostrzegła, że Julian spogląda na nią w dziwny sposób. Jakby był czymś zdumiony. Musiała źle go zrozumieć.

* Wiele języków ma rodzaje * wyjaśnił.

Tak, zupełnie go nie rozumiała. Jej wina. * Naprawdę? * zainteresowała się.

* Francuski, hiszpański, portugalski, niemiecki * łacina ma trzy.

* Trzy rodzaje?

* W tym nijaki.

* Angielski cały jest nijaki, prawda?

* Można to tak ująć.

* Cały nijaki jest najlepszy * stwierdziła Ruby.

* Dlaczego?

Po prostu tak było. Nie potrafiła tego wytłumaczyć. Julian przyglądał się jej przez chwilę, potem jego spojrzenie powędrowało ku stronie z napisem Pomysły.

* Wymyśliłaś coś do punktu drugiego?

* Nic.

* Miałaś zamiar wyjaśnić mi, dlaczego nie chodzi tylko o picie alkoholu w lesie. Niezupełnie. Raczej tylko się. nad tym zastanawiała.

* Tak naprawdę nie chodzi o nic więcej * rzekła Ruby. * Ta dodatkowa rzecz nie może mieć niczego wspólnego z całą sprawą.

* Jest to zupełnie niemożliwe? * zapytał Julian. * Czy tylko nieprawdopodobne? Wiedziała, co zaraz usłyszy: „Znak czterech”. Czy było coś lepszego od momentu, w którym książki i prawdziwe życie łączyły się w jedno?

* „Gdy wyeliminuje się to, co niemożliwe * kontynuował Julian * wówczas to, co pozostanie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdą.”

Chyba była to najważniejsza rzecz, jaką Holmes kiedykolwiek powiedział, przynajmniej z tego, co do tej pory przeczytała. * Ale nasza umowa jest cały czas aktualna? * upewniła się Ruby.

* Cały czas.

* Chodzi o crack * powiedziała. * Dewey nim handluje, a sierżant D'Amario go za to ściga.

Od razu poczuła się lepiej. Zrzuciła z piersi ogromny ciężar * dosłownie, ponieważ od momentu znalezienia fiolki czuła, jak coś ściska jej serce.

* Czy Bran jest w to zamieszany?

* Och, nie * zaprzeczyła Ruby. * Na pewno nie w handel.

Nie potrafiła tego udowodnić, po prostu była tego pewna. Brandonowi nie zależało na pieniądzach * czyż oznaką tego nie było gubienie tych wszystkich portfeli?

Julian rozejrzał się dookoła. Nie było nikogo w pobliżu. Właściwie mieli Starbucks tylko dla siebie.

* Crack to poważna sprawa * powiedział. * Choćby z jednego powodu: w podaniu o przyjęcie na uczelnię znajduje się pytanie o przeszłość kryminalną.

* To rodzice dostaną szału.

* Lepiej, żeby się tak nie stało * stwierdził Julian.

* I co teraz zrobimy?

* To, co słuszne * zdecydował Julian.

* Masz na myśli doniesienie na Brandona?

* To, co słuszne i co niesłuszne, czasami łatwo pomylić * rzekł Julian. * Doniesienie na Brandona, jak to ujęłaś, mogłoby doprowadzić do serii nieprzewidywalnych zdarzeń, których końcowym efektem byłaby rzecz, której pragniemy uniknąć * kartoteka policyjna Brandona.

* A więc co jest słuszne?

* To, co sprawi jak najmniej bólu jak najmniejszej liczbie osób.

* Czyli?

Julian zaśmiał się. * Któż to wie?

Sięgnął po pióro i oprawiony w skórę notes, tak jakby chciał rozpocząć nową kategorię. Przed oczami mignęła mu pierwsza strona. Spojrzał na nią najpierw przypadkiem, a potem już nie przypadkiem. O*o. Chyba nie powinno się pisać w czyimś notesie. Czy był wściekły? Nie wiedziała, ponieważ jego wzrok nadal spoczywał na kartce, przebiegając po napisanych przez nią słowach. Jego oczy stały

się tak dziwnie przezroczyście, nawet z miejsca, w którym siedziała, widziała to doskonale, było w nich coś nowego. Przez chwilę wydawało się jej, że potrafi zajrzeć do jego wnętrza, i zrozumiała, że jego inteligencja jest wręcz przerażająca.

Julian spojrział na nią. Cokolwiek się przed chwilą otworzyło, było już zamknięte.

Jego oczy błyszczały jeszcze odrobinę, mętne niczym morze w pochmurny dzień.

* Przepraszam, Julian * powiedziała.

* Za co?

* Za bazgranie po twoim wierszu * wyjaśniła Ruby, * Nie miałam niczego złego na myśli, tak tylko gryzmoliłam.

* Gryzmoliłaś?

* No wiesz. Wyglupiałam się.

* Nie przejmuj się * rzekł Julian. * To nie był wiersz. Dlaczego tak pomyślałaś?

* Wyglądał jak początek wiersza.

* To próba wyjaśnienia analogii z SAT * tłumaczył Julian. Schował notes do kieszeni.

* Ni mniej, ni więcej.

* Przez chwilę myślałam, że jesteś na mnie zły.

* Dlaczego miałbym być zły?

* Nie wiem.

* Nie było ku temu powodu * powiedział Julian. * A ja nie jestem człowiekiem, który robi coś bez powodu.

* Wiem * stwierdziła Ruby. Pewnie dlatego można było na nim polegać.

Uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech.

* Mam propozycję * zaczął Julian. * Może byśmy odwiedzili miejsce zbrodni? .

* To świetny pomysł * ucieszyła się Ruby. * Ale co z moją szkołą?

Julian zerknął na zegarek. * Bądźmy racjonalni * stwierdził. * Czyż nie przychodzi taka chwila, gdy nawet najpilniejszy uczeń idzie na wagary?

* I przyszła dziś o ósmej trzydzieści jeden * zauważyła Ruby. Parsknął tym swoim dziwnym śmiechem przypominającym krakanie,

lecz tym razem dość cicho. * Z drugiej strony, nie chcemy przecież, żebyś miała z tego powodu kłopoty.

* Powiem po prostu, że nagle źle się poczułam i zostałam w domu.

* Zrobiłaś już tak kiedyś?

* Nie, nigdy.

* Kiedyś musi być ten pierwszy raz, jak uczy nas ludowa mądrość. * Julian zanurzył biscotti w słoiczku z dżemem i odgryzł kawałek, a w kąciku jego ust pojawiła się czerwona plamka. * Chyba że, oczywiście, ktoś jeszcze był domu, gdy wychodziłaś.

* Byłam sama * zapewniła Ruby.

* Perfetto * powiedział zadowolony Julian. * Masz przy sobie szkło powiększające? Nie można prowadzić dochodzenia bez sprzętu.

* Zostało w domu.

* A masz klucz?

* Jasne.

* A więc zabierzemy szkło powiększające po drodze. Gotowa? Ruby dopiła czekoladę. Grudki z dna przywarły do jej podniebienia.

Wstali.

* Prowadź * zaproponował Julian.

Skierowali się do drzwi. Ktoś otworzył je z zewnątrz i wszedł do środka. Ktoś znajomy.

* Cześć, Jeanette.

* Ruby? * Jeanette spojrzała na nią, a potem na Juliana. * Nie jesteś dzisiaj w szkole?

* Cóż * zaczęła, spoglądając na Juliana. * Pamiętasz Juliana? * zapytała.

* Tak * odparła Jeanette.

* Autobus przyjechał dziś dla Ruby odrobinę za wcześnie * wtrącił Julian * i wyruszyła do szkoły na rowerze. Wpadliśmy na siebie na stacji Shella.

* Na stacji Shella? * zdziwiła się Jeanette.

* Właśnie tam * kontynuował Julian. * I właśnie mieliśmy zamiar wracać.

* Wracać? * Spojrzenie Jeanette powędrowało do czerwonej plamki w kąciku ust Juliana. Natychmiast to zauważył i wytarł wargi wierzchem dłoni.

* Planowałem odwieźć ją do szkoły na rowerze * wyjaśnił. * Tak na wszelki wypadek.

* Pan też przyjechał tu rowerem? * zdumiała się Jeanette. * Szkoła Podstawowa West Mili jest dobre siedem kilometrów stąd. Ja ją odwiozę.

* Ale... * zaczęła Ruby.

* To świetny pomysł * ucieszył się Julian. * Jeśli nie stanowi to zbytniego problemu.

* To żaden problem. * Jeanette zmierzwiła włosy Ruby. * Wrzucę jej rower do bagażnika.

* Nie jest za późno, żeby wracać do szkoły? * zapytała Ruby.

* Napiszę ci usprawiedliwienie * zaproponowała Jeanette.

* No to załatwione * stwierdził Julian. * Do zobaczenia, Ruby.

Troszkę pobłądziłaś, co, Rubester? * rzekła Jeanette, gdy mijaly stację benzynową Shella z drugiej strony.

* Chyba tak.

* A potem wpadłaś na Juliana?

Tak

* Na Shellu?

* Tak.

* A co on tam robił?

* Pompował opony. Jest fanatykiem roweru albo nie stać go na samochód.

* Być może. Julian uczy twojego brata?

* Tak. I któregoś dnia pomógł mamie, jak miała z czymś problem w pracy. W pewnym sensie jest przyjacielem rodziny. Wypiliśmy razem gorącą czekoladę.

* Mama pozwala ci jeździć do szkoły rowerem?

* Nie. To był wyjątkowy przypadek.

* Przypadek, który się już nie powtórzy?

* Jasne. Nie powiesz, prawda?

* Nie, jeśli mi obiecasz.

* Obiecuję.

Jeanette podjechała pod szkołę, parkując naprzeciw głównego wejścia. Była już przerwa. Wszystkie dziewczyny z klasy stały wokół Amandy, w coś się z nią bawiąc. Jeanette znalazła na podłodze auta starą kopertę i coś na niej

napisła.

* Oto twoje usprawiedliwienie, Ruby. Wróc do domu autobusem. Ja zajmę się rowerem.

* Dziękuję * powiedziała Ruby, wysiadając z pickupa. Teraz, gdy była już na miejscu, zaczęła się cieszyć, że jest w szkole.

* I trzymaj się łuku * zawołała do niej Jeanette.

21

Dobre rzeczy zawsze dzieją się szybko * tak powiedziała Linda. Julian nie do końca się z nią zgadzał i bardziej interesowało go przeciwieństwo tego wyrażenia: złe rzeczy dzieją się powoli. Przypuszczalnie to również nie było prawdą: na przykład śmierć w wypadku samochodowym, zła, lecz dzieje się szybko. Z drugiej strony, to, co złe, może ciągnąć się bardzo długo po wypadku, a nawet rozrastać się w umysłach osób kochających ofiarę. Rozrastać się i dawać przerzuty * ta myśl przypomniła mu o Adamie, a w związku z tym przeciwieństwo słów wypowiedzianych przez Linde zdawało się całkiem niezłe do niej samej pasować. Zapisał je na stronie zatytułowanej: Linda.

Julian zapisał je tak zgrabnie, jak tylko potrafił, lecz tekst nie osiągnął wymaganego standardu, nie do końca, a to z powodu drżenia dłoni. Artyści byli bardzo czuli, podatni na głęboki stres, a on był artystą. Aż do dzisiejszego ranka w Starbucks nie miał pojęcia, że stwórca może być zmuszony walczyć z wykreowanymi przez siebie postaciami o kontrolę nad własną powieścią. To on był odpowiedzialny za rozwój wydarzeń, tylko on, z pewnością nie to dziecko, Ruby. Czy istniała możliwość, że uda się jej w jakiś sposób przesłuchać tę policyjną taśmę? To oznaczałoby klęskę. Jego zadaniem będzie teraz odkrycie jej metody i ubiegnięcie jej w działaniu. Jakiej metody sam użyłby, będąc na jej miejscu? Julian starał się wczuć w jej rolę, odgadnąć jej myśli, lecz nie potrafił. Czy to oznaczało, że jej działanie skazane będzie na niepowodzenie? Nie, po prostu nie był w stanie wyobrazić sobie następnego kroku Ruby. Ale sprawa była trudna, a szansę na to, że jedenastoletniej

dziewczynce uda się ją załatwić, nikłe. Julian postanowił mieć to na uwadze, lecz nie zamartwiać się zbytnio i traktować jako problem drugorzędnej wagi.

A co z innymi postaciami, takimi jak Jeanette, które nawet nie należały do stwórcy, lecz mimo to wdzierały się do powieści, burząc jej arystotelowski porządek? To było nie do przyjęcia: żaden stwórca nie byłby w stanie pracować w takich warunkach. Lecz jak temu zaradzić? Julian nie wiedział. Ustalił, że tymczasowo zaakceptuje kolejny problem drugorzędnej wagi.

Coś innego martwiło Juliana, coś o wiele poważniejszego. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej notes. W tym momencie zadzwonił telefon. Sierżant D'Amario, pomyślał i poczuł lodowaty dreszcz. Lecz oczywiście nie był to sierżant D'Amario.

* Cześć, Julian. Mówi Linda.

* Cześć.

* Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłam.

* Skądże znowu.

* Jeszcze raz dziękuję za pomoc przy La Riviere.

Julian milczał. Pomoc? Aktora część pomysłu była właściwie jej autorstwa?

* Ale nie dlatego dzwonię.

* Nie?

* Ja... Scott i ja uważamy, że byłoby dobrze, gdybyś odwiedzał nas częściej.

* W jakim celu?

* Żeby uczyć Brandona, oczywiście.

* Wydaje mi się, że idzie mu dość dobrze w takim układzie, jak teraz.

* Cieszę się, że to słyszę. Ale prawdę mówiąc, mamy problemy nie tylko z nauką.

* Ach, tak.

* Pomyśleliśmy, że będziesz miał na niego dobry wpływ. Może mógłbyś dodać jedno lub dwa spotkania w tygodniu, żeby pomóc mu w nauce, jeśli zajdzie taka potrzeba, lub nawet od czasu do czasu gdzieś go zabrać.

* Zabrać?

* Do muzeum czy w inne tego typu miejsce.

* A co Brandon o tym myśli?

* Póki co nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

* Związałiście go i zakneblowaliście?

Linda zaśmiała się. * O tej porze dnia robią to za nas jego nauczyciele.

Julian również się zaśmiał. * Oczywiście, zapomniałem, że dzieci są teraz w szkole.

* To ciekawe... akurat o tej porze jestem najbardziej produktywna. Za to w godzinach mojej pracy, ale przed ich lekcjami i po nich * zniżyła głos * prawie nic nie udaje mi się zrobić.

* Co pewnie świadczy o tym, jaką jesteś dobrą matką * stwierdził Julian.

Cisza. * Dziękuję, to było bardzo miłe.

Wzdrygnął się. Ogarnęło go dziwne uczucie, podobne do tego, które odczuł, kładąc monetę na pozbawionej palców dłoni trędowatego żebraka na rynku w Yaounde. *

Wracając do tematu, jeśli uważacie, że potrzebna jest dodatkowa lekcja lub dwie, nie stanowi to dla mnie żadnego problemu.

* Wspaniale. A co myślisz o tym, by pomóc Ruby w matematyce? Julian zerknął na notes i przypomniał sobie, co go tak naprawdę trapi.

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać nic, czemu ufać sam nie możesz, twemu ufaniu powierzone nie będzie

* Julian? Jesteś tam?

* Nie jestem pewien, czy istnieje taka konieczność * zauważył.

* Cóż, możemy nad tym pomyśleć.

* Jeśli tak sobie życzysz. * Wiedział, że nigdy się na to nie zgodzi. Ta dziewczyna prawie pozbawiła go panowania nad sobą, a panowanie nad samym sobą było esencją godności. O kolejnym spotkaniu z nią w cztery oczy zadecyduje sam.

* Czy mam zadzwonić do Margie?

* Nie kłopotz się. Sam się tym zajmę.

* Dziękuję, Julian. * Teraz po raz kolejny padnie łatwa do przewidzenia metafora. * Jesteś skarbem.

Odłożył słuchawkę i jego wzrok natychmiast skierował się na wiersz, tak jakby drzemała w nim ukryta siła, mentalny środek ciężkości. Wiersz: tak, to prawda, był to

już wiersz; dziewczynka rozpoczęła jego transformację w sztukę. Gryzmoła sobie, jak to nazwała. Położył dłoń na stronie, gotów ją zmiąć, podrzeć lub spalić, tak jak ona spaliła „Cętkowaną wstęgę”. Lecz nie potrafił. Wiersz był dobry. I w większości był jego dziełem. Policzył słowa, które sam napisał: jedenaście. Jej słów było dziesięć. Od razu poczuł się trochę lepiej. Może nawet będzie tworzył dalej, wykorzystując jej wkład, który prawdopodobnie był dziełem przypadku, słowa pewnie nie były jej autorstwa, lecz wykorzystwała przeczytane gdzieś strofy innego poety, utalentowanego, którego wierszy nie znalazł. Tak, tak właśnie musiało być. Poczuł, że nadchodzi dalsza część, i pochylił się w oczekiwaniu.

Na próżno. Jej wielkie, okrągłe litery doprowadzały go do szału.

Zadzwoił do Margie.

* Ale śmiesznie * zawołała Margie. * Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

* Tak * zgodził się Julian. * Rzeczywiście śmiesznie.

* Mam dla ciebie kolejne dwie fuchy * obwieściła zaraz Margie. * U Wexlerów z West Hardford * mają bliźniaki w Williston * i Mandevitchów z Manchester, a dodatkowo jest jeszcze możliwość...

* Obawiam się, że nie, Margie.

* Słucham?

* Choć bardzo mi się spodobało to doświadczenie, to niestety muszę zrezygnować, przynajmniej na jakiś czas.

* Zrezygnować? Nie rozumiem.

* Pracuję nad większym projektem.

* Projektem związanym z prywatnym nauczaniem?

* Nic z tych rzeczy. Jest to raczej projekt artystyczny.

* Pisziesz książkę.

* Nie chciałbym zapeszyć, mówiąc tak lub nie.

* Nie dziwię się * stwierdziła Margie. * Życzę ci powodzenia. Ale co z Gardnerami?

* Oczywiście będę kontynuował lekcje * rzekł Julian. * Mam wobec nich zobowiązania.

* Dziękuję, Julian.

* Jeśli mogłabyś, proszę odeślij mi mój list.

* List?

* Ten od dziekana z Balliol.

* Wyślę go jeszcze dziś.

* To miło z twojej strony, Margie. Dobrze mi się z tobą współpracowało.

* Zawsze możesz tu wrócić, Julian * zapewniła Margie.

Julian zadzwonił do Lindy do pracy. Sama odebrała telefon, co za rozczarowanie.

* Czy musimy informować Margie o dodatkowych spotkaniach? * zapytał. * Jeśli zachowamy to między sobą, będę mógł obniżyć stawkę do połowy.

* Nie chciałabym...

* To zdarza się bardzo często.

* Jak miło z twojej strony, Julian. Niektóre rzeczy przychodziły z łatwością.

Niektóre niestety nie. Julian wrócił do pustej strony zatytułowanej Ruby. Stwórca musi walczyć o zachowanie kontroli nad własną powieścią. Julian pochylił się nad kartką i walczył z całej siły. Walczył, by ją zrozumieć, by ogarnąć ją jako całość * obejrzeć ją niczym okaz w słoiku * tak jak udało mu się to z pozostałymi. Czas mijał, a on stracił jego rachubę. Tekstura papieru wydawała się żyć własnym życiem, wzory włókien w kolorze złamanej bieli zmieniały kształt pod wpływem jego spojrzenia. Zmieniały się, a nawet wiły, aż w końcu Julian napisał: „Cętkowana wstęga”.

Julian elegancko zapakował słoik dżemu truskawkowego importowanego z Francji, wspaniałego dżemu, gęstego i kleistego. Obdarowywanie prezentami było ważną czynnością. Należało ładnie je zapakować, zawiązać na nich odpowiednią wstążkę z pasującą do niej kokardą. Kobiety to lubiły. Jeśli prawdą było, jakoby kobiety posiadały specjalną zdolność do mówienia * nie do myślenia, lecz mówienia * być może dotyczyło to również mowy symbolicznej. Dzięki temu stawały się podatne na życzliwie ofiarowane prezenty.

Gdy Gail otworzyła drzwi, w jej oczach malowała się nieufność. Niedobrze. Julian nie chciał zatargów w relacjach pomiędzy najemcą a właścicielką. Być może ich ostatnie spotkanie nie przebiegło do końca właściwie. Z drugiej strony: kilka drinków, damska sypialnia, dwoje od niedawna znajomych, nieporozumienie * z

pewnością była to część amerykańskiego życia, jak wycieczka do Disney World.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

* Proszę, małe co nieco * powiedział.

Gail wzięła prezent z jego rąk z pewnym wahaniem. Te drobne szczegóły * wahanie, niewinne spojrzenia, lekko przygryziona dolna warga * nie można o nich powiedzieć, że są interesujące same w sobie, lecz dużo dodają do ogólnej radości, podobnie jak amusegueules w porządnej restauracji. Wróżyły dobry początek symbolicznej rozmowie.

* To miło z twojej strony * podziękowała Gail. * Ale naprawdę, nie ma takiej potrzeby...

* Nie ma o czym mówić * oświadczył Julian. Rozmowa faktyczna zaczęła się dość opornie, lecz posuwała się we właściwym kierunku: dwie cywilizowane osoby zamierzały pogrzebać stare niesnaski. * Przyniosłem też czynsz.

* Masz czas do przyszłego tygodnia.

Podał jej kopertę z pieniędzmi, dokonując chyba jedynej symbolicznej transakcji rozumianej doskonale zarówno przez kobiety, jak i przez mężczyzn.

* Może wraz z J.P. Morganette zbijesz dzięki tej wcześniejszej zapłacie kapitał.

* To zabawne, że właśnie teraz o tym wspominasz * zauważyła Gail.

* Tak?

* Znasz się na inwestycjach?

* Ani trochę * odparł Julian z życzliwością w głosie. Odprężyła się odrobinę i od razu wydała mu się okrągłejsza i niższa.

* Ze mną było podobnie, zanim nie poznałam Morganettek. Inwestowanie nie różni się zbyt od całej reszty. Trzeba po prostu pilnie odrabiać zadania domowe. W poprzednim kwartale nasz zysk był wyższy niż Warrena Buffetta o prawie dwa punkty procentowe.

* Warren Buffett (ur. 1930 r.) * amerykański inwestor giełdowy i biznesmen, drugi po Billu Gatesie najbogatszy człowiek świata.

Przy inwestycjach na mniejszą skalę, oczywiście.

* Jestem pod wrażeniem * stwierdził Julian. * I wszystko sprowadza się do zadań

domowych?

* Prawie zawsze. Od czasu do czasu ktoś daje nam cynk, ale wtedy i tak musimy rozpracować firmę od podstaw, tak jak w przypadku wszystkich innych akcji.

* Czyli?

* Na pewno nie grasz na giełdzie, Julian?

* Przysięgam.

* Bo zachowujesz się, jakbyś szukał informacji.

Julian zaśmiał się. * Jestem po prostu ciekawy, to wszystko.

* Chodzi o to, że naprawdę dowiedziałyśmy się czegoś interesującego podczas naszego ostatniego spotkania. Nie jest to żaden przeciek ani nic takiego * nie reagujemy na przecieki, nawet gdy takie dostajemy, to zbyt ryzykowne.

* Każdy unika kłopotów.

* Wyobrażasz sobie? Nalot federalnych? * Gail zerknęła na niebo. Julian podążył za nią wzrokiem: na niebie nie było federalnych, lecz stado zbliżających się w jednej formacji szpaków, przypominające gigantyczny bombowiec nadlatujący zza drzew.

* Federalni * szepnął Julian. * Aż strach pomyśleć...! * Udało mu się nawet udać dreszcz przechodzący po plecach.

* Ale nie istnieje prawo, które zabraniałoby mieć oczy szeroko otwarte * zauważyła Gail. * Przynajmniej na razie.

Ach, tak, czas na miłą liberalną wstawkę. * Dzięki Bogu.

Gail spojrzała na niego znacząco: dwie osoby, które mają ze sobą więcej wspólnego, niż sądziła. * Kiedy jedna z naszych członkiń kilka tygodni temu odwiedziła siostrę w San Francisco, jej siostrzeniec * dorosły już chłopak * wpadł do matki na obiad. Przyjechał nowiutkim sportowym autem prosto z salonu...

* Boxsterem?

* Skąd wiesz?

* Jest de rigueur. Gail zamrugwała.

* Po prostu zgadłem * wyjaśnił Julian.

* Aha * rzekła Gail. * No więc ten siostrzeniec przyjechał, aby pochwalić się matce,

że wydarzyło się coś wspaniałego, lecz nie wolno mu o tym mówić. Ale cała rodzina dobrze wie, że on od lat pracuje nad jakimś rewolucyjnym wynalazkiem * ma doktorat z inżynierii komputerowej z Cal Tech. Więc przeprowadziłyśmy mały wywiad i okazało się, że firma jest pewna, z tym jego całym wynalazkiem czy bez, i jutro kupujemy trzysta dwadzieścia pięć ich udziałów.

* Wkrótce ten kraj będzie należał do ciebie * stwierdził Julian. Czy mógłby być bardziej ujmujący?

* Żartujesz sobie ze mnie * powiedziała Gail.

* Nigdy bym nie śmiał.

Jej wzrok powędrował do maleńkiej bródki pod jego dolną wargą. Szybko, omalże niepostrzeżenie, lecz Julian to dostrzegł. Ich stosunki znów się unormowały, stare niesnaski poszły w niepamięć, być może podążali nawet zgodnie z poprzednim kursem.

Gwizd czajnika dobiegł z wnętrza domu, jakby głośno chciał przypieczętować zawarty przez nich pokój.

* Właśnie robię herbatę * rzekła Gail. * Jeśli masz ochotę...

* To miło z twojej strony * zauważył Julian. * Bardzo chętnie, ale nie dziś. Teraz wzywa mnie praca. * Zrobił krok w tył.

* Dziękuję za prezent.

* Nie ma o czym mówić * stwierdził Julian. Odwrócił się i zatrzymał. * Nie chciałbym być zbyt wścibski, ale ile twoim zdaniem kosztowałby zakup dziesięciu akcji, o których wspomniałaś?

Gail zaśmiała się. * Wciągnęło cię * zawołała. Julian bezradnie wzruszył ramionami.

* Wczoraj przy zamknięciu kosztowały osiem z groszami * wyjaśniła Gail.

* Dziękuję * odparł Julian i zaczął odchodzić.

* Nie interesuje cię nazwa akcji? Julian klepnął się dłonią w głowę.

Gail ponownie się zaśmiała. * Codexco * powiedziała. * Notowane w indeksie Nasdaq.

Czy trudno było wejść do biblioteki w Old Mili, usiąść przy komputerze, poznać nazwisko szczęśliwego siostrzeńca, jedyne go doktora Cal Tech na liście płac

Codexco? Nie. Poszło tak szybko i gładko, że Julian miał jeszcze czas, by poczytać Conan Doyle'a, zerkając to tu, to tam, na dłużej zatrzymując się przy „Cętkowanej wstędze”. A czy trudno było odnaleźć bar, który Mickey Gudukas lubił odwiedzać po drodze z pracy do domu, czy trudno było ubrać się w sposób, który mu zaimponuje, usiąść na pustym stołku barowym tuż obok niego, położyć teczkę wypełnioną papierami na barze i głęboko wzdychać, jak przepracowany człowiek, któremu wreszcie ogromny ciężar spadł z piersi? Nie. Wszystko to było bardzo proste, a do tego zabawne.

* Ciężki dzień, co? * zainteresował się Mickey Gudukas.

Julian spojrział na niego. Znacznie wcześniej poczuł zapach sosnowego lasu. Teraz starał się ogarnąć inne podstawowe cechy, a jakież one były prymitywne: olbrzymie wąsy, małe oczka, łysa głowa podzielona na dwa regiony, jeden w kształcie podkowy z przodu, błyszczący, oraz ogolone boki i tył, matowe, tak jakby jakiś stylistą wykończył obie części na dwa różne sposoby dla sadystycznego efektu.

* O, rany * westchnął Julian.

Gudukas pokiwał głową. Ogarnął spojrzeniem jego garnitur, krawat i teczkę.

* Jeśli gospodarka zwalnia tempo * powiedział Julian * to dlaczego ja jakoś nie mogę?

Małe oczka zrobiły się jeszcze mniejsze. Chyba zabrzmiało to zbyt skomplikowanie. Będzie musiał przejść na niższy poziom konwersacji.

* Co panu podać? * zapytał barman.

Julian zerknął, by sprawdzić, co pije Gudukas, coś niebieskiego w kieliszku do martini. Nie miał zamiaru posuwać się aż tak daleko. * Słodową whisky poproszę * powiedział. * Highland Park, jeśli macie.

* Już podaję * rzekł barman.

* Highland Park? * zdziwił się Gudukas. * Nie znam takiej.

* Nie zawiera Glen * wyjaśnił Julian. * Dlatego ją lubię.

* He?

To definitywnie plasowało Gudukasa na drabinie ewolucyjnej o kilka stopni niżej niż Scotta. Jak nisko w ogóle można było zejść? Barman przyniósł drinki. Julian napił się

odrobinę.

* Dobrze? * zapytał Gudukas.

* Jeszcze jedną dla tego pana * powiedział Julian do kelnera, dodając: * Ja stawiam.

* Niczego już wolał nie brać za pewnik, gdy chodziło o Gudukasa.

* No to hej * odezwał się Gudukas, prawdopodobnie w ten sposób dziękując, i dodał:

* Niezłe * gdy już spróbował. * Zdrówko * zabrzmiało zaraz potem. Stuknęli się szklankami. * W czym robisz, że wciąż jeszcze masz tyle roboty w tej gównianej sytuacji gospodarczej?

* W kapitale wysokiego ryzyka.

* Tak? * Chciwość zarysowała się w napięciu pewnych mięśni twarzy, przypuszczalnie były tak zaprogramowane, w przypadku Gudukasa można było mieć co do tego pewność. * W jakiej firmie?

* Jestem zatrudniany przez kilka firm.

* Jako kto?

* Konsultant techniczny.

* Co to właściwie oznacza?

* Firmy inwestujące kapitał wysokiego ryzyka mają swoich ludzi do oceny strony finansowej spółek, w które chcą wtopić pieniądze, ale czasami potrzebują pomocy w sprawach technicznych i naukowych. Wtedy wkraczam ja.

Gudukas obserwował go z uwagą. Julian miał dziwne uczucie, że tak właśnie wygląda zwierzę w zoo, które zza krat przygląda się człowiekowi.

* Nie wyglądasz na technika * stwierdził Gudukas.

* Bo nim nie jestem * wyjaśnił Julian. * Jestem matematykiem.

* Tak? * odparł zaskoczony Gudukas. * Nigdy jeszcze żadnego nie spotkałem.

* Ta praca tak naprawdę niczym nie różni się od innych * tłumaczył Julian. * Polega na szukaniu wzorów.

* Szukaniu wzorów * powtórzył Gudukas i zrobił się nieruchomy. Przez chwilę Julianowi wydawało się, że potrzebna będzie pomoc medyczna. Wtedy Gudukas przemówił: * To mi się podoba.

Nawet to zapisał * szukanie wzorów * na serwetce i wcisnął ją do kieszeni. Następnie

przechylił szklanekę ze słodową whisky i wychylił ją jednym haustem, ponownie przyglądając się Julianowi znad szklanki.

* Pracowałeś ostatnio nad czymś interesującym? * zapytał Gudukas.

* Oczywiście nie wolno mi rozmawiać o szczegółach * odparł Julian. * Ale sprawdzałem jedną firmę w Kalifornii.

* Której nazwę wymawiać nie będziemy, co nie?

Julian uśmiechnął się. * Takie są zasady. * Ale zasady gramatyki są inne.

* Jaka to firma, no wiesz, ogólnie mówiąc?

* Projektująca oprogramowanie.

* To szeroki temat.

Brawo, Mickey: Julian był mile zaskoczony. * W tym przypadku zbyt szeroki * rzekł.

* Jak to?

* Mógłbym odpowiedzieć na to pytanie * powiedział Julian * jednakże musiałbyś znać teorię liczb, choćby ogólnie, a w szczególności twierdzenie Mordella.

* Odpadam * odparł Gudukas. Wrócił do swojego niebieskiego drinka. * Ale chodzi ci o to, że znalazłeś jakiś feler w tej firmie?

* W szerokim tego słowa znaczeniu, tak.

* I co teraz? Powiesz chłopakom z kapitałem, że mają sobie odpuścić?

* Albo się pozbyć.

* Pozbyć się? Więc będą pozbywać się udziałów?

* Naprawdę nie mogę odpowiedzieć na to pytanie * usprawiedliwiał się Julian.

* Mam cię * rzekł Gudukas. * Dałeś już cynk tym gościom z Krzemowej Doliny?

* Nigdy nie wspominałem o Krzemowej Dolinie * poprawił go Julian. * A do moich zadań należy tylko sporządzenie raportu.

* I odebranie czeku, co nie? Julian uśmiechnął się.

* A czym ty się zajmujesz, jeśli mogę zapytać?

* Handelkiem * odpowiedział Gudukas. * To dosyć nudne w porównaniu z twoją pracą.

Julian przez uprzejmość zaprzeczył. Handel. W pewnym sensie było to prawdą, ale czy żył na tym świecie makler, który udzieliłby na to pytanie prawdziwej odpowiedzi

zamożnie wyglądającemu nieznajomemu w barze, który nie wręczył mu swojej wizytówki? Wszystko toczyło się po z góry przewidzianym torze.

Julian odczekał, aż barman odejdzie, by otworzyć nową beczkę w piwnicy, wtedy przeprosił i udał się do łazienki, zostawiając Gudukasa samego na końcu baru, z teczką w zasięgu ręki. Kiedy wrócił, teczka leżała dokładnie tam, gdzie ją zostawił, a Gudukas siedział odwrócony w przeciwną stronę, wpatrując się z zainteresowaniem w jakąś reklamę w telewizji.

Julian usiadł. Gudukas dokończył drinka i odsunął stołek. Czy spojrzy też na zegarek? Tak.

* Cóż * zaczął. * Miło się gawędziło. I dzięki za drinka.

* Nie ma za co. Nie dosłyszałem twojego nazwiska...

* Mam na imię Mikę * odparł Mickey Gudukas. * Do zobaczenia. Nie mógł się doczekać, kiedy już wyjdzie, nie pozostawiając za sobą żadnych śladów.

Julian dokończył szkocką, zapłacił rachunek i jakieś dziesięć minut później opuścił bar, zabierając ze sobą teczkę. Wewnątrz znajdował się brudnopis raportu na temat marnych perspektyw Codexco związanych z niepowodzeniem projektu siostrzeńca przyjaciółki Gail. Pod nim leżało mnóstwo kartek wypełnionych równaniami matematycznymi, które Julian przepisał w bibliotece. Wrzucił całość do najbliższego kosza na śmieci. Dobre rzeczy działy się szybko. Linda miała rację.

22

Nie do wiary, jaki masz ogromny dom * stwierdziła Trish Almeida.

* Naprawdę? * zdziwił się Brandon.

Oboje leżeli na łóżku Brandona i przy cicho grającej muzyce wpatrywali się w ekran telewizora z wyłączonym dźwiękiem. Bywał w dużych domach * na przykład w domu swojego kuzyna Sama w Old Mili * i dobrze wiedział, że jego własny nie należał do ogromnych. Wyciągnął się na łóżku, zrelaksowany, lecz zupełnie nie w

nastroju do spania. Trish miała na sobie stanik i nic poza tym. Czuł, że już za chwilę czeka go kolejna erekcja. Wyszli ze szkoły trochę wcześniej, oboje mając w tym tygodniu na ostatniej lekcji zajęcia dowolne z nauczycielami w zastępstwie, a zajęcia dowolne w kombinacji z nauczycielem w zastępstwie zmniejszyły szansę na bycie nakrytym na wagarach do zera. A gdyby nawet zostali nakryci, to co? Sam miał dopiero jedno ostrzeżenie, a Trish nie miała w tym roku ani jednej godziny nieusprawiedliwionej. Wręcz pod groźbą relegowania, Brandon wiedział, że i tak postąpiłby tak samo. No bo jak, szkoła czy to? Odpowiedź była prosta. Poza tym nawet lubił Trish, przyznał się do tego w duchu, mimo że nie należała do najbardziej odlotowych dziewczyn szkole, nie ubierała się odjazdowo i jeździła autobusem.

* Pan strażak chyba się wierci * zauważyła.

Tak nazywała jego malucha, bo kojarzył się jej ze strażackim hełmem. Przekroczyli etap seksu oralnego * Trish zdecydowała, że jest już gotowa na prawdziwy seks * i było wspaniale, ale Brandon w jakimś sensie wołał stare, oralne czasy. Gdy robili to teraz, ich twarze się spotykały, czasami oboje w tym samym momencie otwierali oczy, tak jak w tej chwili, i musiał w nie spojrzeć. Miała piękne oczy i patrzenie w nie nie było wcale takie straszne, tyle tylko że stanowiło zbyt silne przeżycie; tak jakby wszystko, co działo się w jej wnętrzu, było zbyt intensywne. W takich momentach czuł, że musi ją chronić, jak jakiś rycerz, zupełnie szalony pomysł, który na pewno by się jej nie spodobał. Mimo wszystko zawsze zaskakiwało go, że Trish potrafi z nim rozmawiać zupełnie naturalnie, kiedy było już po wszystkim.

* Wiesz, na co mam ochotę? * zapytała.

Pomyślał, że chodzi jej o jakąś przekąskę, ale nie był pewien, więc wołał się nie odzywać.

* Chciałabym pojechać do tego baru w Soho.

* Tak?

* Teraz, Brandon. Chciałabym wskoczyć do samochodu i pojechać tam właśnie teraz.

* Do jakiego samochodu?

* Może uda mi się wziąć samochód mamy.

* O czym ty mówisz? Masz piętnaście lat.

* Ty mógłbyś prowadzić.

* Mam tylko tymczasowe pozwolenie. A w przyszłym tygodniu mam dopiero drugą lekcję z jazdy. * Nie licząc tych kilku nieformalnych lekcji z tatą, niezbyt udanych. * „Siemanko, pani Almeida, mógłbym pożyczyć pani samochód, bo chcemy wyskoczyć do Nowego Jorku? Już niedługo zrobię prawo jazdy.”

* Ty po prostu nie chcesz jechać.

* Jak to, do cholery, nie chcę * zdenerwował się Brandon. * Porozmawiam z Deweyem.

* Nie chcę jechać z Deweyem.

* No to z kim?

* Z tobą.

Spojrzał jej w oczy. Wyglądały normalnie, prawie. * Nic z tego nie wyjdzie * wyjaśnił.

* Z czego?

* Z robienia ze mnie dorosłego.

Trish zaśmiała się. * Jesteś taki zabawny * powiedziała. * Pan strażak też jest zabawny. Prawda, strażaczku? * Lekko potrząsnęła panem strażakiem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Trish znieruchomiała.

* Bran? * Zza drzwi dobiegał głos Ruby. * Jesteś tam?

* O co chodzi? * zapytał Brandon. Trish po cichu naciągała na siebie prześcieradło, w które oboje byli beznadziejnie zaplątani.

* Telefon do ciebie.

* Powiedz, żeby zadzwonili jeszcze raz na mój numer.

* Nie.

* Jak to, nie?

* To Julian.

* Cholera. Czego chce?

* Rozmawiać z tobą. Z reguły tego właśnie chcą ludzie, jeśli do nas dzwonią.

* Jezu Chryste. Zaraz zejdę.

* Mam telefon przy sobie. * Klamka w drzwiach zaczęła się obracać.

* Powiedziałem, że zaraz, kurwa, zejść.

Klamka przestała się obracać. Brandonowi wydawało się, że słyszy kroki na schodach.

* To twoja siostra? * szepnęła mu do ucha Trish.

* Największy wrzód na tyłku * odpowiedział normalnym tonem.

* Co powiedziałeś? * zawołała Ruby, z niezbyt daleka.

* Wynoś się stąd, do cholery.

* Zaczęłeś mówić sam do siebie, Bran?

* Wynoś się, bo ci pomogę.

Gdy wyszedł z pokoju, ubrany jedynie w jeansy, po Ruby nie było już śladu.

Zamknął za sobą drzwi i zszedł na dół.

Ruby, stojąc w garderobie i patrząc przez szparkę w drzwiach * to naprawdę był jeden z jej najlepszych pomysłów * obserwowała, jak Brandon schodzi na dół.

Znowu miał żel na włosach. A na plecach dziwne zadrapania. Oczekała, aż zniknie jej z pola widzenia, i wyszła z garderoby, a wtedy, bum * drzwi pokoju Brandona otworzyły się. Wyszła przez nie dziewczyna, nastolatka, bardzo ładna, zakładając gumkę na zebrane w koński ogon włosy.

* Cześć * rzuciła.

* Cześć * odparła Ruby.

* Jesteś siostrą Brandona?

* Między innymi * odpowiedziała Ruby.

* Rozumiem * rzekł dziewczyna. * Mam na imię Trish. Miło mi cię poznać.

* Mnie również * rzekła Ruby. * Ale wiesz, Bran powinien odpuścić sobie ten żel.

* Sama mu to powiedz.

C/ałkiem nieźle, Julian. A co u ciebie?

* Nie narzekam, dziękuję * odparł Julian. * Dzwonię, żeby ustalić nowy plan zajęć.

Mama mówiła ci, że będę teraz przychodził częściej?

* Coś wspominała.

* Co za koszmar, prawda?

* Tak bym tego nie ujął.

Julian zaśmiał się. * Wiesz, że niektóre z tych wizyt nie będą dotyczyły wyłącznie nauki.

* Tak.

* Twoja mama wspomniała coś o zwiedzaniu muzeów.

* Tak.

* Ale jeśli będziesz miał własne pomysły, jak spędzić ten czas, to jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia.

* Jakie pomysły?

* Związane z kulturą, jak sądzę, ale w najszerszym tego słowa znaczeniu.

* Jak wycieczki? * zainteresował się Brandon.

* To zależy od ich celu.

* Cel będzie kulturalny.

* Tak.

* Jak daleko?

* Jak daleko?

* Jak daleko możemy pojechać?

* To zależy od twoich rodziców, oczywiście. Ale jestem pewien, że można ponegocjować. W granicach rozsądku. Wycieczka do kasyna oznaczałaby raczej naciąganie definicji kultury.

Kasyno! Co za wspaniałe pomysły! * Kiedy mamy następną lekcję?

* Jutro * odparł Julian. * Znow geometria.

* Może wtedy wrócimy do tego tematu. * Pomysł zaczął przybierać realne kształty w jego głowie.

* Jasne * zgodził się Julian.

Do kuchni weszła THsh z Ruby; prowadziły jakąś rozmowę. * Mogę zrobić parę hot dogów * zaproponowała Ruby.

* Świetnie * dodała Trish.

I wtedy obie spojrzały na niego jakoś dziwnie. * Co? * zawołał Brandon. * No, co? sr ani Freleng nie znosiła Corteza, o Pizzarze lepiej nie wspominać. Był jeszcze

gorszy w tym, co robił Inkom. Ruby czekała, aż pani Freleng powie coś o przygodowej stronie całej historii, jakie to musiało być wspaniałe z tego punktu widzenia, lecz pani Freleng nigdy tego nie robiła. Dzisiejszym zadaniem domowym było wykonanie dioramy Machu Picchu przed przyjazdem Hiszpanów, ukazanie Inków przy pracy i zabawie. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Ruby, było narysowanie kredką kilku żeglujących statków po prawej stronie, by dodać scenerii trochę napięcia. Narysowała duże, czerwone krzyże na żaglach i czarne armaty na pokładzie. A może by z nich wystrzelić? Testowała różne rodzaje koloru pomarańczowego, którym zamierzała pokolorować płomień * Ruby była szczęśliwą posiadaczką olbrzymiego zestawu firmy Wizard składającego się ze 120 kredek * gdy nagle przypomniała sobie, że być może Pizzaro nie przyplynał statkiem. Lecz statki były zbyt interesujące, by nie znaleźć się na rysunku. Jeśli pani Freleng będzie miała coś przeciwko temu, Ruby zawsze może powiedzieć, że statki są tylko wizją szamana Inków. Nie będąc w stanie wybrać pomiędzy Atomową Mandarynką, a Neonową Marchewką, zdecydowała się wypalić z dwóch armat.

Znudziła się rysunkiem, kiedy skończyła pracę nad statkami, więc zrobiła sobie przerwę. Rozpoczęła próbne przemówienie z okazji otrzymania Oscara, ćwicząc przed lustrem w szafie.

* O, rany * powiedziała, wznosząc jeden z pucharów tenisowych Brandona. Nie posiadała własnych: łucznictwo było jedynym sportem, w którym miała możliwość zdobycia nagrody, ale Jeanette ich nie rozdawała. * O, rany * Ruby głośno dyszała. Właśnie pokonała długą drogę z pluszowego fotela na scenę. * Nie mogę w to uwierzyć. To wspaniałe uczucie. Chciałabym wszystkim podziękować, wszystkim na całej Ziemi.

* Zachichotała. Zalewały ją fale uwielbienia. * Kocham was wszystkich. Dziękuję wszystkim ze studia Disneya, wicie, kogo mam na myśli. Ale w szczególności chciałabym podziękować rodzicom, mojemu bratu Brandonowi i jego nowej dziewczynie * co ona w nim widzi? * Przerwa na śmiech. * I Adamowi. To dla ciebie, bracie. * Zbiegła ze sceny, kończąc swoje krótkie, acz słodkie przemówienie.

Usiadła przy biurku i zaczęła budować świątynię Inków z wykałaczek. Nuda przybrała na sile, pewnie tak jak przy budowie prawdziwej świątyni. Czy Inkowie ucieszyli się, gdy dostrzegli pierwsze statki, myśląc, że nareszcie zaczną się coś dziać? Zdecydowała, że zrobi jednego małego Inkę, który dostrzega statki i jego twarz przepoławia szeroki uśmiech. Po chwili jej myśli powędrowały do innych głupich zadań domowych, następnie do aktorsko odegranej konwersacji z Mannym na stacji Shella. I wtedy ogarnęło ją natchnienie. Ot tak, wpadła na pomysł, jak przesłuchać policyjną taśmę, jak rozwiązać Zagadkę Anonimowego Rozmówcy! Dlaczego nie wykorzystać szkolnego zadania? Na przykład: „Jedna noc z życia dyżurnego policjanta”. Pójdzie na posterunek, przeprowadzi wywiad z facetem przyjmującym zgłoszenia, poprosi o przesłuchanie kilku nagrań. To musi być konkretny wieczór, oczywiście, konkretny sobotni wieczór, ponieważ... ponieważ jej klasa przygotowuje opis West Mili z tego właśnie wieczoru, a jej przydzielono zadanie dotyczące policyjnych zgłoszeń. O, rany. Plan był idealny.

Ruby zerknęła na zegarek: 19:15. Nie było jeszcze za późno. A może by zrobić to dzisiaj? Tym razem się nie gubiąc. Odszukała w Internecie MapQuest, wpisała Robin Road 37 w polu z i posterunek policji w West Mili w polu do. Na ekranie pojawiła się trasa. Nie było to nawet zbyt daleko, 3,3 kilometra. Wydrukowała wszystko i zeszła na dół * nikogo nie było w pobliżu * założyła niebieską kurtkę z żółtymi lamówkami i otworzyła kuchenne drzwi do garażu. Nie było tam żadnego z samochodów, rodzice wciąż jeszcze byli w pracy. Nie było również roweru. Nie ma roweru? Przez chwilę pomyślała, że ktoś musiał go ukraść. Wtedy przypomniała sobie, że Jeanette jeszcze go nie przywiozła.

Pomysł będzie musiał poczekać. Wróciła do domu, powiesiła kurtkę na wieszaku, tuż obok kurtki Brandona. Walczyła z pokusą, by sprawdzić mu kieszenie. Grzebanie po kieszeniach było złe. Czy chciałaby, by ktoś grzebał w jej kieszeniach? Nie. Chyba istniały w tym kraju jakieś prawa? Istniały. Czy grzebanie po cudzych kieszeniach było równie złe jak czytanie cudzej poczty? Tak. Czy można powiedzieć cokolwiek pozytywnego o grzebaniu w cudzych kieszeniach? Nie...

Ruby sprawdziła kieszenie kurtki Brandona. W jednej znalazła zmięty test z

geometrii. Widniało na nim: 17/20 * znaczna poprawa, Brandon. W drugiej nie było niczego poza paskiem gumy do żucia Bubblicious. Niewinny jak dzieciątko Jezus. Niech pan sobie grzebie w tych jakże typowo amerykańskich kieszeniach, sierżancie D'Amario, i niech się pan odczepi. Oczywiście w czasach dzieciątka Jezus nie było jeszcze cracku. Pewnie była to równie nudna epoka jak czasy Inków, aż narodził się on, lub On, to zależy, i rozruszał trochę świat, tak jak Pizzaro i Cortez, i cała reszta Konkwistadorów, ale był znacznie od nich miłszy. Nim zdała sobie z tego sprawę, guma znalazła się w jej ustach. Bubblicious należała do ulubionych gum Ruby. Żucie gumy pomagało zebrać myśli, nie było co do tego wątpliwości. Czy Einstein i jemu podobni żuli gumę? Z pewnością, a jeśli nie, to poszłoby im lepiej, gdyby żuli. Może potrafiliby wyjaśnić to wszystko tak, żeby ludzie zrozumieli.

Ruby stała w przedsiionku i żuła gumę. Widziała Zippy'ego, leżącego pod kuchennym stołem. Otworzył jedno oko, również ją spostrzegł i pomachał ogonem, uderzając nim w podłogę. Skąd ten nagły przyływ uczuć? Czyżby nabałaganił w którymś kącie domu?

Pograżyła się w swoistym gumożuciowym transie. Jej umysł opuścił już Einsteina i Zippy'ego, kierując się w stronę nierozwikłanych zagadek. Istniały dwie: Tajemnica Zniknięcia Szkolnej Kurtki i Tajemnica Anonimowego Rozmówcy, w kolejności, w której się wydarzyły. Zabawne: w tej chwili pracowała nad zagadką numer dwa, zagadką tego anonimowego rozmówcy, a szperała przy tym w kieszeniach kurtki, będącej przedmiotem sprawy numer jeden. Hej, chwileczkę. Czy to oznaczało, że te dwie zagadki były ze sobą połączone? W jaki sposób? Czy sam anonimowy rozmówca * lub sama (jakaś dziewczyna zazdrosna o Trish?) * czy ten ktoś był zamieszany w dziwne zniknięcie i pojawienie się kurtki? Z pewnością; elementarna rzecz, droga Ruby. Gdy wyeliminuje się to, co niemożliwe, wówczas to, co pozostanie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdą. Być może ta myśl nie do końca jeszcze pasowała do połączenia dwóch zagadek, lecz Ruby i tak czuła jej moc.

Aten związek dwóch spraw! Niesamowite. By dogłębnie pojąć znaczenie jednego

elementu należącego do całej serii zdarzeń: istniały dwie serie zdarzeń, seria związana ze szkolną kurtką i seria związana z anonimowym rozmówcą, a związek, który odkryła, był wyjątkowy, łączył ze sobą obie te serie.

* O, rany.

Zippy ponownie otworzył oko, zamierzał ogonem i opuścił go na podłogę. Tym samym podniósł z ziemi chmurkę kurzu. Kurz tańczył w świetle sącącym się przez szparę w miejscu, gdzie dwie połowy stołu łączyły się ze sobą. Ruby wpatrywała się w ten widok, gdy otworzyły się boczne drzwi i wszedł przez nie tata.

* Cześć, tato.

Tata rozmawiał przez komórkę, nawet jej nie zauważył ani nie usłyszał. Skierował się prosto do salonu.

Piorun trafia drugi raz w to samo miejsce * oznajmił Mickey Gudukas.

* Nie rozumiem * rzekł Scott.

* Mówię, że to twój szczęśliwy dzień, znowu. Chyba nie pozwolisz, by i tym razem okazja przeszła ci koło nosa, Scotty? Większości ludzi nie trafia się nawet jeden szczęśliwy dzień.

Scott starał się przekazać swe niezadowolenie w tonie swego głosu. * Czy to kolejny cynk?

* Raczej porada w sprawach inwestycji * poprawił go Gudukas. * Traktuję Symptomaticę i wszystko, co mi ofiarowała, jako coś tak wysokiej klasy, że nie mógłbym tego nazwać po prostu cynkiem. * Powiedział coś jeszcze, jego komórka na chwilę straciła zasięg i do Scotta dotarło jedynie ostatnie słowo: * ...krótko.

* Nic nie usłyszałem * powiedział Scott.

* Chryste * zdenerwował się Gudukas. * Chcesz zarobić kupę forsy czy nie?

Scott stał obok rzeźby Cynowego Człowieka, 19 * Bez tytułu. Linda i Deborah zainteresowały się artystą w czasach, gdy wiele rzeczy robili we czwórkę, na przykład razem jeździli do Nowego Jorku. Artysta nie zrobił kariery, lecz Scottowi spodobał się Cynowy Człowiek, choć nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Ofiarował go Lindzie na Święta Bożego Narodzenia i musiał z nią walczyć, by przyjęła prezent.

Uwielbiała tę rzeźbę, uważała, że to najlepsze dzieło artysty, ale ta cena: dwa patyki *

coś więcej niż splunięcie w tamtych czasach, a i teraz nie było to mało. Zresztą czy kiedyś mogło być inaczej? Jak miło byłoby nie martwić się o dwa patyki wydane tu i tam, czy nawet o dwadzieścia. Odetchnąć głębiej, wypiąć pierś do przodu, zrobić w życiu coś interesującego, być może pewnego dnia otworzyć restaurację * nazwać ją 19 * Bez tytułu i postawić rzeźbę na barze. Dzieciaki i ich przyjaciele mieliby zagwarantowaną pracę latem. Wyobraził sobie Ruby w kucharskiej czapce.

* Bo są na tym świecie ludzie, którzy nie chcą zarobić kupy szmalu * stwierdził Gudukas. * Choć może się to wydać dziwne. Są zadowoleni z wygodnego życia, cokolwiek to, do cholery, znaczy.

Scottowi nie wydawało się to dziwne. Tom należał do takich ludzi. * No słucham * powiedział.

* Codexco. * Długa cisza.

* Mów dalej.

* Codexco * powtórzył Gudukas, tym razem robiąc krótszą przerwę. * To słowo zmieni twoje życie.

* Nigdy nie słyszałem o tej firmie.

* Co ty powiesz? * zawołał Gudukas. * Świat jest pełen firm wartych pięćset milionów dolarów, o których nikt nie słyszał.

* Ta firma jest warta pięćset milionów?

* Jest notowana w indeksie Nasdaą od dziesięciu lat, w poprzednim kwartale zaczęła nawet płacić dywidendy * wyjaśnił Gudukas. * Wkładam w to całą forszę z Symptomatiki.

* Myślałem, że już jesteś bogaty.

* Nie na tyle, żeby kupić wyspę na Bahamach.

* Kupujesz wyspę na Bahamach?

* Dokładnie jej część. Jak skończę z Codexco. Jest tam już kort tenisowy dla Kyli.

* Czym się ci Codexco zajmują?

* A kogo to obchodzi? * rzekł Gudukas. * Zajmują się oprogramowaniem dla przemysłu ciężkiego. Pamiętasz tę wielką aferę w Chinach, jak zatopili tych wszystkich wieśniaków? Codexco też w tym brało udział.

* Więc co w nich dobrego?

* To, co w nich złe, jest dla nas dobre * wyjaśnił Gudukas. * Mają specja z doktoratem z Cal Tech, który pracuje nad jakimś algorytmem, dzięki któremu zredukują koszty o jedną trzecią i pozbedą się konkurencji. Wydali na to do tej pory piętnaście milionów, zbudowali nowe laboratorium. Dobre wieści są takie, że to nie wypali, ale nikt poza nami o tym nie wie.

* A więc chodzi o sprzedaż bez pokrycia?

* Dokładnie tak. Mam nadzieję, że już się tego nie boisz.

* Skąd wiesz, że ten algorytm nie wypali?

* Ach, wy... * mruknął Gudukas.

* Jacy wy?

* Ty i twój brat, nikomu nie wierzycie. Nie widzisz, że wszystko układa się w pewien wzór? Czy kiedykolwiek źle ci doradziłem? Stentech, Symptomatica, teraz to. Szukanie wzorów * na tym właśnie polega inwestowanie.

* Nazywaj to szukaniem wzorów, jak chcesz * powiedział Scott. * Ale skąd masz te informacje?

* Moje źródło jest poufne, lecz widziałem ich wewnętrzne dokumenty, Miałem je w ręku * stuprocentowo negatywna ocena podparta tysiącami jakichś pieprzonych równań matematycznych, tabelk i wykresów. Piętnaście milionów poszło się gonić i firma wspierająca ich kapitałem się wycofuje. Jak tylko wyjdzie to na jaw, ich udziały będą gównem warte. Nie spadną do zera, jak Symptomatica * to bardziej złożony problem * ale stracą połowę wartości z dnia na dzień.

* Po ile stoją?

Klik, klik po stronie Gudukasa.

* Dziewięć dwadzieścia pięć. Od wczoraj wzrosły o dwadzieścia centów, i dobrze.

* Myślisz, że spadną do pięciu dolców?

* Do czterech, pięciu, coś koło tego. Może nawet do dwóch lub trzech.

* Kiedy?

* Tego nikt nie wie. Ale zwykle zdarza się to prędzej niż później.

* Pełna prowizja?

* Stawka dla stałego klienta, niech będzie moja strata. Powiedzmy, że spadnie do pięciu, trzeźwo patrząc. Dziewięć minus pięć to cztery. Pięćdziesiąt tysięcy udziałów to dwieście patyków, sto tysięcy to czterysta patyków, a sto dwadzieścia pięć to połowa miliona. Pieniądze na restaurację. A co mógłby w tej grze postawić? Nic, poza swoim udziałem w firmie.

* Zasnąłeś, Scotty? * zapytał Gudukas.

* Mam na imię Scott.

* Cholera. Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś? Sam mam zgadywać? Kurde, ja lubię jak wszyscy mówią do mnie Mickey.

* Dam ci znać, Mickey.

* Zrobisz, jak zechcesz, Scott * odparł Gudukas. * Ale czas leci.

23

Nie sądzisz, że Linda powinna o tym wiedzieć? * zapytał Tom.

Siedzieli w biurze Toma, na zewnątrz było już ciemno, a w środku paliły się światła: zielona, przyciemniana bankierska lampka na biurku Toma, lampa podłogowa na końcu kanapy, tuż obok Scotta, i mała miedziowa lampka nad portretem ojca wiszącym na ścianie. Jej odbłask skrywał twarz starego, światło odbijało się także od złotego zegarka, zegarka, który teraz należał do Toma.

Tak było sprawiedliwie: Scott odziedziczył zestaw spinek do krawata i mankietów z macicy perłowej. Lecz pytanie Toma rozwścieczyło Scotta.

* Czy Deborah wie o każdej, najdrobniejszej rzeczy, którą robisz? * zapytał.

Nie ująłby tego w ten sposób przed ostatnią rozgrywką w tenisa, a już z pewnością nie wypowiedziałby tych słów tak ostrym tonem. Twarz Toma poczerwieniała, co zadowoliło Scotta. Nie powinien być teraz zmuszany do błagania, nie po historii z Symptomaticą.

* Chodzi mi o to, że istnieje związane z tym ryzyko * wyjaśnił Tom. * Ryzyko, które dotyczy także jej.

* Skąd u ciebie ta nagła troska o Linde? * odparował Scott, z satysfakcją zauważając, jak rumieniec na twarzy Toma robi się jeszcze bardziej czerwony. Ten nowy ton również mu się podobał, samo jego brzmienie. Ta rozgrywka w tenisa wiele zmieniła. Nie miał, co prawda, zamiaru tego wykorzystywać na co dzień: byli przecież braćmi.

* Pozwól, że sam będę się o nią troszczył * dodał łagodniejszym tonem głosu.

Rumieniec na twarzy Toma nie zniknął, lecz wręcz przeciwnie, nasilił się. Może był chory, tak jak wszyscy w tym tygodniu. Słońce nie pokazywało się już od jakiegoś czasu.

* A po drugie, żadne ryzyko nie istnieje * wyjaśnił Scott.

* Jak możesz tak mówić? Ryzyko zawsze jest trudno określić. A sprzedaż bez pokrycia to jedno z najbardziej ryzykownych działań, każdy o tym wie.

* Przecież właśnie wszystko ci wyjaśniłem * odparł zaskoczony Scott. * Gudukas widział wewnętrzne dokumenty. To jak przeczytać dzisiaj wiadomości z jutrzejszej gazety.

* Dlaczego ufasz komuś takiemu jak on?

* To nie ma nic wspólnego z nim osobiście. Chodzi o to, czego dokonał do tej pory. Stentech, Symptomaticą. Nie widzisz, że to układa się w jakiś wzór? On zdobywa pewne informacje. Mówiłem ci to od samego początku.

* Jakim cudem zdobywa takie pewne informacje?

* Jesteś snobem, wiesz o tym? Dlaczego niby nie miałyby ich zdobywać? Bo ubiera się krzykliwie i beznadziejnie gra w tenisa? Gudukas ma dobre kontakty i haruje jak wół, by je podtrzymać. Czy to nie wystarczy?

* Kto jest jego kontaktem w tym przypadku?

Co za pytanie; pytanie, którego można by się spodziewać co najwyżej po kimś stojącym po przeciwnej stronie w konflikcie pokoleń.

* Spodziewasz się, że on to ujawni? * zapytał Scott. * Lepiej takich rzeczy nie wiedzieć, dla własnego dobra.

* I właśnie tego rodzaju stwierdzenia przerażają mnie najbardziej.

Tom zbyt łatwo dawał się przerazić. * Czytając między wierszami, odniosłem wrażenie, że jego kontaktem jest facet od kapitału wysokiego ryzyka * stwierdził

Scott.

* Kto?

Jeżu. * Gość ze spółki, która zainwestowała w Codexco. Wybuchnie bomba, kiedy zaczną pozbywać się udziałów.

Patrzyli na siebie z głowami zatopionymi w odrębnych plamach światła. Scott czuł moc tego wyrażenia * kapitał wysokiego ryzyka * które zdawało się ciążyć na atmosferze panującej w gabinecie.

* Czy to do nas podobne? * zapytał Tom.

* Co masz na myśli?

* Czy jesteśmy ludźmi, którzy bawią się w takie gierki? Kapitał wysokiego ryzyka, sprzedaż bez pokrycia, inwestowanie pieniędzy w firmę taką jak Codecto...

* Codexco.

* ...skoro nie rozumiemy nawet, czym się zajmuje?

Moc tego wyrażenia była namacalna, lecz ich umysły różnie na nią reagowały. Tom się przed nią kulił, Scott ją chłonał. Jak to ujął Julian? Problem tkwi w komitywie.

Julian był bystry, nie dlatego, że rzucał na prawo i lewo słowami typu komitywa, które Scott rozumiał jedynie częściowo, ale dlatego, że potrafił dotrzeć do sedna spraw. Sto dwadzieścia pięć tysięcy udziałów, pół miliona dolarów, oznaczało koniec wymuszonej komitywy, oznaczało wolność, możliwość samodzielnego podejmowania decyzji. Ale nie zyska na tym wyłącznie on sam, lecz cała rodzina.

Brandon w przyszłym roku mógłby pójść do szkoły z internatem albo do porządnego liceum dziennego, Loomis czy Choate, może nawet udałoby mu się dostać na Harvard. Julian mógłby nadal przychodzić latem i podczas wakacji, żeby podciągnąć wyniki z SAT. Ciekawe, czy Ruby chciałyby mieć konia.

* Prawda jest taka * zaczął Scott * że chyba bardzo się od siebie różnimy. Jeden z nas jest facetem, który faktycznie bawi się w te gierki.

* A więc będziesz musiał bawić się sam * zawyrokował Tom.

* Czyli?

* Czyli nie mogę narażać na to ryzyko firmy.

* To wszystko nie zależy wyłącznie od ciebie * rzekł Scott. * Mama posiada

czterdzieści procent.

* Już z nią rozmawiałem.

* O czym?

* O tego typu sprawach, dokładnie mówiąc, o Symptomacie.

* I co powiedziała?

* Nic. Ale tydzień później przysłała mi tę książkę. * Tom otworzył szufladę biurka i wyjął z niej książkę: Giełda dla idiotów. Otworzył ją na zaznaczonej stronie. *

Podkreśliła ten fragment.

Tom wyciągnął rękę z książką, oczekując, że Scott wstanie z kanapy, by ją odebrać.

Scott pozostał na miejscu. Tom podszedł do niego i podał mu książkę.

Scott zaczął czytać zaznaczony fragment. Tom wrócił do biurka. Zadzwoił telefon.

Tom go zignorował.

Sprzedaż bez pokrycia nadaje się dla osób o stalowych nerwach. Olbrzymie korporacje i spółki handlujące towarami wykorzystują ją, by zabezpieczyć się przed stratą. Jeśli nie należysz do tej grupy, lepiej sobie odpuść.

* No i? * zapytał Scott.

* Sam możesz z nią porozmawiać * stwierdził Tom. * Ale moim zdaniem to jest właśnie jej odpowiedź.

* Jesteś pewien, że to nie ty wysłałeś jej tę książkę, może nawet z zaznaczonym fragmentem?

* Co się z tobą dzieje, Scott?

* Nic.

* Jak możesz zadawać mi takie pytania?

* Cofam to * powiedział Scott. * To nie miało znaczyć, że ci nie ufam. Wręcz przeciwnie.

Twarz Toma znów okryła się rumieńcem, zupełnie bez sensu. Wziął do ręki ołówek: mieli identyczne dłonie. * O ilu akcjach myślałeś?

* Stu tysiącach, może więcej.

* Po dziewięć za sztukę?

* Dziś rano były po dziewięć trzydzieści pięć.

* A jeśli nadal będą rosnać?

* Dlatego właśnie potrzebuję dodatkowego zabezpieczenia * żeby mieć w razie tego rodzaju nieprzewidzianych drobnych wahań. Ale koniec końców muszą spaść.

* A jeśli podskoczą do osiemnastu?

* Tak się nie stanie. Przede wszystkim nie ma na to czasu.

* Ale gdyby jednak, to będziesz winien biuru maklerskiemu dziewięćset tysięcy, prawda?

Identyczne dłonie, lecz zupełnie inne wnętrza; no dobrze, może dopiero teraz zaczęły się różnić tak drastycznie. Scott przypomniał sobie wskazówki Juliana dotyczące tenisa: walić prosto w niego i używać siły jedynie wtedy, gdy on użyje swojej. Była też trzecia wskazówka, którą Julian trzymał w rezerwie. Scott uśmiechnął się.

* Co cię tak bawi?

* Właśnie zdałem sobie sprawę, że to ja jestem podobny do taty. A zawsze myślałem, że to ty. * Walić prosto w niego.

* Tata przez całe życie nie kupił nawet jednej akcji.

* Ale zbudował swoje imperium.

Siła za siłą. Nastąpiła długa cisza. Po chwili Tom oparł się na krześle i skinął głową. Bitwa została skończona. To, co skutkowało na korcie tenisowym, skutkowało też w życiu.

* Mogę zapytać cię o jeszcze jedno? * rzekł Tom. * Czy twoje udziały w firmie plus dom i wszystkie pozostałe inwestycje mają wartość zbliżoną do dziewięćset tysięcy?

* Takie liczenie to czysta fantazja, Tom. Nie przestraszysz mnie. Zaczęło mocno padać, grad lub deszcz ze śniegiem, i stukało o szybę.

Na moment światła przygasły i po chwili powróciły do dawnej mocy.

* Wiesz co * powiedział Tom. * Wykupię twoje udziały w firmie. Scott nie zrozumiał. * Masz na myśli po wszystkim?

* Po czym?

* Jak już zrealizuję zyski z Codexco.

Tom pokręcił głową. * Teraz. Ale tylko na jakiś czas, po to, żebyś miał

zabezpieczenie. Jak już zgarniesz pieniądze, będziesz mógł je wykupić.

* To miło z twojej strony, Tom. Wykupić udziały z nawiązką, ma się rozumieć...

* Ma się rozumieć.

Tak! To naprawdę się stanie, choć nie w sposób, w jaki tego oczekiwał, ale jakie to miało znaczenie?

* Właściwie możemy zawrzeć umowę tu i teraz, tylko pomiędzy nami dwoma * zaproponował Tom. * Musimy jakoś oszacować wartość firmy. Ostatnim razem, jeśli dobrze pamiętam, obliczono ją, mnożąc roczny przychód przez dwa i pół. Zgadzasz się?

* Jasne. * Pamiętał, że obliczenia dotyczyły ostrożnej wyceny, ze względu na podatki. Mimo to mnożenie przez dwa do trzech były standardem.

Tom stuknął w kalkulator. * Dochody w zeszłym roku wyniosły osiemset tysięcy z groszami, wstawimy dokładną liczbę później. Dwa przecinek pięć razy osiemset tysięcy to dwa miliony, razy twój udział, zero dwadzieścia pięć, to daje pięćset tysięcy.

* Chwileczkę * zawołał Scott, może trochę poniewczasie. * Skąd weźmiesz pięćset tysięcy?

To było prawdziwe pięćset tysięcy * prawdziwe to złe słowo, bardziej kojarzyło się z terażniejszością, poprawił się Scott, w odróżnieniu od równie prawdziwych, lecz związanych z przyszłością pięciuset tysięcy, które zgarnie z Codexco.

* Mogę je zdobyć * wyjaśnił Tom.

* W jaki sposób?

* Mam linię kredytową, gdzie zabezpieczeniem jest dom. * To miało sens: wartość domów w Ołd Mili wciąż wzrastała, a Tom posiadał swój od wielu lat. * Mogę również zastawić domek w górach, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Scott zdał sobie sprawę, że Tom już dawno osiągnął to, o czym on sam dopiero marzył. Nie wydawał się tym cieszyć, nie wyglądał na kogoś, kto głębiej oddycha, ale to osiągnął.

* Umowę spiszemy jutro pod koniec roboty i wtedy też dostaniesz czek.

* Dzięki, Tom.

* Mam cholerną nadzieję, że to wypali * rzekł Tom.

* Możesz być tego pewien.

Tom był znacznie szybszy: umowa * Tom kupił udziały Scotta w firmie, Scott zachował prawo ich odkupienia po tej samej cenie plus odsetki ustawowe podniesione o jeden punkt procentowy * została sporządzona, podpisana w obecności świadków i poświadczona notarialnie o jedenastej następnego dnia, a godzinę później Scott zdeponował czek w firmie maklerskiej Gudukasa na oprocentowanym koncie. Pięćset siedemnaście tysięcy, dwieście sześćdziesiąt trzy dolary i siedemdziesiąt centów.

Gudukas zaprowadził go do pokoju konferencyjnego i zamknął drzwi. * W ile wchodzisz?

* Myślałem o stu tysiącach akcji.

* Z tą kasą możesz mieć o wiele więcej. * Gudukas pomachał fotokopią czeku. * Ja wchodzę w trzysta.

* Trzysta tysięcy akcji?

* Nie ma co się szczypać, gdy się marzy o prywatnej wyspie * stwierdził Gudukas.

* Po ile chodzą?

Gudukas zerknął na monitor stojący na stole konferencyjnym. * Osiem osiemdziesiąt pięć, w dół o dwadzieścia centów od kursu otwarcia.

Scott podszedł do ekranu, zobaczył Codexco, cenę, wolumen obrotu: wszystko w rzeczywistym czasie.

* Po ile były, kiedy wszedłeś? * zapytał Scott.

* Dziewięć zero pięć * odparł Gudukas.

* A więc mógłbyś kupić teraz i zarobić...

* Sześćdziesiąt kawałków * powiedział Gudukas. Nie musiał się nawet zastanawiać.

Ekran zamrugał i cena spadła do ośmiu osiemdziesiąt.

* Jezu Chryste * zawołał Scott. * Czy to właśnie się dzieje?

* Być może * stwierdził Gudukas. * No więc ile bierzesz?

* Może sto dziesięć * powiedział Scott. Gudukas zagdakał jak kurczak.

* W porządku, sto dwadzieścia pięć.

* Sto dwadzieścia pięć brzmi niezłe * rzekł Gudukas. * Ale sto pięćdziesiąt łatwiej się mnoży.

Na ekranie przed jego oczami Codexco spadło o kolejne pięć centów, do ośmiu siedemdziesiąt pięć. Piętnaście tysięcy dla Gudukasa, dwa razy tyle, ile Scott stracił, nie wchodząc do gry dwie minuty temu ze stu pięćdziesięcioma tysiącami akcji.

* Sto pięćdziesiąt * rzucił Scott.

* Zuch chłopak * zawołał Gudukas.

Scott sprzedał sto pięćdziesiąt tysięcy akcji Codexco, których nie posiadał, pożyczając je, zgodnie ze standardową procedurą, od biura maklerskiego Gudukasa. Cena spadła do ośmiu siedemdziesiąt pięć * sto pięćdziesiąt tysięcy razy osiem siedemdziesiąt pięć to daje milion trzysta dwanaście tysięcy pięćset dolarów. Do momentu, gdy wychodził z biura Gudukasa, Codexco, spadło do ośmiu sześćdziesiąt pięć. Zarobił już piętnaście tysięcy.

Grad, wiatr, wszystkie latarnie zapalone: było jeszcze ciemniej niż wczoraj, chmury rozpruwały sobie brzuchy o wierzchołki drzew. Scott jednak jaśniał wewnętrznym światłem. Miał już piętnaście tysięcy! Zaczęło się. Ledwo się zmusił, by wrócić do pracy, usiąść za biurkiem, wypisywać polisy * na życie, na wypadek inwalidztwa, medyczne, mieszkaniowe, samochodowe, zbiorowe. Każda z tych osób płaciła składkę ubezpieczeniową, starając się utrzymać to, co już posiadała. On przechodził na wyższy po

ziom, miał dostać więcej, o wiele więcej * tyle, że już nigdy nie będzie musiał się martwić o utrzymywanie tego, co posiada.

Codexco zakończyło dzień na ośmiu i pół, spadając o dwadzieścia pięć centów: 37.500 dolarów na plusie. Nie chodziło już o realizację zysków, lecz o pomnażanie. A jeśli Codexco nie zatrzyma się na czterech lub pięciu, ale spadnie aż do trzech, a nawet dwóch? Scott bawił się liczbami. Były cudowne. Po drodze do domu wstąpił do biura podróży i zafundował sobie przyjemność położenia tego wieczoru na kuchennym stole czterech biletów na samolot.

* Co to jest? * zapytała Linda.

* Atlantis.

* Super! * krzyknęła Ruby.

* Co się dzieje? * ponownie zapytała Linda.

* Jedziemy do Atlantisa? * zainteresował się Brandon.

* Kiedy? * zawołała Ruby.

* Jutro rano * wyjaśnił Scott. * O dziewiątej czterdzieści pięć, bez międzylądowań, prosto z Bradley. Będziemy na miejscu tak, że zdążymy jeszcze popływać przed drugim śniadaniem.

* Co to jest Atlantis? * zapytała Linda.

* Chyba nie mówisz poważnie * zdziwił się Brandon.

* Paradise Island, Bahamy, Lin * tłumaczył Scott. * Atlantis to ten kompleks hotelowy z podwodnym parkiem, po którym poruszasz się w szklanym tunelu.

Ruby zatańczyła wokół stołu.

* Ale jutro jest piątek * odezwała się Linda.

* Wrócimy w niedzielę wieczorem * uspokoił ją Scott. * Z piękną opalenizną i solą we włosach.

* W piątek dzieci chodzą do szkoły.

* Mamo!

* A my do pracy.

* Już zadzwoniłem, że jestem chory * rzekł Scott. Dzieci parsknęły śmiechem, ponieważ mógł wziąć wolne, gdy tylko chciał, choć nigdy tego nie robił. * Chętnie cię zarażę tym, co mi dolega, jeszcze dziś wieczorem.

Dzieci ponownie parsknęły śmiechem, lecz Linda nadal marszczyła brwi, co spowodowało pogłębienie się pionowej bruzdy na czole. * Co ty kombinujesz, Scott? Nie stać nas na to.

* Wręcz przeciwnie.

* Czym zapłaciłeś? Możemy oddać te bilety?

* Nie da rady * stwierdził Scott. * Już nas zakwaterowali.

* Czy ty coś piłeś?

* Jeszcze nie. * Żałował, że nie kupił po drodze butelki szampana, może dwóch.

Przyjrzała mu się uważnie, a następnie wzięła do ręki jeden z biletów i przebiegła po

nim wzrokiem. * Pierwsza klasa? * zawołała. * Czyś ty oszalał?

* Pierwsza klasa! * krzyknął Brandon.

* Zamówię wszystko * ucieszyła się Ruby.

* Scott, w tej chwili masz mi to wyjaśnić.

Podszedł do niej i mocno ją objął. * Przecież kochasz słońce * mruknął. * Twoja skóra będzie miała ten piękny śródziemnomorski odcień.

* Mam nadzieję, że moja nie * powiedziała Ruby. Linda wyrwała się z jego objęć.

* Miałem dziś dobry dzień i tyle * wyjaśnił Scott. * Chciałem trochę rozjaśnić nasze życie.

* Sam to wymyśliłeś, tato? * zapytała Ruby.

* Co masz na myśli, mówiąc „dobry dzień”? * zapytała Linda.

* Na giełdzie.

* Grasz na giełdzie?

* Próbowałaś teraz naśladować swoją żydowską babcinę?

* Jak w tym sitcomie o rodzinie Seinfeldów * zauważyła Ruby. Linda spojrzała na nią. * Cicho * rzuciła podniesionym głosem. *

I wyjdź z pokoju. To, co powiedziałaś, Scott, było obrzydliwe.

* Przepraszam * rzekł Scott. * Nie miałem niczego złego na myśli. Ale gra na giełdzie? Daj spokój. Przecież to dla nas nic nowego * weź choćby fundusze powiernicze. Po prostu sam poczyniłem inwestycję, korzystając z dobrze poinformowanego źródła.

* Ile zarobiliśmy, tato? * zainteresował się Brandon.

Scott obniżył nieco liczbę, trzydzieści siedem i pół tysiąca brzmiało chyba zbyt pięknie, by było wiarygodne.

* Siedemnaście tysięcy i trochę * powiedział. * Jak dotąd.

Brandon przybił mu piątkę. Poczul się świetnie. * A wycieczka kosztuje mniej niż czwarta część tego * kontynuował Scott. * Opcja ful wypas. No i co wy na to?

Linda spojrzała na Brandona, który przyglądał się jej z zadziwiającą obojętnością, mogącą stanowić wskazówkę odnośnie tego, co z niego wyrośnie; na Ruby, która nie miała zamiaru wychodzić z pokoju i była bliska skakania z radości; w końcu na niego

samego. Był pewien, że właśnie roz

myśla nad jego słowami o rozjaśnianiu życia. Uśmiechnęła się. Nie był to pełen uśmiech, a bruzda na jej czole pozostała głęboka.

* Dobrze * rzekła tylko.

I nastąpiła dłuższa chwila szczęśliwego pandemonium. Zippy zupełnie stracił panowanie nad sobą, szczekając, szarpiąc torbę ze śmieciami i strącając ogonem karton z wołowiną po mongolsku, stojący na stole.

* A co z nim? * zapytała Linda.

* Musimy jutro rano zadzwonić do schroniska * zawyrokował Scott.

* Nie możemy tego zrobić * wtrąciła się Ruby. * On nienawidzi schroniska.

* A poprzednim razem chyba mówili, że nie chcą go tam więcej widzieć * przypomniał im Brandon.

Wszyscy spojrzeli na Zippy'ego. Zjadał mongolską wołowinę z podłogi, jednocześnie wyjąc z jakiegoś powodu.

* A może poprosić Juliana? * zaproponowała Ruby. * Nie mógłby pomieszkać tutaj, gdy nas nie będzie? Zippy go uwielbia.

* Wspaniały pomysł * ucieszył się Scott. * Jaki jest numer jego telefonu?

* Czy tak się zbyt nie narzucamy? * zapytała Linda.

* Zapłacimy mu, to oczywiste * stwierdził Scott. Scott wykręcił do Juliana. * Co słychać?

* Nie narzekam * odparł Julian. * A u was?

* Całkiem nieźle, szczerze mówiąc. * Scott słyszał wycie wiatru za oknem. Lodowate fale uderzyły o szybę. Jutro o tej porze będzie siedział w jednym z tych barów przy basenie, obserwując zielone refleksy. * Chcielibyśmy prosić cię o pewną przysługę.

* Tak?

Scott wyjaśnił. * Zapłacimy ci, ma się rozumieć * dodał na końcu.

* Nie ma takiej potrzeby * odparł Julian. * Zmiana otoczenia dobrze mi robi.

Ruby pobiegła na piętro, by się spakować.

W którym pokoju mogę zamieszkać? * zapytał Julian.

Ruby zeszła po schodach, dźwigając plecak, cudownie pozbawiony szkolnych

przyborów, teraz rozrzuconych po całym pokoju, za to zawiera jący rzeczy niezbędne w samolocie * płyty CD, odtwarzacz, kredki, gumę do żucia, cukierki, Sherlocka Holmesa: opowieści zebrane. Tata spoglądał na mamę.

* W sypialni na końcu korytarza, tak myślę * rzekła mama. * W tej pustej.

* Czy może wolelibyście, żebym spał na kanapie? * zapytał Julian. * Może w pokoju telewizyjnym?

* Ależ nie * zaprzeczyła mama. * Oczywiście, że nie.

Dosyć tych pogaduszek, pomyślała Ruby. Żeby zrozumieli, o co jej chodzi, nie będąc jednocześnie niegrzeczną, powiedziała:

* Mam nadzieję, że Brandon już wstał?

* Szczerze mówiąc, jako pierwszy * wyjaśnił tata. * Pakuje rzeczy do samochodu.

* Ja cię kręcę * rzekła Ruby. Książę snu w akcji, choć na dworze jeszcze ciemno.

Ruby weszła do garażu. Zobaczyła go, jak robi mnóstwo rzeczy naraz, czysty, wypachniony, schludnie ubrany i perfekcyjnie nażelowany.

* Daj mi to * powiedział.

Ruby podała mu plecak. Wetknął go w idealnie dopasowane miejsce tuż obok torby tenisowej.

* A sprzęt do nurkowania? * zainteresowała się.

* Zapakowany.

* Mój też?

* A jedziesz z nami?

* Jasne.

* No to twój też.

Książę snu okazał się Panem Pomagalskim. Poczula zwariowany impuls, by rzucić mu się na szyję i mocno ucałować, może nawet podnosząc jedną nóżkę w górę, jak stęsknione za kochankami panienki na starych filmach. Zwalczyła to uczucie w mniej niż sekundę.

* Czy Trish wie, że jedziesz? * zainteresowała się.

* A co cię to obchodzi?

Znów byli na dawnej ścieżce. Szybki całus: teraz żałowała, że mu go nie dała, gdy

moment był po temu odpowiedni.

Przyszedeł Zippy, kręcąc się w kółko i popiskując.

* On płacze * rzekła Ruby.

* Co za ciota * stwierdził Brandon, pakując mały kuferek z kosmetykami mamy.

* On wcale tak nie myśli * powiedziała do Zippy'ego Ruby, klęcząc przy nim i mocno go przytulając. * Wszyscy cię kochają. * Nerwowo polizał ją po twarzy. * Och, biedactwo * szepnęła. * On wie, on wie...

Zabrała go do kuchni i napełniła miski na jedzenie i wodę aż po same brzegi. Nawet nie spojrzał w tym kierunku, co było zupełnie do niego niepodobne.

* Zanim się obejrzysz, już będziemy z powrotem * pocieszyła Zippy'ego, targając go za uszy. Wciąż piszczał, spoglądając na nią wielkimi oczami, jak święty z obrazu tego malarza, któremu wszystkie postacie wychodziły wysokie i chude.

* Nie martw się * odezwał się Julian. Odwróciła się. Julian obserwował ją, stojąc w drzwiach. * Będę się nim dobrze opiekował.

* Dziękuję, Julian. On nie sprawi kłopotu, naprawdę. Będziesz się świetnie bawił. * Otworzyła szafkę pod blatem. * Trzeba mu dać miskę tego co wieczór, ale czasami jest głodny również rano. I od czasu do czasu lubi zjeść puszkę tamtego. Te rzeczy daje się w nagrodę, a to są zabawki. Jeśli nadarzy się okazja, mógłbyś poćwiczyć z nim aportowanie * jest w połowie retrieverem, wiedziałeś o tym? * a te kości ze skóry...

* Ruby! * zawołał z garażu tata. * Co cię zatrzymało?

* I nie dawaj mu prawdziwych kości * dokończyła Ruby. * Mogą go zabić.

* Zrozumiałem.

* Mimo że jest mięsożerny.

* Ruby! * Tata pojawił się w drzwiach do garażu.

* Do widzenia, Zippy. * Całowała go, nie mogąc przestać. * Kocham cię, kocham, kocham. * Odwzajemniał jej pocałunki, tak jakby już nigdy nie było im dane się spotkać.

* Na miłość boską, Ruby!

* On nie chce, żebym jechała.

* Została jeszcze ta wołowina po mongolsku? * zapytał tata. * To powinno złagodzić cierpienie. * Podszedł, wziął ją za rękę i poprowadził w stronę garażu. * Dziękujemy za wszystko, Julian * powiedział.

W drzwiach pojawiła się głowa mamy, a na jej twarzy malowało się przerażenie. * Nie zdążymy.

* Gdybym was zawiózł * zaproponował Julian * nie musielibyście martwić się o miejsce do parkowania.

* Dobry pomysł * zgodził się tata.

* Na pewno nie masz nic przeciwko temu? * upewniła się mama.

* Oczywiście, że nie * stwierdził Julian. * A Zippy będzie miał czas na zebranie myśli.

Zebranie myśli? * zaśmiał się Brandon. * A skąd weźmie choćby jedną? Jechali na lotnisko * tata i mama siedzieli z przodu, Julian, Brandon i Ruby z tyłu. Ruby zajmowała środkowe miejsce, na którym Brandon nigdy nie siadał, tak jakby był to występ przeciwko religii, którą wyznawał * śmiejąc się przez cały czas aż do momentu, gdy dostrzegli pożar samochodu na drodze I*91. Ruby nigdy przedtem nie widziała palącego się samochodu: dym, płomienie, płacząca kobieta stojąca obok karetki.

* Wielkie nieba * westchnął Julian.

Pożar samochodu znacznie ich opóźnił. Na piętnaście minut przed odlotem z piskiem opon podjechali przed terminal * dosłownie z piskiem, jakby grali w jakimś policyjnym serialu * i wszyscy wyskoczyli z auta, nawet Julian, by pomóc przy bagażach, a następnie pobiegli do odprawy. Przed stanowiskiem ciągnęła się olbrzymia kolejka.

* Chodźcie tutaj * zawołał tata.

Olbrzymia kolejka. A przy odprawie dla pierwszej klasy nie było nikogo.

* No, no * odezwał się Julian.

* To nie w naszym stylu * wyjaśniła Linda, podczas gdy Scott podawał bilety. *

Wpadło nam trochę dodatkowej gotówki.

Brandon i Julian wrzucili torby na wagę. Ruby zerkała na kolejkę do drugiej klasy z

satysfakcją. Każdy ze stojących tam ludzi czekał z napięciem na swoją kolej. Ona sama czuła się cudownie zrelaksowana, jak ta kobieta w jednym starym filmie, która powiedziała „Obierz mi grejpfruta”*. Tam, gdzie był koniec kolejki, otworzyły się szklane drzwi prowadzące na zewnątrz i weszły przez nie trzy osoby * mężczyzna i kobieta w długich, pasujących do siebie futrach, i dziewczynka w jej wieku...

* Hej, to przecież Kyla!

Tata odwrócił się. * Kyla Gudukas?

* Proszę bardzo * rzekł akurat pracownik lotniska, podając mu bilety. * Wyjście numer dziewiętnaście.

Ruszyli w stronę wyjścia, spotykając po drodze rodzinę Gudukasów. Pani Gudukas przefarbowała włosy na blond. W swoim futrze wydawała się taka mała.

* Mae West do czarnej służącej na wieść, że opuścił ją kochanek * w filmie „Nie jestem aniołem”. Przysłowiowy wyraz niewrażliwości.

* Proszę, proszę * rzekł pan Gudukas. * Wielcy ludzie myśl\ podobnie. Gdzie się wybieracie?

Tata poinformował go o celu podróży. * A wy?

* Do Paryża * odparł Gudukas. * Wyrrywamy się z miasta na weekend. Zatrzymamy się w Ritzu.

* Przywieź mi jeden z tych ich szamponów * powiedziała Ruby do Kyli.

Gudukasowie poszli swoją drogą, ciągnąc skórzane walizki na kółkach ze złotymi zdobieniami.

* Julian, dziękujemy za... * zaczęła mama. Wszyscy rozejrzeli się dookoła, lecz Juliana już nie było.

* Może zobaczył gliniarza * stwierdził tata.

* Gliniarza? * zdziwiła się Ruby.

* Biorą samochody na hol * wyjaśnił tata.

* A tego byśmy nie chcieli, prawda, Bran? * zaszydziła Ruby.

* Żałuj, że to powiedziałaś * odezwał się Brandon. * Już miałem odstąpić ci miejsce przy oknie.

Usiedli z przodu pierwszej klasy. Ruby zajęła swoje miejsce, przy przejściu, nie przy

oknie, ale i tak było to najwygodniejsze siedzenie, jakie kiedykolwiek wynaleziono, i wypróbowała je w każdej możliwej pozycji. Usłyszała głos mamy:

* Do Paryża? Nie miałam pojęcia, że tak dobrze im się powodzi.

* Nadeszły lepsze czasy * wyjaśnił tata.

Gdzieś w pobliżu rozległ się odgłos korka od szampana. Stewardessa uśmiechnęła się do Ruby. * Czego sobie życzysz? * zapytała.

Czy posunęłaby się za daleko, mówiąc: „Obierz mi grapefruita”?

Julian nie był w dobrym nastroju, gdy wrócił na Robin Road 37; nacisnął przycisk na panelu sterującym jeepa Lindy, by otworzyć bramę garażu, zaparkował i wszedł do kuchni. Rozwój wydarzeń zależał od niego, lecz niektóre z postaci, nawet mniej znaczące, takie jak Mickey Gudukas, wciąż zaskakiwały go własnymi pomysłami. Gdyby nie usłyszał tego świergotu * przecież to Kyla * cała jego praca ległaby w gruzach, cała powieść spaliłaby na panewce, a kulminacja byłaby beznadziejna, poniżająca i absurdałna, jakby go ktoś obrzucił zgniłymi owocami. Poza tym jego pospieszne wyjście, niezauważone dzięki czystemu zbiegowi okoliczności, z pewnością zrodzi pytania. Mógł sobie wyobrazić odpowiedzi przypuszczalnie udzielane przez Scotta * policja, bilety, odholowanie samochodu * lecz nie mógł być niczego pewien. Nie mógł być nawet pewien, nie na sto procent, że Gudukas go nie zauważył. W tym wyłożonym gumowymi wycieraczkami przejściu pomiędzy drzwiami zewnętrznymi a wewnętrznymi, gdzie kończyła się kolejka drugiej klasy, nie patrzył w jego stronę, a Julian zaraz obrócił się na pięcie i odszedł, ale pewności nie miał. Dwa kolejne problemy drugorzędnej wagi pojawiły się nagle niczym strużki wody na wale przeciwpowodziowym: i jak on miał pracować w takiej atmosferze?

Julian zapalił papierosa, wrzucił zapalną do zlewu i starał się uspokoić. Nie było to łatwe, zwłaszcza że, jak zauważył, zostawili po sobie brudne naczynia, dwa kubki, jeden talerz, jedną misę, trzy szklanki po soku. Kto niby miał je umyć? Głęboko zaciągnął się dymem, spoglądając na naczynia.

Dlaczego ten chłopak tak się ciągle zamartwia? Podsłuchał kiedyś, jak ojciec zadaje to pytanie na werandzie klubu tenisowego koło Freetown, kiedy wracał z tych

dziwnych afrykańskich kortów, gdzie nie brakowało chłopców do podawania piłek, lecz pole gry było za długie prawie o metr. I odpowiedź matki: Ponieważ jest stworzony do wielkich rzeczy. Na dźwięk tych słów przeszedł go wtedy dreszcz, który czuł aż po dziś dzień. I wielkie rzeczy wreszcie miały miejsce: stosowny memoriał. W tej chwili dotarło do niego, że zapach płonącego ludzkiego ciała w niczym nie różnił się od zapachu jakiegokolwiek mięsa z grilla.

Czy mógł to być kolejny wers jego wiersza? Wyjął notes i zapisał, stojąc przy zlewie. oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać nic, czemu ufać sam nie możesz, twemu ufaniu powierzone nie będzie, ludzkie ciało w płomieniach...

Urwał. Nie był to kolejny wers wiersza, być może należał do innego poematu. Być może w ogóle nie był związany z żadnym wierszem. Zaciągnął się papierosem, wypalając go daleko poza normy elegancji, aż do końca, jak nałogowiec.

Coś otarło się o jego nogę, zaskakując go. Julian odwrócił się na pięcie z bijącym sercem. To tylko pies. Przytulił się do niego, machając ogonem. Julian się odsunął.

* Tylko nie to * powiedział.

Wtedy dostrzegł coś, co powinien był zauważyć od razu, gdy wszedł: psią kupę leżącą na progu jadalni.

* Chodź tu, Zippy.

Zippy podszedł.

Julian złapał go za obrozę.

* Czas na nowy reżim, Zippy * orzekł. * Poznaj Robespierre'a.

Poprowadził Zippy'ego do jadalni. Miał kiedyś psa, bardzo krótko, kiedy dorastał. Jego ojciec tresował tamto zwierzę, którego imienia nie pamiętał. Tego psa też należało wytresować.

* Dalej, Zippy.

Lecz Zippy włókł łapy po podłodze, a gdy zbliżyli się do jadalni i tego, co zrobił na jej progu, usiadł. Julian pociągnął go za sobą, ostro i zdecydowanie, tak jak robił to ojciec, przynajmniej w początkowej fazie tresury. Ostro i zdecydowanie * jego ojciec miał twardą rękę: potrafił z uśmiechem na twarzy ścisnąć za ramię, niby to dodając

odwagi, lecz celując w nerw tak, że ból promieniował aż do mózgu, niosąc ze sobą zgoła odmienną wiadomość.

* Tutaj, Zippy.

Stali nad cuchnącą stertką. Mocno trzymając Zippy'ego za obrożę, Julian siłą skierował głowę psa w dół. Pies zapiszczał i opierał się z całą mocą, lecz różnica sił była cudownie nieporównywalna.

* Rozumiesz, piesku? * zapytał Julian. * Już nigdy więcej tego nie zrobisz.

Skierował pysk Zippy'ego odrobinę niżej, by mieć absolutną pewność, że pies przyjął wiadomość, że poruszone zostały wszystkie nerwy. Wtedy Zippy zawarczał i zjeżyły mu się włosy na karku. Julian usłyszał, jak sam warczy w odpowiedzi, lecz głośniejsze, i poczuł jak włosy na jego karku także się podnoszą, a gorący dreszcz wstrząsa jego własnym systemem nerwowym, rozchodząc się po całym ciele. Wepchnął pysk Zippy'ego w odchody, potrzymał w nich chwilę, poruszając nim na prawo i lewo. Już nigdy, przenigdy, mamusiu i tatusiu...

Pozwolił Zippy'emu odejść. Pies wybiegł z pokoju z podkulonym ogonem, przerażony. Julianowi poprawił się humor. Teraz już mu nie przeszkadzało, że musi posprzątać bałagan, nawet nie zauważył, kiedy to zrobił. Gorące dreszcze wciąż wibrowały w jego ciele, lecz z odrobinę mniejszą mocą. Czuł się już znacznie lepiej, o wiele swobodniej, jak u siebie.

eJulian zaniósł swoją walizkę do pustej sypialni znajdującej się na końcu korytarza na piętrze, tej, która wznosiła się o kilka stopni na własny poziom, do pokoju Adama. Jak poddasze artysty: to naprawdę był najładniejszy pokój w całym domu, pasował mu doskonale.

Pościel wciąż była pomięta, tak jak wcześniej. Julian zdjął ją i ułożył przy drzwiach, by zabrać do prania, gdy będzie schodził na dół. Najpierw musiał zaznajomić się z nową, należącą do niego przestrzenią. To była podstawa, fundament sztuki militarnej. Podniósł materac, otworzył szafę, wszystkie szuflady w biurku i w komodzie, niczego nie znajdując. Chłopak nawet nie wydrapał swego imienia na żadnej z drewnianych powierzchni.

Na ścianie Julian odkrył dwa lub trzy kawałki przezroczystej taśmy w miejscu, gdzie

prawdopodobnie wisiały plakaty, lecz samych plakatów nie odnalazł, nie leżały zrolowane wśród kłębow kurzu pod łóżkiem, nie wpadły za komodę ani biurko. Może i lepiej: widok jakiegoś obecnie emerytowanego sportowca czy byłej gwiazdy filmowej mógłby być dość przykry, jak łatwo można przewidzieć... Ale co to? Za biurkiem, zaklinowany pomiędzy ścianą a kaloryferem tkwił poślizgnięty kawałek papieru. Julian delikatnie go wydobył i przysunął biurko na poprzednie miejsce. Podszedł do okna. Był kolejny ciemny dzień, prawie pozbawiony barw. Podniósł kartkę do tej namiastki światła, która wpadała przez okno; pogrzebowo * to słowo samo przyszło mu na myśl.

Streszczenie przeczytanej książki

Adam Gardner

Pani Freleng, klasa III

„O czym szumią wierzby” to moja najbardziej ulubiona książka. Napisał ją Kenneth Grahame. Występuje w niej gromada zwierzaków które mieszkają nad rzeką. Na przykład Kret i Borsuk, ale najfajniejszy jest pan Ropuch. Pan Ropuch jest bogaty i mieszka w Ropuszym Dworze. On jest też bardzo kiepskim kierowcą. Nie może się opanować i kradnie piękny samochód. Wsadzają go do więzienia na dwadzieścia lat ale ucieka. Jak Ropuch muwi Ciekawa rzecz, czy ten silnik da się szybko zapalić można się przygotować na wielkom przygodę.

Książka ma taki tytuł, bo jest tam Puszcza z wierzbami które czasami szumią.

Na dole strony widniała adnotacja nauczycielki: Dobrze, ale nie napisałeś pełnej strony. Popraw ortografię i interpunkcję.

Julian złożył kartkę i schował ją do kieszeni: idealne dane do uzupełnienia strony zatytułowanej „Adam” w jego notesie. Superchłopak * wcielenie cnót, u którego stóp wszyscy się płaszczą. Wcielenie cnót czy przeciętny dzieciak? Z pewnością przeciętny * przypuszczalnie nie bardziej inteligentny niż jego brat. Czy było w naturze tej rodzinki, tych zadowolonych z siebie przedstawicieli 5.999.900.000 coś, co sprawiało, że odbierali siebie nawzajem niezgodnie z rzeczywistością? To by dopiero było cenne spostrzeżenie! Julian rozejrzał się po domu. Nie znalazł, bo i nie spodziewał się znaleźć żadnych

mrocznych sekretów. Książeczki czekowe, wyciągi bankowe, świadectwa szkolne, recepty na zwyczajne lekarstwa, żadnych psychotropów * dostarczały szczegółów, lecz nie wносиły niczego nowego. W biurku sypialni Gardnerów natknął się na plany domu przy Robin Road 37 i tymczasowo je wypożyczył. W kotłowni znalazł skrzynkę na narzędzia należącą do Scotta, z kartką od Świętego Mikołaja wciąż przyczepioną do uchwyty. Narzędzia lśniły nowością, tkwiąc w swych dziewiczych miejscach.

Julian przygotował lunch, dwie maślane bułeczki z dżemem truskawkowym i szklankę mleka. Jadł, studiując plany domu. Questo e l'inizio della fine, lecz fine nie sprecyzowało się jeszcze w jego umyśle. Czy autor powinien znać Z, zanim postawi A? Cóż za ograniczenie * z pewnością najwspanialsze Z rodziły się gdzieś pomiędzy LMNOP. Trzeba było znaleźć sobie materiał do pracy, nawet jeśli istniało mnóstwo luk, należało zmagać się z LMNOP, by wierząc we własny talent, w końcu odnaleźć Z. Praca była ciężka, lecz warta zachodu. A on został stworzony do wielkich rzeczy. Po lunchu Julian wybrał się w podróż jeepem Lindy, ponieważ triumph, jego faworyt, za bardzo rzucał się w oczy. Julian był teraz miłym facetem z przedmieścia, który jedzie do Bridgeport i słucha radia ustawionego na lokalną stację. Dotarło do jego uszu naprawdę mnóstwo ważnych informacji.

Czy mógł nazwać wyzwaniem odszukanie w Bridgeport mordowni, baru, gdzie po drinku lub dwóch * w grę wchodziło jedynie piwo w butelce, Julian nie ufał niczemu innemu w takiej speluncie * nawiąże stosowny kontakt z pośrednikiem, który poprowadzi go do zaułku, gdzie kolejny pośrednik dokona z Julianem transakcji? Nie, to było proste. Trudność przy zakupie narkotyków oznaczałaby, że znalazł się w jakimś innym kraju. Co prawda, ledwo rozumiał drugiego pośrednika, który bez wątpienia był obywatelem tego samego kraju, lecz używał ekstremalnie innego dialektu. Pieniądze i narkotyki zmieniły właścicieli. Julian przez cały czas miał na dłoniach rękawiczki. Pośrednik, zasmarkany, zezujący barbarzyńca, prosty i nieskomplikowany, zasugerował spotkanie handlowe w przyszłości. Julian od razu poczuł głębokie zrozumienie dla tych wegetarian, którzy nie przyznawali ludziom wyższości nad innymi zwierzętami.

Zostając przy temacie zwierząt: zadanie numer jeden okazało się łatwe; zadanie numer dwa, znalezienie właściwego sklepu zoologicznego, było o wiele trudniejsze. Mijały godziny. Co się panu w tym nie podoba? * pytali. Albo w tym czy w tamtym?

* Jest za mało cętkowany * odpowiadał im.

* Za mało cętkowany?

Nim wrócił na Robin Road 37, zapadła noc.

Na planach domu widniał strych, lecz nie było do niego dostępu innego, jak mały, zamalowany właz znajdujący się w suficie korytarza na piętrze, który nijak mu nie pasował. Julian zaniósł skrzynkę z narzędziami do pokoju Adama. Nie był ekspertem w dziedzinie narzędzi, lecz doskonale rozumiał, na czym polega ich zastosowanie: były instrumentami potrzebnymi do osiągnięcia tego, czego się chce. Otworzył skrzynkę, najpierw czytając kartkę (Wesołych Świąt, Tatusiu. Mama to kupiła, a ja pomyślałam, że to dobry pomysł. Kocham Cię, Ruby. PS Co sądzisz o wybudowaniu domku na drzewie?). Następnie wziął do ręki piłę, wszedł do szafy wnękowej i wyciął w suficie kwadrat o boku około pół metra. Przysunął tam fotel na kółkach, wszedł na niego i umieścił na górze plany, taśmę mierniczą, świder i latarkę. Później podciągnął się w górę, trzymając ołówek w zębach. Jak pracowity pirat, pomyślał: musiał wyglądać naprawdę zabójczo.

Trzy metry i piętnaście centymetrów, odczytał z planu, od drzwi szafy do ściany, gdzie spotykały się dwie sypialnie, Adama i Ruby. Julian czołgał się po podłodze strychu, miękkiej i nieco sprężystej z powodu różowej powłoki izolacyjnej, rozciągając taśmę mierniczą. Dwa i pół metra do początku jej najbliższego okna, dwuskrzydłowego, a potem jeszcze metr sześćdziesiąt do jego końca. A więc wezłowie łóżka powinno być tutaj. Zrolował warstwę izolacyjną, ponownie sprawdził pomiary, zaznaczył ołówkiem grube X na odkrytej sklejce.

Zaczął wiercić świdrem półtracentymetrową dziurę. Bardziej w celach rekonesansu niż jakichkolwiek innych. Większy otwór, choć niewiele większy, pojawi się później, jeśli zajdzie taka konieczność. Małeńki stos drewnianego pyłu zebrał się na podłodze. Nagle opór znikł i metalowa końcówka wślizgnęła się przez dziurkę, szarpiąc lekko.

Pomyślał o Gail.

Pochylił się nad otworem i zaświecił w niego latarką. Z przerażeniem zauważył, że światło odbiło się w oczach jakiegoś zwierzęcia znajdującego się w dole, w pokoju Ruby. Jego oczy dostosowały się do światła: to tylko miś, pluszowy miś leżący na jej poduszce. Idealnie, za pierwszym podejściem. Okazało się, że świetnie sobie radzi z narzędziami.

Julian zebrał narzędzia, wyczołgał się ze strychu, opuścił go przez kwadratowy otwór w suficie szafy Adama i zaczął szukać stopami fotela.

Wtedy znów się przestraszył, o wiele mocniej niż przy spotkaniu z pluszowym misiem. Dwa albo trzy kroki od otwartych drzwi szafy stała kobieta, obserwując jego poczynania. Od razu ją rozpoznał: Jeanette. Nie miał pojęcia, skąd się wzięła, lecz zrozumiał głębsze znaczenie jej obecności czy raczej ponownego pojawienia się, z pewnością tego drugiego, biorąc pod uwagę scenę w Starbucks: to była Nemezis.

25

Julian wyjął ołówek z ust. * Jeanette, jeśli się nie mylę?

Skinęła głową. W jakiś sposób świder przechylił się i zsunął ze skraju dziury, jaką Julian wykonał w suficie, upadając na dno szafy tuż za nim. Jej spojrzenie powędrowało w tym kierunku, a potem spoczęło na Julianie. Byli prawie tego samego wzrostu, Jeanette była od niego może o dwa, trzy centymetry niższa. Nie zamierzała wyjaśniać swojej obecności w domu, stawiając go w absurdalnej sytuacji, gdzie to on musiał się zacząć tłumaczyć.

* Wyjechali na weekend * wyjaśnił Julian. * Na zasłużony wypoczynek. Opiekuję się Zippym i zajmuję majsterkowaniem, żeby czuć się przydatnym, i tak dalej.

* No właśnie * rzekła Jeanette. * Zippy. Przywiozłam w końcu ten rower Ruby i usłyszałam go przez ścianę garażu. Właściwie to słyszałam go już na ulicy.

* Rzeczywiście, lubi szczekać * przytaknął Julian.

* On wył, nie szczekał * poprawiła go Jeanette. Przemawiała w sposób bardzo bezpośredni, zresztą bezpośredniość cechowała całe jej zachowanie, co bardzo mu się

nie podobało. * Dlatego zajrzałam do kuchni.

Zamilkła, obserwując go. Zamknął wprawdzie bramę garażową, lecz były jeszcze tylne drzwi, przez które prawdopodobnie weszła. Drzwi z garażu do kuchni nigdy nie były zamykane, a on przyjął ten tutejszy zwyczaj, jak się okazuje, bezmyślnie.

* I co? * zainteresował się Julian.

* Psu nie działa się dobrze.

* Naprawdę? * zdziwił się Julian. Trzymał w ręku piłę i wykonał nią drobny gest, który miał wyrażać żal nad psiakiem. * Niczego nie słyszałem.

Zamilkła ponownie. Zauważył, że ma na sobie spodnie narciarskie założone na golf, i zaryzykował stwierdzenie:

* Wybiera się pani w góry?

* Tak * odparła, zerkając mu przez ramię w kierunku otwartej szafy.

* Są dobre warunki na narty * zauważył. * Jeśli nie będzie zbyt zimno. Dokąd pani jedzie?

* Do Killington * rzekła Jeanette. * Nie interesuje pana, co stało się z pańskim podopiecznym?

* Podopiecznym?

* Myślałam, że zostawili panu psa pod opieką.

* Oczywiście * zgodził się. * Szczerze mówiąc, żaden z niego podopieczny, nie wymaga najmniejszego zachodu. W ogóle nie sprawia problemów * to taki miły, zabawny psiak.

* Uważa pan, że dobrze się bawi, związany w ten sposób?

* Związany?

* Właściwie to spętany. Mam w samochodzie aparat fotograficzny i kusi mnie, żeby zrobić zdjęcia, którymi zainteresuje się Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

* Spętany? Nie mam zielonego pojęcia, o czym pani mówi.

* Nie? * zapytała. * Pokażę panu.

Nie dość, że bezpośrednia, to jeszcze bez wątplenia kobieta czynu: mimo to Julianowi wydawało się, że dostrzegł cień wątpliwości w jej nienawykłych do tego oczach.

Poszedł za nią, opuszczając pokój Adama, korytarzem w stronę do schodów. Trzymał się blisko niej, gdy schodzili. Była bardzo wysportowaną kobietą o szczupłych, lecz dobrze zbudowanych mięśniach ramion i szyi. Były teraz napięte.

Sznur, teraz pocięty na trzy nierówne kawałki * pewnie przecinany w pośpiechu lub pod wpływem silnych emocji, co sugerowało jego porzucenie * leżał na kuchennej podłodze. Z początku pies nie był widoczny, lecz po chwili Julian go dostrzegł, ukrytego w cieniu pod stołem.

* Tu jesteś, Zipster * zawołał. * Wyjdź, kolego.

Zwierzę skuliło się pod krzesłem Ruby, przyciskając się do ściany i znikając z widoku.

* Hej, piesku, co się stało? * powiedział Julian. * Zerknął na kawałki sznura. * Co to wszystko ma znaczyć?

* Uwolniłam go * wyjaśniła Jeanette.

* Był związany sznurem? * zdziwił się Julian.

* Udaje pan, że nic o tym nie wie? Julian podniósł ręce do góry. * Przysięgam.

* Jak może pan nie wiedzieć, że leżał tu ze spętanymi łapami i głową odchylną do tyłu tak, że ledwo oddychał?

* O, mój Boże * zawołał Julian. Zamrugał kilka razy jak silny, a jednocześnie delikatny mężczyzna walczący, by opanować silne, a jednocześnie delikatne emocje. Następnie potarł dłonią czoło, spojrzał jej w oczy, lecz skromnie, i powiedział: * Muszę się do czegoś przyznać.

Jej wzrok, srogi od samego początku, jeszcze na srogości przybrał. Była potężną kobietą, ogromnej postury, która stała przed nim w tym narciarskim stroju, z karnetem na wyciąg w Killington dyndającym przy jednym z suwaków. Miała duże dłonie, zahartowane słońcem i wiatrem, zdolne do wszystkiego.

Julian wziął głęboki oddech i westchnął. * Zippy uciekł mi dzisiaj po południu.

Wziąłem go ze sobą na dwór, gdy odsnieżałem chodnik, i nagle zupełnie niespodziewanie uciekł. Mknął jak wiatr. Oczywiście pobiegłem za nim, ale kiepski ze mnie biegacz, Jeanette, i straciłem go z oczu. Zniknął mi...

* Do czego pan zmierza? * zapytała Jeanette.

Julian uderzył pięścią w otwartą dłoń. * To pan Stromboli * powiedział. * Ten sadystyczny skurwiel.

* Słucham? * odparła Jeanette.

* I oczywiście niczego nie da się udowodnić, do cholery.

* O czym pan mówi?

* O panu Strombolim. Mieszka po drugiej stronie ulicy. Ruby nigdy o nim nie wspominała?

* A co Ruby ma z tym wszystkim wspólnego?

* Nic. Zastanawiałem się tylko, czy o nim wspominała. Wie pani, jak ona kłapie... Chodzi o to, że pan Stromboli nienawidzi Zippy'ego. Ruby trochę się go boi, prawdę mówiąc. Raz musiałem nawet wkroczyć do akcji, zanim uderzył Zippy'ego kijem golfowym.

* To prawda?

* Proszę zapytać Ruby. To była raczej niezapomniana chwila. Wbiegł na swój trawnik w szlafroku i kapciach, z żelaznym kijem golfowym.

* Więc uważa pan, że...

* Z pewnością to on * stwierdził Julian. Wreszcie zaczęli myśleć podobnie. * Pewnie złapał Zippy'ego, związał go, zrobił to, co zrobił, i przyniósł go tutaj. Nic nie słyszałem. Byłem zajęty naprawami na górze.

* To odrażające * rzekła Jeanette.

* Biedny piesek * odparł Julian. Ukląkł na podłodze. * No chodź, maluszk. Zippy cofnął się głębiej w cień.

* Zaraz tam pójde * postanowiła Jeanette.

* Tak jak już mówiłem * wtrącił się Julian * niczego nie możemy udowodnić, a mając w pamięci moje krótkie, acz niezapomniane spotkanie z tym człowiekiem, jestem absolutnie przekonany, że wszystkiego się wyprze. Sugeruję, by poczekać na powrót Lindy i Scotta, przedstawić im fakty w jak najmniej bolesny sposób * nie ma potrzeby, by psuć im krótkie wakacje tak przykrą informacją * i pozwolić, aby sami zdecydowali o dalszych krokach.

Imponujący potok wymowy, i to w samą porę: Julian czuł, jak rozwiewają się jej

wątpliwości.

* Nie zapomni pan? * upewniła się Jeanette.

* Ależ oczywiście, że nie * zapewnił ją Julian. * Najlepiej od razu wszystko zanotuję, żeby mieć pewność, iż nie pomyłę przebiegu wydarzeń.

Wyjął notatnik i pióro Mont Blanc.

Jej wzrok padł na notatnik, pióro, a w końcu na jego twarz. * W porządku * stwierdziła. Pochyliła się i zajrzała pod stół. * No wyjdź, Zippy *

Nie poruszył się.

Julian otworzył szafkę Zippy'ego, odszukał w niej jedną ze sztucznych kości.

* Proszę, piesku * powiedział. Pies ani drgnął. * Może jak położymy to dla niego na podłodze i zostawimy go na chwilę w spokoju, to jakoś się pozbiera.

* Pewnie ma pan rację * zgodziła się Jeanette i w końcu udała się na korytarz.

* Dzięki Bogu, że się pani zjawiała * rzekł Julian, otwierając jej drzwi do przedsiionka.

* Miłej zabawy na stokach.

Skinęła głową i wyszła na zewnątrz. Julian zamknął za nią drzwi i poszedł na górę.

Przez okno małżeńskiej sypialni obserwował, jak wycofuje pickupa z podjazdu.

Dostrzegł narty, buty i kijki leżące na pace. Odjechała Robin Road, kierując się w stronę Indian Ridge i drogi numer 91 na północ, w kierunku Vermont.

Julian wrócił na strych i powiększył dziurę w suficie Ruby do średnicy około pięciu centymetrów. Zostawił latarkę przy otworze, oświetlając go, by zaznaczyć miejsce, a następnie wyczołgał się do wejścia rodem z Alicji

w Krainie Czarów w szafie Adama. Zszedł do pokoju i wyciągnął terrarium spod łóżka Adama, gdzie spoczywało w spokoju. Cętkowana wstęga leżała zwinięta w swej miniaturowej dżungli. Z pewnością przesadą byłoby nazwać to stworzenie pięknym, lecz i w przesadzie drzemało ziarno prawdy: żadnego zwykłego robaka, bez względu na ich podobieństwo w rozmiarze czy kształcie, nie można by było nazwać pięknym.

* Chodź do mnie, Ślicznotko * powiedział Julian, spoglądając przez stalową siatkę ochronną, którą okryte było terrarium. * Wszyscy na miejsca.

Zaniósł terrarium do szafy, wspiął się na krzesło, umieścił terrarium na podłodze

strychu. Następnie podciągnął się i czołgając się niezgrabnie, przesunął terrarium w kierunku światła latarki, małej, lecz dobrze ustawionej i bardzo jasnej, gratulacje dla Lindy za dar do kupowania właściwych prezentów, za jej staranność, a może nawet rozumność. Nie, no bez przesady: pozostajmy przy staranności.

* Gotowa? * zapytał, zajmując miejsce przy powiększonej dziurze w podłodze strychu, trochę zbyt dużej, jak teraz zauważył, gdy gwiazda była już na miejscu akcji. Zaświecił latarką do terrarium. Cóż za opanowana aktorka, niezawodna profesjonalistka! Julian zdjął siatkę ochronną, bez pośpiechu, i odłożył ją na podłogę. * Prosimy na plan * powiedział, sięgając do środka, szybko i zdecydowanie, tak jak nauczył go ojciec, łapiąc Ślicznotkę mocno, lecz nie gwałtownie za szyję, jeśli tę dziwną, zmieniającą rozmiar wypukłość można było nazwać szyją.

Ślicznotka nie była zadowolona, oczywiście: a kto by był? Była w końcu stworzeniem tylko jednowymiarowym, a teraz jej jedyny wymiar jeszcze uległ ograniczeniu. Jakże to musiało być frustrujące. Julian doskonale odczuwał tę frustrację w tym, jak się wiała. Przysunął głowę Ślicznotki do pięciocentymetrowej dziury, ściskając ją być może odrobinę mocniej, niż należało, tylko po to, by pokazać jej, kto tu jest szefem, lub w tym przypadku, reżyserem, czy też * by powiedzieć prawdę i tylko prawdę * stwórcą. Również * śmiało mógł to przyznać * sprawiało mu to przyjemność. Nie był przecież z kamienia.

* Akcja * rzucił i wepchnął szeroką głowę w kształcie karo i nadętą szyję Ślicznotki przez otwór, popychając na zachętę obiema rękoma całą resztę, jak gracz w karty, który przesunął po stole pokerowe żetony. Gracz w karty z asem w rękawie, to by się zgadzało. Ślicznotka zniknęła, żegnając go panicznym machnięciem ogona.

Julian uklęknął nad dziurą i zaświecił w nią latarką, blisko przysuwając oczy. Poniżej Ślicznotka wylądowała na poduszce. Całe zajście musiało być dla niej głęboko wstrząsające: zaatakowała pluszowego misia i bez końca kąsała jego błyszczące oczy. W końcu przestały błyszczeć.

* Cięcie * zaordynował Julian. Wyczołgał się do szafy Adama tak szybko, jak tylko potrafił, ciągnąc za sobą terrarium, zeskoczył na dół, pośpiesznie udał się korytarzem do pokoju Ruby. Zapalił światło. Ślicznotka miotła się po łóżku, wciąż

zdenerwowana. Kołczan Ruby wisiał na klamce szafy.

* Tutaj, tutaj * szepnął Julian, wyjmując strzałę. Wyciągając ją przed siebie, zbliżył się do łóżka. Ślicznotka owinęła się dokoła, jak to stworzenia z jej gatunku mają w zwyczaju, i Julian z łatwością wrzucił ją do terrarium, po czym założył stalową siatkę ochronną.

* Co tu się, do cholery, dzieje? * zawołał ktoś za jego plecami. Julian opanował się, by nie podskoczyć ze strachu i nie poddać się istic gadziej panice. Nie był to po prostu ktoś, lecz kobieta. Nie jakaś kobieta, lecz Jeanette. Odwrócił się powoli, zupełnie uzyskując nad sobą kontrolę. Znów był na samym szczycie ewolucyjnej piramidy.

Na szyi Jeanette pojawiła się tętniąca żyła. Jej spojrzenie wędrowało po całym pokoju * terrarium, dziura w suficie, trociny na łóżku * w końcu zatrzymując się na nim.

* Tak naprawdę to nic * rzekł Julian * tylko...

Podniosła głos: * U Strombolich nikogo nie ma w domu. Sąsiadka twierdzi, że wczoraj wyjechali na Florydę.

* Jestem zdumiony * stwierdził Julian.

Pewnie objechała osiedle. Myśli przebiegały mu przez głowę w szalonym tempie, szukając jakiegoś wyjaśnienia, niewinnego, lecz przekonującego wyjaśnienia historii z Zippym i tego, co zobaczyła w dwóch pokojach.

* Poznała już pani nową kumpelkę Ruby?

* Ruby nienawidzi węży * warknęła Jeanette. * To sprawa dla policji.

Wyciągnęła telefon komórkowy z kieszeni stroju narciarskiego i wyszła z pokoju.

Julian potrzebował czasu do namysłu, lecz ona mu go nie dawała. Pospiesznie ruszył za nią.

Jeanette była w połowie schodów z telefonem komórkowym w dłoni i palcem wskazującym na klawiaturze.

* Dla policji? * zdziwił się Julian, biegnąc za nią. * Nie sądzi pani, że trochę przesadza? W końcu...

Ponad jej ramieniem Julian widział, jak palec wskazujący naciska 9. Mówił dalej to,

co wydawało mu się najwłaściwsze, lecz jednocześnie skoczył do przodu, wyciągnął rękę * właściwie to szturchnął ją mocno * wytrącając jej z ręki aparat. Telefon spadł na główny korytarz, odbijając się od schodów. O dzwonienu na policję nie mogło być mowy * dobrze wiedział, jakie to może być groźne..

Jeanette odwróciła się błyskawicznie i zachwiała, stojąc cztery czy pięć stopni nad podłogą. * Pożałuje pan tego * krzyknęła.

* Mam nadzieję, że nie * szepnął Julian. Właściwie, był tego pewien: stał wyżej od niej, kolejna zasada sztuki wojskowej. * Naprawdę powinniśmy porozmawiać, Jeanette. Uważam, że zachowuje się pani nierozsądnie.

Spojrzała na niego wzrokiem, w którym widać było wszystkie negatywne emocje * złość, podejrzliwość, nawet pogardę, a ta ostatnia zamykała tak wiele drzwi w jego umyśle * i bez słowa odwróciła się, ruszając w dół, do telefonu. Julian złapał ją za ramię, bez przemocy czy gwałtowności.

Jeanette najwyraźniej tego nie doceniła. Odepchnęła jego dłoń gwałtownie, agresywnie, zwinnym ruchem, wypychając łokieć w miejsce tuż pod mostkiem, skutkiem czego Julian na chwilę stracił oddech. Następną rzeczą, jaka do niego dotarła, był fakt, że Jeanette znajduje się na korytarzu i bierze do ręki telefon, a jej palce ponownie wciskają guziki na klawiaturze.

Julian skoczył z miejsca, gdzie stał, czyli prawie z połowy schodów. Barkiem trafił ją w zębra. Usłyszał krótki, lecz jakże rozkoszny trzask pękającej ludzkiej tkanki * miał idealny słuch. Upadli na podłogę i potoczyli się po niej. Jego dłoń znalazła się na jej szyi. Gdy się zatrzymali, to on był na górze. Lecz jeszcze nie skończyli: Jeanette wykonała zwinny obrót, subtelny, jak w azjatyckich sztukach walki, i toczenie rozpoczęło się od nowa. W tym samym czasie wbiegł Zippy, dziko ujadając. Teraz Jeanette była na górze, siedząc na Julianie okrakiem, i zanim zdołał się poruszyć, w jej rękę błysnął składany nóż o drewnianej rękojeści, z niezbyt imponującym ostrzem, które jednak znalazło się na szyi Juliana. Ta kobieta nie była mieszcuchem: jak mógł przypuszczać, że pocięła sznur nożem z kuchennej szafki?

* Nawet nie drgnij * syknęła.

Zippy miotał się wokół nich, szczekając jak oszalały. Julian nie poruszył się, choć

oczywiście będzie musiał to zrobić, i to wkrótce. Zamiast tego odprężył się, mając nadzieję, że ona również tak zrobi po wpływie niekontrolowanego odruchu naśladowczego. Tak się nie stało. Nie odrywając od niego wzroku, Jeanette po omacku sięgnęła wolną ręką w poszukiwaniu telefonu komórkowego. Znalazła go i ponownie wcisnęła klawisz 9.

W tym momencie Zippy skoczył w ich kierunku i zatopił zęby głęboko w prawym barku Juliana. Julian krzyknął z bólu, prawdziwego bólu, prawdziwie odczuwalnego. Spojrzenie Jeanette powędrowało w stronę psa i w tej chwili niezdarne poruszenie Juliana wytrąciło telefon z jej ręki. Przez sekundę Julian przestał czuć ostrze na szyi. Była to sekunda potrzebna na działanie: i zadziałał. Kolejna sekunda i nóż znalazł się w jego ręce, lewej, ale dobra i lewa. Kolejna sekunda * lub kilka następnych, ponieważ wymagało to więcej niż jednego pchnięcia * i Jeanette nie brała już udziału w jego powieści. Od początku nie miała prawa w niej być.

A Zippy, który nie odpuszczał, który zatopił w nim zęby tak głęboko i którego wycie było nie do zniesienia? Proszę: on również nie brał już udziału w powieści.

Julian nie lubił bałaganu. A wokół naprawdę panował bałagan, zarówno fizyczny, jak i organizacyjny. Jednak najpierw zamienił się w słuch. Nasłuchiwał, lecz nie dotarło do niego nic niepokojącego, i w domu, i na zewnątrz było cicho. Teraz musiał doprowadzić się do porządku. Rozwarł szczęki Zippy'ego, co stanowiło niezręczny, bolesny proces, w wyniku którego omalże ponownie nie krzyknął. Potem sprawdził numerek na obroży psa. Miał aktualne szczepienia, tak jak Julian przypuszczał.

W łazience na dole zdjął koszulę, obmył ranę ciepłą wodą z mydłem, zdezynfekował ją wodą utlenioną, którą znalazł w szafce, zaaplikował sobie maść z antybiotykiem, którą również tam znalazł, i założył opatrunek z gazy. Spojrzał w lustro. Wyglądał dość spokojnie i w pewnym sensie przystojniej, wydawał się tak pełen życia i energii, jakim jeszcze siebie nie widział, zwłaszcza gdy z twarzy krew * na pewno ssaczka, nic konkretniejszego stwierdzić nie mógł.

Julian udał się do pokoju telewizyjnego i nalał sobie solidną porcję Highland Park, posługując się ręką, która prawie już nie drżała.

Gdy wrócił na górę, wyłączył wszystkie światła, prezentując sąsiedztwu poprawny

widok domu późną nocą. Wtedy sprawdził na zewnątrz. W domu Strombolich także panowała ciemność, oczywiście * to karygodne, że ich nie obserwował, lecz z drugiej strony zrozumiałe, więc nie powinien być dla siebie aż taki surowy * a dwa lub trzy domy widziane z Robin Road 37 również okryte były mrokiem. Julian skierował się na podjazd i wniósł do domu narty, buty i kijki Jeanette, kładąc je na korytarzu od frontu razem z całą resztą. Następnie zamknął dom i pojechał jej pickupem do Killington.

Ostatnie auta narciarzy wracających ze stoków wciąż sunęły autostradą, nawet o tak późnej porze, gdy Julian dotarł do Killington, lecz droga na Bear Mountain była opustoszała. Dojechał nią aż do bazy wyciągu. Na olbrzymim parkingu stało tylko kilka samochodów. W żadnym z nich nikogo nie było, nigdzie nie świeciły się światła, nie licząc reflektorów oświetlających szlaki tak wysoko, że wydawało się, jakby fruwały w powietrzu. Julian zaparkował w pobliżu bazy wyciągu, pożyczył leżące na siedzeniu pasażera rękawice, które nie były nawet zbyt ciasne, i maskę narciarską * noc była bardzo zimna * zostawił pickupa, zamykając go i wkładając klucze do kieszeni.

Julian zszedł pieszo drogą z Bear Mountain aż do autostrady, obrał kierunek na miasto i dostrzegł znak przystanku autobusowego. Szedł w jego stronę, aż dotarł do drogi dojazdowej do Killington Peak, gdzie znalazł nie zadaszony przystanek i usiadł na ławce. Zimna noc i jeszcze zimniejszy poranek: Julian nie był jedynym pasażerem, który miał na twarzy maskę narciarską, gdy podjechał autobus kierujący się na południe. Bałagan organizacyjny został uporządkowany, teraz czas na fizyczny. Ależ z niego kreatywna osoba! To była ostatnia myśl Juliana, zanim zasnął na tyłach autobusu, ukołyszany ciepłem i ruchem pojazdu.

Ćwiczcie obserwację najmniejszej rzeczy, jaką zdołacie dostrzec na każdym przedmiocie. Czemu nie? Wystawiając się na ostatnie promienie słońca na tarasie lotniska * lot powrotny miał być opóźniony o kilka godzin, a przy odrobinie

szczęścia nawet jeszcze więcej * Ruby sączyła z wysokiej szklanki zimną Koralową Kropelkę, coś w rodzaju sprite'a, tylko że niebieskiego z jasnoczerwoną wisienką koktajlową na dnie, mającą przypominać koral, oczywiście, i rozglądała się tu i ówdzie w poszukiwaniu najmniejszych rzeczy. Już tyle się nauczyła i zrozumiała podczas tej wycieczki. Po pierwsze, potrafiła wstrzymać oddech i zanurkować na głębokość pięciu metrów, i czasami znajdowała homary na dnie, a one, bardzo zaniepokojone, wystawiały te swoje czułki spod skał. Po drugie, mieszkańcy wysp Bahama posługiwali się dziwnym angielskim, który trudno jej było na początku zrozumieć, by po krótkim czasie rozumieć z łatwością, a na końcu nie móc się opanować, by nie mówić tak jak oni. Po trzecie, w przyszłości będzie bardzo bogata i kupi sobie tu dom. Po czwarte, mężczyźni z Euro py nosili bardzo skąpe kąpielówki i paradowali w nich, jak gdyby nie było w tym nic niestosownego. Po piąte, dlaczego wszyscy tak się zachwycali kawiozem?

Przez automatyczne drzwi weszła mama i usiadła w cieniu parasola. Wyglądała świetnie z tą swoją połyskującą, śródziemnomorską opalenizną.

* Wciąż nic nie wiedzą, staruszk * powiedziała do taty.

Tata zaśmiał się, sącząc zimny napój, i poruszył nagimi palcami od stóp, wciąż lekko pomarszczonymi po ostatniej kąpeli w oceanie. On również świetnie wyglądał.

Podobnie jak Brandon, który był teraz gdzieś w terminalu, przypuszczalnie popijając piwo albo drinka z parasolką, którego z łatwością mógł tutaj dostać, zwłaszcza gdy był poza zasięgiem wzroku mamy i taty. Brandon z łatwością mógł też sam za nie zapłacić. Wygrał pięćset dolarów na automatach i z własnej woli odpalił Ruby stowę. A tata był do przodu na prawie tysiąc pięćset dolarów w black*jacka. Jak to mówią, pieniądz lubi pieniądz. Ruby włożyła palce do Koralowej Kropelki, wyłowiła wisienkę i włożyła ją sobie do ust.

* Podać jeszcze wisienki, panienko? * zapytał przechodzący obok kelner.

* Dziękuję * odparła panienska.

* Może powinniśmy zadzwonić do Juliana * zaproponowała mama. * Powiedzieć mu, żeby po nas nie wyjeżdżał.

* Jasne * zgodził się tata. * Weźmiemy taksówkę.

* Ale to duży wydatek * zatroszczyła się mama.

Tata wzruszył ramionami. Ruby nigdy jeszcze nie widziała go tak zrelaksowanego: jego umysł był praktycznie wyłączony. Mama wyjęła komórkę i zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. Ruby nie słuchała jej słów. Obserwowała najmniejszą rzecz, jaką zdołała dostrzec na gekonie. Gekony były świetne, ale przywiezienie jednego do domu * a taki pomysł przyszedł jej do głowy * nie wchodziło w grę. Zippy był typem jedynaka. Gekon, któremu się przyglądała, robił pompki na balustradzie kilka kroków dalej. Najmniejszym szczegółem, jaki u niego zauważyła, była maleńka czerwona kropka nad jednym okiem, jak jeden z tych indyjskich znaków kastowych, lecz umieszczony niesymetrycznie, z boku. Najmniejszy szczegół na rastafarianinie trzebiącym maczetą chwasty po drugiej stronie balustrady także był czerwony * była to plamka krwi, być może od ukąszenia jakiegoś owada, w środku O z napisu One Loue na jego koszulce. A dziewczyna, mniej więcej w jej wieku, lecz zabójczo ubrana, przy stoliku obok? Z pewnością najmniejsze były jej okulary słoneczne:

najdelikatniejsze, najwspanialsze okulary, jakie Ruby kiedykolwiek widziała.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej. O, rety: Ruby zdała sobie sprawę, że się w nią wpatrywała.

* Cześć * zagadnęła ją Ruby.

* Cześć * odparła dziewczyna, tylko że wymówiła to w dość zabawny sposób. Może była z LA. To by tłumaczyło te okulary.

* Całkiem niezła wyspa, co? * zapytała Ruby.

* Fantastico * zgodziła się dziewczyna.

To musiał być najnowszy slang, bez wątpienia, który parł teraz jak burza w stronę Wschodniego Wybrzeża.

* Jesteś z LA? * zapytała Ruby.

* Nie * odparła dziewczyna. * A ty?

* Z Connecticut * wyjaśniła Ruby.

Dziewczyna wyglądała na rozbawioną i zachichotała. * Ja jestem z Roma * wyjaśniła.

* We Włoszech?

* Si. Ale wy wymawiacie to inaczej, czy tak?

* Tak * przyznała Ruby.

Przyjrzała się tym okularom, ubraniu. Nie miała pojęcia o Rzymie. Pani Freleng jeszcze do niego nie doszła i wątpliwe, czy w ogóle dojdzie, zajęta Cortezem i Pizzarem. Czy to możliwe, że Rzym był bardziej odłotowy od LA? Na pewno dotyczyło to tylko kobiet, bo mężczyźni pewnie przechadzali się w tych skąpych kąpielówkach przez całe lato. W tym akurat nie było niczego odłotowego i nigdy nie będzie.

* Świetnie mówisz po angielsku * pochwaliła ją Ruby.

* Ja uczę się on w szkole * wyjaśniła dziewczyna.

* Ja też * rzekła Ruby. Dziewczyna ponownie zachichotała. Jej zębom daleko było do ideału, podobnie jak zębom Ruby. Ruby także się zaśmiała. * Znam trochę włoskiego.

* Tak? * powiedziała dziewczyna.

* Wiem, jak powiedzieć: „Gdzie można zrobić tanie zakupy?”

* Ach, tak * odparła dziewczyna, znów się śmiejąc. * To bardzo, bardzo ważne.

Czy udało się jej zapamiętać całe zdanie? Fine oznaczało "zakupy", questo „gdzie”, a reszta? Nagle, bum, przypomniała sobie wszystko: * Questo e l'inizio della fine.

Dziewczyna zmarszczyła czoło.

* Wybacz mi ten akcent * dodała Ruby.

* Nie chodzi o akcent. Ale to, co jest, co ty mówisz, to nie chodzi o tanie zakupy.

* Nie?

* Jak chcemy zapytać o tanie zakupy, mówimy: JDoue si puó trouare iprezzi buoni?".

* To brzmi zupełnie inaczej * zauważyła Ruby.

* Si.

* Więc co powiedziałam? * zainteresowała się Ruby.

* Questo e l'inizio della fine?* zapytała dziewczyna.

W jej ustach brzmiało to o wiele lepiej. Włoski był chyba najpiękniejszym językiem na całym bożym świecie. Jak tylko wróci do domu, natychmiast zacznie się go uczyć.

* Tak * rzekła Ruby. * Czy to coś znaczy?

Dziewczyna skinęła głową, lekko wydymając usta. * To znaczy, że to jest inicjacja * scusi * wy chyba mówicie początek, tak?

* Tak.

* A więc początek * kontynuowała dziewczyna. * To jest początek końca.

* Takie jest znaczenie tych słów?

Ot.

* To jest początek końca?

* Si.

* A może mówi się tak potocznie na zakupy, na przykład w Wenecji?

* W Wenecji? * zdziwiła się dziewczyna. * Potocznie?

* W Wenezji * poprawiła się Ruby, przypominając sobie, że Włosi mają swoją własną wymowę Wenecji. * Potocznie.

Dziewczyna zamruwała. * Czy usłyszałeś to, ten początek końca, w kinie? * zainteresowała się.

* Na pewno tak to brzmi * przytaknęła Ruby.

* Uwielbiam kino * zwierzyła się dziewczyna. * Spotykam Brada Pitta.

* Naprawdę?

* Och, tak * rzekła dziewczyna. * Mój tata robi liftingi wiele gwiazd filmowych.

Ruby zerknęła na rodziców dziewczynki. Sami wyglądali jak gwiazdy filmowe.

Ubrani w jedwabie i trzymający te wysokie, wąskie kieliszki do szampana, wpatrywali się w palmy kołyszące się pod wpływem tropikalnej bryzy.

Nie muszę iść jutro do szkoły, prawda? * upewniał się Brandon.

* Już jest jutro * zauważyła Ruby.

Taksówka * wielki sedan z mnóstwem miejsca z tyłu * jechała przez West Mili, przez uśpione miasto. Ruby przestała czuć na skórze to specyficzne mrowienie po kąpieli w oceanie. Tutaj było zimno i jakoś jeszcze, choć nie potrafiła tego określić, a było to związane z niedzielną nocą i brakiem chęci na poniedziałkowy ranek we wszystkich tych pograżonych w ciemności domach. Jak to się nazywało? Wyścig szczurów.

Wszystkie szczury odpoczywały przed następnym wyścigiem, który rozpoczynał się

o siódmej, ósmej lub dziewiątej. Wyścigi były zorganizowane, nawet te dla dzieci: na Brandona czekał SAT, na nią Szalona Minuta i kilka innych konkurencji noszących śmieszne nazwy wymyślane przez panią Freleng, śmieszne w cudzysłowie. Gdy skręcili w Poplar Drive, światła sedana padły na ogłoszenie o zagubionym psie, przywieszzone na słupie telefonicznym. Przywieziony z podróży kokos Ruby otarł się o jej bosą kostkę, a znajdujące się w nim mleko zachlupotało ledwo słyszalnie w środku.

* Następny dom po prawej * poinformował taksówkarza tata.

Zaparkowali na podjeździe. We wszystkich oknach świeciły się światła. Drzwi przedsionka otworzyły się, gdy wysiedli z samochodu, i Julian podszedł do nich, by pomóc przy bagażach.

* Podróż się udała? * zapytał.

* Oczywiście * odparł tata, płacąc taksówkarzowi. * A tutaj wszystko w porządku?

* W porządku * odpowiedział Julian.

Wnieśli torby do domu. Ruby nagle poczuła się zbyt zmęczona, by nieść cokolwiek poza kokosem. Czy tylko się jej wydawało, czy naprawdę było od niego ciepło?

* Poza jednym * dodał Julian, gdy ustawiali wszystko w przedsionku.

Ruby weszła do kuchni i rozejrzała się. * Zippy * zawołała.

* To moja wina * wyznał Julian.

* Co takiego? * zapytała mama.

Wszyscy spojrzeli na niego, mama, tata i Brandon wciąż stojący w przedsionku, i Ruby znajdująca się w kuchni. Julian przygryzł wargę.

* Czy coś się stało Zippy'emu? * zawołała Ruby.

Julian przykucnął, by zniżyć się do jej poziomu, i spojrzał jej w oczy. * On uciekł, Ruby. Tak mi przykro. Był ze mną na dworze, gdy odśnieżałem chodnik. Obok przejechał samochód, w którym siedział pies. Ten pies wystawił głowę przez okno i zaszczekał na Zippy'ego... * Głos uwiązał Julianowi w gardle * ...i Zippy pobiegł za nim. * Julian wstał i spojrzał na pozostałych. * Oczywiście gonilem go, wołając i wołając, ale on biegł dalej i w końcu na Indian Ridge straciłem go z oczu. Wiem, że on wróci, ale jak na razie się nie pojawił. Codziennie chodzę do schroniska.

Wywiesiłem ogłoszenia, przepytałem sąsiadów. * Podniósł ręce w geście bezradności.

* A jeśli przejechał go samochód? * zasugerował Brandon.

Na twarzy Juliana malował się ból. * Schronisko rejestruje takie wydarzenia * wyjaśnił. * Nikt ich jak dotąd o tym nie powiadomił.

* Czy to możliwe, że ktoś go zabrał? * zapytała mama.

* Czy Zippy by na to pozwolił? * odparł Julian. * Ja osobiście w to nie wierzę. * Przełknął ślinę.

Ruby zaczęła płakać, zalewając się potokiem gorących łez. Wybiegła na dwór, krzycząc: * Zippy! Zippy! Zippy!

Tata delikatnie zawrócił ją do domu.

Julian pokazywał mamie i Brandonowi ogłoszenia, które przygotował. Na górze widniało: Zaginął pies. Wysoka nagroda. Pośrodku znajdowało się zdjęcie Zippy'ego zrobione podczas Halloween, gdy siedział koło dyni. Na dole napisano: Czy widzieliście Zippy'ego? Bardzo proszę, zadzwońcie, a następnie numer telefonu.

* Może dzieci mogłyby je rozdać jutro w szkole? * zaproponował Julian.

* Dobry pomysł * zgodził się tata.

* A co, jeśli... * Ruby czuła, jak jej oczy znów napełniają się łzami, lecz się opanowała. * A co, jeśli on wróci, a nikogo nie będzie w domu?

* Poczekaj na trawniku, prawda? * stwierdził tata.

Ruby przestała nad sobą panować i usłyszała, jak jej głos zmienia ton na taki, którego powinna się wstydzić, histeryczny. * A jeśli nie poczeka? Mama i tata spojrzeli na siebie.

* Może ja wrócę tu rano? Mógłbym czekać na niego w ciągu dnia.

* To bardzo miło z twojej strony, Julian * powiedziała mama.

* Tylko tyle mogę zrobić * rzekł Julian. * Czuję się podle.

* W takim wypadku * zauważył tata * równie dobrze możesz zostać u nas na noc.

* Jeśli ci to nie przeszkadza * dodała mama.

* Ależ oczywiście, że nie * zgodził się Julian. * W tych okolicznościach czuję się do tego zobowiązany.

Ruby wzięła głęboki oddech. * Nie obwiniaj się, Julian * powiedziała. Przez zamglone od łez oczy dostrzegła, że w jego oczach również zbierają się łzy. * To nie twoja wina.

* Będziemy szukać tak długo, aż go znajdziemy * obiecał jej Julian.

* Zadzwoń do szkoły, jak tylko się pojawi * poprosiła Ruby.

* Możesz na mnie liczyć. .

Wszyscy położyli się spać. Pluszowy miś Ruby miał na imię Cudobry, a było to słowo, które pokochała od pierwszej chwili, gdy mama czytała jej o przygodach Alicji. Znała na pamięć fragment o cudobrym:

„Cudobry mój, uściśnij mnie, Gdy Dżabersmoka ściał twój cios! O wielki dniu! Kalej! Kału!" Śmieselił się rad w głos. *

Czy mogło być coś radośniejszego? Ruby wzięła Cudobrego ze sobą do łóżka.

Dawno tego nie robiła, ostatni raz chyba dwa lub trzy lata temu. Zanedbała go, nawet nie zauważyła, że jego plastikowe oczy są porysowane.

W domu panowała cisza; a przecież ostatniej nocy słyszała szum oceanu. Ruby wyłączyła lampkę stojącą przy łóżku i wpatrywała się w sufit, niewyraźny i ciemny, z bardzo delikatnym czerwonym odcieniem spowodowanym przez świecące cyferki jej elektronicznego zegarka. Była prawie pewna, że Bóg nie istnieje. Fakt, że ludzie spierali się na jego temat od tak dawna, był wystarczającym dowodem. Gdyby to ona była Bogiem, to na pewno by się postarała, żeby każde żyjątko na ziemi było o jej istnieniu przekonane w stu procentach od samego początku. Inaczej sama miałaby przechalpane, pomyślała iomalże nie uśmiechnęła się w ciemności. Tak, z pewnością Boga nie było: ale to nie powstrzymało jej od wyszeptania przed zaśnięciem, właściwie nie wiadomo do kogo:

* Proszę, niech Zippy wróci.

Scott siedział przy biurku wpatrzony w Szalejącego Byka, stronę internetową przedstawiającą w czasie rzeczywistym notowania spółek, gdy tylko otwarto giełdę. Codexco: 8,40 \$, w dół o kolejne dziesięć centów. Kolejne dziesięć centów oznaczało kolejne piętnaście kawałków. Tom zajrzał do pokoju. * Jak ci minęła podróż?

* Świetnie.

* Co robiliście?

* Graliśmy trochę w tenisa. Pływaliśmy. Obżeraliśmy się jak świnie. Brandon nurkował z akwalungiem. Ja grałem trochę w blackjacka.

* Jak ci poszło?

* Wygrałem jakieś tysiąc dolców czy coś koło tego.

* A na giełdzie?

Scott zerknął na ekran: poszło w dół o kolejne pięć centów, zarobił 7.500 dolarów, siedząc i rozmawiając. * Wszystko zgodnie z planem.

* Jesteś górą, brachu * stwierdził Tom. Brachu, to coś nowego.

W szkole Ruby zmusiła panie z sekretariatu do wykonania całego mnóstwa kopii ogłoszenia o Zippym. Wręczyła jedną pani Freleng i po jednej każdemu w klasie, łącznie z Amandą, która zaskoczyła ją, mówiąc, jak słodko wygląda Zippy, i obiecując, że będzie się za nim rozglądać; i poza Winstonem, który zapytał, dlaczego nie kupi sobie po prostu drugiego psa. Amanda zaskoczyła ją jeszcze raz:

* Ty niczego nie rozumiesz, co, Winston?

Winston nie odezwał się już ani słowem i siedział cicho w autobusie całą drogę powrotną, nie dłubiąc nawet w nosie. A Ruby rozglądała się za Zippym przez cały czas, lecz nie zauważyła ani jednego psa. Dojeżdżali do jej domu. Tam też nie było Zippy'ego ani śladów łap na świeżym śniegu leżącym na trawniku i podjeździe, a Julian nie zadzwonił do szkoły. Pozostał jeszcze cień nadziei, że Julian pojechał gdzieś i go przywiózł, podczas gdy ona jechała autobusem. Ale znała Juliana: czekałby teraz na nią przed domem z Zippym przy nodze, przypuszczalnie na smyczy.

Wysiadając, Ruby wręczyła ogłoszenie panu V.

* Nic się nie martw * powiedział pan V. * Znajdzie się.

* Tak pan myśli, panie V.? * upewniła się Ruby, przystając na ostatnim schodku.

* Prawie zawsze się znajdują * dokończył pan V.

Następnie, podczas gdy za mrugającym czerwonymi światłami autobusem czekało kilka samochodów osobowych, furgonetka i ciężarówka, pan V. przykleił ogłoszenie o Zippym do swojego bocznego okna, jednocześnie opowiadając długą historię o

psie, jakiego miała pani V. jeszcze przed ślubem, w połowie sznaucera, a w połowie beagle'a, który się zgubił i w końcu przyszedł do domu aż z Meriden. „Spójrz, co przywlókł kot.” To właśnie powiedziała pani V., kiedy biedactwo weszło na podjazd, ledwo trzymając się na łapach.

* Więc nie martw się, królowno * pocieszył ją pan V.

Ruby wysiadła z autobusu. W opowiadaniu pana V. nie wszystko się trzymało kupy, lecz i tak od razu poczuła się lepiej.

Weszła do domu i usłyszała jak Julian rozmawia przez telefon. * ...miał na szyi niebieską obrozę * mówił. * Wabi się Zippy. * Odwiesił słuchawkę, akurat gdy weszła do kuchni. * Obawiam się, że nie wiem nic nowego * rzekł. Siedział przy stole, otoczony spisami, notatkami, książkami telefonicznymi, kawałkami papieru zwiniętymi w kulki. * Zamówiłem ogłoszenia w lokalnych gazetach.

* Dobry pomysł * stwierdziła Ruby.

* Przyniosłem też zszywacz tapicerski * poinformował ją. * Chciałem przywiesić jeszcze kilka ogłoszeń, może nawet w lesie.

* Ja to zrobię * oznajmiła Ruby.

* Chcesz, żebym z tobą poszedł?

* I tak dużo już zrobiłeś.

Ruby wyjęła z plecaka segregatory i włożyła do niego zszywacz z pozostałymi ogłoszeniami.

* Dużo ci zadali? * zainteresował się Julian.

Ruby skinęła głową. Ortografia, wypracowanie na temat Majów, Tolteków i im podobnych, których nazw nie pamiętała, plus dodatkowe zadanie z matematyki: przeżyła dziś najgorszą Szaloną Minutę swego życia, nawet Winston był od niej lepszy.

* Mogę ci jakoś pomóc? * zapytał Julian.

* Dziękuję, poradzę sobie.

Julian uśmiechnął się. * Bez wątplenia * odparł.

Ruby weszła do garażu. Jej rower nie było na haku. Jasne: miała go Jeanette. Przez chwilę Ruby poczuła złość, że jeszcze go nie przywiozła. Nie złość, jak mogłaby być

zła na Jeanette? Ale rower był jej potrzebny... I wtedy go dostrzegła, stał oparty o ścianę tuż przy kosiarce do trawy. Do siodełka miał przyklejoną kartkę: Twój pojazd, Rubester * jedź ostrożnie. J. PS Pamiętaj o kasku. Ruby odszukała kask, odkurzyła go, nacisnęła przycisk otwierający bramę garażu i wyjechała na dwór.

W sąsiedztwie wisiało już mnóstwo ogłoszeń, na Poplar Drive, Indian Ridge, Larchmont. Ruby pojechała dalej, za Larchmont, aż do sklepu monopolowego, i z powrotem, w przeciwnym kierunku, aż do sklepu ze zdrową żywnością. Przed sklepem ze zdrową żywnością wisiała duża tablica ogłoszeniowa. Ruby na samym środku przyczepiała ogłoszenie o Zippym, gdy stanęła koło niej kobieta z siatką pełną zakupów.

* A, tak * powiedziała kobieta.

Ruby odwróciła się i spojrzała na nią. * Widziała pani Zippy'ego?

* Niestety nie * odparła kobieta. * Ale wiem, że zaginął. Pewien bardzo miły pan przyjechał tu wczoraj. Był taki zmartwiony. Twój pies na pewno się znajdzie * jemu też tak powiedziałam. Ja także kiedyś miałam psa, który... * I opowiedziała Ruby historię bardzo podobną do opowieści pana V., tylko że jej pies przyszedł do domu aż z Waterbury, a nie z Meriden, i brakowało mu ucha.

Po drodze do domu Ruby zatrzymała się przy schronisku. W pobliżu było boisko Małej Ligi i Ruby często tu przychodziła podczas meczów Brandona. Dostrzegła ulotki o Zippym na tablicy ogłoszeniowej Małej Ligi i na słupie telefonicznym tuż przy biurze schroniska. Psy usłyszały, jak nadchodzi, i zaczęły szczekać.

Ruby przeszła obok biura, kierując się do psiarni na tyłach. Czworonogi znajdowały się w pojedynczych, ogrodzonych siatką klatkach, z których każda posiadała w tylnej części wejście do budynku. Przestały szczekać, gdy znalazła się w zasięgu ich wzroku * dwa duże, chude, i jeden mały, gruby. Obserwowały ją z wywieszonymi jęzorami.

Otworzyły się drzwi i stanął przed nią mężczyzna w zielonym uniformie. * W czym mogę pomóc? * zapytał.

* Mój pies zaginął * odparła Ruby, wręczając mu ogłoszenie.

* Tak * powiedział mężczyzna. * Zippy. Ale nic nie wiemy. Zadzwoń, jak tylko coś

usłyszę, tak jak już mówiłem. * Czuć było od niego silny zapach psów, a na ramieniu nosił naszywkę Opiekun Zwierząt.

Ruby spojrzała mu w oczy. * Jest pan ekspertem, prawda?

* Ekspertem?

* W tych sprawach.

* Można tak powiedzieć.

* Więc gdzie on jest?

Opiekun zwierząt podrapał się w podbródek. Słyszała chrzęst jego zarostu. * Istnieje wiele możliwości * odparł. * Zwłaszcza gdy jest się psem.

Ruby oczekiwała na przydługą opowieść o dziwnej podróży do domu, którą odbył jakiś pies * naprawdę chciała ją teraz usłyszeć * lecz się zawiodła.

Za ogrodzeniem boiska do baseballu leżał miejski las, a w nim ścieżka prowadząca do stawu, z którą z kolei krzyżowała się ścieżka do jej własnego domu. Ruby prowadziła rower wśród drzew, idąc po śliskim śniegu ubitym przez stopy innych osób. Od czasu do czasu zatrzymywała się, by przypiąć ogłoszenie o Zippym do jakiegoś drzewa, a raz stanęła i zawołała: * Zippy! Zippy! * Śnieżna czapa osunęła się ze zwisającej gałęzi i upadła nieopodal.

Ruby doszła do stawu, zauważając, że wszelkie ślady po imprezie licealistów * butelki, puszki, niedopałki, pudełka, beczułka * zniknęły. Cienka warstwa czarnego lodu pokrywała staw, nie licząc dziury pośrodku, gdzie dostrzegła drobne fale.

Przymocowała ogłoszenie do dużego drzewa stojącego nad wodą w miejscu, gdzie każdy, kto będzie przechodził koło stawu, je zauważy. I nagle tu, w tym cichym lesie, gdzie Zippy uwielbiał się bawić, nawet jeśli nigdy nie przynosił patyków rzucanych do stawu, tak jak powinien, Ruby poczuła z całą mocą, że to ogłoszenie będzie strzałem w dziesiątkę. Wyjęła z plecaka mazak i na samej górze dopisała: Tęsknię za nim. Nie miała zamiaru pisać akurat tego, chciała dodać: Proszę, pomóż albo podkreślić tę część o nagrodzie, lub zrobić coś innego, bardziej pożytecznego.

Ruby obeszła dookoła wielki głaz i znalazła się w miejscu, gdzie Zippy trafił na kawałek pizzy z pepperoni. Teraz nie było tu pizzy, tylko gładki śnieg, nawet głębokie ślady sierżanta D'Amario znikły, podobnie jak niewielki dołek, w którym

Zippy znalazł fajkę do cracku. To była strefa zero w sprawie Tajemnicy Anonimowego Rozmówcy. A sprawa ta była związana z Tajemnicą Zaginionej Kurtki. Teraz znów tu była, pracując nad trzecią sprawą, która jednak była tak inna od pozostałych, że Ruby nie chciała jej nazywać tak jak pozostałych. Tajemnica Zniknięcia Zippy'ego była bardziej realna. Nie realna * wszystkie były realne * ale chyba ważniejsza. Nie chodziło o to, że nie obchodził jej Brandon; po prostu on nie zaginął, a Zippy tak.

Zresztą to, czy bardziej realna, czy po prostu ważniejsza, i tak nie miało znaczenia, bo chodziło jej po głowie zupełnie coś innego. Pozbyła się tamtych myśli. Bardziej istotne było to, że oto znów znalazła się w miejscu, w którym zaczęła się sprawa numer dwa, które wiązało się ze sprawą numer jeden, a teraz pracowała tu nad sprawą numer trzy. W tym momencie przypomniła sobie „Rytuał Musgrave'ów”, jedno z jej ulubionych opowiadań, w którym Holmes odkrywa sekretną komnatę pod kamienną podłogą starej posiadłości. Lecz przed dokonaniem odkrycia mówi coś bardzo, bardzo ważnego. Ruby szybkim ruchem otworzyła plecak i wyjęła Sherlocka Holmesa: opowieści zebrane, przekartkowała książkę i znalazła słowa, których szukała: * Byłem już mocno przekonany, Watsonie, że nie istniały trzy osobne zagadki, lecz tylko jedna.

27

Cała rodzina siedziała przy obiedzie, gdy Ruby wróciła do domu, i wszyscy wydawali się być w bardzo dobrym humorze, śmiejąc się i rozmawiając w jadalni. Czy to oznaczało, że Zippy się znalazł? Wbiegła do pokoju i nagle zrobiło się ciszej. To była odpowiedź, lecz i tak zadała pytanie.

* Znalazł się?

* Nie * odparła mama. * A gdzie ty byłaś?

* Dzwonił ktoś?

* W sprawie Zippy'ego, nie * odpowiedział tata.

* Zadałam ci pytanie * kontynuowała mama.

* W schronisku. * Zmroziła mamę spojrzeniem, a raczej próbowała to zrobić. Czy mamie nie zależało na Zippym? Czy nikomu z nich nie zależało?

* Siadaj i jedz * powiedziała mama.

* Nie jestem głodna.

* Musisz coś zjeść * wtrącił się tata.

Julian podsunął półmisek ze stekami do jej pustego talerza. Jemu jednemu zależało na Zippym, który nie był nawet jego psem. A jednak Zippy był wtedy pod jego opieką, jak sam zauważył: nie było to miłe, myśleć o nim w ten sposób, lecz Ruby nic nie mogła na to poradzić. Wyszła z pokoju.

W korytarzu zadzwonił telefon. W pośpiechu podniosła słuchawkę. * Halo?

* Jest Brandon?

* Dewey?

* Tak?

* Mówi Ruby.

* Cześć. Co słychać?

* Widziałeś Zippy'ego?

* Waszego psa?

A znasz innego Zippy'ego, pieprzony ćpunie? * Tak * potwierdziła Ruby.

* Nie, nie widziałem * rzekł Dewey. * A co, zgubił się?

* Dam ci Brandona * powiedziała tylko Ruby.

Zaniosła telefon do jadalni * tata opowiadał coś o Codexco, a Julian słuchał zainteresowany * i podała go Brandonowi w taki sposób, że musiał wstać.

* Rozdałeś ogłoszenia? * zapytała.

* Ogłoszenia? * odparł Brandon. * Jasne.

* A może wepchnąłeś je do szafki w szkole? Może w ogóle ich nie wzięłeś?

* Co? Daj mi ten telefon.

* Hej, dzieci * zawołał tata.

* Nie chciało ci się, prawda?

* Odczep się.

* Nawet nie powiedziałaś Deweyowi. W ogóle ci nie zależy.

* Do cholery * warknął Brandon. * To tylko pies. Ruby rzuciła w niego telefonem i wybiegła z pokoju.

Słyszałeś, co się stało? * zapytał Dewey.

* Nie.

* Problem postrzelił Unka Deatha. Jest w stanie krytycznym.

* To żart, no nie?

* Włącz telewizor.

Brandon zerwał się na równe nogi.

* Brandon? * odezwała się mama. * Czy chodzi o Zippy'ego? Brandon zbiegł w pośpiechu do pokoju telewizyjnego. Mówili o tym na wszystkich kanałach: jakaś kłótnia w klubie ze striptizem na Manhattanie tego popołudnia, strzelanina, milczący tłum przed szpitalem, urywki teledysku, i tak bez końca.

Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym. A w tle Problem i jego głęboki głos: Gdzie słońce nie dochodzi, gdzie słońce nie dochodzi.

Teledysk był pokazywany bez końca: dziewczyna w złotych spodenkach i białej peruce staruszki wsiada do bentleya i kładzie głowę na kolanach Unka Deatha. Diamentowy ząb połyskuje, gdy Unka Death włącza silnik. Otwiera się bagażnik i wyskakuje Problem z tasakiem i złotym wisiosem w kształcie kałacha na szyi.

Brandon nie wiedział, co o tym myśleć.

* Co to się dzieje? * zapytał.

* Życie jest do dupy * odparł Dewey.

Ruby ogarnęła furia, wszelkie hamulce puściły. Zippy nikogo tak naprawdę nie obchodził. Chcieli tylko, żeby znów była sobą, nawet się zbytnio nie starali. Na przykład ogłoszenia, pewnie wciąż tkwiły w plecaku Brandona. Sama zanieś je do liceum jutro z samego rana.

Weszła do pokoju Brandona, przewróciła do góry nogami cały bajzel panujący na jego biurku, łóżku, podłodze, lecz nie znalazła ogłoszeń. Otworzyła plecak, bez zahamowań: tam również nie było ogłoszeń. Gdzie jeszcze? Zeszła do przedsiionka.

Jego szkolna kurtka wisiała na wieszaku. Przeszukała jej kieszenie. Tam też ich nie było, ani niczego innego.

Ale co to? Pod kieszenią, pomiędzy pikowaną podszewką i skórzanym lub skóropodobnym materiałem wierzchnim wymacała coś twardego. Ruby zbadała przedmiot palcami: fiolka, nie było co do tego wątpliwości. I jeszcze jedna, i kolejna, zaszyte pomiędzy dwiema warstwami kurtki.

Ruby weszła do kuchni. Biorąc nożyczki z szuflady mamy, usłyszała, jak siedzący w jadalni Julian mówi:

* Może odwiedzimy jakąś uczelnię?

* Cudownie * ucieszyła się mama. * Zróbmy listę.

Sing Sing, San Quentin, Alcatraz. Gdy Ruby wróciła do przedsionka, rozpruła kawałek szwu długości jakichś dwóch centymetrów na samym dole podszewki. Bez zahamowań. Dostrzegła miejsce, w którym Brandon zrobił to samo, a potem zaszył nicią, która nie do końca pasowała, szarą, odrobinę zbyt ciemną. Kiedy nauczył się szyć? Raptem przysła jej do głowy myśl: Trish. A przecież polubiła Trish. Czy nikogo tutaj już nie można być pewnym?

Ruby przecisnęła fiolki przez dziurę. Jedna, druga, trzecia * tuzin, tak jakby był jakimś pieprzonym dealerem. Ruby zebrała je do czapki, założyła kozaki i kurtkę i wyszła na zewnątrz.

Była to jedna z tych ciemnych nocy, pozbawionych gwiazd i księżyca. Ruby zrozumiała, czego doznawali ludzie odczuwający bóle fantomowe po stracie ręki czy nogi. Wyjście w taką noc bez Zippy'ego wywołało w niej podobne uczucie. Fantom psa zdawał się zajmować puste miejsce przy jej boku, cichy i spokojny. Ruby skierowała się w stronę lasu, dochodząc aż do stawu. Wrzuciła pierwszą fiolkę, przypominając sobie, gdy fiolka była już w powietrzu, że staw jest zamarznęty, nie licząc niewielkiej dziury pośrodku. Ale musiało się ocieplić, ponieważ usłyszała plusk. Wrzuciła pozostałe, wysłuchała dwunastu plusków i ruszyła w kierunku domu. Wychodząc z lasu i zmierzając przez podwórko, tuż obok stosu drewna na opał, Ruby dostrzegła maleńki ogienek. Najpierw pomyślała, że światelko pochodzi z domu, lecz po chwili zdała sobie sprawę, że jest na ze

wnątrz, tuż przy karmniku dla ptaków. Podeszła bliżej i dostrzegła ludzką sylwetkę.

* Julian! Ty palisz?

* O, mój Boże * zawołał. * Przestraszyłaś mnie. Czerwony ogienek pofrunął, znikając z ledwo słyszalnym sykiem.

* Przepraszam * odparła Ruby.

* Nie zauważyłem cię. * Podeszedł bliżej. * Wyszłaś na spacer o tej porze?

* Szukam Zippy'ego.

* Ach, tak. * Poczula tytoń w jego oddechu. * Nawet nie wiesz, jak mi przykro.

Nie chciała już tego słuchać. * Nie poddam się.

* Ależ oczywiście * rzekł Julian. * Ja również.

* Dziękuję * powiedziała Ruby.

On przynajmniej pomagał, czego nie mogła powiedzieć o członkach własnej rodziny. Ale palił. To kompletnie ją zaskoczyło.

We wtorek mieli skrócone lekcje, bo miała się odbyć konferencja dla nauczycieli na temat ogólnokrajowych testów. Brandon lubił takie dni. Lekcje przelatywały szybko, a czasami nauczyciele pokazywali im film albo pozwalali rozmawiać na dowolny temat. Potem odbywały się imprezy w domach pod nieobecność rodziców. Ale dziś miało być inaczej: Julian zabierał go na wycieczkę po uczelniach.

Trish przesłała mu kartkę na angielskim: unka death w śpiączce.

Odpisał: no i odesłał ją do niej. Pan Monson zaczął rozdawać testy z gramatyki i słownictwa, które pisali w zeszłym tygodniu. Trish wysłała mu kolejną wiadomość: dziś po szk. * u ciebie czy u mnie? Odpisał: nie mogę, iwłaśnie miał podać.

* Mam nadzieję, że ci w niczym nie przeszkadzam, Brandon * odezwał się pan Monson.

* Nie * odparł Brandon.

* Czy ta kurenda ma jakiś związek z lekcją? * zapytał pan Monson.

* Nie.

* Jesteś pewien? * dociekał pan Monson. * Jesteś pewien, że wiesz, o czym mówię?

Na początek, co znaczy słowo kurenda?

* Pismo * wyjaśnił Brandon. * Okólnik.

Pan Monson podniósł brwi. * Ostatnio mnie zaskakujesz, Brandon. * Rzucił test Brandona na ławkę. Na samej górze widniało: 100. Pierwsza maksymalna nota, jaką dostał w szkole średniej. * Główka zaczęła pracować, młody człowieku? * zażartował pan Monson. Ktoś jęknął.

* Co? * zdziwił się pan Monson. * Już się tak nie mówi?

* Możemy porozmawiać o Unka Deathu? * odezwał się ktoś inny.

* O Unka Deathu? * powtórzył pan Monson. * Czy to jakiś czarny brat?

Brandon nie musiał się nawet oglądać, by wiedzieć, że trzem czarnoskórym uczniom bardzo się to nie spodobało. Po prostu to czuł. Pan Monson był dupkiem.

* To lepszy poeta od połowy tych starych pierdzieli, o których się tu uczymy, panie Monson * zabrzmiał głos Trish.

Pan Monson poczerwieniał aż do przedziałka, może z powodu oświadczenia, jakie usłyszał, a może przez samo słowo pierdziele, Brandon nie był tego pewien. Ktoś zapukał do drzwi akurat w chwili, gdy szykował się do riposty. Zamknął usta, otworzył je ponownie i zawołał:

* Proszę.

W drzwiach pojawiła się pani Belsey, dyrektorka. * Przepraszam, że przeszkadzam, panie Monson. Czy jest tu Brandon Gardner?

* Tak.

* Mogę go porwać na chwilę?

* Proszę porwać ich wszystkich * odparł pan Monson.

Pani Belsey wymusiła uśmiech, który nie pokazywał zębów. * Brandon? * rzekła. Wstał. Kiwnęła na niego palcem. Poszedł za nią na korytarz, przypominając sobie malowidło na ścianie Trish, na którym pan Kranepool, parkingowy, liże owłosione nogi pani Belsey. Zerknął w dół i przyjrzał się nogom pani Belsey, obleczone w cienkie pończochy, gładkim i pozbawionym włosów, właściwie całkiem ładnym, tak jakby po szkole chodziła na siłownię. Żeby było śmieszniej, na korytarzu czekał pan Kranepool. Poza tym był też pan Black, nauczyciel wf.

* O co chodzi? * zapytał Brandon.

* Mógłbyś pokazać nam, co masz w szafce? * poprosiła pani Belsey.

* W mojej szafce? * zdziwił się Brandon. * Po co?

* Dowiesz się * stwierdziła pani Belsey.

Pan Kranepool i pan Black stanęli po jego dwóch stronach. Brandon wzruszył ramionami. * Jasne, jak chcecie * odparł. Jego szafka nosiła numer 817. Znajdowała się na dole, za rogiem od schodów, obok sekretariatu. Frankie J szedł akurat z przeciwnej strony.

* Cześć, stary * rzucił. * Co jest grane?

* Jak mnie do wieczora nie zobaczysz, dzwoń po gliny * powiedział Brandon.

Była to chyba najbardziej odjazdowa rzecz, jaką kiedykolwiek powiedział, i to właściwej osobie, która rozpowie o tym innym. Ale czemu nie? Nie miał w szafce niczego do ukrycia.

Frankie J zaśmiał się i poszedł dalej.

Gliniarze już tu byli, dwaj, stali przed szafką numer 817. Jeden z nich trzymał na smyczy owczarka alzackiego. Drugi miał na ramieniu naszywki sierżanta.

* Otwórz szafkę, Brandon * odezwała się pani Belsey.

* Dlaczego?

* Ponieważ sądy ustaliły, że w pewnych okolicznościach mamy prawo je otwierać, ale będzie wyglądało lepiej, jeśli zrobisz to sam.

Gówno prawda, pomyślał Brandon. * W jakich okolicznościach? * zapytał. Fajnie było nie mieć nic na sumieniu.

* W takich, gdy mamy powody przypuszczać * a teraz mamy * że w szafce znajdują się nielegalne substancje * wyjaśniła mu pani Belsey. * Zwłaszcza jeśli potwierdzi to policyjny pies, a ten tutaj, zdaje się, potwierdził, prawda, sierżancie D'Amario?

* Tak, proszę pani * przytaknął sierżant. Spojrzał na Brandona. * Witaj, Brandon. Nie przypuszczałeś, że tak szybko znów się spotkamy. Co słyhać u twojego ojca?

Sierżant D'Amario: glina, który wiedział, że Dewey sprzedaje crack, który był dziesięć razy sprytniejszy od niego i Deweya razem wziętych. Potwierdzone przez psa * jak to możliwe? Brandonowi przyszła do głowy szalona myśl: chciałby, żeby jego siostra była teraz przy nim.

* Dziękuję, dobrze * odpowiedział.

* Twój ojciec był szycią w Liceum West Mili * stwierdził sierżant D'Amario. * Był kapitanem drużyny tenisowej, jeśli dobrze pamiętam. Jestem pewien, że chciałby, abyś postąpił, jak należy.

* Czyli? * upewnił się Brandon.

* Abyś otworzył szafkę.

W tym momencie Brandon pomyślał o Unka Deathu w śpiączce, w jakimś szpitalu w Nowym Jorku. Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym. Już miał zamiar powiedzieć: „W życiu”, ale zmienił to na zwykłe: * Nie. * I poczuł, jak sztywnieje mu kręgosłup.

* Panie Kranepool? * zakomenderowała pani Belsey.

Pan Kranepool przerzucił kilka kartek na podkładce, którą trzymał w dłoni, wymawiając „Osiem jeden siedem” jak debil, którym zresztą był, sprawdził odpowiadający szafce szyfr * każda miała stałą kombinację * i wprowadził cztery cyfry. Otworzył szafkę.

* Pokaż nam, gdzie to jest * zaproponowała pani Belsey. * Wciąż jeszcze możemy potraktować cię łagodniej.

Brandon nie odezwał się ani słowem.

Wszyscy wpatrywali się w szafkę. Na górnej półce leżał grzebień, żel do włosów i kilka porysowanych płyt CD. Na wieszakach wisiał jego plecak i szkolna kurtka. Na podłodze leżało mnóstwo śmieci * stare buty do tenisa, jeden do wspinaczki, książki, papiery, czyjś pasek.

* Mamy twoją zgodę na legalne przeszukanie? * upewnił się sierżant D'Amario.

* Nie * powiedział twardo Brandon. Trząsł się teraz odrobinę, lecz jego głos brzmiał spokojnie. Nic tam nie było, niezależnie od tego, co zwęszył pies.

Sierżant D'Amario skinął na drugiego policjanta. Ten założył rękawiczki chirurgiczne i opróżniał szafkę, podczas gdy sierżant D'Amario trzymał psa na smyczy. Gliniarz wysypał wszystko z plecaka, przeszukał każdy fragment szafki, wyrzucił buty do tenisa i but do wspinaczki, wycisnął żel z tubki. Przeszukał wszystkie papiery i książki.

Została jedynie kurtka. Policjant zdjął ją, włożył ręce do kieszeni, oklepał

podszewkę. Następnie strzepnął ją i znowu oklepał. Potem wywrócił kurtkę na drugą stronę i spróbował raz jeszcze. Dorośli wymienili zdziwione spojrzenia. Sierżant D'Amario podał drugiemu gliniarzowi mały scyzoryk.

* Co jest, do cholery? * zawołał Brandon. Powinien powiedzieć, Co jest, kurwa, ale nie miał dość odwagi.

* Uważaj, co mówisz * zwróciła mu uwagę pani Belsey Gliniarz przeciął szew w dole podszewki, poszerzając dziurę, która już tam była, i włożył do niej rękę. Spojrzał na sierżanta D'Amario i pokręcił głową. Sierżant D'Amario klęknął i jeszcze raz przeszukał papiery i książki. * Co to jest? * zapytał.

* Zgubił nam się pies * wyjaśnił Brandon. * Tak tam jest napisane.

D'Amario wstał w pośpiechu. * Co to miało znaczyć? Brandon nie odezwał się.

* Przeszukaj go * rozkazał D'Amario.

* Twarzą do ściany * warknął drugi gliniarz.

Brandon stanął twarzą do ściany. Obudziło się w nim coś dzikiego. Stał nieruchomy jak głaz.

* Ręce do góry, nogi szeroko.

Brandon podniósł ręce, stanął szeroko. Gliniarz przeszukał go. * Nic * stwierdził.

Brandon odwrócił się. Mógł im patrzeć w oczy w nieskończoność.

* Rozumiem, że zaszła tu jakaś pomyłka * odezwała się pani Belsey, podnosząc kurtkę z podłogi. * Zaszycemy to jeszcze przed końcem lekcji, Brandon.

* Myśli pani, że chciałbym ją teraz założyć? * odezwał się Brandon, a cholerny głos zdradził, jak bardzo był wzburzony. * To szmata.

Odwrócił się i poszedł, zanim ktokolwiek mógł coś zrobić, zostawiając cały ten bałagan na ich głowie; nie przestawał iść, kierując się korytarzem w stronę wyjścia z Liceum West Mili.

Brandon szedł w kierunku parkingu dla uczniów, bo zawsze tędy właśnie wychodził. O której kończyły się lekcje? Mniej więcej za pół godziny. Kierował się w stronę samochodu Deweya. Przez pierwsze dziesięć czy dwadzieścia metrów prawie płakał, a może nawet rzeczywiście leciały mu łzy. Później odzyskał kontrolę nad emocjami;

w samą porę, bo właśnie nadjeżdżał jakiś samochód i ktoś zawołał:

* Już skończyłeś, Brandon?

Jeep mamy z Julianem za kierownicą. Zwiedzanie uczelni: nie był w nastroju.

* Twoja mama kazała mi tu być w południe * powiedział Julian.

* No to jesteś za wcześnie * stwierdził Brandon.

* To tak dla pewności * usprawiedliwił się Julian. Zerknął na wejście do szkoły. *

Nikt jeszcze nie wychodzi.

Brandon wzruszył ramionami, wsiadł do samochodu i odsunął od siebie informatory o uczelniach: Fiske, Princeton Review i Insider.

Julian bacznie mu się przyglądał. * Chyba nie masz żadnych kłopotów, co? * zapytał.

Brandon wziął głęboki oddech, prawie się wzdrygając. * W związku z czym?

Julian oblizał usta. * W związku z wcześniejszym wyjściem ze szkoły.

* Nie.

* Wybacz mi, ale wyglądasz trochę nieswojo.

* Jedźmy już * rzekł Brandon.

Julian wrzucił bieg i nacisnął pedał gazu, chyba zbyt mocno, ponieważ rozległ się lekki zgrzyt.

* Jeśli masz jakieś problemy w szkole * zaczął * wiesz, że zawsze możesz liczyć na moją dyskrecję.

* Dzięki, Julian. Po prostu wcześniej wyszedłem, to wszystko.

* W porządku * odparł Julian.

Przez chwilę jechali w ciszy, aż dotarli do autostrady numer 91.

* Dokąd jedziemy? * zainteresował się Brandon.

* Możemy najpierw zajrzeć do Amherst. To dość wysoka poprzeczka przy twoim obecnym poziomie wiedzy, lecz możemy zobaczyć, jak to wygląda. W drodze powrotnej zahaczmy o Trinity.

* Myślałem, że Trinity to też za wysoka poprzeczka.

* Nie, jeśli nadal będziesz robił takie postępy.

* Naprawdę? * Pierwszy raz Brandon pomyślał, że może college mimo wszystko nie jest takim złym pomysłem. Przynajmniej znalazłby się daleko od Liceum West Mili.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł. * A jeśli pojechalibyśmy w drugą stronę?

* Na południe?

* Do Nowego Jorku. Co jest w Nowym Jorku?

* Columbia. Uniwersytet Nowojorski.

* Nieosiągalne?

* Columbia, z pewnością.

* Ale nie bardziej niż Amherst, prawda?

* Przypuszczalnie nie.

* Więc jedźmy do Nowego Jorku.

Julian zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Spojrzał na Brandona. Brandon wyczuwał inteligencję Juliana, całkiem jakby ten skanował jego umysł.

* To jest możliwe, Brandon * odparł Julian. * Ale najpierw muszę się dowiedzieć, jakie mogą być reperkusje twojego wcześniejszego wyjścia ze szkoły.

* Jezu Chryste * jęknął Brandon. * Jesteś taki sam jak oni. Oczy Juliana na chwilę zmieniły wyraz, tylko na sekundę, potem zapanowała w nich ciemność. * Naprawdę tak myślisz?

* Chyba nie * rzekł Brandon. * Otworzyli moją szafkę, Julian, były przy tym gliny i w ogóle, szukali narkotyków...

* Mój Boże * westchnął Julian. * Mieli nakaz?

* Nie potrzebowali go. Robili to już wcześniej innym uczniom.

* To skandal * rzekł Julian. Pokręcił głową. * Mam nadzieję, że chociaż nie byli zbyt brutalni.

* Nie kazali mi się rozebrać ani nic takiego. Ale jeśli przecinanie podszewki w mojej kurtce można uznać za brutalne, to tak, byli brutalni.

* Zrobili to?

Brandon skinął głową. Zapadła cisza. Brandon czuł, jak znowu zaczyna drżeć. Miał ochotę komuś przyłać * D'Amario, gliniarzowi, który go przeszukiwał, pani Belsey, panu Kranepoolowi, panu Blackowi, im wszystkim. Nawet w porównaniu z nim i wszystkimi jego paskudnymi numerami byli gorsi, wręcz brudni. A w porównaniu z kimś takim jak Trish byli zwykłymi śmieciami. A ten ich pies * totalna porażka. Ruby

miała rację: D'Amario zrobi wszystko, żeby nie wpuścić cracku do West Mili.

* To musiał być dla ciebie szok * zmartwił się Julian. * Gdy pocięli podszewkę.

* Wyglądało tak, jakby spodziewali się coś tam znaleźć.

* Rozumiem, że ich poszukiwania zakończyły się fiaskiem?

Ten znak zapytania na końcu doprowadził Brandona do szału. * Uważasz mnie za dealera narkotyków?

* Ależ oczywiście, że nie, Brandon. Jestem po twojej stronie, myślałem, że o tym wiesz. * Włączył silnik. * Uderzmy do wielkiego miasta.

Pojechali do Nowego Jorku, najpierw zajrzeli na Uniwersek, potem na Columbię.

Mnóstwo studentów wyglądało dziwnie, ale niektórzy byli w porządku.

* Chciałbym zobaczyć jeszcze jedno miejsce * rzekł Brandon.

* Jakie?

* Beth Israel.

* Ale to szpital.

* Tam leży Unka Death.

* Rozumiem.

Julian pojechał przez miasto do Beth Israel, zaparkował na drugiego w bocznej ulicy.

Brandon wysiadł. Milczący tłum stał przed szpitalem w małym parku po drugiej

stronie jezdni. Brandon dołączył do * jakby to nazwać? audytorium konania? *

pomyślał, nagle rozumiejąc znaczenie obydwu słów. Stały tam setki osób, niektóre w

koszulkach Uniwerku lub Columbii. Wszyscy wpatrywali się w szpital, podając sobie

jointy i puszki z piwem, czasami nucąc: Pierdol się jak nowonarodzony, dziś

wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym.

Rap odbijał się echem od kamiennych ścian szpitala.

* On chyba leży w tym pokoju na rogu * odezwała się dziewczyna stojąca obok

Brandona.

* Tam, skąd chwilę temu machała pielęgniarka? * zapytał. Dziewczyna przyjrzała mu się. Studentka, nie było co do tego wątpliwości.

* Tak * odparła.

Brandon powiedział pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy: * Mam nadzieję, że

ma na sobie złote spodenki.

Dziewczyna zaśmiała się, prychając, zupełnie zaskoczona. Po szkole średniej West Mili też toczyło się życie. Będzie musiał harować jak głupi, ale ma duże szansę. Już teraz rozumiał słowo reperkusje użyte w codziennej rozmowie.

Brandon wszedł do samochodu. Jechali przez most w stronę Connecticut, spoglądając na niekończący się sznur tylnych świateł samochodów, błyszczących przed nimi.

Julian wyglądał na zmęczonego: przyjemne rzeczy potrafiły zmęczyć dorosłych tak samo jak praca. Zbyt mocno zaciskał dłonie na kierownicy, tak jak mama.

* Dzięki, Julian * rzekł Brandon. * Bardzo mi pomogłeś.

* Cała przyjemność po mojej stronie * odparł Julian. Dłonie na kierownicy zacisnęły się jeszcze mocniej.

28

Ogólnokrajowe testy były super. Może nie same testy, które ciągnęły się w nieskończoność, szczególnie matma * już w połowie Ruby skupiała się tylko na odpowiedziach, nawet nie czytając pytań * ale czy można się było złościć z powodu wszystkich tych kłótni, jakie wywoływały, czego skutkiem były konferencje dla nauczycieli i skrócone lekcje?

Autobus zatrzymał się na przystanku. Zaczęło błyskać czerwone światło na dachu i pan V. spojrział w lusterko. Ruby dostrzegła, jak przez moment w jego oczach odmalowało się rozczarowanie, przypuszczalnie spowodowane widokiem tylko jednej ciężarówki stojącej za nimi. Pan V. uwielbiał, gdy za autobusem tworzyła się długa kolejka.

* Uszy do góry * powiedział.

Ruby podniosła wysoko głowę i wysiadła z autobusu. Zwykle w dzień taki jak ten, gdy lekcje kończyły się wcześniej, wyjęłaby książkę kucharską i zrobiła krówki, by podtrzymać dobry nastrój. Później może poćwiczyłaby grę na saksofonie. Kiedy ostatni raz go w ogóle dotykała? A kolejny występ w domu starców miał się odbyć już za dwa tygodnie. Staruszkowie uwielbiali It Don't

Mean a Thing.* stukali swoimi starymi stopami i wybijali palcami rytm na laskach *
a Ruby czasami miała problem z legato po ósemkowej pauzie w siódmym takcie. Nie
chciała zawieść starsuszków. Potem mogłaby włączyć CD, naprawdę głośno, i tańczyć
po całym domu jak potępieniec, derwiz czy jak to się nazywa. Taniec zawsze
doprowadzał Zippy'ego do szału * raz nawet próbował ugryźć toster.

Ale dzisiaj nic z tego. Ten dzień przeznaczony na poszukiwania.

Najpierw sprawdziła wiadomości na ich automatycznej sekretarce. Mnóstwo dla
Brandona * od Trish, Deweya, Frankie'ego J, innych uczniów, których imion nie
rozpoznała * ale nic, co by dotyczyło Zippy'ego. Potem poczuła głód. Otworzyła
lodówkę i wyjęła z niej masło orzechowe, pianki żelowe * a może dodać do tego
odrobinę dżemu, by posiłek zawierał zdrowy element owocowy? Były trzy rodzaje *
z czarnych jagód, morelowy i stojący samotnie na górnej półce truskawkowy,
francuski, ulubiony dżem Juliana. Sama nie przepadała za truskawkowym, zresztą i
tak nie dałaby rady go dosięgnąć. Wybrała jagodowy, nalała sobie szklanek mleka
czekoladowego, by zaspokoić zapotrzebowanie na wapń, i zasiadła do lunchu.

Gdy zmywała naczynia, zadzwoniła mama. To miło z jej strony.

* Co będziesz robić po południu? * zainteresowała się mama. To też było miłe.

* Będę szukać Zippy'ego * odparła Ruby. * Wiesz, że Julian pali?

* Dlaczego tak sądzisz?

* Widziałam, wczoraj wieczorem.

* Papierosy? * Mama była szybka.

* Tak.

Mama od razu straciła zainteresowanie. Czy wiązało się to z faktem, że była taka
szybka? * Mnóstwo ludzi pali * odparła.

* Wiem * odezwała się Ruby. * Ale Julian? Usłyszała, jak po drugiej stronie
słuchawki dzwoni telefon.

* Do zobaczenia wieczorem * powiedziała mama. * Ach, Ruby?

* Tak?

* Być może nadejdzie taki czas, kiedy będziesz musiała pogodzić się z tym, że... *
mama nie dokończyła. Może wyczuła reakcję, jaka zaczęła budzić się w Ruby.

W jej słuchawce coś zapiszczało.

* Mam drugi telefon * poinformowała ją Ruby.

* No to cześć.

* Cześć.

* Halo?

* Cześć. * To Kyla. * Chcesz pograć po południu? Mój tata po ciebie przyjedzie.

Tenis w wolne popołudnie, z własnej woli? Szaleństwo.

* Nie mogę * odparła Ruby. * Innym razem. * Na przykład w roku, który zaczyna się od trójki.'

* No to będę musiała grać z tatą * westchnęła Kyla.

Ruby wiedziała, że to koszmar, ale nie zmieniła zdania. * On też ma wolne popołudnie?

* Bierze je teraz, kiedy tylko ma ochotę.

* Jesteście bogaci, co?

* Chyba tak.

* Jak było w Paryżu?

* Byliśmy na Wieży Eiffła * odpowiedziała Kyla. * Byli tam jacyś studenci z Big Green * czy to w Dartmouth? Sikali z samej góry.

Dartmouth * czy było na wymarzonej przez rodziców liście uczelni dla Brandona? *

A co teraz jesz? * zainteresowała się Ruby.

* Gumowe miśki.

Ruby nie cierpiała gumowych miśków. Powinni dołączać nic dentystyczną do paczek. Przysłuchiwała się, jak Kyla żuje.

* Słyszałaś o Problemie? * zapytała Kyla.

* Facecie z Tego i owego?

* No. Postrzelił Unka Deatha.

* Zabił go?

* Unka Death jest w śpiączce * wyjaśniła Kyla. * A ten Problem w więzieniu.

* Co się stało?

* Byli w klubie ze striptizem. * Ruby czekała na dalsze wyjaśnienia, lecz te nie

nastąpiły. * Mówią o tym w telewizji * dokończyła Kyla.

* To na razie.

* Na razie.

Ruby zeszła do pokoju telewizyjnego i włączyła telewizor. Przeskakiwała z kanału na kanał * kobieta w okularach z czerwonymi oprawkami, Molto Mario, zakupy, zakonnica, przyrząd do ćwiczeń, jazda na deskorolce, Hitler * i wreszcie Problem. Rapował na scenie ubrany w jeden z tych pomarańczowych więziennych kombinezonów, a złoty wisior w kształcie kałacha kołysał się na jego szerokiej kłacie. Pozwolili mu na występ w więzieniu czy nakręcono to wcześniej, a kombinezon był częścią jego image'u, który jakby wywołał wilka z lasu? Spiker komentował zdarzenie, lecz Ruby nie mogła się skoncentrować. Coś jej nie dawało spokoju, coś, co pojawiło się przez ułamek sekundy, gdy skakała po kanałach, gdzieś w pobliżu zakonnicy. Ruby nacisnęła przycisk na pilocie i zaczęła cofać się po kanałach, tym razem o wiele wolniej.

II wojna światowa, deskorolki, przyrząd do ćwiczeń, zakonnica i * to tu. Zdjęcie kogoś, kogo znała: Jeanette. U góry widniało jej imię i nazwisko, a pod spodem napisano: Old Mili, CT. Ruby zrobiła głośniej.

* ...nie pojawiła się w poniedziałek w pracy i została uznana za zaginioną. Policja prosi osoby posiadające jakiegokolwiek informacje o pilny kontakt. * Pojawił się numer telefonu, po czym zmieniono temat. Ruby jak szalona przebiegła po wszystkich kanałach, lecz nie znalazła już żadnych wiadomości o Jeanette.

Zadzwoiła do mamy. Odezwała się poczta głosowa. Zadzwoiła do taty. Jeszcze nie wrócił z lunchu. Pobiegła na górę, odszukała notes z adresami prowadzony przez mamę i zadzwoniła pod numer Jeanette.

* Jeśli nie udało mi się kogoś powiadomić * mówiła Jeanette * dwudziestego trzeciego i dwudziestego czwartego trening łucznictwa się nie odbędzie. * To weekend, który spędzili w Atlantisie. * W przyszłą sobotę zajęcia według planu. Jeśli chcesz zostawić wiadomość, poczekaj na sygnał.

Zabrział dźwięk sygnału. Następnie cisza. Ruby odezwała się:

* Jeanette? Mówi Ruby. Mam nadzieję, że nic ci nie jest. * Znowu cisza. Po kilku

sekundach Ruby dodała: * Cześć * i odłożyła słuchawkę.

Zadzwoiła do ośrodka sportowego, gdzie który prowadził zajęcia z łucznictwa.

* Ośrodek sportowy.

* Dzień dobry. Chodzę na zajęcia z łucznictwa z Jeanette. Czy to prawda, że zaginęła?

* Nie mamy żadnych informacji.

* Ale czy to prawda? Gdzie zaginęła?

* Przykro mi. Rozmowa została rozłączona.

Gdzie zaginęła? W jakim sensie zaginęła? Zippy też zaginął. Ruby usiadła przy kuchennym stole, ciężko, tak jakby nagle nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Podparła głowę dłońmi, starając się skupić. Czy była to następna sprawa do rozwikłania, powiązana z pozostałymi? Taka była jej pierwsza myśl, oczywista, przynajmniej dla niej. Ale czy Holmes nie przestrzegał przed sprawami oczywistymi? Nie ma nic bardziej zwodniczego niż oczywiste coś tam, coś tam, powiedział do Watsona chyba w „Tragedii w Boscombe valley”. Poza tym to była dziecinada: Jeanette była osobą, co oznaczało, że ta sprawa stała na wyższym poziomie. Z drugiej strony, poziom poszczególnych spraw rósł przez cały czas: szkolna kurtka, anonimowy rozmówca, Zippy, Jeanette. Czy coś wiązało je ze sobą? Miała szalone uczucie, że dobrze zna odpowiedź, że gdyby mocno uderzyła się w głowę, wszystko stałoby się jasne, układanka utworzyłaby jedną całość. Ruby z całej siły klepnęła się w głowę otwartą dłonią. Nic się nie wydarzyło. Zadzwoiła do schroniska. * Znaleźliście już Zippy'ego?

* Jesteś tą małą dziewczynką?

* To ja.

* Mam twoje ogłoszenie. Powiedziałem, że zadzwonię.

* Mógł je pan zgubić.

* Czy to twój numer telefonu? * Odczytał numer.

* Tak.

* Jak masz na imię?

* Ruby.

* Dam ci znać, Ruby, jak tylko będę coś wiedział.

* Ale gdzie on może być?

* Istnieje wiele możliwości. Ostatnim razem też tak powiedział.

* Na przykład, jakich?

* Zwłaszcza gdy jest się psem. Powiedzmy, że poczuł coś, co zwabiło go do szopy stojącej na tyłach czyjegoś domu, wpakował się do środka, a wtedy powiał wiatr i zatrzasnął drzwi. Bum, zamknięty w środku, tak po prostu. To całkiem możliwe.

Miałem podobny przypadek...

* Dziękuję * powiedziała Ruby, odkładając słuchawkę. Wpakował się do środka: cały Zippy. Będzie musiała myśleć jak pies,

a dokładnie jak jeden bardzo szczególny pies, którego знаła najlepiej na świecie.

Ruby ubrała się do wyjścia * w niebieską kurtkę z żółtymi lamówkami, żółtą czapkę w niebieskie gwiazdy, rękawiczki z jednym palcem, kozaki * włożyła szkło

powiększające do kieszeni i wyszła. Pierwszy przystanek: podjazd. Julian był tam z

Zippym podczas odśnieżania. Zippy zwykle szalał przy odśnieżaniu, rzucał się na łopatę, skakał w przód i w tył jak szalony i niewyobrażalnie głośno szczekał. Pewnie

kompletnie mu już odbijało, gdy nadjechał samochód i tamten pies na niego

zaszczekał. A może to Zippy zaszczekał pierwszy, pewnie tak było, to on zaczął.

Potem rzucił się do biegu. W jakim kierunku? Zastanowiła się i przypomniała sobie,

jak Julian opowiadał łamiącym się głosem: Oczywiście gońnię go, wołając i

wołając * Ruby prawie miała to przed oczami * ale on biegł dalej i w końcu na Indian

Ridge straciłem go z oczu. Prawie miała to przed oczami, lecz nie do końca: czy

Julian wtedy palił, czy nie? Ten mały szczegół nie mógł mieć żadnego znaczenia, a jednak przeszkadzał jej w wyobrażeniu sobie całej sytuacji.

Ruby szła Robin Road, skręciła w Indian Ridge. Szła dalej, mijając zakręt, za którym

Julian przypuszczalnie stracił Zippy'ego z oczu, i udała się na wzgórze, skąd widać

już było las. W tej części Indian Ridge stały bardzo ładne domy, tak jak ten z nowym

gontem i zielonymi okiennicami. Czy Zippy nie byłby już teraz trochę zmęczony?

Poza tym samochód dawno już odjechał. Więc co zrobiłby Zippy? Zatrzymałby się.

Ruby zatrzymała się. I co teraz? Stałby tak na środku drogi z wywieszonym jęzorem,

dyszając, czekając, aż przyjdzie mu do głowy jakaś myśl. Ruby wyszła na środek drogi. Zamknęła oczy, oczyściła umysł * udało jej się to dzięki wyobrażeniu sobie czyszczącej szybę gąbki * i czekała na myśl, pierwszą myśl, jaka przyjdzie jej do głowy. Dała sobie tylko spokój z wywieszaniem języka i dyszeniem * to byłoby idiotyczne.

Pierwsza myśl nadeszła i była to pizza. Otworzyła oczy * całe szczęście, bo znad wzgórza nadjeżdżała ciężarówka pocztowa * i Ruby szybko zeszła na pobocze drogi. Pizza! Osobliwość, mawiał Holmes, prawie zawsze była wskazówką, a Zippy osobliwie interesował się pizzą. A jaka szczególna pizza, która pojawiła się ostatnio w jego życiu, byłaby pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał teraz, gdy był na dworze, wolny? Pepperoni na grubym cieście. Ale nie tylko * po tamtym kawałku sierżant D'Amario przyniósł mu jeszcze całe pudełko hawajskiej z szynką i ananasem. Dla Zippy'ego był to istny pizzowy raj: z pewnością ta myśl nie opuszczała go przez wiele dni, świadomość istnienia nieograniczonych zasobów pizzy tutaj, w lesie. Co mógł zrobić? Pobiec do lasu najkrótszą z możliwych dróg, może nie pogalopować, skoro był zmęczony pogonią za samochodem, lecz potruczać ze zdecydowaniem, jak to zwykle robił, nawet gdy nie był na nic tak naprawdę zdecydowany. Ruby skierowała się w stronę ładnego domu z nowym gontem i zielonymi okiennicami. W połowie podjazdu leżały gazety w plastikowych workach. Ruby dała nad nimi krok, kontynuując drogę wokół domu. Dom stał tyłem do lasu, tak jak jej, na podwórku znajdował się karmnik, taki jak jej, a na nim kardynał zerkający z krawędzi * nie widziała swojego kardynała już od wieków * lecz w odróżnieniu od jej domu ten miał szopę. Była to bardzo ładna szopa, z nowym gontem i małymi zielonymi drzwiczkami, teraz zamkniętymi, które pasowały do okiennic w domu.

* Zippy?

Serce Ruby zaczęło bić mocniej i ruszyła biegiem w stronę szopy. Do drzwi przymocowane było jedno z tych metalowych zamknięć * wsuwka, zasuwka, skuwka czy coś w tym stylu * ale nie było zamka. Oczami wyobraźni widziała, jak potoczyły się zdarzenia, tak jak przewidział to opiekun zwierząt. Ruby złapała za klamkę i

otworzyła drzwi.

* Zippy?

Nie było widać Zippy'ego ani żadnej innej formy życia. W szopie panował bezruch i unosił się zapach podobny do tego, jaki czuło się w bibliotece. Kartonowe pudła stały równo poustawiane w rzędach w głębi pomieszczenia, od podłogi aż po sufit. Na każdym z nich napisano z boku Podatek dochodowy, a obok widniał rok, najwcześniejszy, na samym dole po lewej stronie, to 1949. Ruby poczuła się nieswojo. Wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

Ani śladu Zippy'ego. Nie znaczyło to, że pomysł z szopą był chybiony. Nie znaczyło również, że chybiony był pomysł z pizzą. Pizza tu pasowała. Znała Zippy'ego. Pizza była jednym z ogniw w łańcuchu zdarzeń * było teraz tak wiele ogniw, tak wiele łańcuchów, że wlokąc je cały czas za sobą, czuła się jak Duch Marleya * elementem, który dogłębnie pojęty pozwoli ujrzeć poprzedni i następny w serii zdarzeń. Myśl o pizzy zaciągnęła Zippy'ego do lasu.

Ruby poszła tym tropem. Żadne ślady nie prowadziły z szopy do lasu * skoro ludzie w tym domu płacili podatki w 1949, prawdopodobnie od lat jeździli już na wózkach inwalidzkich * więc Ruby snuła się po prostu wśród drzew, kierując się w lewo, gdzie, jak się jej wydawało, znajdował się staw. Dostrzegła ślady na śniegu, małe i płytkie, jak muśnięcia pędzlem, pewnie zostawione przez wiewiórki, i większe, głębsze należące do psa * nie miała pojęcia, jak dokładnie wyglądały ślady Zippy'ego * a także wyraźne, schludne, trójkątne należące do jelenia. Kilka razy widziała tu ślady jelenia, lecz dawno już jej się to nie zdarzyło. Miło było wiedzieć, że wciąż tu są, teraz, gdy las zamieniał się w ćpuńską melinę.

Ruby odnalazła ścieżkę, doszła nią do następnej ścieżki, która wydawała się jej znajoma, udała się nią pod górę, minęła zakręt i presto: staw. Była urodzonym tropicielem. Cortez i Pizzaro też musieli mieć swoich tropicieli, ale pani Freleng nie raczyła o tym wspomnieć. Albo byli to miejscowi, a w takim razie rdzenni mieszkańcy przyłożyli rękę do własnego upadku, albo też przybyli z Hiszpanii, co oznaczałoby, że Konkwistadorzy chociaż w czymś byli dobrzy. Szła brzegiem stawu, dziś nie pokrytego lodem, bladego,

w którym odbijało się tylko zachmurzone niebo, w kierunku wielkiego głazu, gdzie Zippy znalazł pierwszy kawałek pizzy z pepperoni.

Nie było tam pizzy, która została już sprzątnięta, lecz Zippy nie mógł tego przewidzieć. Był zaskoczony. Z pewnością zaczął gryźć, co popadło * nie zauważyła wprawdzie takich śladów, lecz śnieg padał i topniał, zmieniając wszystko dookoła * i przy tym Zippy wydawał z siebie te piski, które zwykle pojawiały się, gdy był bezradny, a wtedy...

Ruby dostrzegła coś kilka metrów dalej, niebieską, błyszczącą, niewielką rzecz, która utkwiała pod korzeniem drzewa przecinającym ścieżkę, wystającym spod śniegu.

Uklękła, zdjęła rękawiczkę i podniosła to: psi numerek w kształcie serca. Po jednej stronie tuż pod rokiem widniało: Gabinet Wet. w West Mili, Szczepienie p.

wściekliwość. Po drugiej: Zippy.

Ruby rozejrzała się. Czowała, jak zimny był numerek spoczywający w jej dłoniach. Zippy tu był, nie było co do tego wątpliwości, tu, w miejscu, gdzie wszystko się zaczęło. Ale co potem? Zerknęła na staw. Zippy nie lubił stawu, nigdy nie chciał niczego aportować, z wyjątkiem najgorętszych chwil lata lub tego dnia, kiedy spróbowała rzucać mu chrupki serowe. Skakał po nie z tuzin razy * unosiły się na powierzchni, dzięki czemu łatwo je było złapać * i w ten sposób zjadł całą paczkę. To było mgliste wspomnienie, drobnostka, lecz na tym polegała jej metoda, na obserwacji drobnostek, które prowadzą do wniosków. Wniosek: Zippy zawsze skoczyłby do stawu za jedzeniem.

Przypuśćmy, że staw był zamrożony, co wydawało się całkiem możliwe, skoro wczoraj był pokryty lodem tylko w połowie, a dziś wcale, a faceci z MPO być może przegapili kawałek pizzy lub może nawet całe pudełko, które wiatr zdmuchnął na lód.

Wiatr: czynnik, o którym wspominał opiekun zwierząt. Co zrobiłby Zippy? To było całkiem oczywiste. Łatwo było wyobrazić sobie tę scenę: Zippy na lodzie, wpadający do wody gdzieś na środku, w miejscu, gdzie lód był cienki, drapiący łapami w szalanej panice. Prawdę mówiąc, trudno jej było wymazać ten obraz z umysłu. Ale musiała mieć pewność... Ruby udała się w stronę domu, czując, jak numerek Zippy'ego rozgrzewa się w jej dłoniach.

.Huby wróciła nad staw, ciągnąc za sobą ponton, okrągły i gruby, na którym zmieściłyby się dwie osoby, napompowany tak mocno, jak tylko dała radę, korzystając z pompki do roweru. Na pontonie leżały jej maska i rurka do nurkowania, lekko odbarwione od słońca na Bahamach. Nie miała zamiaru nurkować, nie zrobiłaby niczego tak szalonego * woda była zbyt zimna * lecz co innego wypłynąć na staw. Wiedziała, gdzie leży granica. Ruby zdjęła kurtkę i położyła ją przy głazie. Zdjęła też rękawiczki, podwinęła rękawy swojego jedyne swetra Abercrombie * była jeszcze za mała na sweter Abercrombie, lecz musiała go mieć * i zepchnęła ponton na skraj wody. Wtedy wzięła do ręki maskę * miły pan o imieniu Moxie na plaży Junkanoo zademonstrował jej całą procedurę * opłukała ją w wodzie, tak, bardzo zimnej, i założyła na czubek głowy ze zwisającą z jednej strony rurką. Potem położyła się w pontonie na brzuchu, odepchnęła nogami i plusk * już płynęła po stawie.

Ruby przez chwilę wiosłowała rękoma, lecz krótko, bo woda była zbyt zimna, sterując w stronę środka stawu. Gdy już tam dotarła, zsunęła maskę, włożyła rurkę do ust, przesunęła się na brzeg pontonu i zanurzyła twarz w wodzie.

O, rany. To ją obudziło. Czuła, że maska wciąż ciasno przylega, tylko jej policzki i podbródek zupełnie zdrętwiały. Oddychając przez rurkę, zajrzała w głębiny stawu i nie dostrzegła niczego, poza czymś, co wyglądało jak kłębki kurzu. Dna nie było widać. A w ogóle to jak głęboki był staw? Zabawne, ale nigdy nie przyniosła tu sprzętu do nurkowania latem, pamiętając o nim tylko, gdy wybierali się nad ocean. Ruby wiosłowała jeszcze kawałeczek w jedną stronę, potem w drugą, nie widząc dna ani niczego innego, poza tymi niby kłębami kurzu. Nagle coś w dole się poruszyło. Ponton przepłynął nad tym, zanim zdążyła się przyjrzeć. Ruby przesunęła się odrobinę do przodu i głębiej zanurzyła twarz, by móc dostrzec to, co zostało w tyle. I nagle to zobaczyła: rybę, wypływającą ku powierzchni. Ryba * w zimie! * brązowa, o delikatnych płetwach, lekko niebieskich, nie tak elektryzująco niebieskich jak te, które widziała u ryb na Bahamach...

I już była w wodzie. Raptem: tak jakby gigantyczna fala podpłynęła z rykiem i zrzuciła ją z pontonu. Poszła na dno, wstrząsana zimnem tak szokującym, że nie

mogła się poruszyć, nie mogła zrobić niczego poza sapnięciem. A sapnięcie oznaczało połknięcie wody. Połknęła wodę, kaszłąc, połknęła jej jeszcze więcej, tonęła, czuła, jak kozaki napełniają się wodą, a ubranie na niej ciąży. Opadając w dół, Ruby dostrzegła dno i leżące na nim puszki po piwie, butelki, opony, wodorosty, pnie drzew, kij narciarski. Przeszedł ją kolejny wstrząs, tym razem desperacki, pochodzący z wewnątrz. Nogi i ręce Ruby zaczęły się poruszać, wykonując gwałtowne ruchy. Dźwięki walki bulgotały w jej uszach. Wydostała się na powierzchnię, kaszłąc i łapczywie łapiąc powietrze, rozglądając się w popłochu za ponto

nem, który dostrzegła po drugiej stronie stawu, odbijający się o brzeg. Znowu wiatr: nie była mądrzejsza od Zippy'ego, może nawet była głupsza. Ruby rzuciła się na brzeg. Po chwili nie miała już maski ani rurki, nie miała też kozaków, skarpetek, swetra Abercrombie. Rzuciła się na brzeg i wciągnęła swe praktycznie nagie ciało na śnieg. Sięgnęła po kurtkę, drżąc z zimna, klekocząc zębami jak te instrumenty hiszpańskich tancerzy, upuściła ją, poniosła sztywnymi dłońmi i próbowała założyć. Nie dała rady. Owinęła ją wokół siebie i ruszyła w stronę domu, biegnąc, potykając się, odrobinę płacząc, bosą po śniegu.

W domu nie było nikogo. Wzięła długą, gorącą kąpiel, weszła do łóżka i włączyła telewizor. Pokryty śniegiem parking. Policyjna taśma. Pickup Jeanette.

Reporter: * ...wyborną narciarką. Policja skłania się ku teorii, że podczas weekendu wjechała na oblodzony fragment stoku, przypuszczalnie poza oznakowaną trasą, i przyplącała to życiem. Poszukiwania obejmują każdy metr kwadratowy sześciu gór wokół Killington, jak również sąsiadujące z nim Pico i nieoznaczone trasy, lecz w związku z tym, że czeka nas kolejna zimna noc, nadzieja na sukces w poszukiwaniach ofiary zimowego dramatu maleje. * Ujęcia ekipy poszukiwawczej w lesie, na nartach, na skuterach śnieżnych, z psami. Szczekanie w tle.

Ruby?

Ruby otworzyła oczy. W pokoju było ciemno. Obok niej stała mama, której twarz oświetlała biało*niebieska poświata bijąca od telewizora.

* Wszystko w porządku? * zapytała.

* Chyba zasnęłam. * Czuła, jak kręci się jej w głowie. * Wiesz już o Jeanette?
* To okropne * stwierdziła mama. * Ale trzeba mieć nadzieję, to taka silna kobieta.
* Jak długo potrzeba, by zamarznąć na śmierć?

* To zależy.

* A jeśli uderzyła głową w drzewo?

* Nie wiem.

* Czy w nocy też szukają?

* Nie jestem pewna.

Ruby podniosła się. * Co się dzieje, mamo?

* Nie rozumiem?

* Najpierw Zippy * wyjaśniła Ruby. * Teraz Jeanette.

Mama podeszła bliżej i położyła dłoń na czole Ruby, chłodną dłoń, a właściwie zimną.

* Masz lekką temperaturę * zauważyła mama. * Może zejdziesz na dół? Mamy dziś wieczór Niebieskiego Smoka, ale mogę ci podgrzać trochę rosółu.

* Nie jestem głodna.

* Przyniosę ci coś do pokoju.

* Nie chcę.

Mama pochyliła się, pocałowała ją w czoło i wyszła. Ruby wpatrywała się w ekran telewizora. Znów pokazywali pickupa, lecz był to ten sam reportaż co przedtem, z ujęciami za dnia. Teraz była noc. W nocy w górach robiło się zimno, dużo poniżej zera. Była kiedyś w domku narciarskim wujka Toma i cioci Deborah i wyszła nocą na dwór, żeby sprawdzić, co to znaczy dużo poniżej zera. Ruby wyłączyła telewizor. Do pokoju wszedł tata.

* Trochę tu ciemno, kochanie. * Włączył światło. * Słyszałem, że nie czujesz się najlepiej.

Usiadł na łóżku i postawił tacę na jej nocnym stoliku: rosół, sok pomarańczowy, biały ryż z sosem śliwkowym.

* Co się dzieje, tato?

* Nie rozumiem.

* No Zippy. Jeanette...

Tata wzruszył ramionami. * Nieszczęścia chodzą parami. Ale wiele psów się odnajduje. A Jeanette to twarda sztuka.

* Zippy już nie wróci.

* Tego nie wiemy * pocieszył ją tata.

Ruby była tego pewna, prawie na sto procent, lecz zwierzenie się z epizodu nad stawem oznaczało duże kłopoty.

* A co, jeśli nie znajdą Jeanette na czas?

Tata westchnął i podrapał się po szyi. * Nie zamartwiajmy się tym, jeśli nie musimy. Zamartwianie się w niczym nie pomaga, Ruby. * Zbadał jej czoło. Jego dłoń też była zimna, lecz nie tak zimna jak mamy. * Dobrze się czujesz?

* Tak.

* Spróbuj coś zjeść. Potem się wyśpij. Rano będziesz jak nowonarodzona.

* Dzięki, tato. * Był wspaniałym tatą i od razu poczułaby się lepiej, słysząc jego łagodny ton głosu, gdyby nie powiedział jak nowonarodzona, co nieodmiennie kojarzyło się jej z Unka Deathem. Pierdol się jak nowonarodzony, dziś wierzysz tylko w to, by jutro być skończonym. To było jedno z najlepszych nagrań, jakie kiedykolwiek słyszała, może dlatego, że te słowa tak bardzo ją przerażały. .

Tata lekko pocałował ją w czoło, podobnie jak mama, i skierował się do drzwi.

* Tato? A co słyhać na tej giełdzie?

Tata odwrócił się. * Idzie jak po maśle, kochanie. Postaraj się tyle nie martwić. Wyszedł z pokoju.

Ruby usiadła. Nie było to takie proste: poczuła się nagle tak bardzo ociężała.

Spróbowała zupy, zjedzenie jednej łyżki kosztowało ją sporo wysiłku. Wzięła łyk soku pomarańczowego. Ryż w ogóle nie wchodził w grę, mimo iż uwielbiała sos śliwkowy. Jedną z najgorszych rzeczy w byciu chorym był fakt, że umysł płatał figle. Weźmy na przykład sos śliwkowy: połyskiwał w ohydny sposób, tak jakby miał wobec ryżu złe zamiary, próbując go zadusić. W tym momencie zmusiła się, by wstać z łóżka, zanim sprawy przybiorą jeszcze gorszy obrót.

Ruby wyszła na korytarz, teraz czując się dziwnie lekko, jak piórko, unosząc się w

powietrzu, tak że każdy krok stawał się niebezpieczny. Z dołu dobiegł ją głos Juliana.

* Columbia? * mówił. * Aktualnie raczej nieosiągalna, choć nie wykluczam, że to ulegnie zmianie. Ale, jeśli chcecie znać moje zdanie...

* Oczywiście * wtrącił tata.

* Wydaje mi się, że wołał Uniwersytet Nowojorski.

* Naprawdę? * odezwała się mama głosem, który wskazywał na żywe zainteresowanie przedmiotem rozmowy.

* W moim przekonaniu to byłby całkiem dobry wybór * dokończył Julian. Jego głos cichł, w miarę jak Ruby szła korytarzem, i docierały do niej tylko ledwo słyszalne strzępy rozmowy: Uniwerek, Columbia, SAT, średnia ocen, wolontariat. Otworzyła drzwi pokoju Brandona.

Siedział przy biurku, wpatrując się w podręcznik, trzymając w ręku żółty zakreślacz. Czy kiedykolwiek przedtem widziała go odrabiającego lekcje? Zwierzęcy zapach nie był dziś tak silny jak zwykle, lecz powodem tego mógł być jej zatkany nos. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Odwrócił się, zaskoczony.

* Słyszałaś kiedyś o pukaniu?

Nie potrafiła wymyślić ostrej riposty czy kaśliwości, nie miała na to sił. * Musimy pogadać.

* O czym?

* Dzieją się dziwne rzeczy.

* Na przykład? * Niecierpliwie stukał nogą.

* Zacznijmy od twojej kurtki.

Zerknął na drzwi. * Co wiesz o mojej kurtce?

* Dużo.

* Czy Dewey coś ci powiedział? A może Trish?

* O czym?

Odłożył zakreślacz. * Co wiesz o mojej kurtce?

* Jest osiłą sprawą.

* Jakiej sprawy?

* Lub spraw. Pamiętasz ten dzień, w którym przyszedłeś do domu bez kurtki i byłeś

zaskoczony, gdy zobaczyłeś ją na wieszaku?

* Znów będziemy to wałkować?

Ruby zakreśliło się w głowie i usiadła na łóżku. * Dlaczego zawsze musimy się kłócić?

Brandon wzruszył ramionami.

* Muszę ci coś powiedzieć. Możesz się na mnie złościć, ile chcesz.

* Co?

* To ja wzięłam twój crack. Wyrzuciłam go. Ponownie zerknął na drzwi. * O czym ty mówisz?

* Nie ma sensu kłamać, Brandon. Miałam to w ręku wczoraj wieczorem.

* Wczoraj wieczorem?

* Byłam tak wściekła, że pewnie nie rozdałeś tych ogłoszeń. Wszędzie ich szukałam i sprawdziłam też w twojej kurtce. Wtedy znalazłam crack.

* W mojej kurtce był crack?

* Na miłość boską, Brandon.

Wstał i podszedł bliżej. Ruby przestraszyła się. Ale on tylko usiadł koło niej na łóżku.

* Ile? * zapytał.

Naprawdę nie miał o niczym pojęcia? Spojrzała mu w oczy, oczy podobne do oczu mamy, i niczego już nie była pewna. * Naprawdę nie wiedziałeś?

* O czym? Nie noszę przy sobie cracku. Nie jestem ćpunem, Ruby. Spróbowałem raz czy dwa i na tym koniec.

* Obiecuj, że więcej tego nie zrobisz.

* Jezu Chryste.

* Obiecuj.

* Obiecuję.

* Było dwanaście fiołek.

* Wszytych pod podszewkę?

* Skąd wiesz, skoro...

* Bo przeszukali dziś moją szafkę w szkole * ten D'Amario i dyrektorka * i rozcięli podszewkę w kurtce.

* Pocięli twoją szkolną kurtkę? Skinał głową.

Siedzieli przez chwilę pogrążeni w ciszy. Ze słuchawek Brandona, leżących na biurku, dochodziły ciche dźwięki rapu.

* Ktoś chciał wpędzić mnie w kłopoty * stwierdził Brandon. Teraz nadeszła chwila, by powiedzieć: no, by się odplacić za wszystkie te obojętne no, które od niego usłyszała. * Na przykład kto? * zamiast tego zapytała Ruby.

* Nie mam pojęcia * rzekł Brandon. * Ktokolwiek to jest, musiał wszyć narkotyki i zadzwonić do szkoły.

* Anonimowo?

* Nie wiem.

* Czy w szkole nagrywają rozmowy?

* Zaczną nagrywać w przyszłym roku * wyjaśnił Brandon.

* Szkoła jest do dupy * zauważyła Ruby.

Brandon zaśmiał się, a nawet położył swoją dłoń na jej ręce. * Hej * zawołał. * Jesteś rozpalona.

* Nic mi nie jest * odparła Ruby.

Spojrzał na nią w dość dziwny sposób, tak jakby właśnie poznał kogoś nowego. * Ocaliłaś mi tyłek * stwierdził.

* To prawda * zgodziła się Ruby. * Co teraz zrobimy?

* Dowiem się, kim jest ten, co to zrobił, i nakopię mu do dupy.

* Jak masz zamiar to zrobić?

* Mam w szkole kumpli. Coś wymyślimy. ** A jeśli to był któryś z nich?

Brandon przemyślał jej słowa. * Co proponujesz?

* Musimy zacząć od dnia, w którym byłeś zaskoczony, gdy zobaczyłeś swoją kurtkę na wieszaku * powiedziała Ruby. * Tak, jak już mówiłam.

* Dobra, już dobra * zgodził się Brandon. * Odleciałem na imprezie w lesie, na tej wcześniejszej, i pewnie ją tam zostawiłem. Myślałem, że to ty ją przyniosłaś.

* Ja?

* Kiedy byłaś z Zippym na spacerze.

Czy nie znał jej lepiej? * Powiedziałabym ci o tym.

* Ach, tak * mruknął Brandon. Przez chwilę się nie odzywał. Później rzekł: * Chcesz mi powiedzieć, że ten, kto przyniósł tu kurtkę, zaszył w niej crack. Nosilem to świństwo przez cały czas?

* Nie wiem.

Brandon wstał. * Może rodzice byli tu, gdy kurtka wróciła, może ktoś im ją dał? * Skierował się do drzwi.

* Nie sądzę.

* Dlaczego nie? Zejdę i zapytam.

To nie pasowało, ale nie potrafiła wyjaśnić dlaczego, nie zanim wyszedł. Słuchała cichych dźwięków rapu: Unka Death, lecz jak duch. Brandon wrócił po chwili i pokręcił głową.

* Wszyscy wyglądali na zaskoczonych * odparł. Podał jej szklanekę z wodą i tabletkę.

* Goto?

* Advil. Wyglądasz na chorą.

* Dzięki * odezwała się Ruby

Obserwował, jak połyka tabletkę i popija wodą. * Co teraz zrobimy? * zapytał.

Ruby myślała. W pierwszej chwili wydawało się jej, że nie będzie w stanie. Ile wiedzieli? Tylko jedno: zrobiła to jakaś osoba. Co wiedzieli o tej osobie? Nic. Wtedy zdała sobie sprawę, że najprościej w świecie będzie postawić się w pozycji tej nieznaney osoby. Coś jednak wiedzieli, znali jeden mały szczegół: ta osoba musi być teraz bardzo zaskoczona, zastanawiając się, co poszło nie tak.

* Ktokolwiek to jest, może do ciebie przyjść * ostrzegła go Ruby.

* Żeby dowiedzieć się, co się stało? * upewnił się Brandon.

Ruby skinęła głową. Rozmowa z Brandonem stawała się coraz łatwiejsza. Może nie różnili się tak bardzo, jak sądziła.

* Ale w podstępny sposób * dodała.

* Masz rację * zgodził się Brandon. * Będę miał otwarte oczy. Ruby poczuła, jak przechodzi ją dreszcz.

* Dobrze się czujesz?

* Tak.

* Powinnaś się położyć.

* Dobrze.

* Rano rozdram te ogłoszenia. Znów przeszedł ją dreszcz.

Ruby położyła się do łóżka. Zasnęła, obudziła się, zasnęła i obudziła się. Tajemnica Szkolnej Kurtki została częściowo rozwiązana, lecz teraz wydawało się, że pojawiła się druga tajemnica tego anonimowego rozmówcy. Sprawy przemykały w jej umyśle jedna za drugą, a ją trawiła coraz wyższa gorączka. Ruby nie cierpiała chorować, nie cierpiała, gdy choroba bawiła się jej umysłem, realny świat przestawał być realny i wydawał się wyimaginowany, a ten nierealny, wyimaginowany stawał się prawdziwy. Jej umysł powinien teraz normalnie funkcjonować: wszystko, czego trzeba było się dowiedzieć, już tam tkwiło.

Musiała zasnąć, wydobrzeć. Wypróbowała sztuczkę z jaskinią. Ruby, jaskiniowa kobieta, siedziała u wejścia do ładnej i suchej jaskini, bezpieczna, poza zasięgiem śnieżycy szalejącej na dworze. Lecz śnieg doprowadził ją do Jeanette. Ruby wiedziała, nie musiała nawet patrzeć, że Jeanette znajduje się głęboko wewnątrz jaskini, wiedziała też, że ohydne węże pełzają po jej ciele. Były także w jej wnętrzu. Wtedy realny świat wkradł się do wyimaginowanego, wysyłając w dół ciche dźwięki dobiegające z sufitu, tak jakby dom zaczynał żyć własnym życiem.

29

Ruby otworzyła oczy. Był ranek. Czowała się trochę lepiej, jeszcze odrobinę bolała ją głowa, lecz gorączka spadła. Dziwnie wypaczony świat ze snów również zniknął. Jej wzrok odzyskał ostrość, widziała wyjątkowo wyraźnie: zauważyła, po raz pierwszy przez te wszystkie lata, że niewielki fragment sufitu nie pasował do reszty pod względem białości. Trzeba będzie coś % tym zrobić, zanim ją to doprowadzi do szaleństwa.

Gruby płatek śniegu przefrunął za oknem, lecąc gdzieś w bok. A za nim kolejny i jeszcze kilka. Każdy był inny. Podobnie jak ludzie, oczywiście nie licząc bliźniaków,

lecz różnice pomiędzy płatkami były trudne do zauważenia, a osoby z osobą nie sposób było pomylić. A im lepiej się kogoś znało, tym bardziej różnił się od pozostałych. Czy każdy w to wierzył? Z pewnością nie ludzie od reklamy * musieli wierzyć, że wielkie masy ludzi są całkiem do siebie podobne. Na przykład firma Gap i ich rzeczy szyte tak, by przemówiły do milionów dziewczyn. Ona, Aruba Nicole Mara Gardner, pomimo tego jedynej w swoim rodzaju imienia, była tylko jedną z milionów, może miliardów. Ruby nie chciała przeciągać struny, nie chciała zapędzić się w ślepy zaułek, gdzie musiałaby w jakiś sposób przeciwstawić się Gapowi. Gap był fundamentem jej życia. Taka jest prawda i niech się dzieje co chce.

Zerknęła na zegarek. Była dziewiąta trzydzieści pięć. Dziewiąta trzydzieści pięć? Jak to? Dziewiąta trzydzieści pięć w środę, odczytała dokładnie. Zasnęła, przegapiła autobus. Spóźniła się na autobus i na matkę, a jak sobie przypominała, miał być na niej test, do którego się nie przygotowała, i na edukację zdrowotną, na której też miał być test, ale na edukację zdrowotną nie musiała się przygotowywać tak długo, jak była zdania, że papierosy, alkohol i narkotyki szkodzą.

Ruby wstała. Trochę słaba i bardzo, bardzo głodna. Udała się do łazienki, potem na dół i do kuchni. Był tam Julian, jadł śniadanie przy stole, zerkając w stojący na blacie telewizor. Zupełnie o nim zapomniała.

* Dzień dobry, Ruby * odezwał się, oglądając się na nią. Na ekranie migają cyferki notowań giełdowych. * Lepiej się czujesz?

* Tak. * I była to prawda. Jej wzrok był niezwykle ostry: padł na jego bródkę, która odrobinę się postrzępiła, być może wymagała przycięcia. Zmysł węchu również działał nienagannie: poczuła zapach tytoniu, mimo że nie palił i nigdzie w pobliżu nie było niedopalków.

* Rodzice zdecydowali, by cię nie budzić * wyjaśnił. * Tylko ja zostałem na warcie.

* Więc nie muszę iść do szkoły?

* Jesteś wolna jak ptak * odparł Julian. * Zrobić ci śniadanie?

* Dzięki * odezwała się Ruby, spoglądając na jego posiłek * kawę i tosta grubo posmarowanego dżemem truskawkowym. * Dam sobie radę.

Ruby zajrzała do szafki: stało tam nowiutkie, nie otwarte pudełko płatków śniadaniowych z mango i migdałami. Mama: w tym tygodniu odpowiedzialna za wszystko. Przygotowała sobie pełną miseczkę * nie było potrzeby dodawania pokrojonych w kawałki bananów czy jagód, te płatki zawierały wszystko * zaniosiła ją na stół i usiadła na swoim miejscu przy oknie, naprzeciw Juliana.

* Wygląda smakowicie * zauważył Julian.

* Chcesz spróbować?

* Nie, dziękuję.

Ruby wzięła do ust pełną łyżkę, a potem jeszcze kilka, naprawdę szybko, taka była głodna. Mleko ciekło jej po podbródku. Wytarła je rękawem. Julian nie zauważył. Jego wzrok był utkwiony w ekranie.

* Jak chodziłeś do szkoły, mieliście edukację zdrowotną? * zainteresowała się Ruby.

* Edukację zdrowotną? Chyba tak.

* Co przerabialiście? To samo, co teraz? Palenie szkodzi i takie tam?

Spojrzał na nią. * Tak naprawdę nie chodziłem na edukację zdrowotną. Zdobyłem wykształcenie w dość osobliwy sposób, jak już wspominałem twoim rodzicom.

* A, tak * przypomniała sobie Ruby. Połknęła kolejną łyżkę płatków, po brzegi wypełnioną mango. Wyborny smak, ale bez porównania z tymi olbrzymimi, świeżo zerwanymi mango na Paradise Island. * Uczyli cię prywatni nauczyciele, tak?

* Zgadza się.

* Czy dlatego wybrałeś pracę nauczyciela?

* Nie.

Czekała na dalsze wyjaśnienia. Może właśnie się nad nimi zastanawiał, gdy rozsmarowywał dżem na toście. Odezwała się pierwsza:

* Ale lubisz to robić * uczyć?

* Oczywiście.

* Pracować z dziećmi, i tak dalej? Niektórzy z moich nauczycieli w ogóle nie lubią dzieci, co jest dość dziwne.

* Bardzo dziwne * zgodził się Julian, wkładając kawałek tosta do ust.

* Założę się, że znam twój sekret * rzekła Ruby.

* Tak? * zapytał, odkładając tosta na talerz. Zauważyła, że to jeden z porcelanowego serwisu od babci, tego na wyjątkowe okazje, serwisu, który trzymano w kredensie w jadalni i wyciągano wyłącznie na Boże Narodzenie.

* Zajmujesz się nauczaniem, ale tak naprawdę chcesz zostać pisarzem.

* Dlaczego tak uważasz?

Z powodu wiersza w jego notesie, oczywiście, tego zaczynającego się od słów: oziębły ktoś zaniedbać. Ale nie miała prawa tego czytać, a już z pewnością czegokolwiek dopisywać, tak więc zamiast przypomnieć mu o tym niechlubnym fakcie, powiedziała:

* Znasz tyle słów.

* Myślisz, że to czyni człowieka pisarzem?

* Masz chociaż z czego wybierać.

Posłał jej dziwne spojrzenie, jedno z tych, które odzwierciedlały jego inteligencję. Trochę ją to zdenerwowało i wypaliła pierwszą rzecz, jaka przyszła jej do głowy:

* Możesz też wybierać z włoskiego, jeśli tylko chcesz.

Julian wziął do ręki tosta, odgryzł kawałek, rozkoszując się smakiem truskawkowego dżemu. Odczytała to ze sposobu, w jaki poruszały się jego usta. Zmysłowo, czy to właściwe określenie? A może zmyślnie! Nie chciała go o to pytać, mogła później sprawdzić w dużym słowniku na...

Włoski. Chwileczkę. To i owo zaczęło krążyć jej po głowie. Bum. Nagle pojawiło się pytanie: czy nie pomylił się w tłumaczeniu Gdzie można zrobić tanie zakupy? Czy istniała taka możliwość, że włoski Juliana nie był tak dobry, jak myślała?

* Gdzie nauczyłeś się włoskiego? * zapytała Ruby.

Julian napił się kawy, bardzo elegancko. Czasami przypominał jej europejskiego arystokratę, takiego z filmów, bo nigdy nie widziała prawdziwego.

* W większości w Kamerunie * wyjaśnił Julian.

* W Kamerunie mówią po włosku? * Ruby nie była pewna, gdzie leży Kamerun, lecz wiedziała, że europejskimi językami posługiwano się w Afryce. Nelson Mandela i francuska Legia Cudzoziemska, oto dwa dobre przykłady. A włoski, którym mówiono w Kamerunie, przypuszczalnie różnił się od oryginalnego włoskiego używanego w

Rzymie, tego, którym posługiwała się dziewczyna na lotnisku. To by wyjaśniało problem z tanimi zakupami.

* We włoskiej ambasadzie * odrzekł Julian. * Miałem lekcje z dziećmi ambasadora.

Ach, tak. * Czy pochodziły z Rzymu?

* O ile pamiętam, to z Mediolanu.

* A jakim włoskim mówi się w Mediolanie?

* Słucham?

* Czy to autentyczny włoski, taki jak w Rzymie?

Julian utkwiał spojrzenie w suficie, przyglądając się mu badawczo. Później spojrzał na nią. * Zdarza ci się pomyśleć, zanim coś powiesz? * zapytał. Ponownie napił się kawy.

W pierwszej chwili Ruby nie uwierzyła własnym uszom. Julian był zawsze taki miły i uprzejmy. Ale było to jednak bardzo proste pytanie, złożone z bardzo prostych słów, a jej słuch, podobnie jak reszta zmysłów, był dziś wyjątkowo dobry. Dobrze go zrozumiała. Jej twarz dała to jej do zrozumienia, czerwieniejąc, a dolna warga, drżąc. Julian podniósł brwi. * O, mój Boże * rzekł. * Naprawdę tak powiedziałem? *

Odstawił filiżankę, gwałtownie, tak że kawa wylała się na spodeczek. * To okropne, tak mi przykro, Ruby. * Dotknął dłonią czoła. * Sam nie czuję się dziś zbyt dobrze.

Oczywiście, wcale nie miałem tego

na myśli. Bardzo cię cenię, naprawdę. Moje myśli wciąż były w tej okropnej ambasadzie i okropnym mieście, Yaounde. Cmentarz dla białego człowieka, jak mawiają, gdzie oni * my * wszyscy zrobiliśmy się opryskliwi. Błagam, wybacz mi. * Wyciągnął rękę ponad stołem i poklepał ją po ramieniu.

* Nic się nie stało * odparła Ruby.

Dorośli często zdarzało się coś chlapnąć. Każdy dorosły, którego znała, od czasu do czasu coś chlapnął, niektórzy nawet bardzo często, jak pani Freleng, no i oczywiście mama. Kolor jej twarzy wrócił do normy. Dolna warga przestała drżeć.

* Dziękuję, Ruby. Oto ludzki błąd i boskie wybaczenie. Pewnie wiesz, o czym mówię.

* Nie, nie wiem.

* Błądzić jest rzeczą ludzką, a boską wybaczać.

Piękne. Aż zaparło jej dech w piersiach. * Sam to wymyśliłeś, Julian?

* To Pope * wyjaśnił Julian. * W Eseju o krytycyzmie.

Jaki znów Pope?, zastanowiła się Ruby. Już mu wybaczyła * czy można się gniewać na kogoś, kto używa takich zwrotów? * lecz wolała nie ryzykować głupiego pytania o autora tego powiedzenia. Ruby zapytała inteligentniej:

* Jak to będzie brzmiało po włosku?

Julian uśmiechnął się. * Dobre pytanie * pochwalił ją. * Może: „sbagliare e umano, U dwino e perdonare”.

* Nieźle * stwierdziła Ruby.

* Co ciekawe, Włosi tak nie mówią. On mawiają: „sbagliare e umano, peferuorare e diablico”.

* Czyli?

* Błądzić jest rzeczą ludzką, diabelską się upierać.

Ruby się zamyśliła. Julian tyle wiedział. Ile lat zabrałoby jej choćby zbliżenie się do wiedzy, jaką posiadał? Jeśli chodzi o jego włoski, najwyraźniej był perfetto.

Dlaczego więc w ogóle zadała następne pytanie? * A jak jest: Gdzie można zrobić tanie zakupy? * Żeby pokazać, jaka z niej diablica?

* Dove si può trouare i prezzi buoni? * odparł Julian.

Dokładnie tak powiedziała ta mała Włoszka, słowo w słowo. Gdy tylko Julian dokończył zdanie, wyraz jego oczu zmienił się odrobinę, tak jakby przyszła mu do głowy jakaś myśl. Ruby odniosła wrażenie, że właśnie zaobserwowała jeden z najdrobniejszych szczegółów, o których mówiła Jeanette. To drugie wyrażenie * guesto e l'inizio delia fine * nie miało nic

wspólnego z zakupami, ani w dialekcie weneckim, ani żadnym innym. Więc dlaczego, skoro potrafił to powiedzieć poprawnie, sprowadził ją na manowce? Czy był to jakiś żart? Jeśli tak, to go nie zrozumiała.

* O czym myślisz, Ruby?

* O włoskim * odparła, jednocześnie myśląc, że jeśli to nie żart, to co? Co było śmiesznego w stwierdzeniu: „To początek końca”? Czy to możliwe, że ta włoska

pomyłka była w rzeczywistości kolejną zagadką? * Ma takie piękne brzmienie.

* Wielu ludzi tak sądzi.

A jeśli była to zagadka, musiała dowiedzieć się więcej, o wiele więcej. Holmes zawsze wyliczał Watsonowi najważniejsze fakty danej sprawy na samym początku historii, ale najpierw należało je poznać.

* Jakie znasz jeszcze języki, Julian?

* Francuski, hiszpański, portugalski, trochę arabskiego, trochę rosyjskiego i trochę niemieckiego.

* Mama mówiła, że twoja rodzina robiła w przemyśle naftowym.

* Zgadza się.

* Dlatego mieszkałeś w tych wszystkich miejscach?

* Nie we wszystkich * poprawił ją Julian. * Lecz w wielu.

* Gdzie najbardziej ci się podobało?

* W Londynie.

* W Londynie jest nafta?

Cisza. * Tam mieliśmy swoją siedzibę.

* Nie jestem zaskoczona * odparła Ruby.

* Dlaczego?

* Mówisz tak, jakbyś był Anglikiem, tylko że nie masz akcentu.

* Znasz wielu Anglików?

* Nie.

* Ale widziałaś ich w filmach? Ruby skinęła głową.

* Jesteś postrzegana jako bardzo kreatywna, prawda? * Julian powiedział to w głębokim zamyśleniu, tak jakby sam zaobserwował jeden lub kilka szczegółów.

Podniósł obie dłonie w górę. * To tylko niewinne pytanie * wyjaśnił z uśmiechem na twarzy.

Ruby nigdy nie zastanawiała się, jak jest postrzegana. * Nie wiem. Przyglądał się jej przez chwilę i uśmiech powoli zniknął z jego twarzy, choć usta pozostały w tej samej pozycji. * Moja matka była Angielką.

* A twój tata?

* Amerykaninem.

* Skąd?

* Pochodził z Nowej Anglii, tak jak ty.

* Mama mówiła, że twoi rodzice wymarli. * O, rany. Powinna chyba powiedzieć zeszli, czy coś w tym rodzaju.

* Zgadza się.

* Byłeś wtedy jeszcze dzieckiem?

* Byłem pełnoletni.

Mimo wszystko Julian wyglądał zbyt młodo, by jego rodzice nie żyli. Zdecydowała się na kolejne pytanie:

* Zginęli w wypadku, czy czymś w tym rodzaju?

* W wybuchu.

* O mój Boże * westchnęła Ruby. * Tak mi przykro. Masz na myśli wielki wybuch na polach naftowych?

* Tak, wielki wybuch * przytaknął Julian.

* To takie straszne. Nie potrafię sobie wyobrazić życia bez mamy i taty.

* Nie? * zainteresował się Julian.

Przez sekundę lub dwie naprawdę spróbowała to sobie wyobrazić. Dostrzegła tylko cień szarej pustki, nieskończone kłębowisko chmur. Zostałby oczywiście Brandon, dzięki Bogu.

* Masz rodzeństwo? * zapytała.

* Jestem jedynakiem.

* A jacy byli twoi rodzice?

Julian sięgnął do kieszeni, wyjął z niej papierosa, który musiał tam leżeć luzem. *

Teraz, skoro znasz już mój wielki sekret * zaczął * pozwolisz, że zapalę?

Ruby nie widziała, co powiedzieć. Nikt jeszcze nigdy nie palił w tym domu.

* Wiesz, co * rzekł Julian. * Otworzę okno, żeby ochronić cię przed wszystkimi rakotwórczymi substancjami.

Otworzył najbliższe okno * przy karmniku siedział kruk * i zapalił papierosa zapalką, spoglądając przez moment w błękitny płomień, by zaraz wyrzucić ją na dwór, po

czym oparł się ramieniem o parapet, tak by papieros palił się na zewnątrz. Ruby od razu poczuła zimne powietrze.

* Aten twój wykład na Oxfordzie... * zaczęła Ruby.

* Rodzice ci o nim wspomnieli?

* Mama.

* Ach, tak.

* Dotyczył wędrówki po Afryce.

* I tropienia zwierząt * o tym też wspomniała?

* Nie.

Uśmiechnął się. * Mów dalej.

* Czy twoi rodzice tam byli?

* Gdzie?

* Na wykładzie.

* Dlaczego o to pytasz?

* Bo jeśli byli, musieli być z ciebie bardzo dumni.

* Szczerze mówiąc, byli.

* Co ci potem powiedzieli?

* Nie pamiętam.

* Założę się, że coś miłego.

Julian zaciągnął się mocno i wypuścił dym nosem i ustami. Ruby przyszły na myśl smoki. Już miała zapytać Juliana, jak wyglądali jego rodzice, kiedy na ekranie telewizora pojawiła się Jeanette. Ruby zerwała się na nogi, złapała pilota i zrobiła głośniej.

* ...coraz mniej prawdopodobne po kolejnej nocy z temperaturą poniżej zera. Patrole narciarskie z innych ośrodków, zarówno z Vermont jak i New...

Julian pokręcił głową. * Okropne * stwierdził. Ruby nie podobał się sposób, w jaki to powiedział. W jego głosie nie było nadziei.

* Jak długo można tam przetrwać, powiedzmy, jeśli złamie się nogę i wpadnie do szczeliny w lodzie? * zapytała.

* W tych górach nie ma szczelin w lodzie * wytłumaczył jej Julian. Ponownie

zaciągnął się papierosem. * Ale w trakcie mojego krótkiego spotkania z Jeanette odniosłem wrażenie, że to silna kobieta. Możemy mieć nadzieję.

Ruby poczuła się trochę lepiej. Julian strzepnął popiół na spadający śnieg. Przykryły go kolejne płatki. Śnieg zdawał się przybliżać Jeanette.

* A może byśmy przyłączyli się do poszukiwań? * zaproponowała Ruby.

* Co za banał * stwierdził Julian.

Banał? Czy banał nie oznaczał mało oryginalnego sposobu powiedzenia czegoś, na przykład „uparty jak osioł”?

* Nie rozumiem? * zdziwiła się Ruby.

* Po prostu nie jest to dobry pomysł, by amatorzy pętali się po śniegu * wyjaśnił Julian * pewnie prędzej czy później też pakując się w kłopoty.

* Ach, tak. * Nagle Ruby nie czuła się już tak dobrze. Może przyczyną był dym z papierosa. Usiadła z powrotem przy stole.

* Wszystko w porządku? * zapytał Julian.

* Tak.

* Może napijesz się wody? * zaproponował, podchodząc do chłodziarki, by nalać szklankę wody i postawić ją przed nią, w tej samej dłoni trzymając jednocześnie zapalonego papierosa. Jaki piękny kształt miały jego dłonie, mimo że jedna trzecia paznokcia na środkowym placu została zerwana i pozostała po niej mała, purpurowa blizna. Ruby wypila pół szklanki.

* I jak? * zainteresował się Julian.

* Lepiej * odparła Ruby. * Dziękuję.

Zaciągnął się po raz ostatni, wyrzucił papierosa przez okno i zamknął je. * Zadałaś mi bardzo dużo pytań dziś rano * zauważył.

* Naprawdę?

Zaśmiał się. * Proszę, oto następne. Może czas na rewanż, Rubester?

* Rewanż?

* Też mam do ciebie kilka pytań.

* Na jaki temat?

* Brandona * odparł Julian. * Chodzi o to, że trochę się o niego martwię.

* Dlaczego? * zdziwiła się Ruby.

* Wczoraj w drodze do Nowego Jorku opowiedział mi dość poruszającą historię.

* Tak? * odparła Ruby.

* Zastanawiałem się, czy tobie również ją opowiedział?

* To zależy, co masz na myśli * zauważyła Ruby.

Spojrzał na nią, a później sięgnął do kieszeni. Czyżby już kolejny papieros? Nie miała pojęcia. Lecz jego dłoń była pusta.

* To historia związana ze szkolną szafką.

* A, tak * stwierdziła Ruby. * Coś mi wspomniał.

* A dokładnie co? * zainteresował się Julian.

Ruby wpatrzyła się w niego, choć nie było to typowe wpatrzenie trwające jakiś dłuższy czas * dłuższe wpatrywanie się w oczy Juliana było naprawdę trudne, ponieważ był tak inteligentny, co oczywiście nie było jego winą * lecz jej spojrzenie było głębokie, bo użyte przez niego słowo dokładnie zabrzmiało wyjątkowo dziwnie. W tym momencie, zanim odwróciła oczy, Ruby przypomniała sobie, co powiedziała wczoraj Brandonowi, kiedy była chora. Może wciąż była chora, ale nie tak jak zeszłego wieczoru. Zeszłego wieczoru musiała nie być sobą, ponieważ to, co wtedy powiedziała, teraz brzmiało w jej umyśle o wiele doroślej. Ta sama Ruby, we własnej osobie, lecz w starszej wersji, jeśli miało to jakiś sens. Powiedziała do Brandona: Ktokolwiek to jest, może do ciebie przyjść. Ale w podstępny sposób.

* Zimno ci? * zapytał Julian.

* Nic mi nie jest.

* Masz gorączkę?

* Nie.

* Zadrżałaś.

* Czuję się dobrze. * Wszystkie sprawy nagle zaczęły przesuwać się w jej głowie. Musiała się zastanowić.

* Po prostu martwię się o Brandona * rzekł Julian. * Oczywiście wszystko, co mi powiesz, podpada pod warunki precedensu z kominkiem.

Precedensu z kominkiem? Zrozumiała. * Czyli nikomu o tym nie powiesz?

* Zgadza się.

Był dla niej taki dobry, kiedy prawie spaliła dom. Ruby nagle poczuła, że ogarnia ją gorączka, z pewnością wszystko się jej pomieszało, jak po zażyciu narkotyku. Ale co z tą włoską pomyłką? Czy to możliwe, że w tym przypadku też coś pokręciła? Być może. A co z faktem, że palił? Nie mogła przejść nad tym do porządku dziennego. To zupełnie bez sensu z jej strony.

* Naprawdę nie ma o czym mówić, Julian. Brandon twierdzi, że przeszukania w szafkach zdarzają się dość często.

* Przeszukania, podczas których przecina się podszewkę kurtki?

* To było wredne * stwierdziła Ruby.

* A więc ci o tym powiedział?

* Tak.

* Zasugerował ci, czego szukali?

* Z pewnością narkotyków.

* Jakich narkotyków? Ruby wzruszyła ramionami.

* Przypominasz sobie naszą rozmowę w Starbucks?

* Tak.

* Kiedy sama zaczęłaś temat cracku.

* Zgadza się.

* Z własnej woli.

* Tak.

Cisza, nie licząc telewizora. Cyferki na giełdzie skakały. Dwaj mężczyźni rozmawiali o cemencie.

* Widzisz, jestem zaskoczony * zaczął Julian * tym, że od razu przystąpili do tak konkretnego działania. Czy sądzisz, że kiedykolwiek w jego kurtce był wszyty crack? Julian naprawdę wyglądał na zaskoczonego. Miał wyraz twarzy, którego jeszcze u niego nie widziała. Na każdej innej twarzy nazwałaby te złością. Zaskoczony: to słowo utkwilo jej w pamięci, użyła go ostatnio. Ta osoba będzie teraz bardzo zaskoczona, zastanawiając się, co poszło nie tak.

Ruby ponownie napiła się wody. Nie czuła się zbyt dobrze, to fakt. I z pewnością wszystko jej się pomieszało, przecież Julian zawsze tak dobrze ją traktował * nie licząc tej uwagi o niemyśleniu przed mówieniem * potrafił ją rozbawić, cenił Sherlocka Holmesa, rozmawiał z nią jak z dorosłą. Tak, pod podszewką był crack * chciała powiedzieć * Znalazłam go i wyjęłam. Pomóż nam dowiedzieć się, kto to zrobił, Julian. Co się dzieje?

Ruby miała te słowa na końcu języka. Ale nie zdołała ich wypowiedzieć. Dlaczego? Nie chodziło o włoski * nie była ekspertem językowym, znała tylko dwa języki, angielski i ten, którym mówiono na Bahamach. Nie chodziło nawet o palenie * jaki to miało związek z nią? Chodziło o coś innego, o jeden maleńki detal, detal, którego przypuszczalnie nie brałby pod uwagę nawet Sherlock Holmes: Zdarza ci się pomyśleć, zanim coś powiesz? Zranił jej uczucia. Pierwszy raz w życiu zrozumiała, co to znaczy przebaczyć, ale nie zapomnieć.

30

Wie * odparła Ruby.

* Nie? * powtórzył Julian, tak jakby pierwszy raz usłyszał to słowo. Rozmasował sobie ramię, jakby poczuł w nim skurcz.

* Nie było tam cracku * powiedziała Ruby. * Pod podszewką nigdy nie było cracku.

* Spojrzała Julianowi w oczy, przynajmniej się starała. Nie kupował tego. * Może w Starbucks trochę przesadziłam * kontynuowała, bombardując to jego spojrzenie słowami jak bombowce na filmie wojennym. * Okazuje się, że Brandon nie ma nic wspólnego z crackiem. Ani żadnymi innymi narkotykami. Spróbował raz, może dwa pod presją kolegów.

* Czy on ci tak powiedział? * spytał Julian.

* Wierzę mu.

* Jest twoim bratem.

* Zgoda * rzekła Ruby. * Ale sam zobacz, jak dobrze idzie mu teraz w szkole. Czy tak właśnie zachowuje się ćpun?

* Ćpun z moją pomocą * stwierdził Julian.

Znowu ją zaskoczył. Tak wiele rzeczy tu nie pasowało. * Uważasz, że Brandon jest ćpunem?

* Oczywiście, że nie * zaprzeczył Julian. * Ale czy w tej twojej obronie nie ma za dużo przesady?

* Nie * odpowiedziała Ruby. Może źle to zinterpretowała. Wstała i sprzątnęła ze stołu, robiąc także porządek w swoim umyśle. * Dobrze, skoro oboje przesadziliśmy, przestańmy martwić się o Brandona.

Załadowała naczynia do zmywarki i kątem oka dostrzegła stojącą w rogu miskę z wodą Zippy'ego, do połowy pełną. Było tam jego DNA. Może pewnego dnia da się go sklonować. Jakież ogromny byłby to wysiłek, a i tak wszystko na nic. Zawsze tęskniłaby za oryginałem.

* Zrozumiałem * odezwał się Julian, stając za nią. Usłyszała stuknięcie filiżanki o spodek. * Więc, jakie masz plany?

* Plany?

* Na dziś.

* Chyba wrócę do łóżka * stwierdziła Ruby.

* Dobry pomysł.

Spojrzała na niego. * Jeśli ty masz jakieś plany, nie krępuj się.

* W porządku * odparł Julian.

Ruby poszła na górę, zamknęła drzwi i położyła się. Jej umysł do czegoś się szykował. Próbowwała go sobie wyobrazić, zrozumieć, jak działa. Mózg łatwo było sobie wyobrazić: wszędzie pełno było jego zdjęć. Z umysłem było trudniej. Z pewnością miał ruchome części; Ruby właśnie je czuła, niestabilne i grożące wstrząsem, niczym te geologiczne warstwy, jak one się tam nazywały, które powodowały trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów.

Wszystkie te sprawy: Szkolna Kurtka, część pierwsza * zniknięcie i pojawienie się, część druga * wszycie fiolek. Anonimowy Rozmówca, także składający się z dwóch części. Włoska Pomyłka. Zippy. Jeanette. Jeden element mógł doprowadzić do odgadnięcia całej serii. Czuła, jak olbrzymie bloki przesuwały się w jej umyśle, lecz

bardzo głęboko, poza zasięgiem wzroku. Trzęsienie ziemi nie nastąpiło.

A może należało wrócić do pierwszej sprawy, Tajemnicy Szkolnej Kurtki, zwłaszcza że teraz wiedziała już, co się z nią stało. Brandon zostawił ją w lesie po imprezie.

Zgubił ją, jak sądził. Później Ruby wróciła do domu ze szkoły, a kurtki nie było na wieszaku. Następnie miał miejsce wypadek z kominkiem i przybycie Juliana, w samą porę. Robin Road 37 zostało ocalone. Potem zabrała Juliana na wycieczkę po domu, łącznie z przedsionkiem, w którym dostrzegła kurtkę, wiszącą już na wieszaku, i zawołała Brandona, stojąc u podnóża schodów. Później przyjechała mama z płatkami śniegu we włosach i poczuła dym. Julian wziął wszystko na siebie, mówiąc, że rozpałił w kominku. W końcu do domu wszedł Brandon, nie mając na sobie niczego poza koszulką z Unka Deathem. Mama zapytała, dlaczego nie założył kurtki. Brandon skłamał, że zostawił ją w szkole. Mama wskazała palcem na wiszącą na wieszaku kurtkę.

To wszystko, cała historia, nawet niezbyt skomplikowana. Nie wymagała pomocy Sherlocka Holmesa. Każdy głupi potrafiłby rozwiązać tę zagadkę.

* Czy ja jestem bardziej niż głupia? * zapytała Cudobrego. Odwzajemnił jej spojrzenie swymi popękanymi oczami. Nie mógł zastąpić Zippy'ego. To Zippy był jej doktorem Watsonem, tak jak powiedziała pani Stromboli. Tak bardzo za nim tęskniła.

Zgubiona kurtka.

Pusty wieszak.

Ogień.

Ratunek w samą porę.

Mama.

Kurtka na wieszaku.

Brandon.

Poprawka: ratunek w samą porę, kurtka na wieszaku, potem mama i Brandon.

Ratunek ze strony przybyłego w samą porę Juliana.

Ruby usiadła. Ratunek ze strony Juliana zbiegł się w czasie z pojawieniem się kurtki na wieszaku. Wstała i wyjrzała przez okno, spoglądając na las, lecz tak naprawdę niczego nie widząc. Julian? Julian jeździł na skróty przez las, widziała ślad jego

grubych opon na śniegu, gdy wracała ze spotkania z sierżantem D'Amario. Ruby czuła, jak nadchodzi trzęsienie ziemi w jej umyśle: to Julian przyniósł kurtkę z lasu. Któż inny mógł to zrobić? Może jeden z przyjaciół Brandona, ale żaden z nich nie wiedziałby, na który wieszak ją odwiesić, i przypuszczalnie zostawiłby ją na schodach przed domem lub wrzucił do garażu. Julian pasował, może nie na sto procent, lecz z pewnością na dziewięćdziesiąt. Rozwiązała Tajemnicę Szkolnej Kurtki! Ale Julian? Był taki miły, nie licząc tej jednej wypowiedzi, którą zranił jej uczucia. Może robiła z igły widły. W końcu przyniesienie kurtki było wyrazem grzeczności. Ale dlaczego miała złe przeczucia? To proste: ponieważ nie powiedział o tym Brandonowi, pozostawił go w niepewności. Kolejną rzeczą, jaka przyszła jej do głowy, były słowa Brandona wypowiedziane zeszłego wieczoru: Chcesz mi powiedzieć, że ten, kto przyniósł tu kurtkę, zaszył w niej crack? Czy wszystkie jej sprawy wiązały się ze sobą w jeden wielki rytuał Musgrave'ów?

Olbrzymie bloki przesuwwały się w jej umyśle: pojęła jeden element z serii zdarzeń, choć pewnie nie do końca. Sherlock Holmes twierdził, że teraz powinna wiedzieć, co zdarzyło się przedtem i co zdarzy się potem, lecz ona nie wiedziała.

Co robił Holmes, kiedy nie pojął czegoś do końca? Szukał dowodów. W „Cętkowanej wstędze”, na przykład, przeszukał pokój doktora Roylotta, gdzie natknął się na spodeczek mleka i psią smycz. Doktor Roylott był oczywistym złoczyńcą. Czuło się to od momentu, w którym starał się przestraszyć Holmesa, zginając pogrzebacz, nieważne już, jak mógł to zrobić, jednocześnie trzymając w dłoni szpicrutę. Julian nie był oczywistym złoczyńcą. Tak naprawdę był całkiem miły, nie licząc tego sformułowania, które mu się wyrwało. W ogóle nie był złoczyńcą, tylko wielką pomocą, ocalając dom, pomagając Brandonowi w nauce, a mamie podsuwając pomysł La Riviere... Dlaczego więc teraz starała się otworzyć drzwi najciszej, jak tylko mogła?

Ruby wyjrzała na korytarz. Usłyszała muzykę dochodzącą z dołu, dźwięki saksofonu grającego It Don't Mean a Thing. Przez chwilę lub dwie wydawało się jej, że muzyka pochodzi z CD, lecz nie słyszała innych instrumentów, a poza tym, znała brzmienie własnego altu. A więc musiał to być Julian. Grał naprawdę dobrze, bardzo szybko i

płynnie, prawie tak, jakby muzyka przepływała przez jego umysł. Jedyne, co ją nie spodobało, to, że za każdym razem, gdy dochodził do E, tam, gdzie śpiewało się „swing”, grał cały ten okropny zestaw nut. Zamknęła za sobą drzwi, przekręcając klamkę tak, by nie rozległ się najmniejszy odgłos. Następnie udała się do pokoju Adama, a kroki jej bosych stóp tłumił dywan.

Drzwi do pokoju były otwarte. Ruby weszła do środka, wciąż słysząc dźwięki It Don't Mean a Thing, lecz coraz ciszej. To nie miało potrwać długo. Chciała sprawdzić zawartość tego oprawionego w skórę notesu, w którym znajdował się wiersz. Zaczęła od biurka. Na blacie leżała zielona

teczka z materiałami do SAT, kilka przewodników po uczelniach i list z Prywatnego Nauczania „Szóstka z Plusem”, zaadresowany do Juliana na Trunk Road 840 w Old Mili. W szufladach biurka nie znalazła niczego. Sprawdziła komodę i odkryła w niej dwie starannie złożone koszule, dwie pary slipek i dwie pary skarpetek. Otworzyła szafę. Na wieszaku wisiała sportowa marynarka, a na podłodze stała para kapci. Sprawdziła kieszenie marynarki. Nie było w nich notesu, tylko pudełko zapalek z restauracji Suharto's w Londynie.

Ruby wróciła do biurka i wzięła do ręki list. Był otwarty. Jedyne, co musiała zrobić * nie żeby to było w porządku, choć Holmes nigdy nie wahał się, gdy przychodziło do takich rzeczy * to wetknąć koniuszek kciuka i palca wskazującego do środka, o tak, i wyciągnąć kartkę.

Drogi Julianie,

Przesyłam Ci ostatni czek, łącznie z końcowym rozliczeniem za Gardnerów. Życzę Ci powodzenia w pracy nad powieścią. Jestem pewna, że kiedyś będziesz sławny, lecz jeśli kiedykolwiek chciałbyś wrócić do pracy korepetytora, przyjmiemy Cię z otwartymi ramionami.

Pozdrawiam, Margie

Pracował nad powieścią. Nie było w tym niczego dziwnego. Ruby złożyła list i włożyła do koperty. Notes mógł sobie nosić w kieszeni; z kartkami powieści było trochę gorzej. Naprawdę chciałaby zobaczyć tę powieść. Może trzymał ją pod łóżkiem. To miejsce należało sprawdzić, przypuszczalnie było na pierwszym miejscu

listy Holmesa. Ruby skierowała się w stronę łóżka i wtedy zdała sobie sprawę, że coś się zmieniło. Minęła sekunda lub dwie, zanim zrozumiała, o co chodzi. Przestał grać. W domu panowała cisza.

Ruby zerknęła na korytarz. Pusty ale czy nie słyszała kroków na schodach? To pewnie jej wyobraźnia, lecz z drugiej strony, jej zmysły były dziś bardzo wyostrzone i...

Już po sekundzie biegła korytarzem, cicho, na palcach. Tak, kroki, ciche kroki na schodach, i do tego szybkie. Czy starczy jej czasu, by dobiec do pokoju? Nie.

Wbiegła do łazienki, zostawiając otwarte drzwi i odkręciła wodę.

* Ruby?

Ruby odwróciła się od umywalki, przy której energicznie ochlapывwała twarz wodą. W drzwiach stał Julian.

* Tak? * zapytała.

Rozejrzał się po łazience. * Wszystko w porządku?

* Słucham?

* Dobrze się czujesz?

* Całkiem nieźle * odparła Ruby i ponownie spryskała twarz wodą jak dzielna chora dziewczynka. Po sekundzie lub dwóch nie czuła już jego obecności, tak jakby nagle w łazience zrobiło się mniej duszno. Ruby zakręciła kran, wytarła twarz ręcznikiem i wyszła na korytarz. Drzwi do pokoju Adama były teraz zamknięte. Usłyszała, jak Julian otwiera szufladę, biurka lub może komody. Ruby weszła do siebie i zamknęła drzwi.

Usiadła na łóżku, nasłuchując. Po chwili drzwi od pokoju Adama otworzyły się i zamknęły. Usłyszała kroki na korytarzu, zbliżające się i zatrzymujące przed jej drzwiami, a następnie kierujące się na schody. Zeskoczyła z łóżka, usiadła przed komputerem i załogowała się, a następnie przeszła do programu MapQuest. W rubryce z wpisała Robin Road 37, a pod do wpisała Trunk Road 840. Musiała zobaczyć tę powieść. Ćpun z moją pomocą: to już dwie złe rzeczy, które mu się wymykły.

Ruby wydrukowała trasę: dziesięć kilometrów, dość daleko, lecz dojazd nie był zbyt

skomplikowany, opis trasy zmieścił się na jednej stronie. Złożyła kartkę, włożyła ją do kieszeni i zeszła na dół. Ani śladu Juliana. Założyła niebieską kurtkę z żółtymi lamówkami, żółtą czapkę w niebieskie gwiazdy i napisała na kartce: Poszłam szukać Zippy'ego, niedługo wrócę * po czym zostawiła ją na stole i weszła do garażu.

Właśnie starała się odczepić rower od kosiarki do trawy, gdy dostrzegła wiadomość od Jeanette leżącą na podłodze. Przeczytała ją ponownie: Tivójpojzd, Rubester * jedź ostrożnie. J. PS Pamiętaj o kasku.

Gdy czytała to po raz pierwszy, Jeanette jeszcze nie zaginęła. A właściwie to inaczej: nikt nie wiedział, że zaginęła. Dlatego nie przywiązała do tej karteczki większej wagi; ot, po prostu, stara dobra Jeanette przywiozła jej rower. Ale kiedy to zrobiła? Na pewno nie w piątek przed ich odlotem na Bahamy, tak więc musiało to mieć miejsce pomiędzy ich wyjazdem a jej wyruszeniem do Killington. Czyli kiedy? W piątek po południu? W sobotę rano? Przypuszczalnie nie później, bo odwołała zajęcia z lucznictwa w sobotę i niedzielę, a jaki sens miałyby odwoływanie, gdyby była na miejscu? Ruby mogłaby się założyć, że nastąpiło to w piątek po południu. Jeanette z pewnością chciała wykorzystać każdą sekundę weekendu na nartach. Możliwe nawet, że podrzuciła rower po drodze. I co w związku z tym? Ruby nie była pewna.

Nacisnęła przycisk i brama garażu zaczęła się unosić.

Julian stał na podjeździe, spoglądając na nią. Trzymał w ręku jej wiadomość. Ruby włożyła kartkę od Jeanette do kieszeni kurtki, dotykając spoczywającego w niej numerku Zippy'ego.

* Myślałem, że jesteś chora * odezwał się Julian.

* Nagle poczułam się lepiej * odparła Ruby. * Dziesięć razy lepiej.

* Twoi rodzice nie pochwaliliby tego pomysłu.

* Niedługo wrócę * wyjaśniła Ruby. * Chcę tylko przejechać się po dzielnicy, może znów sprawdzę na Indian Ridge.

* Jak to długo potrwa jeszcze?

* Nie przestanę go szukać, Julian. To mój pies.

Odsunął się. * Pół godziny * rzekł. * Nie mogę pozwolić ci na więcej. Odpowiadam za ciebie.

* Dzięki * rzuciła Ruby, przejeżdżając obok niego.

Gdy znalazła się na ulicy, odwróciła się. Obserwował ją, a płatki śniegu delikatnie lądowały w jego włosach. Może to płatki przypomniały jej pewną rzecz, jako że były odległymi kuzynami soli, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Przypomniała sobie, jak wsiadała do autobusu w dniu, gdy rozpoczęła czytać „Cętkowaną wstęgę” * to musiał być ten sam dzień, w którym Brandon dostał wyniki SAT, trudno było zapomnieć tę wieczorną scenę z mamą Deweya * i jak odwróciła się niczym żona Lota. Czy pani Lotowa zobaczyła wtedy kogoś takiego jak Julian? Raczej nie. Ludzie w tamtych czasach musieli wyglądać dość obskurnie w związku z brakiem tych wszystkich środków do pielęgnacji, a Julian był bardzo przystojny.

Ruby czuła, jak w jej umyśle nastąpiło kolejne poruszenie. Piątek. Byli spóźnieni. Odwiózł ich na lotnisko. A potem co? To pytanie pojawiło się jak wybuch małego wulkanu.

* Julian! * zawołała.

* Tak?

* Widziałeś Jeanette w piątek albo w sobotę?

Była zbyt daleko, by dostrzec jakąś drobną reakcję na jego twarzy, a żadna wielka nie nastąpiła.

* Jeanette? * zapytał po dłuższej chwili. * Nie rozumiem?

* To pewnie wtedy przywiozła mój rower * wyjaśniła Ruby.

* Nie widziałem jej * odrzekł Julian. * Ale raczej nie było mnie w pobliżu.

* Nie?

* Szukałem Zippy'ego. * W jego głosie zabrzmiała lekka obraza.

* Ach, rzeczywiście.

Ruby odjechała zgodnie ze wskazówkami z MapQuest. Gdy tylko zdjęła rękawiczkę, włożyła dłoń do kieszeni w poszukiwaniu wiadomości od Jeanette i numerka Zippy'ego: dowody w jej dwóch najważniejszych sprawach spoczywały tam obok siebie.

Julian obserwował, jak Ruby odjeżdża i skręca w Indian Ridge, znikając za rogiem. Wszedł do domu. Rower. Zupełnie o nim zapomniał. Co gorsza, nie wziął go nawet

pod uwagę jako słabego punktu w całej historii. Z pewnością policja próbowała ustalić kolejne kroki Jeanette, dowiedzieć się, kto widział ją jako ostatni, posuwając się mozolnie zgodnie ze sporządzoną wcześniej listą. Czy stróżów prawa zainteresowałaby jej wizyta w tym domu? Och, tak. Tylko że nie mieli o niej pojęcia. Wiedziała jedynie ta dziewczyna. Czy była na tyle sprytna, by zrozumieć, jak ważny w sprawie był rower, i czy to skłoni ją do działania? Tego Julian nie wiedział. Jeszcze niedawno powiedziałby: nie. Była tylko małą dziewczynką, często denerwującą, może dość samodzielną, lecz o niezbyt lotnym umyśle. Jednak teraz, począwszy od dzisiejszego ranka, nie był już tego taki pewien.

Julian udał się na górę, zajrzał do jej pokoju i nie dostrzegł niczego niezwykłego. Sprawdził w łazience, a potem we własnym pokoju. Mówiła, że idzie się położyć, a teraz pojechała szukać psa. Rzeczywiście poszła na górę, lecz zastał ją przy umywalce w łazience, a nie w jej pokoju. Miał również dziwne uczucie, że była w jego pokoju, był prawie pewien, że słyszał, jak biegnie korytarzem, gdy wchodził po schodach. Ale nie stuprocentowo pewien, pomimo doskonałości własnego słuchu i pozostałych zmysłów. Oczywiście sprawdził pokój: zajrzał do szafy, gdzie wycięty w suficie kwadrat tkwił na swoim miejscu, wyrżnięty pod pewnym kątem, tak by pozostał w dziurze, ukryty w mroku, oraz pod łóżko, pod którym nic się nie zmieniło. Biurko, komoda * wszystko było na miejscu, nigdzie nie dostrzegł śladów szpiegujących oczu. Wziął do ręki kopertę od Margie, wyjął list i ponownie go przeczytał, a następnie odłożył na miejsce.

Jakże frustrujący był ten incydent z rowerem! Kolejny przykład postaci rozwijających własne wątki, w tym przypadku o tyle gorzej, że teraz działały w znowie, zawiązywały przeciwko niemu własne sojusze. Ale i to chyba nie było najgorsze: ktoś znalazł fiolki z crackiem, które słono go kosztowały, pod podszewką szkolnej kurtki i wyjął je. Kto? Na pewno nie Brandon. Julian ustalił to ku swej satysfakcji w drodze do Nowego Jorku. Chłopak był niewinny, nie dość inteligentny * i to się nigdy nie zmieni * by go oszukać. A więc kto?

Julian wrócił do łazienki i spryskał twarz wodą. Na jego odbijającym się w lustrze obliczu nie malował się nawet cień zmartwienia. Wspaniale potrafił zapanować nad

emocjami. Wszedł do pokoju Ruby, usiadł przy komputerze i nacisnął klawisz. Pojawiła się strona AOL. Miała dwie nazwy użytkownika, RobinR@aol.com i Zippy37@aol.com. Najpierw spróbował RobinR i pojawiło się pytanie o hasło. Julian zastanowił się, lecz niezbyt długo, pięć może dziesięć sekund, a następnie wpisał Rubester. Hasło zostało zaakceptowane.

Julian przeszedł do Historii. Ostatnią stroną, jaką odwiedziła Ruby, był MapQuest. Wszedł w MapQuest, wybrał Ostatnie wyszukiwanie. Na ekranie pojawił się opis dojazdu do jego własnego domu, wozowni na farmie Gail Bender.

Julian zbiegł po schodach, przemknął przez kuchnię, kierując się w stronę garażu i znajdującego się tam jego własnego roweru. Jak daleko mogła odjechać? Nagle drzwi, te ruchliwe drzwi z kuchni do garażu, otworzyły się w momencie, gdy kładł już dłoń na klamce, i weszła przez nie Linda.

Och * powiedziała Linda. * Przestraszyłeś mnie. Nie wyglądała na przestraszoną. * Przepraszam * odparł Julian, wycofując się do kuchni. * Zupełnie niechcący. * Wiem * rzekła Linda. Uśmiechnęła się do niego szeroko. Dlaczego jej twarz była tak nienaturalnie różowa? Dlaczego tak błyszcząły jej oczy? Co robiła w domu o tej godzinie?

Linda postawiła torbę z zakupami na blacie. * Przyniosłam coś do zjedzenia. Jak ona się czuje?

Zatroskana, pracująca mamusia odwiedza chore dziecko: to nie przyszło mu do głowy.

* O wiele lepiej * odparł. * Szczerze mówiąc, pojechała szukać Zippy'ego. *

Uderzyła go nagła myśl, dość niepokojąca. * Może ją spotkałaś?

* Nie * rzekła Linda. Wyjrzała przez okno. Śnieg padał leniwie.

* Właśnie zamierzałem po nią jechać * wyjaśnił Julian. Ale czy to się teraz uda, skoro Linda wróciła do domu? Postacie znów zmieniały ustalony bieg wydarzeń, doprowadzając do niekończących się komplikacji.

* Może mógłbym pożyczyć twój samochód? Z pewnością nie odjechała zbyt daleko.

* A wtedy co? Czuł, jak pod koszulą drgnęły mu mięśnie.

* Niech jeszcze trochę sobie poszuka * zaproponowała Linda. * To z pewnością

dobrze jej robi.

* Jak to?

* W sensie psychologicznym * wytłumaczyła Linda. * Mam na myśli stopniowe pogodzenie się z sytuacją, w razie gdybyśmy nie mieli odzyskać Zippy'ego. *

Spojrzała mu w oczy, dość poufale, tak jakby byli ze sobą bardzo blisko. * Jak sądzisz, Julian, odzyskamy go?

* Żywię taką nadzieję * odparł.

* Uwielbiam twój optymizm. Wiesz, że optymizm jest jedną z podstawowych cech przywódcy?

* Nie wiedziałem.

* Tak mówili na seminarium, na które uczęszczałam zeszłej jesieni.

Zauważył, że jest w nastroju do jednej z tych dyskusji, które w jej gronie uchodziły za intelektualne. Julian nie życzył sobie intelektualnej dyskusji z Lindą, ani teraz, ani nigdy. Jedyne, czego pragnął, to jej samochód. Przyszło mu do głowy możliwe rozwiązanie problemu, które w ogóle nie wymagało spotkania z Ruby. Najważniejsze nie było uniemożliwienie jej wejścia do wozowni, lecz upewnienie się, że nie ma tam niczego, czego widzieć nie powinna. Ile czasu mógł jej zająć dojazd? Godzinę, być może więcej: zadanie na OPC. Z drobną poprawką to idealne ćwiczenie dla Brandona: R wyjeżdża na rowerze itd... ile czasu później musi wyjechać J, jadący jeepem, skoro itd... itd. Brandon potrzebowałby swojej tarczy OPC. On potrzebował wyłącznie jeepa.

* Nie chcemy chyba ryzykować, że Ruby bardziej się rozchoruje, prawda? * stwierdził Julian. * Nie mogę sobie darować, że w ogóle ją wypuściłem. A może bym...

* Przestań się martwić, Julian. Nic jej nie będzie * Ruby jest dość samodzielna dziewczynką, jak z pewnością zauważyłeś. Ale doceniam twoją troskę. Prawdę mówiąc, wdzięczna ci jestem za wszystko, co dla nas zrobiłeś, a dziś bardziej niż kiedykolwiek. Dostałam rano bardzo dobre wiadomości.

* Tak?

* Larry zaproponował mi pracę * szefowej marketingu Skyway! Całego Skyway,

Julian. Jestem wiceprezesem! Nigdy o tym nawet nie marzyłam. Do tego raz w tygodniu będę jeździć do Nowego Jorku.

* Moje gratulacje.

* Gdyby nie ty, nigdy by do tego nie doszło. To wszystko dzięki La Riviere. * Linda sięgnęła do torby z zakupami. * Proszę, to dla ciebie. Twój ulubiony dżem. Wiem, że nie jest to adekwatne podziękowanie, lecz nic innego nie przyszło mi do głowy. Julian wziął od niej prezent. Ich ręce się spotkały: czy z jej strony to spotkanie nie trwało trochę dłużej, niż powinno?

* To miło z twojej strony * powiedział Julian. Olbrzymi, okrągły słoik z grubego szkła wypełniony dżemem spoczywał ciężko na jego dłoni niczym broń. A on sam potrzebował jeepa. Gdzie podział się jej matczyzny instynkt? Jak go obudzić? *

Możesz być dumna z samodzielności Ruby, bez dwóch zdań * zaczął * lecz lekkomyślność to już coś zgoła odmiennego. Pomyśl przez chwilę o panu Ropuchu.

* Panu Ropuchu?

* Z Ropuszego Dworu, który powiedział, jeśli dobrze pamiętam, na początku jednej ze swoich pechowych przygód, „Ciekawa rzecz, czy ten silnik da się szybko zapalić”.

* Mówisz o książce O czym szumią wierzby? * zapytała Linda.

* To była moja najbardziej ulubiona książka, gdy byłem chłopcem * wyjaśnił Julian. Chyba mógł sobie darować to najbardziej. To było szyte zbyt grubymi nićmi. Z drugiej strony jednak subtelność w większości przypadków zawodziła.

Linda usiadła powoli, tak jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

* Czy coś się stało? * spytał Julian, odstawiając słoik.

* Nie, niezupełnie. Powinnam być na to przygotowana.

* Na co?

Wzięła głęboki oddech. * Od pierwszej chwili, gdy pojawiłeś się w tym domu, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że jesteś mężczyzną, na jakiego wyrósłby Adam. A teraz, gdy mieszkasz u niego w pokoju, to prawie tak, jakby... * Zaczęła płakać, lecz udało się jej opanować wzruszenie. * On był takim wspaniałym chłopcem, takim miłym i uczynnym. Oczywiście kocham wszystkie swoje dzieci, są cudowne, ale nie mają tego daru.

Julian podał jej chusteczkę z pudełka stojącego na blacie.

* O czym szumią wierzby * zaczęła i wybuchnęła płaczem. Spojrzała na niego wilgotnymi od łez oczami i jej twarz nagle wykrzywił wewnętrzny ból, jakaś myśl bądź wspomnienie, będące z pewnością torturą, co przypomniało mu z kolei o książce z ilustracjami średniowiecznych tortur, którą posiadał jako chłopiec, i zanim zdążył zareagować, rzuciła się w jego kierunku i przytuliła twarz do jego piersi. * To była ulubiona książka Adama.

Słowa brzmiały jak oddzielonejed.no od drugiego, porozrywane strzępy dźwięków.

Julian czuł je przez skórę.

* To z pewnością ulubiona książka mnóstwa dzieci * zauważył. Dostrzegł, że farbowała włosy: miała siwe odrosty.

Linda pokręciła głową, wciąż tuląc do niego twarz. Być może w tym momencie powinien przyjacielsko poklepać ją po plecach. A może nie. Nagle * kolejna niespodzianka * poczuł, że ma erekcję.

* Nie * odparła, podnosząc twarz i odsuwając się od niego, z całej siły starając się panować nad sobą * to jak przeznaczenie, a może Bóg mi cię zesłał, żebym w końcu zaznała ukojenia. Ale ja na to nie zasługuję.

Odczytał do góry nogami godzinę na jej zegarku. Wciąż miał jeszcze niewielki zapas czasu, choć także nie mógł poniechać tak obiecującej rozmowy.

* Dlaczego nie zasługujesz na ukojenie? * zainteresował się, w tym momencie zdając sobie sprawę, jakim wspaniałym byłby księdzem. Teraz poklepał ją po ramieniu, łagodnie i lekko, głaszcząc, uspokajając. Nie odpowiedziała. * Każdy na to zasługuje * zawyrokował. Kapłaństwo: to dopiero byłaby zabawa, a w szczególności spowiedź. * Poza tymi, którzy naprawdę zrobili coś potwornego. A ty do takich osób z pewnością nie należysz.

* Właśnie że należę.

* Cóż za nonsens. Jesteś cudowną osobą. * Mówienie takich rzeczy było jeszcze większą zabawą. Nauczyciel i ksiądz: czy w dawnych czasach role te nie były ze sobą ściśle powiązane?

* Tak bardzo się mylisz * wykrztusiła z siebie Linda. Znow płakała, lecz po cichu, a

jej łzy spływały strumieniami, tak jakby zerwała się wewnętrzna tama.

* Cóż takiego mogłaś zrobić, by zasłużyć na takie potępienie z własnej strony? * zapytał.

* Nie mogę ci tego wyjaśnić.

* Nie możesz czy nie chcesz?

* To bez znaczenia.

* A więc jak zamierzasz kiedykolwiek zrozumieć własne życie? * Julian nie był usatysfakcjonowany tym pytaniem. Pasowałoby bardziej do prowadzącego talk show, a nie osoby duchownej.

Lecz podziałało, dotarło głębiej, ponieważ płacz przerodził się na powrót w potępieńcze pojękiwanie i powrócił potępieńczy wyraz oczu..

* Rozumiem moje życie aż za dobrze.

* W jakim sensie?

* To ja jestem odpowiedzialna * jęknęła.

* Za co?

* Za Adama.

* Myślałem, że Adam zmarł na białaczkę.

* Ale najpierw złamał nogę.

* Która nie zrastała się właściwie, prawda? I to doprowadziło do wykrycia białaczki.

* Tak.

* Straszna tragedia * stwierdził Julian. * I moje serce płacze nad tobą, lecz jakże mogłabyś być za nią odpowiedzialna?

* Jestem, jestem.

Pogłaskał ją delikatniej, w odwróconych proporcjach do nateżenia szlochu. * Jak to możliwe? * zapytał. Jakże łagodny był ton jego głosu, niczym dźwięk kołysanki. * Przecież złamał nogę na nartach. Nie pobiłaś go ani nie przyczyniłaś się w inny sposób?

* Właśnie, że tak * mówiła płacząc. * Zrobiłam to.

* Nie wierzę * szepnął Julian.

* Och, Julian, przeceniasz mnie, naprawdę. Zrobiłam okropną, potworną rzecz.

Czuł, że jego erekcja się nasila. * Nie mogę sobie wyobrazić, że go biłaś.

* Nie w sensie fizycznym. Lecz jego śmierć była już jak najbardziej fizyczna, prawda? Jak myślisz, gdzie byłą, kiedy złamał nogę?

* Na tym samym stoku? Wjechałaś na niego?

* Chciałbym, żeby to była prawda. Chciałabym móc sprawić, żeby tak się stało, być na wzgórzu, upaść razem z nim. * Łzy wciąż płynęły, lecz jej oczy miały teraz nieobecny wyraz, wyobrażała sobie scenę, być może alternatywę, lepszą historię.

* Ale? * kontynuował Julian.

* Nawet nie jechałam wtedy na nartach.

* A więc gdzie byłaś?

* Tam, gdzie nie powinnam * wydusiła z siebie.

* W barze? * zaryzykował Julian. * To zupełnie zrozumiałe podczas wakacji w górach. Dlaczego jesteś dla siebie taka surowa?

Podniosła głos, po części ze złości na siebie, a po części na niego. * Nie byłam w barze.

* A więc gdzie?

Przez jej twarz znów przemknął cień odczuwanych tortur. Linda przygryzła wargę tak mocno, że pojawiła się na niej kropla krwi.

* Biedactwo * szepnął Julian. Moje drogie dziecko zabrzmiałoby efektowniej, ale w końcu nie był przecież księdzem. Zresztą jego słowa znów odniosły sukces: z jej wnętrza wyrwały się nowe dźwięki, urywane i niekontrolowane. Jego szept zamienił się w ledwie słyszalny dźwięk, jak jej własna myśl. * Nic nie może być aż tak potworne.

Linda osłabła, tak jakby nie miała już sił na nic poza płaczem. Gdzieś wśród tego płaczu pojawiło się króciutkie zdanie, ledwo słyszalne. * Byłam w domku.

Zaczynał rozumieć. * Nie ma znaczenia, gdzie byłaś, Linda * kontynuował tym samym cichym głosem. * Nie zrobiłaś niczego złego.

* Zrobiłam. Tylko raz w życiu, ale akurat wtedy, gdy Adam miał wypadek.

Pogłaskał ją po ramieniu. * Nie trzeba, Linda * mruzczał. * Nie trzeba.

Wyrwała się z jego objęć. * Przestań być dla mnie taki miły. Nie rozumiesz? Byłam z

Tomem w jego jacuzzi.

Spojrzała na niego, zamglone oczy czekały na jego reakcję. Jakże to było biblijne i jakże pierwotne, szybka i nieproporcjonalna kara za drobne wykroczenie.

* Wiesz przecież, że to nie ma żadnego związku z wypadkiem * pocieszył ją. *

Wybacz sama sobie. Scott z pewnością już dawno ci wybaczył.

* On nie wie. Ach, tak.

* Nikt o tym nie wie.

* A więc my również nie będziemy już o tym mówić * zaproponował Julian. * Ty sobie wybaczysz, a ja zapomnę.

To było naprawdę piękne. Pochylił się i ucałował czubek jej głowy * należało złączyć usta, a następnie rozdzielić je z cmoknięciem. Z pewnością była już świadoma jego erekcji. Czyżby była bardziej interesująca, niż sądził? Odsunął się z mokrą od jej łez koszulą. Być może nie poszło mu zbyt dobrze z Gail w sensie fizycznym, lecz był przekonany, że z tą kobietą sprawiłby się jak należy. Jedyne, o czym musiałby pamiętać, to scena w jacuzzi i trzask łamanej kości, by mieć niekończącą się erekcję. Ale to mogło poczekać na bardziej dogodną chwilę. Miał mnóstwo czasu * jakie interesujące nocne eskapady go czekały! * lecz wszystko zależało od jednego konkretnego wyścigu z czasem: musiał dotrzeć do wozowni przed Ruby. Wziął do ręki pudełko z chusteczkami leżące na blacie i delikatnie popchnął je w jej kierunku po stole.

* Niepokoję się o Ruby i chciałbym po nią pojechać * powiedział prosto z mostu.

Linda potarła oczy. Wyglądała, na wykończoną i pozbawioną tchu, jak kobieta po długim i ciężkim porodzie.

* Kluczyki są w stacyjce * wyszeptała. Ruszył w kierunku drzwi.

* To było właśnie o czym szumią wierzby * powiedziała Linda, być może do siebie.

Potęga słowa pisanego: Julian dobrze to rozumiał. Zrozumiał również po raz pierwszy w życiu, że nie sama inteligencja wyniosła go ponad miliardy innych. Posiadał również dar czytania w ludzkich sercach. Gdy skręcał w Poplar Drive, jeepem odrobinę zarzuciło.

Scott sprawdził Codexco: 7,95 \$, po raz pierwszy poniżej ośmiu. Sto pięćdziesiąt

tysięcy razy osiemdziesiąt centów dawało 120.000 \$. Wyszedł na lunch.

Pojechał okreśną drogą, nadkładając około trzydziestu kilometrów, by zajrzeć do najbliższego dealera porsche. Mieli jednego boxstera na stanie, niebieskiego. Odbył nim jazdę próbną. Pędził z zawrotną szybkością. Gdy mknął jak szalony, w radiu zagrali Bom to be Wild, tak jakby porsche i stacja radiowa działali w konspiracji. Scott zaśmiał się głośno.

* Mknę po autostradzie * śpiewał, otoczony dźwiękami wydobywającymi się z najbardziej niesamowitego systemu dźwiękowego, jaki kiedykolwiek widział * w poszukiwaniu przygód.

* Lepszy niż seks? * zapytał sprzedawca, gdy wrócił do salonu. Pewnie mówił to każdemu klientowi, z wyjątkiem kobiet, lecz Scott nie był w zbyt krytycznym nastroju. Jego nastrój był cudownie lekki, tak jakby siła przyciągania ziemskiego nagle osłabła. Po raz pierwszy od lat wciągnął świeże powietrze głęboko do płuc.

* Ma być taki, tylko srebrny * odezwał się Scott. Nawet jego głos brzmiał poważniej.

* To najlepszy kolor * zgodził się sprzedawca. * Bez dwóch zdań. Weszli do środka i usiedli przy biurku sprzedawcy. Mężczyzna wziął do ręki telefon, by zadzwonić do innych dealerów w poszukiwaniu srebrnego boxstera. Scott kartkował broszurkę. Za wielkimi oknami opadały płatki śniegu. Na ścianie w jego biurze wisiał bardzo ładny płatek śniegu, który zrobiła dla niego Ruby. Uśmiechnął się do siebie. W tym momencie zadzwoniła jego komórka.

* Scott?

* Cześć, Mickey * zawołał Scott. * Zgadnij, gdzie jestem?

* To proste * jęknął Gudukas. * W kiblu, tak jak ja.

* Co to miało znaczyć? * zapytał Scott. Po drugiej stronie stołu sprzedawca boxsterów ze słuchawką przy uchu podniósł kciuk do góry.

* Nie zawracasz sobie głowy sprawdzeniem, co słychać na giełdzie?

* syknął Gudukas.

* Oczywiście, że sprawdziłem. Niecałą godzinę temu było poniżej ośmiu.

* A w tej chwili jest dwanaście dwadzieścia pięć * odparł Gudukas. Dwanaście dwadzieścia pięć. Te słowa nie miały żadnego sensu.

Z pewnością źle usłyszał. * Co powiedziałeś?

* Teraz już dwanaście czterdzieści.

* Czterdzieści? O czym ty, do cholery, mówisz?

* Skacze w górę jak fajerwerki na pieprzonego czwartego lipca,
o tym właśnie mówię.

* Przecież stoi na siedmiu dziewięćdziesiąt pięć * poprawił go Scott.

* Jestem do przodu na sto dwadzieścia tysięcy.

* Jesteś do tyłu, do tyłu na pięćset czterdzieści tysięcy, tak na oko.

i tak nieźle w porównaniu z szambem, w jakie ja się władowałem, ale...

* Zaraz, zaraz? Jaką to sumę wymieniałeś?

* ...będziesz musiał wyskoczyć z dwustu kawałków.

* Co? Dlaczego?

* Żeby mieć pokrycie. Standardowa procedura. Masz dziesięć minut. Albo możesz zamknąć sprawę już teraz. Tak ci radzę. Ja właśnie to robię.

* Zamknąć sprawę?

* Wykupić akcje na giełdzie. No dalej, Scotty, myśl.

* I wszystko stracić? * zapytał Scott.

* To nie jest wszystko * wyjaśnił Gudukas.

* O czym ty, do cholery, mówisz?

* O ciągłym ryzyku. Powiedzmy, że dojdzie do dwudziestu, trzydziestu,
dziewięćdziesięciu. To się, kurwa, zdarza. A w końcu zażądamy od ciebie tych akcji. I
to dopiero będzie znaczyć utratę wszystkiego.

* Ale przecież idzie w dół. * Nawet, gdy to mówił, brzmiały mu w uszach słowa
Toma: A jeśli podskoczy do osiemnastu? * Mówiłeś, że idzie w dół.

* Ale nie dziś. Codexco zwołało konferencję prasową piętnaście minut temu. Ten
gówniany algorytm w końcu wypalił. Podpisują kontrakt na miliard dolarów z
rządem Japonii.

* A co z gośćmi, którzy mieli to finansować?

* Nie rozumiem.

* Nie pozbywają się udziałów.

* A kto to, kurwa, może wiedzieć?

* Ty. To ty z nimi rozmawiałeś i to ty twierdziłeś, że pójdzie w dół. * Scott zerwał się na równe nogi. Sprzedawca, wciąż rozmawiający przez telefon, obserwował go ze znieruchomiałym w dłoni ołówkiem.

* Dziesięć minut * przypomniał mu Gudukas. * I mój szef mówi, że musisz skołować chociaż trzysta tysięcy, jak nie dasz rady więcej.

Scott stał z telefonem komórkowym w dłoni, a wokół niego błyszczały samochody w salonie. Czy to wszystko było tylko wytworem jego wyobraźni? Czy zaszła jakaś dziwna reakcja chemiczna w jego mózgu? Może miał właśnie wylew. Tak, z pewnością tak. Już czuł się sparaliżowany: najłżejszy podmuch wiatru powaliłby go na ziemię.

* Możemy go mieć na poniedziałek rano, panie Gardner * zabrzmiał głos sprzedawcy. * Będzie potrzebna niewielka zaliczka, powiedzmy pięć tysięcy...

Scott wyszedł z salonu i wszedł do triumpfa. W samochodzie było zimno, a do środka wpadł śnieg. Zaczął wybierać numerki na klawiaturze komórki i nagle zdał sobie sprawę, że wciąż trzyma w ręku broszurkę informacyjną boxstera. Zastawienie domu było jedynym wyjściem z sytuacji. Akcje spadały. A to było tylko takie wahnięcie. Jak miał to wyjaśnić? Nie miał pojęcia. Wyrzucił z siebie potok słów, a Linda je poukładała. Zadzwoił do niej do pracy. Nie było jej. Na komórkę. Nie odebrała. Do domu, odezwała się automatyczna sekretarka. Ale przecież w domu byli Ruby i Julian.

* Odbierzcie, odbierzcie * krzyczał. Nikt się nie odezwał.

Co teraz? Tom? Niewykonalne. Matka? Przeróżająca myśl, lecz nie miał lepszej.

Nawet, jeśli się zgodzi, to upłynie trochę czasu. Właśnie, potrzebował czasu.

Scott zadzwonił do Gudukas. Spodziewał się usłyszeć sądny dzień w tle, lecz w biurze maklerskim panowała cisza.

* Mickey * odezwał się. * Potrzebuję...

* Za późno * rzekł Gudukas. * Doszło do czternastu. Zamknęliśmy transakcję.

* Zamknęliście transakcję?

* Musieliśmy mieć pokrycie w akcjach * wyjaśnił Gudukas.

- * A moje pięćset tysięcy?
 - * Standardowa procedura.
 - * Wszystko straciłem?
 - * Nie licząc tego, co jesteś winien firmie. Wszystko działa się tak szybko, że nie zdążyliśmy cię wykupić, zanim nie doszło do trzynastu siedemdziesiąt pięć. Jesteś nam winien dwieście tysięcy.
 - * Chcesz mi powiedzieć, że straciłem pięćset tysięcy, a ty żadasz jeszcze dwustu? *
- Scott mówił powoli, cedząc słowa. Może naprawdę miał wylew.
- * Plus minus.
 - * Jesteś gnidą.
 - * Chcesz, żebym cię przeprosił? Myślisz, że to zwróci ci kasę? Straciłem, cholera, dużo więcej niż ty, koleś.
 - * I co z tego? * warknął Scott.
 - * Pogódź się z tym * odpowiedział Mickey Gudukas.

32

Było jak w bajce o trzech misiach, tylko że ona była owsianką * najpierw zbyt gorącą, potem zbyt zimną, w końcu taką, jak należy. Grube płatki śniegu opadały na ziemię, a niektóre z nich lądowały na jej rzesach, lecz droga nie była biała. Po, jak się zdawało, całych wiekach, Ruby dojechała do skrzynki na listy z numerem 840 i skręciła w lewo, wjeżdżając w długą alejkę obsadzoną drzewami, bardzo często omijając olbrzymie krowie placki. Trunk Road 840 okazało się olbrzymią farmą leżącą w granicach administracyjnych Old Mili. Nie miała o tym pojęcia.

Ruby pedałowiała na niewielkie wzniesienie. Ze szczytu dostrzegła mały drewniany domek stojący po jednej stronie ścieżki i o wiele większy po drugiej. Za nim znajdowały się szopy, stodoła i znów pola, a w oddali dwie gęste kępy drzew.

Zjeżdżając ze wzgórza, zastanawiała się, w którym z tych budynków mieszka Julian, gdy z tego większego wyszła kobieta w kurtce w czerwono*czarną kratkę. Ruby schowała się za drzewo. Jedną ręką przytrzymała się pnia, nieruchomiejąc na

rowerze.

Kobieta przeszła na drugą stronę alejki i podeszła do małego domku. Miała coś w ręku, chyba kopertę. Jej buty chrzęściły na zbitym śniegu pokrywającym dróżkę do drzwi. Zapukała.

* Julian * zawołała. * Jesteś w domu? * Zapukała ponownie, mocniej . * Julian?

Kobieta uklękła, włożyła to, co Ruby widziała teraz dokładnie, kopertę, pod drzwi i skierowała się w stronę dużego domu. Ruby przesunęła się tak, by drzewo ją zasłaniało, lecz kobieta nawet nie spojrzała w jej kierunku. Drzwi dużego domu zamknęły się za nią.

Ruby zsiadła z roweru. Nie mogła na nim jechać dalej * bo co, jakby kobieta wyjrzała przez okno? Najlepiej byłoby, gdyby obeszła dookoła mały domek, lecz śnieg był tam zbyt głęboki. Ruby oparła rower o drzewo. A jeśli kobieta wybierze się do miasta i będzie obok niego przejeżdżała? Z pewnością go dostrzeże. Ruby położyła rower i przykryła go śniegiem. To było sprytne posunięcie. Wyruszyła, by zatoczyć szerokie koło przez pola, w końcu znajdując się na tyłach małego domku. Ruby spróbowała otworzyć drzwi. Były zamknięte na klucz. Zerknęła przez pęknięte i brudne okno i dostrzegła taczkę, worki z nawozami i pogrążony w cieniu korytarz prowadzący do frontowych drzwi. Odsunęła się i zauważyła klapę wejściową. Czy nie było to wejście do piwnicy? Poniosła ją i zeszła kamiennymi schodami, docierając do drzwi, bardzo małych, jej rozmiarów. Nacisnęła na klamkę i drzwi stanęły otworem. Ruby cofnęła się i weszła z powrotem po kamiennych schodach. Zamknęła za sobą klapę i zniknęła w ciemnościach, by w końcu wejść do domu, zamykając za sobą małe drzwi.

W piwnicy było mnóstwo pajęczyn. Ruby machała rękoma, torując sobie przejście, kierując się w stronę spowitego kurzem światła, które wpadało przez wysokie okno na odległej ścianie. W połowie drogi natknęła się na drewniane schody, bardzo chwiejne, i weszła na górę.

Znalazła się we frontowej części domu, w pustym korytarzu o wypaczonej i pociemniałej podłodze. Tuż przy frontowych drzwiach spoczywała koperta z Prywatnego Nauczania „Szóstka z Plussem” zaadresowana do Juliana. Ruby ją

otworzyła.

Wewnątrz znajdował się list i wizytówka „Szóstki z Plusem”. Na wizytówce widniał napis: Zapomniałam dołączyć to w ostatnim liście * Margie.

Ruby przeczytała list z datą 19 listopada 1998. Na papierze listowym na samej górze widniało: Dziekan Balliol, Oxford.

Dot.: Żmije w moim plecaku * zoologiczne wędrówki po Górnym Gabonie.

Szanowny Panie Sawyer,

Wszyscy wykładowcy, zarząd uczelni i studenci pozostają pod olbrzymim wrażeniem Pańskiego wykładu, który odbył się środę. Jakże miło jest dowiedzieć się, że tradycja śmiałego amatora naturalisty

wciąż żyje wśród nas. Serdecznie zapraszamy ponownie, by mógł Pan podzielić się z nami szczegółami kolejnej przygody.

Z wyrazami szacunku, R. M. Simkins, Kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego

Ruby przeczytała list. Następnie przeczytała go jeszcze raz, trzymając blisko okna w poszukiwaniu lepszego światła. Z pewnością napisano go na prawdziwej maszynie do pisania, ponieważ każda literka pozostawiła małe wybrzuszenie z tyłu kartki. Ale coś jej tu nie pasowało, coś było nie w porządku. Wyjęła szkło powiększające i zerknęła na rok, 1998. Było coś dziwnego w drugim 9. Dokładnie w ogonku po lewej stronie, w miejscu, gdzie papier wyglądał na cieńszy, odrobinę bardziej szorstki, tak jakby coś tam wymazano.

Ruby przyjrzała się tyłowi kartki pod szkłem powiększającym i dostrzegła, że podczas gdy cyfry z przodu dawały 1998, to na odbiciu po drugiej stronie widniało 1988. Ktoś wymazał ten mały brzuszek z lewej dolnej strony 8, zmieniając cyfrę na 9. Ruby włożyła list do kieszeni, weszła po schodach, skrzyp, skrzyp, zniszczonych, lecz tym razem dość stabilnych.

Znalazła się w małym pokoju, w którym dostrzegła kominek, a w nim porozrzucone niedopałki papierosów i spalone zapalki, po jednej stronie łóżko, po drugiej biurko, tuż przy oknie. I to wszystko. Na suficie nad łóżkiem można było odczytać:

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać

Pokój Juliana.

Ruby usiadła przy biurku. Stado czarnych ptaków przemknęło w powietrzu, tworząc wir z płatków śniegu. Na biurku nie było nic poza telefonem i kilkoma kartkami, na których spoczywał słoik dżemu truskawkowego. Ruby otworzyła wszystkie szuflady, lecz niczego w nich nie znalazła, żadnej powieści ani niczego innego. Podniosła dżem i przejrzała papiery.

W domu * głosił pięknie wykaligrafowany napis na stronie tytułowej: Żywa powieść autorstwa Juliana Sawyera.

Ruby otworzyła na pierwszej stronie: Notatki do Żywej powieści: W poszukiwaniu nowej formy. Autor: Julian Sawyer.

A poniżej:

oziębły ktoś zaniedbać cię będzie skłonny tak jak zdradziecki oszukać nic, czemu ufać sam nie możesz, twemu ufaniu powierzone nie będzie
Ostatnie dwa wersy, jej wersy, te o zaufaniu, zostały wykreślone.

Druga strona. Scott: Kompleks niższości, zwłaszcza w stosunku do Toma; z gruntu leniwy; hazardzista bez pojęcia o szansach na wygraną; oszukuje się, że jest ambitny, lecz pragnie tylko więcej tego samego; brak więcej tego samego sprawia, że czuje się nieszczęśliwy, a to powód niewystarczający * w najmniejszym stopniu. IQ 110.

Zadanie do wykonania: przyjacielska dyskusja dotycząca strategii inwestowania, np. obrotu opcjami; dowiedzieć się więcej na temat rodzinnej firmy ubezpieczeniowej; czy Tom ma dzieci?

Strona trzecia. Linda: naprawdę ambitna, chce rozwinąć swój tłamszony potencjał ekspresji; drugi plus * dba o rozwój Brandona; dużo problemów ze Scottem * dowiedzieć się więcej; dobrze kłamie (epizod z wykładem o Gabonie). IQ 120.

Zadanie do wykonania: dowiedzieć się więcej na temat Adama, zostać dobrymi przyjaciółmi. Złe rzeczy dzieją się powoli.

Strona czwarta. Adam: Superchłopak * wcielenie cnót, u którego stóp wszyscy się płaszczą. Nieznane: chronologia * złamana noga, białaczka.

Strona piąta. Brandon: normalny dzieciak, w innych okolicznościach mógłby wyrosnąć na szczęśliwego człowieka. IQ 125. Zadanie do wykonania: kontynuować to samo (poznać szczegóły pijackiej imprezy).

Strona szósta. Ruby: IQ *

„Cętkowana wstęga”

Ruby wciąż miała na sobie kurtkę i czapkę w gwiazdy, lecz nagle poczuła ogromny chłód.

Co jeszcze? Wiadomości na automatycznej sekretarce. Ruby znalazła tylko jedną, niezbyt nową, skoro światło nie mrugało.

* Julian? Mówi Gail. Kupiłeś może akcje Codexco? W każdej chwili mogą pójść w górę.

Codexco? Czy to nie akcje, dzięki którym tata zapłacił za wycieczkę na Bahamy? I czy nie powinny iść w dół? Czarne ptaki znów śmignęły za oknem, tym razem lecąc w przeciwnym kierunku. Zaś alejką z tej samej strony co ptaki, od Trunk Road, nadjeżdżał jeep grand cherokee, jeep mamy. Lecz za kierownicą nie było mamy. Był za to Julian.

Przez chwilę Ruby nie mogła się poruszyć, mięśnie odmówiły jej posłuszeństwa.

Zaraz zaparkuje, wejdzie drzwiami, pokona schody i zastanie ją przy biurku, na którym leżały rozrzucone kartki żywej powieści, a ona nie będzie mogła temu zapobiec. Złe rzeczy dzieją się powoli. Pomocy. O Boże, pomocy. Lecz jej ciało pozostało nieruchome.

Ciało było sparaliżowane, lecz umysł pracował niezależnie od niego. Julian miał samochód. Musiał pożyczyć go od mamy. Mama była w domu.

Ciało wróciło do życia. Ruby złapała za słuchawkę i zadzwoniła do domu.

* Odbierz, odbierz * poruszała bezgłośnie ustami. Mama odebrała. * Słucham?

* Mamo. Natychmiast zadzwoń do Juliana. Powiedz mu...

* Ruby? Julian pojechał cię szukać. Gdzie...

* Zadzwoń do samochodu. Powiedz mu, że jestem w domu.

* W domu?

* Że wróciłam, mamo. Że już wróciłam.

* Ale dlaczego, Ruby? Czy coś się stało?

* Zrób to. I ostrzeż tatę przed tymi akcjami.

* Przed akcjami?

* Przed Codexco.

* Codexco? Co...

Samochód zjechał z alejki, kierując się na podjazd.

* Teraz.

* Ale przecież nie ma cię w domu. * Głos mamy zrobił się ostrzejszy. * Dlaczego miałabym okłamywać Juliana?

* Niech zawróci, mamo. Niech zawróci.

* Zawróci? Nie...

* Zaufaj mi.

Samochód podjechał pod mały domek. Mama zaczęła mówić coś jeszcze, coś, co zaczęło się od ale. Ruby odłożyła słuchawkę, odsunęła się od okna w miejsce, z którego wciąż widziała, co dzieje się na zewnątrz, lecz jej tutaj nie dało się dostrzec, chyba że w nocy, gdyby były zapalone światła. Samochód stanął. Silnik przestał pracować. Otworzyły się drzwi. Julian postawił jedną stopę na ziemi i znieruchomiał. Zadzwoił telefon w samochodzie; Ruby usłyszała jego dźwięk.

Julian przyłożył słuchawkę do ucha. Jego usta poruszyły się. Następnie znieruchomiały. Stopa cofnęła się z ziemi i zniknęła w samochodzie. Drzwi się zamknęły. Jego usta poruszyły się ponownie. Odłożył słuchawkę. Silnik zaczął pracować. Samochód wycofał się aż do alejki. Ruby odetchnęła. Koła skręciły. Zaraz samochód wykręci, wjedzie w alejkę i skieruje się na Trunk Road, a potem przez Old Mili do West Mili, do domu.

Lecz tak się nie stało. Jeep mamy pozostał na miejscu w połowie zakrętu i ani drgnął przez bardzo długą chwilę. Następnie poruszył się, lecz do przodu, rezygnując z zakrętu i wracając na podjazd małego domku. Ruby cofnęła się na środek pokoju. Usłyszała, jak silnik ponownie przestał pracować, drzwi otworzyły się i zamknęły. Ruby w popłochu rozejrzała się dookoła i ruszyła w kierunku jedynych drzwi, które dostrzegła: po drugiej stronie znajdowała się mała łazienka z przezroczystą zasłoną prysznicową, bezużyteczne. Wróciła do pokoju i dostrzegła kartki żywej powieści rozrzucone po biurku, podbiegła, ułożyła je starannie i na samej górze umieściła słoik. Drzwi frontowe otworzyły się, a następnie zamknęły, lekko trzęsąc domem.

Ruby odwróciła się na pięcie. Pod biurko? Nie. Pod łóżko? Nie. Gdzie? Gdzie?
Do kominka? Ruby ruszyła w kierunku kominka, wchodząc na czworakach i zerkając
w górę. Jak to się nazywało, to, co było sprawcą epizodu z dymem? Szyber, sam ją
tego nauczył. Ten wydawał się być dość wysoko. Może gdyby wstała, złapała się go
rękoma...

Kroki na zniszczonych schodach, skrzyp, skrzyp.

Ruby wstała * głowa, ramiona, górna połowa jej ciała w kominie. Sięgnęła w górę,
poczuła metalową płytę, nieostrą, i uchwyciła się jej obiema rękoma, podciągając się
tak, że stopy zniknęły z widoku. Niewielka klucha czegoś oderwała się od ściany
komina i wylądowała z plaśnięciem. Kroki rozległy się w pokoju. Stuk, stuk,
przerwa. Długa przerwa. Słyszała jego oddech. Wtedy rozległ się dźwięk, miękkie
tąpnięcie: postawił słoik z dżemem?

Stuk, stuk, stuk, przerwa. Otworzyły się drzwi, drzwi od łazienki. Następnie cichy,
metaliczny pisk * zasłona prysznic, przezroczysta czy nie * została odsunięta.

Usłyszała jego głos: * Skoro było A, musi być B * powiedział.

Ruby czuła ból w ramionach. Jej dłonie zrobiły się mokre, zaczęła tracić uchwyt.
Jeśli zdołałaby tylko podciągnąć nogi odrobinę wyżej, oprzeć się nimi o ścianę.
Teraz: to musi być teraz, gdy jest w łazience. Ześlizguje się, ześlizguje, te spocone
dłonie * teraz. O tak, właśnie tak, zaklinowana, jej nogi przejęły ciężar. Ale
jak głośne było to skrobnięcie, które wydały jej buty? Plasnęła kolejna klucha.

Stuk, stuk. Szu: Odgłos odrzucanej pościeli. Sieknięcie: Julian zagląda po łóżko.

Stuk, stuk, stuk. Potem puk, puk, puk: o biurko, stukot paznokci. Ten złamany z
purpurową blizną * jak do tego doszło?

Ruby czuła, jak Julian myśli, był niczym jeden z tych frontów atmosferycznych w
telewizji, który parł i parł, i parł, by wdrzeć się wprost do jej
umysłu. Słabe kliknięcie plastiku, po którym Ruby usłyszała odgłos sygnału w
słuchawce. Nie wybrał żadnego numeru. Głośny łomot plastiku i telefon ponownie
znalazł się na podstawce. Czy właśnie domyślił się telefonu do mamy? Wiadomości o
Codexco? Obu?

Stuk, stuk, zbliżał się. Stuk, stuk. Ruby zerknęła w dół. Wzrokiem ogarniała

niewielkich rozmiarów przestrzeń pomiędzy swą lewą nogą a ścianą komina, aż do cienkiego paska dna kominka, gdzie wśród niedopałków i popiołu sterczały teraz dwa czubki butów. Następnie rozległ się cichy odgłos tarcia, cisza i w kominku wyładowała zapalka. Poczwała dym z papierosa.

* Skoro było A, musi być B * powtórzył, lecz tym razem dosłownie do jej ucha. Może nie domyślił się telefonu ani wiadomości. Inaczej byłby już teraz przy C albo D, a może nawet dalej. Och, żeby to była prawda.

Julian nie ruszył się z miejsca, paląc papierosa. Ruby wisiała w kominie, zrana potem pod kurtką i resztą ubrań. Jego umysł parł i parł. Raptem papieros, w połowie wypalony, dołączył do pozostałych niedopałków, wciąż płonąc. Dym uniósł się w górę. To wywołała u niej kaszel.

Czubki butów ruszyły się, odwróciły z chrzęstem i zniknęły z widoku. Ruby wstrzymała oddech, żeby nie zakaszeć. Stuk, stuk. A potem na schodach, drobne kroczki. Dalsze kroki piętro niżej, przemieszczanie przedmiotów, w końcu ledwie słyszalne dźwięki jeszcze niżej. Aż wreszcie cisza. Dym gęstniał. Kaszel nadchodził i nie mogła nad nim zapanować.

Drzwi samochodu zamknęły się z trzaskiem.

Zakaszła. Jej stopy się osunęły.

Silnik samochodu zaczął pracować. Dłonie Ruby ześlizgnęły się i upadła w sam środek sterty niedopałków. Samochód odjechał.

Linda patrzyła przez okno w salonie. Ulicą przejeżdżała ciężarówka rozsypująca piasek. Potem nafcjarz. Pielęgniarka środowiskowa. A następnie triumph. Pośpiesznie ruszyła do kuchni.

Scott wszedł przez drzwi od garażu. Jej pierwszą myślą było, że zaraził się od Ruby. Twarz miał trupio błądą, nawet usta, a dłonie drżały mu nieznacznie.

* Dobrze się czujesz? * zapytała.

Nie odpowiedział, tylko rozejrzał się, tak jakby znalazł się w zupełnie obcym miejscu, a nie we własnej kuchni.

* Jestem zaniepokojona * rzekła. Skinął tylko głową.

* Przed chwilą dzwoniła Ruby. Zachowywała się bardzo dziwnie.

* Ruby? To nie ma jej domu?

* Pojechała szukać Zippy'ego.

Jego głos podniósł się nagle, aż się przestraszyła. * Niech wreszcie da sobie z tym spokój.

* Wiem. Julian pojechał jej szukać. Ale miała taki przerażony głos.

* Przerażony?

* Bała się Juliana. Mówiła, że mam cię ostrzec w sprawie akcji. Spojrzał na nią z pozbawioną czucia twarzą. * Ostrzec w sprawie akcji?

* Scott. Dobrze się czujesz?

* Ostrzec mnie przed czym tak właściwie?

* Nie wiem. Czy jest jakiś związek pomiędzy Julianem i Codexco? Scott dotknął dłonią czoła i tarł je, aż poczerwieniało, tworząc czerwoną plamę na pozbawionej barwy skórze.

* Co się dzieje, Scott? Czy coś stało się w Codexco?

Scott wziął głęboki oddech. Czerwień zalała mu całą twarz. * Przegrałem.

* Co przegrałeś?

* Wszystko.

* Wszy...

Otworzyły się drzwi i wszedł Julian. Nawet nie usłyszała podjeżdżającego samochodu.

Jego oczy przewędrowały od Lindy do Scotta i z powrotem do Lindy.

* No, no * odezwał się. * Wspaniali z was rodzice, skoro tak wpadacie sprawdzić, jak czuje się chore dziecko. Dzięki Bogu wróciła do domu cała i zdrowa.

* Nie * zaprzeczyła Linda.

* Jak to nie? * odparł zaskoczony Julian. * Co masz na myśli, mówiąc nie?

* Nie ma jej tu.

* Ale przecież mówiłaś, że jest.

* Ona się ciebie boi * stwierdziła Linda.

* Boi się mnie? Dlaczego tak sądzisz?

* Dzwoniła tu, śmiertelnie przerażona.

* Dzwoniła? * Julian cofał się w kierunku drzwi, wciąż trzymając w ręku kluczyki. * Biedactwo * dodał. * Oczywiście bredzi w gorączce. Pojadę po nią. Wyjaśnimy to, jak już bezpiecznie przywiozę ją do domu.

* Wiesz, gdzie jest? * zdziwiła się Linda.

* Dokładniej mówiąc, będę jej szukał * wyjaśnił Julian.

* Chwileczkę * zatrzymał go Scott. * Co wiesz o Codexco?

* O akcjach, które kupiłeś czy sprzedałeś, nie pamiętam dokładnie? Jaki to ma związek z czymkolwiek?

* Linda twierdzi, że coś na ten temat wiesz. Julian spojrzał na nią. * Pojadę po Ruby.

* Nie * rzekła Linda. * Musisz to wyjaśnić.

* Co wyjaśnić?

* Dlaczego Ruby się ciebie boi. I co wiesz o akcjach.

Julian zwrócił się do Scotta. * Wiem, że oboje jesteście pod wpływem stresu. Ruby jest chora, pies się zgubił, do tego inne ewentualne troski, w zależności od stopnia ostrości waszej percepcji, ale apeluję do ciebie, Scott. Spraw, żeby Linda zachowywała się rozsądnie. Powinienem teraz szukać Ruby. Ona nie czuje się dobrze.

* Linda doskonale potrafi ocenić sytuację. Oddaj mi kluczyki. Linda w tym momencie odkryła, że kocha Scotta i że swoją sytuację zawsze oceniała błędnie.

Scott wyciągnął dłoń po kluczyki. Julian zamknął je w pięści.

* Potrafi ocenić sytuację? W dniu, w którym Adam złamał nogę, też to potrafiła?

* Adam? * zapytał zaskoczony Scott. * Nie rozumiem.

Julian spojrzał na Lindę. * Dlaczego pozwoliłaś, by do tego doszło? Może teraz sama mu o tym powiesz. Tak chyba będzie najlepiej dla oczyszczenia atmosfery.

Linda nie mogła wydobyć z siebie głosu.

* O czym masz mi powiedzieć? * zapytał Scott.

* O Tomie * odparł Julian.

* O Tomie? Jak to, o Tomie?

* O niewielkim grzeszku, gdy się go porówna z całą resztą * wyjaśnił Julian. * Ale

tak naprawdę to nie moja sprawa.

Scott zrobił krok w jego kierunku i złapał go za koszulę. * Mów.

* Jakież to tandetne * stwierdził Julian, twarzą w twarz ze Scottem, wydając się nie zwracać najmniejszej uwagi na ściskające dłonie Scotta. * Muskanie się stopami w jacuzzi, dwoje rozluźnionych alkoholem ludzi, jedno prowadziło do drugiego.

Dlaczego sam sobie nie dopowiesz reszty, gdy ja będę szukał Ruby?

Scott zwolnił uścisk. Zachwiał się odrobinę, tak jakby miał zemdleć. Duży słoik z grubego szkła, wypełniony truskawkowym dżemem, stał na blacie. Linda wzięła go do ręki i z całej siły uderzyła Juliana w tył głowy.

Ruby podeszła do biurka i zebrała z niego kartki żywej powieści. Otworzyła szuflę w kominku, dokładnie tak, jak sam ją tego nauczył, zapaliła jedną z jego zapalek i spaliła .papiery. Nikt nie miał prawa tego czytać.

Wyszła z małego domku przez piwnicę i klapę, w ten sam sposób, w jaki do niego weszła, i wróciła do roweru, tak samo zataczając szerokie koło. Podniosła go ze śniegu, otrzepała i ruszyła w drogę, jadąc alejką w stronę Trunk Road. Tak jakby zmierzała do domu, lecz z niewielkim objazdem: miała zamiar przygotować Julianowi małą niespodziankę.

Śnieg wciąż padał lekko jak na początku lub końcu śnieżycy, choć sypał równo. Ruby przejechała przez Old Mili w stronę West Mili i skręciła w Depot. Przy Depot znajdował się posterunek policji. Wielokrotnie koło niego przejeżdżała. Lecz tym razem go nie zobaczyła. Jechała i jechała drogą, drżąc z zimna, bardzo powoli, bardzo zmęczona. Main? Czy z Depot skręcało się w Main? Tu stała stacja Shella. Weszła do środka.

* Cześć, Manny * zawołała. Znow liczył pieniądze przy kasie, a może robił to bez przerwy?

* Cześć * odpowiedział Manny, podnosząc na nią wzrok. * Jak ci idzie z tym zadaniem domowym?

* Kiepsko * odrzekła Ruby. * Jak dojechać na posterunek policji?

Ruby Kid * przywitał się sierżant D'Amario, wchodząc do pokoju, w którym kazano jej czekać.

* Ruby Gardner * sprostowała Ruby, kończąc sprite'a. Nigdy w życiu nie była tak spragniona sprite'a jak w tej chwili. * Jestem siostrą Brandona.

* Wiem * odparł D'Amario.

* On nie jest ćpunem, a pan jest na złym tropie. Mogę panu powiedzieć, kto przywozi crack do West Mili.

* Kto?

* Ale najpierw muszę wysłuchać tej taśmy.

* Jakiej taśmy?

* Taśmy z nagraniem anonimowego rozmówcy * wyjaśniła Ruby. * Z nocy, podczas której zrobił pan nalot w lesie.

* Dlaczego?

* Ponieważ to wszystko się ze sobą łączy. Jak w „Rytuale Musgrave'ów”.

Policjant opierający się o ścianę zapytał:

* Chodzi o jakąś sektę? Jak tę Davida Koresha?

* Co to jest Rytuał Musgrave'ów? * zainteresował się D'Amario.

Ruby nie mogła w to uwierzyć: profesjonalny stróż prawa i nie słyszał o „Rytuale Musgrave'ów”? Nic się nie zmieniło od czasów inspektora Lestrade'a.

* To nie jest ważne. * Sięgnęła do kieszeni i wyjęła dowody: numerki Zippy'ego, wiadomość od Jeanette, list od dziekana Balliol.

* Co to jest? * zaciekawił się D'Amario.

* Niech pan to przejrzy.

D'Amario zerknął na numerki i przeczytał wiadomość. * Co oznacza J?

* Jeanette.

Policjanci w pokoju wymienili spojrzenia. D'Amario przeczytał list.

* A co to ma z tym wszystkim wspólnego? * zapytał. * Czy ten Sawyer jest dealerem?

Ruby podała mu szkło powiększające. * Niech pan sprawdzi datę... Sprawdził. * Została zmieniona.

* Która godzina jest teraz w Anglii? * zapytała Ruby.

* Różnica sześciu czy siedmiu godzin, tak sędzę * stwierdził D'Amario.

* Plus czy minus? * zainteresował się policjant przy ścianie. D'Amario zignorował go. * Do czego zmierzasz? * rzekł do Ruby.

* Chcę ustalić, czy to odpowiednia godzina, by zadzwonić do pana R. M. Simkinsa, Kawalera Orderu Imperium.

* Po co miałbym to robić?

* Ponieważ to wszystko jest ze sobą powiązane * powtórzyła Ruby. A skoro tak... bum. Nawiedziło ją rozmyte wspomnienie. Ostatni wielki blok przesunął się w jej umyśle. Układanka została skończona. Wszystko, czego potrzebowała, tkwiło w jej głowie, tak jak podejrzewała: po prostu musiało się odpowiednio ułożyć.

* Nic z tego nie rozumiem * powiedział policjant przy ścianie.

* A co, jeśli wam powiem, że na dnie stawu leży kij narciarski? * szepnęła Ruby. To zrozumieli. To dotarło do wszystkich. Do Ruby również, naprawdę do niej dotarło. Schowała twarz w dłoniach, żeby nikt jej nie widział.

Rzeczy zaczęły dziać się z zawrotną szybkością. D'Amario wykonał telefon do dziekana Balliol, zostawiając wiadomość. Następnie zabrał Ruby do pokoju wypełnionego sprzętem elektronicznym. Facet przy kontrolkach włożył małe dysk, mniejszy niż CD, do jakiegoś urządzenia, które wyglądało jak magnetofon. Po dwóch lub trzech sekundach usłyszeli głos.

* Dzwonię, by poinformować, że w miejskim lesie odbywa się bardzo głośna impreza. Wydawało mi się, że usłyszałem strzał z broni palnej, choć nie jestem tego pewien... * Klik.

* To on * potwierdziła Ruby.

Ruby jechała do domu, siedząc w pierwszym z radiowozów. Jej rower spoczywał w bagażniku. Niebieskie światło radiowozu migало, lecz syreny nie zostały włączone. Na Robin Road 37 brama garażu stała otworem, a w środku znajdował się triumph. Na podjeździe stał samochód Deweya z napisem Pieprz się Pieprzony Pierdolcu, widocznym dla wszystkich.

* Czy to samochód Davida Brickhama? * zapytał D'Amario.

* Deweya * poprawiła go Ruby. * Nikt nie mówi na niego David.

* Może warto by zacząć * stwierdził D'Amario.

D'Amario był bystry. Może nie dziesięć razy bystrzejszy niż Brandon i Dewey razem wzięci, ale sprytny.

* Do kogo należy triumph? * zapytał D'Amario.

* Do mojego taty.

* Czym jeździ mama?

* Jeepem grand cherokee.

* Jakiego koloru?

* Niebieskiego. Ciemny błękit, ale nie granat, z domieszką fioletu. * Mówiąc to, Ruby otworzyła drzwi.

* Zostań w samochodzie * rozkazał D'Amario.

* Ale ja chcę zobaczyć rodziców.

* Za chwilę.

Policjantka wsiadła do radiowozu, by jej towarzyszyć. Miała w ręku pudełko pączków, czekoladowych z posypką, w normalnych okolicznościach Ruby nie mogłaby się im oprzeć.

* Nie, dziękuję * powiedziała.

Policjanci wyjęli broń i weszli do domu, korzystając z klucza Ruby. D'Amario wyszedł prawie natychmiast i kiwnął, żeby przyszła.

Siedzieli w kuchni: Brandon, Trish i Dewey z resztkami kanapek z Subway, i kilku policjantów z bronią już w kaburach. Dewey miał rozbiegane oczy, jakby planował ucieczkę.

* Od kiedy tu siedzicie? * zapytał D'Amario.

* Przyszedł pan pociąć resztę moich ubrań? * rzucił Brandon.

* Nie wygłupiaj się * uspokoił go D'Amario. * Nie pora na to.

* Bran * odezwała się Ruby.

* Od czwartej piętnaście * odpowiedziała Trish.

* Wszystko było tak jak teraz? Wszyscy byli poza domem?

* Tak * odparł Bran.

Do kuchni zajrzał policjant. * Pani Gardner wyszła z biura o jedenastej trzydzieści, pan Gardner trochę wcześniej, nie wiadomo, o której dokładnie. Żadne z nich nie

wróciło.

* A jeep? * zapytał D'Amario.

* Szukamy go * odparł policjant.

* Co się dzieje? * zaniepokoił się Brandon.

* Twoja siostra wszystko ci wyjaśni * rzekł D'Amario. * A wy dwoje możecie już iść.
Dewey wybiegł jak postać z kreskówki. Trish lekko pocałowała Brandona w policzek i też wyszła.

* Odnalezienie samochodu nie będzie problemem * zapewnił ich D'Amario.

* Powinni sprawdzić na Trunk Road 840 * dodała Ruby.

D'Amario spojrział na nią znacząco i pokiwał palcem wskazującym. Jeden z policjantów wyszedł szybko. Drugi wbiegł pośpiesznie z jakimiś projektami czy planami.

* Wszystko gotowe? * zapytał.

D'Amario wyszedł z nim. Ruby zajrzała do przedsionka i dostrzegła, że nie ma tam szarego płaszcza mamy z futrzanym kołnierzem i skórzanej kurtki taty. Ruszyła za D'Amario.

Szli przez dom, facet z planami, D'Amario i Ruby. Wszędzie byli policjanci, lecz ich trójka i tak wchodziła do każdego pokoju, przeglądała każdą szafę, zaglądała pod każde łóżko. W domu nic się nie zmieniło, wszystko stało na swoim miejscu, nie brakowało niczego poza rodzicami.

* Nie zapomnijcie sprawdzić w kominie * powiedziała Ruby. Spojrzeli na nią w zabawny sposób, ale zrobili to, o co poprosiła.

* Jest tu strych? * zainteresował się D'Amario, stojąc w korytarzu na piętrze.

* Jest w projekcie * odparł ten z papierami. * Jedyne wejście jest tutaj * wskazał na właz w suficie na samym szczycie schodów, zamalowany i prawie niewidoczny.

* Czy ktoś tam w ogóle wchodził, Ruby Kid? * zapytał D'Amario. Ruby nie miała pojęcia, że w domu jest strych. * Nie.

Facet z projektami wziął krzesło z pokoju Brandona, stanął na nim i pchnął właz. * Nie da się ruszyć * stwierdził. * Nikt go nie otwierał od wyjścia malarzy.

D'Amario skinął głową.

Kolejny policjant zawołał z dołu: * Jesteśmy gotowi do wyjazdu nad staw.

* Jadę z wami * zdecydowała Ruby, zanim ktokolwiek zdążył wyrazić na ten temat inne zdanie. Jeanette była lojalna wobec niej i ona miała zamiar odplacić się jej tym samym.

33

.Kilka godzin później Ruby pożałowała swojej decyzji.

Policja przywiozła nad staw generator prądu i mnóstwo jaskrawych świateł. Śnieg, który sypał teraz gęściej i szybciej, ciemniał, przedzierając się przez ich blask. Było też zimniej, lecz staw nie zamarzał, pewnie przez nurków, którzy nieustannie schodzili pod wodę i wypływali na powierzchnię. Nurkowie mieli na sobie piankowe kombinezony, a na plecach wielkie paki. Wyglądali pokracznie jak kosmonauci. Wyciągnęli ze stawu but narciarski, kijek, parę nart. Potem kilka ciężarków, podobnych do tych, które stały w pokoju Brandona, z dziurami w środku. W końcu coś w spodniach narciarskich, z włosami jak wodorosty. Ruby odwróciła głowę, ale zbyt późno, i straciła kontrolę nad własną twarzą, zanosząc się od płaczu. Brandon stanął pomiędzy nią a stawem.

D'Amario podszedł do nich w towarzystwie innego policjanta. * Zabierz dzieciaki do domu * rozkazał. ;

Ruby starała się wziąć w garść. * A Zippy?

D'Amario pokręcił głową.

* On musi tam być.

* Nie widzieli go * odparł D'Amario. * Jeszcze spróbujemy rano. Światła gasły, jedno po drugim.

Na podjeździe stał radiowóz, kolejny na ulicy, dwóch policjantów na podwórku, jeden w kuchni, jeden w korytarzu od frontu. Weszli do pokoju Brandona i sprawdzili ciężarki. Nie potrafił sobie przypomnieć, ile ich miał. Kilka wyglądało na mniej zniszczone od pozostałych, tak jakby były nowe, ale Brandon nie był tego pewien. Policjant stojący w korytarzu zawołał: * Mamy połączenie z Anglią.

* Czy wasz telefon ma przełącznik na głośnomówiący? * krzyknął D'Amario.

* Tak.

Zeszli na dół. Ruby usiadła na schodach. Policjant włączył głośnik, a D'Amario wziął do ręki słuchawkę.

* Sierżant D'Amario? * Angielski akcent, z wyższych sfer, który sprawia, że każdy, kto go używa, wydaje się kimś wspaniałym. Z jakiegoś powodu ten człowiek zaakcentował i w D'Amario, tak jakby sierżant sam źle wymawiał własne nazwisko.

* Mówi sir Ronald Simkins.

* Tak * odezwał się D'Amario. * Panie, hm, sir... jak mam się do pana zwracać?

* Może być Ron.

D'Amario skinął głową, lecz nie nazwał go Ron. * Mam tu list, z którego wynika, że napisał go pan do niejakiego Juliana Sawyera albo dziewiętnastego listopada osiemdziesiątego ósmego roku, lub tego samego dnia roku dziewięćdziesiątego ósmego. Chcielibyśmy prosić pana o pomoc w wyjaśnieniu tej sprawy.

* W jakim kontekście? * zainteresował się Simkins.

* Dochodzenia w sprawie morderstwa.

* Czy mógłby pan przeczytać mi ten list? D'Amario przeczytał.

* Osiemdziesiąty ósmy * zawyrokował Simkins.

* Jest pan tego pewien?

* Absolutnie * zapewnił go Simkins. * Juliana Sawyera nie było już wśród żywych w dziewięćdziesiątym ósmym.

D'Amario zerknął na Ruby. * Mamy tu Juliana Sawyera i ten list należy do niego * wyjaśnił.

* Mówię o starszym Julianie Sawyerze * tłumaczył Simkins. * Lub seniorze, jak sam się nazywał.

* A więc istnieje też junior? * zdziwił się D'Amario.

* Zgadza się. Syn, który kilka lat temu okrył się złą sławą, chociaż obecnie podobne przypadki mają miejsce tak często, że większość z nich szybko ulega zapomnieniu.

* Jakie przypadki?

* Przypadki niewytłumaczalnej przemocy. Młody Sawyer spalił rodzinną posiadłość

w Sussex, dom, w którym wypoczywali pomiędzy jedną a drugą wyprawą w poszukiwaniu nafty. Jego rodzice zginęli w pożarze. Myślałem, że wciąż jest w więzieniu, choć z drugiej strony... Na procesie pojawiły się okoliczności łagodzące, jeśli dobrze sobie przypominam.

* Jakie?

* Zeznanie biegłego psychologa. Zdaje się, że była mowa o uzasadnionej urazie? O wyjątkowych zdolnościach, wiecznie niezadowolonych rodzicach? Na pewno pomogła mu tego rodzaju analiza, no i jego młody wówczas wiek.

* Ile miał wtedy lat?

* Około dwudziestu, jeśli dobrze pamiętam * odparł Simkins.

* Spotkał go pan kiedykolwiek? * zainteresował się D'Amario.

* Tak. Studiował tu przez kilka miesięcy * wydaje mi się, że powodem, dla którego jego ojciec wygłosił swój referat, była chęć przypodobania się władzom uczelni, by syn został przyjęty. Stworzony do wielkich rzeczy, jak mawiał jego ojciec.

* Tylko kilka miesięcy studiował? * zaciekawił się D'Amario.

* Został wydalony.

* Z jakiego powodu?

* Złego traktowania zwierząt laboratoryjnych, jeśli się nie mylę * rzekł Simkins. *

Mówił pan, że go macie?

* Szukamy.

* To powodzenia.

Sierżant D'Amario posadził ich w kuchni.

* Dokąd chcielibyście pójść na dzisiejszą noc? * zapytał.

* Donikąd * odparł Brandon.

* Bo co, jeśli rodzice wrócą? * zatroskała się Ruby.

* To kto miałby z wami zostać? * D'Amario wyjął listę z kieszeni. * Dzwoniło mnóstwo ludzi, wasz wujek i ciocia, kobieta o nazwisku...

* Czy musi tu ktoś przychodzić? * zapytał Brandon.

Ruby zrozumiała * także nie chciała, by był tu ktoś obcy, nie chciała, by było jeszcze

dziwniej niż teraz. * A was tu nie będzie? * dodała.

* Oczywiście, że będziemy * zapewnił ją D'Amario. * Radiowóz na podjeździe i pieszy patrol na tyłach, a dodatkowo ktoś w środku, by monitorować rozmowy telefoniczne.

* To nam wystarczy * stwierdził Brandon. Ruby skinęła głową.

* Ale tylko na tę noc. * D'Amario wstał.

* Dlaczego miałyby to trwać dłużej? * zdziwił się Brandon. * Twierdził pan, że odnalezienie samochodu nie będzie problemem.

* No więc gdzie oni są? * zapytała Ruby.

* Właśnie nad tym pracujemy * odparł sierżant D'Amario.

* A z tego odnalezienia może być problem? * dociekała Ruby.

Brandon przełamał ostatnią kanapkę z Subway na pół.

* Jesteś głodna? * zapytał i podał połówkę Ruby.

Siedzieli przy kuchennym stole. Ruby ubrana w piżamę, z włosami wciąż mokrymi po kąpieli, Brandon w dresie. Jej brudne, zakopcone ubranie * niebieska kurtka z żółtymi lamówkami, czapka w gwiazdy, cała reszta * leżało na kupce w łazience na piętrze, a woda lecąca do odpływu pod prysznicem, gdy Ruby się myła, była czarna przez długi, długi czas. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, jak była brudna, i nikt, ani Brandon, ani sierżant D'Amario czy inni policjanci, nie powiedzieli ani słowa na ten temat i ani razu nie spojrzeli na nią krzywo. Wzięła to za zły znak i odłożyła kanapkę, odgryzając tylko kawałek.

* Nie będziesz tego jeść? * zainteresował się Brandon. Wziął do ręki jej połowę. Jak mógł być tak głodny w takiej chwili?

* Nie boisz się? * zapytała go Ruby.

Odłożył kanapkę. Siedzieli obok siebie bez słowa, lecz czuła ich wspólne myśli, tak podobne, wirujące w powietrzu.

W kuchni pojawił się policjant i podał jej przenośny telefon. * Do ciebie * powiedział.

* Wszystko w porządku? * zapytała Kyla.

* Tak. Jest tu policja.

* Mówili o tym w telewizji * rzekła Kyla. * Pokazali jego zdjęcie z podania o prawo jazdy czy czegoś takiego. Mój tata go rozpoznał.

* Jak to?

* Myślał, że to facet od kapitału wysokiego ryzyka.

* Co takiego?

* Taki gość z pieniędzmi * chodzi o te akcje.

* Codexco?

* Tak * potwierdziła Kyla. * Już nie jesteśmy bogaci. Mój tata mówi, że wy też nie.

* Jakoś nie czuję różnicy * trzeźwo zauważyła Ruby.

Kyla parsknęła tym swoim zabawnym śmiechem, krótkim chichotem, naprawdę rozweselona. * Ja też nie * stwierdziła. Potem nastąpiła cisza. * Będę się za ciebie modlić przed pójściem spać.

* To ty się modlisz?

* Jasne, że nie * odparła Kyla. * Dziś wieczorem zrobię wyjątek. Ruby wiedziała już, jak to jest, próbowała w sprawie Zippy'ego. Nie pomogło.

W domu. Epickie arcydzieło wymagało epickiego wyczynu dokonanego przez głównego bohatera. Julian, opanowany, choć nie tak opanowany, jak mógłby być z papierosem żarzącym się pomiędzy palcami, dumiał nad epickimi wczynami dokonanymi przez epickich bohaterów. Przeważnie były rozczarowujące, tak często kończąc się wprawdzie duchowym triumfem, lecz fizycznym zejściem z tego padołu, weźmy na przykład Samsona, najbardziej tępego ze wszystkich.

Czy ta druga część, fizyczne zejście, naprawdę była nieunikniona? Czy może zwyczajnie oznaczała porażkę wyobraźni artysty, niezdolnego pójść dalej? Najlepsi artyści * przypomniał sobie własną myśl i pokrzepił się nią * ci, którzy zmieniali świat, zawsze przekraczali granice. A więc ta kłopotliwa sytuacja, jak by ją nazwali zwykli śmiertelnicy, tak naprawdę była szansą, sprawdzianem dla jego wyjątkowego talentu. Jakże będzie delectował się tą chwilą w przyszłości! Tą chwilą z żywej powieści, z jej końcowego rozdziału, gdzie artysta niespodziewanie się ujawnia, wkracza na scenę, by nią zawładnąć, gigant z krwi i kości depczący po papierowych

marionetkach, które sam stworzył. W głębi duszy największego nawet artysty skrzyła się potrzeba uznania. Był tylko człowiekiem.

Och, czuł ten dreszcz: nadchodziła najwspanialsza chwila w jego życiu. Lecz nie ostatnia. Utrata życia oznaczałaby przekreślenie szansy na dalsze tomy powieści, z których każdy kolejny byłby mniej rozczarowujący od poprzedniego. Cóż za zabawna myśl, akurat w tej chwili, taka niefrasobliwa: prawie roześmiał się na głos, nie zważając na sytuację. Niefrasobliwy, opanowany * niezwykły człowiek, każdy musiałby to przyznać. A plan? Stworzy go w kilka sekund. Poniżająca byłaby ucieczka pod osłoną nocy, bohater epicki o takiej inteligencji opuszcza scenę w blasku światła.

Położyli się spać, Ruby w swoim pokoju, a Brandon w swoim. Gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, ogarnęła ją olbrzymia, przytłaczająca siła, sen brał ją we władanie niczym jedna z tych fal o japońskiej nazwie. Czowała, jak się zbliża. Zwinęła się w kulkę. Oczy zamknęły się same.

Obudziła się w środku nocy. Usłyszała odgłos krótkofalówek, przez które rozmawiali stojący na podwórku policjanci. W tym momencie wszystko do niej wróciło. Wstała i zeszła na dół.

Policjant na korytarzu siedział na maleńkim francuskim krzeselku wygrzebanym przez mamę podczas jednej z jej wypraw do sklepów z antykami i miał zamknięte oczy.

* Przepraszam * zagadnęła go Ruby.

Otworzył oczy.

* Czy jest tu sierżant D'Amario?

* Przyjedzie później.

* Może mu pan przekazać wiadomość?

* Tak.

* Proszę mu powiedzieć, żeby sprawdził parking w Killington.

* Tak? * Jego powieki były opuchnięte. Każda ważyła chyba z pół kilo.

Ruby wróciła na górę, położyła się i przykryła kołdrą. Parking w Killington. To nie miało sensu, ale coś w tym było. Starła się zrozumieć co, lecz nie potrafiła i

zamknęła oczy, tym razem na siłę. Otworzyły się. Wstała i ruszyła korytarzem w stronę pokoju Brandona.

* Bran? Nie śpisz?

Głos Brandona dobiegł z ciemności. * Nie.

* Też nie mogę spać * zwierzyła się Ruby.

Cisza. Po chwili Brandon powiedział: * W Makbecie jest taki jeden morderca, który mówi do niego, „Jesteśmy ludźmi, panie”, a Makbet odpowiada: „Nie, uchodzicie tylko za ludzi”.

Ponownie cisza.

* Kiedy będzie jasno? * zapytała Ruby.

* Za chwilę.

* Mieliśmy już dość śmierci w tej rodzinie.

* Mówisz o Adamie?

* Tak.

* Więc tym razem wszystko będzie dobrze? * upewnił się Brandon.

* Tak.

* Jesteś bardzo mądra, Ruby.

* Dzięki.

* Śpij dobrze.

* Ty też.

Ruby wróciła do pokoju. Morderca... Otworzyła szafę, wyjęła z niej łuk i zdjęła kołczan z haczyka, kładąc je obok siebie. Zamknęła oczy.

W opowiadaniach o Sherlocku Holmesie nigdy nie rozpisywano się nad złoczyńcą, dlaczego zrobił to, co zrobił. Zawsze schemat był dość podobny: nie dostał tego, czego chciał, zezłościł się i zrobił to, co musiał, by to dostać. Nikt nie mówił o urazach czy niezadowolonych rodzicach. Złoczyńca był zły do szpiku kości i sprytniejszy od wszystkich, wiedział, jak wyprowadzić wszystkich w pole, wszystkich poza Sherlockiem Holmesem. Holmesowi udawało się przechytrzyć złoczyńców i czerpał z tego mnóstwo radości. Ruby odkryła teraz, że to właśnie najbardziej lubiła w tych opowiadaniach *

radość, którą czerpał Holmes. Ta radość różniła opowiadania od tego, co właśnie się działo. Gdzie oni mogli być...?

Śnieg padał coraz mocniej. Ruby słyszała, jak miękko opada na okno, jakby ktoś uderzał w maleńki bębenek. Śnieg poprowadził ją do snu o jaskini, na zewnątrz szalała zawierucha, a ona czuła się bezpiecznie i ciepło. Zawierucha szalała, wycie zagłuszyło odgłos bębena, było tak głośne, że zdawało się poruszać sklepieniem jaskini, lecz jej nic się nie mogło stać. Była jaskiniową kobietą, była w ciepłych bezpiecznym miejscu, więc burza mogła wyć, ile tylko chciała, mogła wyć i wyć. Właściwie im głośniej wyła, tym bezpieczniej i cieplej czuła się Ruby. Teraz trzęsła sklepieniem jaskini, starając się przebić do środka, ale przecież to było niemożliwe. Ruby była bezpieczna: śnieg, spokój, nic poza tym. Absolutnie nic.

I wtedy stało się coś bardzo niedobrego. Gruby, bardzo gruby wąż z szeroką głową w kształcie karo i nadętą szyją poruszył się gdzieś w jaskini. Ruby otworzyła oczy. Ale zaraz, one już były otwarte. Śniła z otwartymi oczami. Z pewnością tak właśnie było, ponieważ w jej śnie długa, gruba, podobna do liny rzecz wisiała w powietrzu lub może dyndała nad jej głową o coś zaczepiona. Całkiem jak we śnie wykonała coś, czego żadna lina nigdy nie mogłaby zrobić, zwinęła się w kształt przypominający haczyk. Nagle rozległ się syk, bardzo realny.

Spadła. Długa, gruba rzecz spadła i wylądowała na jej poduszce, wijąc się wśród jej włosów. Czuła zimne, ciężkie i twarde ciało. Cienki język musnął jej policzek, tak szybko * w życiu nie potrafiłaby sobie tego wyobrazić we śnie. Ruby krzyknęła, to był krzyk, jakiego świat nie słyszał, ale tylko w jej wnętrzu: chciała żyć.

Leżała nieruchomo, jakby już była martwa. Rzecz zasyczała ponownie i zaczęła się poruszać, a niewielkie nierówności skóry drapały jej ucho, mięśnie przesuwały się po jej podbródku, po gardle, po ramieniu, wszędzie jednocześnie, mięśnie bardziej gibkie niż mięśnie człowieka i o wiele silniejsze, i nagle prawie ześlizgnęły się z jednej strony w kierunku ściany. Teraz? Teraz.

Ruby przetoczyła się, a może poderwała, ogarnięta paniką, starając się wyskoczyć z łóżka i jednocześnie zarzucić na to coś pościel. Wszystko się pomieszało. Rzecz * nie rzecz, tylko cętkowana wstęga * zaatakowała, wyskakując spod pościeli i z sykiem

rzucając się ponad głową Ruby. Ruby pacnęła ją kołczanem. Strzały wysypały się, większość wylądowała za nią.

Cętkowana wstęga wściekła się, napadła na nią, odpychając się dwukrotnie dolną częścią swego ciała, otworzyła szeroko paszczę, ukazując nieruchomy język pomiędzy dwoma kłami. Ruby wyciągnęła przed siebie łuk w momencie ataku, ataku tak silnego, że uderzenie kłów wstrząsnęło łukiem i jej ramieniem. Wtedy Ruby zaczęła uciekać, tak szybko, jak tylko zdołała, wybiegając z pokoju na korytarz. Kolejny atak, mocne uderzenie, lecz tym razem o drzwi, które Ruby za sobą zatrzęsnęła.

Julian, kucający przy pokoju Adama, zerknął na nią. Był tylko cieniem podświetlonym od tyłu niewielkimi płomieniami, sylwetką trzymającą w dłoni kanister, ten, którego tata używał do kosiarki i maszyny do usuwania chwastów. Wstał bez specjalnego pośpiechu i ruszył w jej kierunku. Brandon wyszedł ze swojego pokoju. Julian machnął kanistrem, trafiając Brana w głowę, choć nawet na niego nie spojrział. Dźwięk, jaki się rozległ, wywołał ciarki na plecach. Brandon wpadł do pokoju.

Julian wciąż się zbliżał. Ruby cofnęła się i na coś nadepnęła. To była strzała, która teraz wypadła z kołczanu. Złapała ją i podniosła łuk. Podniosła go i osadziła strzałę, niezbyt ciasno, i naciągnęła tak, jak uczyła ją Jeanette, by cięciwa ledwie dotykała końcówki jej nosa, zakotwiczyła.

* Jak to, nie śpisz o tej porze? * zapytał Julian, wciąż idąc na przód, lecz wolniej, tak jakby podłoga zrobiła się śliska. Nie miał na sobie koszuli i dostrzegła brzydkiego siniaka na jego ramieniu, a w nim ślady po zębach układające się w kształt półksiężyca. Zippy był bohaterem.

* Masz gorączkę, biedne dziecko * mówił. Czy trzymał teraz kanister odrobinę wyżej, tak jakby przygotowywał się do rzutu? Płomienie za nim rosły. Nagle zyskały mowę, niczym tłum krzyczący coraz głośniejsze i głośniejsze, olbrzymi, rozgorączkowany tłum.

* Stój * ostrzegła go Ruby. Z góry dobiegły do niej dziwne dźwięki.

* Naprawdę zabiłabyś człowieka, Ruby, ludzką istotę? * zdziwił się Julian. *

Będziesz miała koszmary do końca życia. * Na jego twarzy malował się miły uśmiech, jakby byli przyjaciółmi.

* Widzę żółte kółko w czerwonej obwódce * odparła Ruby, czując, jak cięciwa dotyka jej ust.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Dźwięki nasiliły się, teraz na schodach, a ułamek sekundy później w pokoju Adama nastąpił huk, który wstrząsnął domem. Julian cisnął kanister z benzyną, która w powietrzu nagle zmieniła się w płomień, i rzucił się na nią, jak błyskawica. Ruby zobaczyła żółte kółko w czerwonej obwódce, naprawdę je zobaczyła. I ucałowały się z cięciwą na pożegnanie.

Wycelowała bez pudła. Julian stanął, stanął tak, jak tego chciała, stanął, jak mu kazała.

* Te koszmary * jęknął.

Wtedy życie zgasło w jego oczach. Kolejno pojawiały się w nich wszystkie emocje, jakby ktoś tasował talię przerażających kart, a na ostatniej z nich odmalowało się zaskoczenie.

Benzyna była wszędzie, płomień trawiły pokój Adama, Brandona, korytarz. Ruby dała krok nad Julianem, kierując się do pokoju Brandona. Po schodach wbiegł policjant z dołu, celując z broni.

* Na strychu * zawołała Ruby. Musiała krzyczeć, żeby przekrzyczeć ogień. * Są na strychu.

Pojawili się inni policjanci. Brandon usiadł. Miał zakrwawioną głowę.

* Wszystko w porządku? * zapytała.

* Tak.

Ale potrzebował pomocy, żeby wstać. Wyszli na korytarz. Wielkie płomienie wypęzły z pokoju Adama. Rozlegały się krzyki i wycie alarmu. Policjant o niewyobrażalnie barczystych ramionach stał na krześle, ze wszystkich sił waląc w zamalowany właz. Coś trzasnęło. Właz się otworzył. Policjant podciągnął się i wszedł do środka. Później rozległy się odgłosy sapania na górze i pojawiła się mumia, stopami do przodu, cała owinięta taśmą, nie licząc nosa. Inni policjanci przejęli mumię i znieśli ją po schodach. Następnie pojawiła się druga mumia, trochę

większa. Mumie wydawały dźwięki.

Coś w pokoju Adama ryknęło. Gigantyczny płomień buchnął przez ścianę. D'Amario przepchnął się wśród policjantów. * Zabierzcie stąd dzieci. Wszyscy na zewnątrz. *

Wziął Ruby na ręce i pobiegł z nią w stronę schodów. * Chcesz coś szybko zabrać ze sobą? * zapytał, gdy przechodzili obok jej pokoju.

* Niech pan nie otwiera tych drzwi.

Na Robin Road tata, mama, Brandon i Ruby obserwowali, jak strażacy ratują część domu * garaż, kuchnię, przedsionek i jeszcze trochę. Rodzice płakali jak bobry.

* Tak nam przykro * powiedziała mama.

* Bardzo was przepraszamy * dodał tata.

* Za co? * zdziwił się Brandon.

* Chyba był ubezpieczony, prawda, tato? * zainteresowała się Ruby. W końcu tata pracował w tym biznesie.

Mama i tata zaśmiali się przez łzy. Wszyscy przytulili się do siebie. Ruby płakała później, gdy pojawiły się koszmary.

Tata przygotował wspianiałą polisę dla Robin Road 37, która pokryła całkowity koszt odbudowy domu łącznie z remontem oraz kilkoma dodatkowymi rzeczami, które udało mu się tam wcisnąć. Babcia pożyczyła mu pieniądze na spłatę długu Codexco.

Dostał pracę u Johna Hancocka w Hartford.

Mama zaczęła pracować dla Larry'ego w Skyway i zarabiać więcej pieniędzy.

Między rodzicami zaszły trudne do zrozumienia zmiany. Najpierw, gdy Ruby wstała zbyt wcześnie, znajdowała tatę śpiącego na kanapie. Potem między rodzicami odbywało się mnóstwo rozmów szeptem. Aż w końcu, od czasu do czasu, można ich było przyłapać na całusach w różnych częściach domu.

Brandon przystąpił do SAT i znalazł się w pięćdziesiątym dziewiątym centylu.

Podszedł raz jeszcze, tym razem nie na kacu, i osiągnął dziewięćdziesiąty pierwszy.

Nie odnaleziono jeepa mamy aż do dnia, w którym państwo Stromboli przyjechali do domu z Florydy i otworzyli garaż. W samochodzie był szary płaszcz mamy z futrzanym kołnierzem i skórzana kurtka taty.

Nigdy nie znaleziono ciała gada, co ogromnie zmartwiło sąsiadów. Jakiś agent

nieruchomości tłumaczył tym sobie brak chętnych do kupienia jednego z domów na Poplar Drive.

Unka Death pozostał w sypialni.

D'Amario dwukrotnie wysłał nurków na dno stawu, lecz nie odnaleźli Zippy'ego.

Gdy zrobiło się cieplej, Ruby udała się tam sama, lecz bez skutku. Gdy wyeliminuje się to, co niemożliwe, wówczas to, co pozostanie, jakkolwiek nieprawdopodobne, musi być prawdą. Ruby wciąż rozglądała się za Zippym.

Po kilku miesiącach Brandon przyszedł do domu z psem ze schroniska. Ruby nie miała z tym nic wspólnego. Ten pies w ogóle nie był podobny do Zippy'ego, był bardzo brzydki i trochę za gruby. Pewnego dnia, gdy byli sami w domu, wszedł do jej pokoju z pistoletem w pysku, merdając ogonem. Tak naprawdę ten brzydki, był po prostu zwyczajny. Nazwała go Watson.

koniec

Georges Simenon ŚMIERĆ BELLI

Spencer Ashby wiezie spokojne życie nauczyciela w małym miasteczku. Dopóki morderstwo nie burzy tego porządku.

Bella była córką znajomej Christine, żony Spencera. Zbyt młodą, by umrzeć. I to w domu Ashbych. A Spencer nie ma żadnego alibi. Tylko coraz bardziej podejrzliwych sąsiadów. I policjantów uparcie krążących wokół niego.

Bo nie było formalnego dowodu na to, że jest niewinny. Dopóki nie odnajdą mordercy i ten się nie przyzna, nie było absolutnej pewności. A nawet wówczas znajdą się tacy, którzy będą wątpić...

Scott Smith PROSTY PLAN

We wraku małego samolotu rozbitego w zagajniku można znaleźć duuuuże pieniądze. Takie, że nawet podzielone na trzech gwarantują fortunę każdemu z nich. Trzeba je tylko przechować na parę miesięcy. A z całej trójki znalazców to Hank

Mitchell był najrozsądniejszy i dlatego Jacob i Lou zgodzili się w końcu, by on przetrzymał te pieniądze.

Ten prosty z pozoru plan okazuje się jednak trudny do zrealizowania. Bo... są rzeczy gorsze od więzienia.